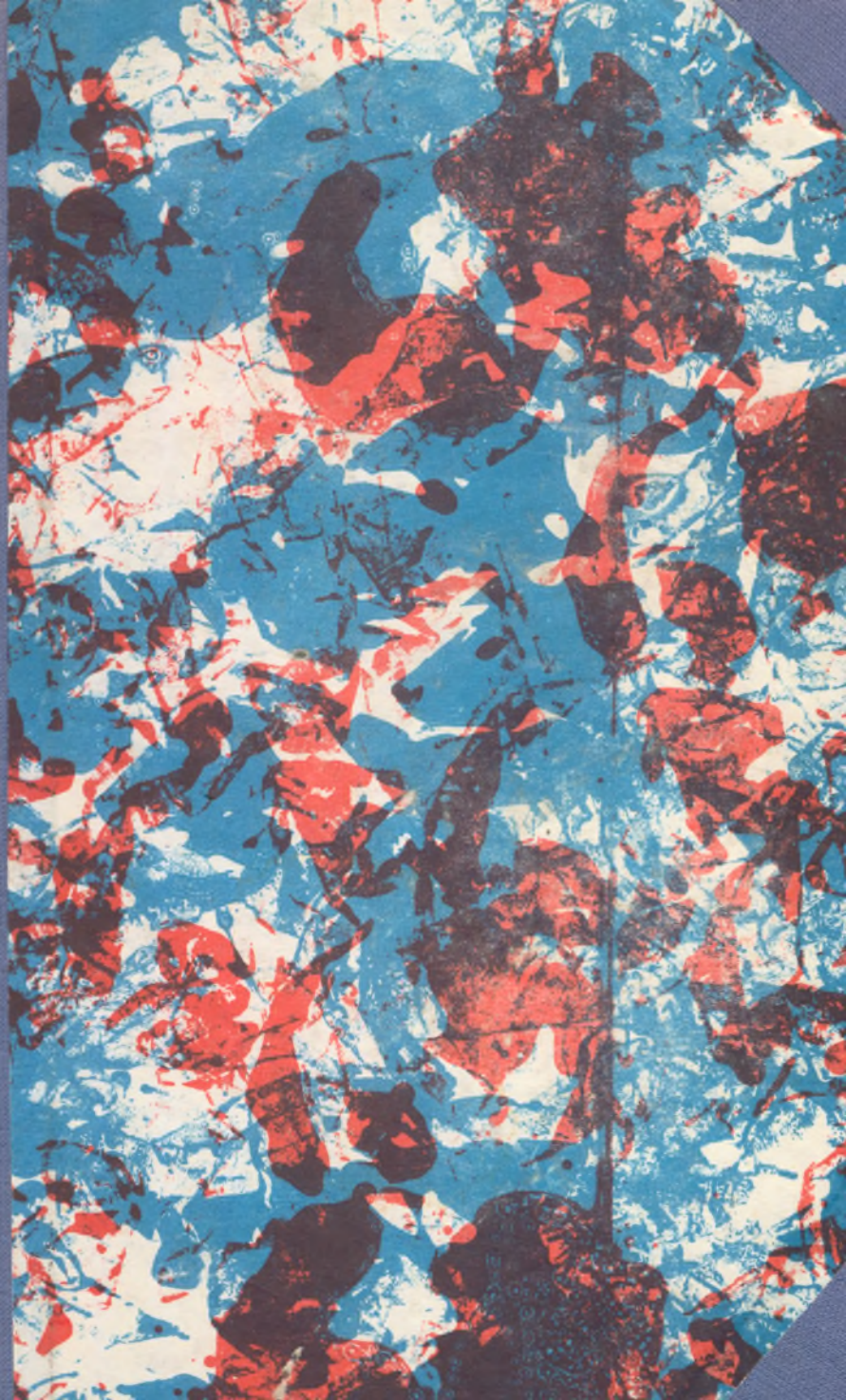




STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

MOI
WSPÓŁCZEŚNI
WŚRÓD OBCYCH



INSTYTUT WYDAWNICZY
BIBLIOTEKA POLSKA
w Warszawie

MOI WSPÓŁCZEŚNI



STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

*M O I
WSPÓŁCZEŚNI
WŚRÓD OBCYCH*

W A R S Z A W A 1926

*I N S T Y T U T W Y D A W N I C Z Y
„B I B L J O T E K A P O L S K A“*

884-94



513111 / 1

513111

Wszelkie prawa zastrzeżone

Zakłady Graficzne Instytutu Wydawniczego „Biblioteka Polska“ w Bydgoszczy

I.

Byłem dotychczas wrogiem historyków literatury, którzy grzebali w duszy i życiu artystów, by w ten sposób dojść do zrozumienia jego tworu.

Ale, gdy sobie powoli uświadomiłem, do jakiego stopnia życie artysty, oczywiście nie to rzeczywiste, na jawie, ale to podziemne, nieskończenie zróżniczkowane — wpływa na jego twór, pocynam rozumieć tę rozpaczliwą, gorączkową ciekawość, z jaką ci panowie do duszy artysty dogrzebać się starają.

Ale daremna ich praca: algebra, jaką dusza twórcza artysty się posługuje, jest doszczętnie inną, jak ta, którą posługuje się zwykły człowiek, chociażby był nawet najwytworniejszym i najwięcej przenikliwym krytykiem.

Dla zwykłego człowieka dwa razy dwa będzie zawsze cztery, dla artysty — czasem tysiąc, a może i więcej, bo to proste „dwa“ mieszczą tyle tysięcy możliwości kojarzeń, tyle niezliczonych jednostek, nie istniejących dla zwykłego mózgu, a stanowiących właśnie najważniejszy moment twórczy w duszy artysty, tak, że te najprostsze pierwiastki 2×2 stają się nieskończenie skomplikowanym integralą.

Stąd całe nieporozumienie.

Historyk literatury zaciętrzewia się w jakimś przeżyciu zewnętrznym artysty, analizuje je na wszystkie strony, opisuje z drobiazgowością, przypominając badacza, który łupież rozszczępia, wyciąga z tego przeżycia, Bóg wie, jakie wnioski, konstruuje analogie między tem przeżyciem a tworem artysty, a zapomina przytem o najważniejszej rzeczy, że to przeżycie nie było pochopelem do tworu, lecz naodwrot: twór był pochopelem do przeżycia. Artysta przeżywa już twórcze swoje przeżycia,

i to do tego stopnia, że często nie umie pociągnąć granicy między tem, co twórcze, a tem, co się zewnątrznie naokół niego rozgrywa.

Kiedyś powiedziałem, że artysta nie żyje tak, jakby chciał, ale tak, jak żyć musi. To znaczy, że wszystkie jego przeżycia są tylko materiałem, surowym materiałem, prostą gliną rzeźbiarską, z której on dopiero twór swój kształtuje.

Ale zupełnie tak samo, jak potrzeba kilkudziesięciu tysięcy tonn podłego kruszcu, by wydobyć z niego jedną tysięczną grama radu, tak samo odrzuca artysta całe zwaly swego materiału, by wydobyć jeden nikły moment, tę oś, naokół której twór jego kształtować się począł.

Historyk literatury może być pewien, że z całego romansu Mickiewicza z Marylą, romansu, który on jedynie tylko twórczo przeżywał — wszystko oczywiście widział w całkiem innych wymiarach, niż zwykły śmiertelnik; złocił, cackał, wypieszczał, stroił w niesłychane bogactwo barw, na prostej szarej kanwie tkiał wzorzysty złocisty haft o niesłychanej piękności, — pozostał wkońcu jeden tylko nieuchwytny prawie moment: może róża, wpleciona we włosy, może jakiś kryjomy uścisk dłoni, spojrzenie w którym się nagle cała dusza, jak do krzyku, rozwiera, i ten to moment, nic nie znaczący w prostej ludzkiej algebrze, stał się dla artysty wyjściem dla jego tworu, punktem naokoło którego wszystko się krystalizuje, osią, dla nowego świata w porodzie.

I teraz dopiero w tworze samym realizuje się „twórcze przeżycie”: Mickiewicz nigdy nie widział Maryli takiej, jaka ona była dla otoczenia swego w istocie, zawsze tylko taką, jaką miała wejść w ramy jego tworu.

Dusza jego twórcza dała już w podświadomej swej pracy zgóry takie kształty i tę anielskość i powiewność, w jakich w tworze samym występuje; twórca tchnął w „marny puch” olbrzymie zasoby własnej duszy i osadził puch - kobietę na królewskim tronie własną potęgą uczuć.

U artysty istnieje właściwie tylko jeden sposób przeżycia: *potencjalny*: w fantazji twórczej, a ten jest, zależnie od siły twórczej, nieokreślony i obejmuje nieskończone horyzonty, gubi się w bezwymiarowych perspektywach; realny rodzaj przeżycia, jakim nie-twórca żyje, jest dla niego tylko karmią tamtego:

zasilającym go źródłem. Im bogatsza będzie ta karm, im obfitsze źródło, tem bogatszy materiał, w którym artysta tę jedną tysiacyzną grama radu dla swego tworu odnajdzie. Jedynie w tym celu są dla artysty ważne zewnętrzne i to jak najróżnorodniejsze przeżycia.

Z każdego z nich pozostaje mu jakiś osad, jakiś kosztowny kamyczek, z którego układa różnobarwną mozaikę swego tworu.

Dlatego w im szerszych granicach życie artysty się przelewa, tem bogatszy będzie twór.

Fantazja artysty, ubogiego w przeżycia, może być wspaniała, nawet imponująca, ale, o ile nie jest zasilana przeżyciami rzeczywistymi, będzie zawsze bezkrwista i błada.

Wprawdzie istotny artysta jest zespołem wszystkich możliwych dusz ludzkich, ale li tylko „rzeczywistość“ wszystko jedno, jakiego rodzaju, daje tej zbiorowej duszy tę całą pełnię życia, jaka *istotny* twór cechuje.

Artysta właściwie nie zna innego przeżycia, ponad twórcze, to znaczy, że każde już w swym zarodzie nosi twór: twór sam jest niejako tylko skondensowanym osadem tego przeżycia, osadem, którego żaden artysta przewidzieć oczywiście nie może. Tę zdumiewającą alchemję dokonywa dusza w swem tajemniczym, podświadomym laboratorium — i w tym sensie życie artysty samo może się tak ułożyć i tak się też istotnie częstokroć układa, że samo w sobie staje się tysiackroć razy potężniejszym tworem, aniżeli ten ujawniony w formie słowa lub kształcie.

Co za wspaniały twór takie życie Byrona — jaka straszna tragedia życia Mickiewicza, beznadziejne, rozpaczliwe szamotanie się Słowackiego, a chyba niema potężniejszego arcydzieła nad życie Napoleona!

I w tej myśli będę snuł nic swych wspomnień, raz jeszcze przeorzę dawno odłogi już leżącą glebę — niejeden cmentarz obejść, spoczną na rozstajnych drogach, skąd wszystkie drogi wychodzą i w nich się gubią, nie dlatego, by tworzyć jakąś „anegdotyczną“ historję, ani też, by wyzyskać naiwną ciekawość publiczności, ale poprostu w tem przeświadczeniu, że krocząc wstecz drogą mego ubiegłego życia, przeżywając raz jeszcze rzeczy dawno prześnione, ale przeżywając je w nowym świetle — nie w tem rozżarzonem, ogniem buchającym, ale w tajemni-

czych fioletach pół-snu, pół-zmroku: przyćmionem świetle rzeczy gasnących — kształtuję twór, który może być w większej mierze „istotnym“ tworem, aniżeli jakikolwiek bądź utwór literacki.

Zgóry jedno zastrzeżenie:

Jeżeli będę w tych wspomnieniach pisał też o sobie, to nie dlatego, bym się uważał za jakąś „czołową“ osobistość, bez której społeczeństwo obejśćby się nie mogło, za jakieś ważne kółko w jego zegarowym organizmie, bez którego przyrząd mógłby stanąć, lub co najmniej narażony byłby na poważne zaburzenia, więc słusznem jest, aby się je z tak ważnym czynnikiem dokładnie zapoznało, a nawet ma ono prawo żądać od tego osobnika, by je w tajniki swego życia wprowadził — ach nie!

Nic mi więcej obcego i dalekiego nad taką myśl — ja doskonale sobie zdaję sprawę z mego stanowiska wśród mego społeczeństwa, a jeżeli „*vatum irritabile genus*“ częstokroć choruje na megalomanię, ja od dziecka choruję na manję małości — mikromanję — a z wszystkich legend, jakie o mnie krążą, jedna jest istotnie autentyczna:

— „Mistrzu“! — zwrócił się do mnie emfaticznie młodzieniec jakiś podczas antraktu mego dramatu.

— Nie jestem mistrzem — szepnął mistrz tajemniczo młodzieńcowi do ucha — ja taki sam osioł, jak ty, robaczku!

Odtąd już młodzieńca więcej nie widziałem tego wieczoru.

Jeżeli więc będę pisał o sobie, to jedynie tylko wtedy, gdy będę rozważał, jakie czynniki wpływały na moją twórczość, co duszę moją kształtowało, jakim wpływom ulegałem, a pisząc o sobie, będę się starał dać przyczynek do rozjaśnienia jednej z największych tajemnic duszy ludzkiej: twórczości.

Gdybym na poparcie mej teorii o „nagiej duszy“ nie miał innego argumentu nad tajemnicę twórczości, jużbym zaiste żadnego innego nie potrzebował.

Dusza, krocząca od jednej wieczności do drugiej, materjalizująca się tu, na ziemi, coraz to w nowej osobowości, dusza, która raz w tej masce się ukaże, to znów po upływie wieków w całkiem innej — pozostaje i pozostać musi wierną temu zadaniu, jakie jej Odwieczny od samego początku w swym planie stworzenia wyznaczył.

Artysta rodzi się twórcą, był już nim przed wiekami, a może i częściej pojawiał się na ziemi, a za każdym razem Bóg przywodził przed jego oczy całe stworzenie, aby mu nadawał imiona, a według żydowskiej kabały dał mu 22 znaki pisma hebrajskiego, by w bezustannych kombinacjach tych znaków starał się dotrzeć do tajemnicy Jego Imienia.

Oczywiście nie myślę się wdawać w żadne wywody teo- ani też antropozoficzne, które ostatecznie są mniej lub więcej fortunnymi koncepcjami ludzkiej fantazji — jedną mam tylko wiarę niezłomną: byłem już na tym świecie może raz, może kilka razy: może byłem raz kiedyś włóczęgą, rybałem w średnich wiekach, nad moimi madrygałami prowansalskimi ślęczą dziś uczeni filolodzy — może byłem jakimś bezdomnym urwipołciem, coś w rodzaju François Villon, który nieraz ocierał się o szubienicę; w każdym razie nigdy żadnych dostojęństw nie piastowałem. Może za nicowanie wszystkich wartości na ręby język mi kiedyś ucięto, a może wtedy, gdy z Panem Bogiem poszedł na udry, więziono mnie o chlebie i wodzie w piekielnym jakimś „*in pace*” — to wszystko możliwe, jedno tylko wyłączone: „czołowe” jakieś stanowisko — zawsze znalazłem się jakoś poza społeczeństwem, jużto wskutek drwiącego jakiegoś nihilizmu, dla którego „wartości życiowe” przedstawiają fatalną bezwartość, jużto dla manjackiego ducha przekory, który zawsze mówi: nie! gdy wszyscy inni mówią: tak!

Ale równie dobrze mogę sobie wystawić siebie, jako żarliwego mnicha — poetę, który w świętych ekstazach wypisywał hymny na cześć Niepokalanej, a może opętanego jakiegoś ascetę, który wszystkie bogactwa między biednych rozrzucił, a, gdy już nic więcej do rozdania nie miał, wziął na siebie zbrodnię innego, wskutek czego według praw ludzkich obwieszonym został, a w jego łachmanach znaleziono bezbożny hymn nie ku Bogu — ale — o zgrozo! — ku Tęsknocie!

Zdawałoby się, że zbyt jowjalnie wyobrażam sobie drogę ducha mego w jego rozmaitych bytowaniach: ależ nie! ja temi wszystkimi duszami po dziś dzień żyję — ja żyję jeszcze tyśiącem innych dusz, (by je wszystkie wymienić, nie starczyłoby skóry wołowej, chociażby na najcieńsze paski pokrajanej), a możność wysuwania jednej duszy przeciw drugiej, zonglowa-

nie niemi, jak żongler piłkami, możność życia raz tą, raz inną duszą, trzecią, bądź setną, ba! nawet tysięczną, móc w danej chwili być zbrodniarzem, a równocześnie świętym, niechłujnym opojem, to znowu archanielsko czystym ascetą, wszystko przebaczącym Chrystusem, to znowu mścicielem — Szatanem, obłędnym manjakiem, a równocześnie twardym, jak spiż, Shyllockiem, otóż to stanowi twórcę — to jest tajemnicą jego mocy twórczej.

Jak przerażająco bogatą, o jak potwornie rozległym horyzoncie musiała być dusza Szekspira, jeżeli w tysiącach jego postaci, każdy człowiek swój wizerunek znaleźć może, a on jedyny ma tych tysiące dusz w sobie!

Jak przepastnie, rozpaczliwie głęboka dusza Dostojewskiego, w której wszelaka, najpotworniejsza zbrodnia a zarazem największa świętość z taką przerażającą jasnością i wyrazistością się odzwierciadla!

A przecież ani Szekspir, ani Dostojewski w niczem nie wykraczali przeciw prawom boskim, ani ludzkim: ale móc przeżywać „potencjalnie“ życie tych tysiąca dusz w sobie — znaczy tworzyć.

Móc ten potencjalizm przeżywać w takiej potędze, że się widzowi, słuchaczowi, czy czytelnikowi narzuca gwałtownie, jako rzeczywistość, rzeczywistsza od tej na jawie — to przywilej genjusza.

Tym razem dusza moja widocznie długo błąkała się w międzyplanetarnych przestworzach, zanim wskutek nakazu, wobec którego wszystkie prawa przyciągania, ciężkości, grawitacji są dziecinnyim wymysłem, sposobieć się musiała na to, że znowu fala wieczności wypłuje ją na sromotny, niechłujny, nędzny padół płaczu.

Długo — długo błądziła, bo nie odczuwa w sobie ani buntów chłopskich, ni fanatycznej zaciekłości wojen religijnych, (płacze nad temi zabytkami sztuki, które przez nie zniszczone zostały) cały okres renesansu, rokoka i baroku dla niej nie istnieje, wstręt ma do oprawców wielkiej rewolucji, głęboką pogardę dla wszystkiego, co demokracją i ochłokracją trąci — zdaje się więc, że ostatni raz bytowała na świecie, kiedy Gotyk ją zamierać.

Błądziła dusza moja — wprawdzie wyznaczoną była jej droga, — ale ociągała się, bo całe to życie jej w oskorupieniu tam w dole było jej przytomnem, gdyby jakaś skomplikowana formuła matematyczna, zawierająca całą jego mękę, ból, cierpienie i tyle szczęścia, ile go nawet wielki wybraniec losu, Goethe, nie doznał, który twierdził, że, gdyby policzył wszystkie te chwile szczęścia, jakie przeżył, nie wypełniłyby jednej pół godziny.

Aż wreszcie dokonał się okres błędzenia i szukania: dusza stuliła skrzydła i zawisła nad śpiącą wsią. Wprawdzie tam noc była, ale dla duszy noc — wiekuiłą jasnością, a jasność ziemi nocą.

I w tej wiekuiłej jasności ujrzała dusza olbrzymią przestrzeń, równiuteńką, jak stół, nagą prawie, tylko tu i owdzie parę dróg, obsadzonych wierzbami. Z jednej strony moczary i torfowiska — a miast drzew, długie rzędy kup torfu, poprzedzielanych głębokimi rowami, z drugiej strony urodzajne pola: ogromny szmat ziemi, obsianej różnorodnem zbożem — jakaś mała górka — na niej wiejski kościółek. W dali szczątki małego lasku, a może tylko zagajnik. Obejrzała się wstecz — srebrna, wielka tafla jeziora — na horyzoncie majaczyła jakaś wieża — jakaś klisza astralna odżyła w pamięci podświadomej duszy: aha! to tu kolebka rodu polskiego — Kruszwica.

A taki bił od wszystkiego smutek, taka bezbrzeżna melancholja, takie korne składanie rąk do troską i cierpieniem przeżytych pacierzy i takie kajanie się przed raz już wyznaczoną dolą ludzką, a ponad wszystkim przeolbrzymi całun tęsknoty, lśniący, mieniający się w takim przepychu, jakiego dusza jeszcze nigdy nie zaznała.

To tu! — szepnęła dusza.

W samym środku wsi szkoła o wysokim, słomianym dachu — tam cichutka i pokorna weszła.

I porodził się syn człowieczy, któremu dano na imię Stanisław.

II.

To nie przypadek, że przeznaczenie duszę moją właśnie w ten zakątek ziemi polskiej wysłało.

Niema chyba nic smutniejszego, więcej monotonnego, większą melancholją przesyconego, jak ta beznadziejna równina.

Jeszcze przed rozpoczęciem żniw, gdy się złote fale żyta w wietrze kołyszą i rozśpiewają się jakimś uroczystym, tajemniczym szumem, gdy pola pokładają się pod ciężarem kłosów pszenicznych, bo każdy z nich w sto ziarn bogaty, kiedy grochowska kwitnąć poczynają, a łany koniczyny i wyki rozścielają się sytemi barwami tkanym kobiercem, kiedy modraki patrzą błękitnymi plamami, jęczmień lśni połyskami starego złota, a maki rozkwitają hektycznym rumieńcem i kąkol smętnie już przez Odkupiciela potępionym fioletem — to jeszcze pół biedy: jakaś nadziejność w powietrzu, bujna otucha, oczy się skrzą i krok wzdłuż miedz rańniejszym się staje, niebo łaskawie się uśmiecha, przybiera odświętne szaty i zdaje się brać jak najgorętszy udział we wszystkim, co serce ludu, rozgoszzonego na tej ziemi, najwięcej skupionem nabożeństwem wypełnia.

Gdybym znalazł się nagle na tej ziemi podczas dnia, nie wiedząc ani dnia, ani godziny, ani wogóle nie wiedząc, gdzie się znajduję, z niechybną pewnością mógłbym powiedzieć, że to święto nad święta: Boże Ciało — a gdybym o zmroku błakał się wzdłuż pól, szedł ścieżynami i miedzami tam dotąd, gdzieby mnie nieomylnie coś poprowadziło — w stronę kościółka na małym wzgórku — w Górze — wiedziałbym z całą pewnością, że odbywa się w nim wieczorne nabożeństwo, podczas oktawy Bożego Ciała.

Teraz ksiądz zaintonuje jedną z najpotężniejszych pieśni, jaką Kościół duszę grzesznego człowieka z sobą nierozdzielnie spętał: cały kościółek zadrży straszną mocą tego tak nawskroś polskiego „*Dies irae*”: „Święty Boże, Święty Mocny!”, hymnu nad hymny: teraz na wsze strony zaświeci wybawczem słońcem złota monstrancja, a lud legnie pokotem przed tak wielkim Majestatem.

Wątpię, czy coś tak intensywnie przeżywałem, jak uroczystości i nabożeństwo, złączone z tem wielkim świętem! — Tak, tak: to byłoby jeszcze wszystko pół biedy:

Nadziejne wesele kuma się z wnikliwą, zbożną pieśnią modlitewną, uroczystą wielką tajemnicą ciała i krwi Pańskiej, roztopia się w oceanie złota upalnego słońca, lub mrok spowija je w gęstsze jeszcze całuny — i pół biedy jeszcze w żniwnym czasie, kiedy pola zaroją się od żniwiarzy, a niezliczone wozy nieraz dniem i nocą wożą do spichrzy przebogaty plon...

Ale niech tylko rozpocznie się czas pożniwny, kiedy rozpoczynają rozorywać nagie rżyska, kiedy aż zbyt często wśród nagich mgieł i mżącego ciągle deszczu, rozpocznie się kopanie pererek (ziemniaków) i wybieranie buraków — wtedy dusza poczyną się skręcać, wić, kurczeć i chorzeć.

I znowu: gdybym się znalazł na tej ziemi o zmroku, nie znając daty, ani miesiąca, ani miejsca, w którym jestem, wiedziałbym niechybnie, że w kościółku na górze odbywa się wieczorne nabożeństwo „*Zaduszek*“.

Ten czarny katafalk na środku kościoła, wokół którego ksiądz odbywa żałobne nabożeństwo, te jarzące się wokół gromniczne świece, monotonne, a tak do szpiku kości przejmujący śpiew funeralji, niczem jeszcze wobec przerażenia, strachu i grozy, która cały kościół już wypełniać jęła w przygotowaniu czegoś strasznego:

O północy rozewrą się groby cmentarza i wszyscy zmarli powstaną i podążą do kościółka i siadą naokół katafalku — i z grobowców swych, przylegających do murów kościoła, powstaną z martwych zmarli tu księża — pięciu ich było, czy sześciu — i będą odprawiać nabożeństwo.

W co te wszystkie ponure obrządki i opowiadania, te upiorne straszaki w duszy twórcy-dziecka się przeobraziły, jakim trują-

cym jadem osiadły na dnie jego serca, ten zrozumie, kto trochę głębiej w mój twór się wczyta.

Od Zaduszek począwszy, nic już prócz beznadziejnego, becpamiętnego smutku — dawno już zczerniało melancholijne „babie lato“ — jak widno i daleko czarne rozorane pola zlewają się z czarnymi moczarami, przepadliskami, torfowiskami, ciągnącemi się po drugiej stronie wzdłuż Gopła: jedna przeoblbrzymia, czarna, błotna pustynia. A na niej szaleją wściekle wichry, a deszcz leje od rana do nocy, od nocy do rana, tygodniami całemi: aż wreszcie wszystko się rozplywa w jednej czarnej kałuży.

Och! co za rozkoszna karm dla dziecka, którego dusza od samego początku była skierowana w stronę najwyższego napięcia bólu i tęsknoty! dziecka, które w siódmym roku życia błagało Boga o większe cierpienia nad te, jakimi Syna swego nawiedził.

„De la musique, de la musique avant toutes choses!“

A czy mógłbym mieć rozkoszniejszą muzykę nad te wściekle harce, jakie nadgoplańskie wichry wygrywały na potwornych piszczałkach, szatańskich fletach, waltorniach i fagotach, jakie się widuje na obrazach van Aacka lub Breughla piekielnego?

A móżg ludzki nie zdołał jeszcze wymyśleć instrumentów, któreby mogły choćby w najodleglejszym przypomnieniu oddać tę muzykę szalejącego Gopła, które mnie do snu kołysało!

Ale tę wściekłą szatańską muzykę buntu, sprzeciwu, wściekłego rozmachu, żądzы odwetu i pomsty koila rozpaczne ręce w bezsilnym bólu załamująca, beznadziejna pieśń wielkopiątkowych uroczystości — pod wieczór, w żalobnym kirem wybitym kościele przy grobie Chrystusa! Och, ta pieśń, ta jedyna pieśń: „Żegnaj mi głowo święta w cierniowej koronie“ — wżarła mi się w duszę do samego dna.

Stąd pewno to wieczne żegnanie w chwale „cierniowej korony“ w całym moim tworze.

A w zmroku wylania mi się postać mej matki — tak drobnej i wątłej, że zdawałoby się, iż żadnego trudu nie zniesie, a wątpię, czyby zdołała jakaś niewiasta przeżyć do późnego wieku to, co ona przeżyła i zniosła — wylania się jej postać nad odwiecz-

nym klawikordem i śpiewa słabym, dla mnie seraficzną pięknością przepełnionym głosem:

*Blade kłosa na odłogu
Jak sieroty twarz,
Pójdę powiem Panu Bogu,
Że to zagon nasz.*

*Prosząc o deszcz bezustannie,
Wyprosiłam grad,
Pójdę, powiem Marji Pannie,
Że już dosyć strat...*

A po szybach zlewał się strumieniami deszcz, na dwór wyjść nie było można, bo tonęło się w błocie, a wicher nadgoplański targał zaciekle wierzchołkami topoli i żywopłotem z „nygusu“, osłaniającym pasiekę mego ojca.

Oj! rozhułała się dusza dziecka w tej roztoczy bólu, żalu, smutku i tęsknoty!...

De la musique! de la musique!

Dosyć było tej muzyki w najróżnorodniejszych tonacjach — ale nie pomnę ani jednej wesołej nuty — a! dziwne: jak nie licują sprośne słowa „kujawiaków“ z ich nieskończenie smutną i rozżaloną muzyką!

Nieraz zastanawiałem się nad tym zdumiewającym faktem. Podłoże prawie pogrzebowe, smętne, pełne jakiejś bolesnej tęsknoty, a na tem sklepiisku wyprawia harce rozpusta a nawet bezwstyd!

Jakim cudem kojarzy się bluźnierstwo z kornym kajaniem się przed mocą boską, zbrodniczy nihilizm z najwięcej pozytywną wiarą, „*religion de la souffrance humaine*“ z potwornem, zimnem wyrachowaniem anarchisty, który z największym spokojem w teatrze bomby na publiczność rzuca, tego samego anarchisty, który przed chwilą bandażował nogę kota, zranioną o jakiś kołec płotu żelaznego!?

To są pewnie te rozmaite dusze w człowieku, z których jedna po drugiej w pewnych warunkach uzyskuje całkowitą autonomję i działa wbrew woli innych dusz.

Może tak być, a może inaczej — *ohé, les psychologues!* Nic wspanialszego nad widok dwóch dusz, które na wspólnej arenie

mózgu pokłóć się, schwycą za bary i poczynają się zмагаć! Walka ich nie jest „fair”: niema podstępu, któregooby w tej walce nie użyły, niema tak wyrafinowanego łotrostwa, jakim nie usiłują się zwalczyć — a z wszystkich stron, jam i szczelin, wypełzają setki innych dusz, otaczają kołem zapaśników, dodają otuchy, to znów osłabiają przekleństwem — a najciekawszy „match”, to ten między już zasiedziałą duszą, cuchnącą „starzyzną”, a jakąś nową, która do jej siedziby wtargnęła, jakaś ultramodernistyczna, rewolucyjna, wywrotowa — wtedy sam Pan Bóg się śmieje i chwyta się za boki!

A czyż jest artysta, w którymby się ta walka nie odgrywała wciąż i wciąż? — tylko u ciasnych, płytkich doktrynerów dławi ta nowa, przybłąkana dusza tę jedyną prawowitą, autochtoniczną.

Oczywiście komplikuje się niezmiernie cała ta zaciekła walka, jeżeli wszystkie dusze naraz wplątane są w jej rozszałały wir — wtedy jedno uczucie ujarzemia inne, albo rozbryzguje się w całym tym chaosie — a bywa, iż dwie całkiem różnorodne dusze zawierają z sobą niemy sojusz, nie czyhają na wzajemną zgubę, ale za obopólnem milczącym porozumieniem — porozumieniem, często zgrzytającym zębami i oślinionem pianą bezsily — godzą się na to, że jedna odprawia mszę, druga wygrywa na organach bezwstydną *shimmy*. A gdy jedna święci swe wniebowstąpienie, druga porykuje rozkoszą wpiekłowzięcia.

Och! jak daleko odbiegłem od tematu!

Tematu!? Och, nie! To właśnie najistotniejszy temat: dusza artysty: zasadnicza dominanta, niemożliwa jednak do pomyślenia bez setek innych piszczałek.

Poza tem nie potrzebuję trzymać się jakiegoś tematu — nie piszę pamiętników, błąkam się po ciemnych krążgankach własnej duszy, by móc się zorjentować w pieczarach, wąwozach, żłebach obcej duszy.

Nie mógłbym nawet pisać żadnego pamiętnika, przecież ja to wszystko całkiem inaczej, odrębnie, naopak prawie przeżywałem i przeżywam, jak człowiek, który nie jest twórcą.

Kiedym się siłił w moim odczycie o Kasproviczu — „Synem Ziemi” go nazwałem — o oddanie tego tajemniczego czaru uroku, piękności ziemi kujawskiej, pytał ponoć Władysław Rabski,

zdzumiony w najwyższym stopniu, obok stojącego Kujawiaka: „Przecież tego wszystkiego tam niema — gdzie on to widział?!“

Ale cóż mnie to na Boga żywego może obchodzić, czy to „tam“ jest, czy tego niema?

Ja „to“ widziałem, ja to „tak“ właśnie przeżyłem — więc jest. Dla jednego żyzną ziemią pszeniczną lepszą od sandomierskiej, przebogatem źródłem eksploatacji buraków — dla mnie jednym wielkim cudem.

Dałem tylko przykład twórczego przeżycia.

I mocą tego przeżycia będzie może już w przyszłej generacji nadgoplański Kujawiak inaczej patrzył na tę beznadziejną równinę i te błota, moczary i torfowiska, aniżeli teraz — a co moc twórczego przeżycia znaczy, chyba już najwspanialszym dowodem „twórcze“ odkrycie Tatr przez Chałubińskiego, Eljasza, Witkiewicza.

Trudno i darmo: artysta tworzy wszystkie wartości — bez niego nie byłoby pojęcia ojczyzny, narodu, ziemi — he, he, — artysta stworzyć musiał człowiekowi nawet kieszenie w spodniach!

Ale to nietylko ja widziałem te nadgoplańskie Kujawy w mirażu tych dziwów i uroków: w nieporównanie większej potędze ujrzał je prawdziwy syn tej ziemi, najrodowitszy jej autochton, Jan Kasprowicz, największy z „moich współczesnych“.

Czytajcie jego „Święty Boże, Święty Mocny“ — on też „tego“ nie widział oczyma, marną funkcją mózgu, on widział je duszą, kiedy przed sześciu wiekami tu bytowała: w czasach strasznego pomoru, czarnej śmierci, w czasach, gdy olbrzymie procesje flagelantów zalały ten szmat ziemi, kiedy człowiekowi zdawało się jeszcze, że zniewoli gniew Boga, gdy ołowianami prętami rozorze swoje plecy, gdy krzyżem się położy i pozwoli się trutować, jak tratuje się rzepak na boisku stodoły — on widział tę połać ziemi w piekielnej czerwieni nie ustępującego z nieba krwawego komety, którego miotła różgami po niebie się rozprysła — i on widział, jak rowy napełniły się trupami dżumą zatrutych cielsk — widział, jak niebo się rozpałiło i wściekle zarzewie na ziemię ciskało.

Tak on widział!

I tak przeżył twórczo Kasprowicz tę samą ziemię, którąby czterema kreskami narysować można, bo przecież „nic“ na niej niema. A wspomnienie cholery, jaka nawiedziła ziemię kujawską pod rok 1873 po wojnie francuskiej, wyrosło w „Święty Boże“ w przeolbrzymią wizję, godną zaiste jakiegoś Ezechjela.

Och! jak dobrze pomnę to straszne, upalne, pożarne lato, mimo, że miałem wtedy dopiero pięć lat... Całemi nocami włożyły się procesje chłopów od wsi do wsi, a wystraszone dziecko budziło ze snu o litość skowyczące „Święty Boże“, albo nad rozwartemi grobami krwawym szlochem zawodzące: „Witaj Królowo! *Ad te clamamus, flentes, gementes exules, filii Haevae!*“

Nie pomogły ni jęki, ni prośby i błagania: codzien przeciągały przez moją wieś rodzinną chłopskie wozy z trumnami, skleconemi z czterech desek, które na „cholerycznym cmentarzu“, tuż za wsią, wyrzucano do wspólnych dołów.

Taki sobie prosty fakt, dawno zapomniany! — już na wiosnę porosła trawa na cholerycznym cmentarzu, rozplenilo się na nim najprzedniejsze zielsko, bo o ten cmentarz nie było komu dbać. Twórcza potęga Kasprowicza wylbrzymiła ten biedny fakt do rozmiarów jakiegoś kosmicznego, żywiołowego kataklizmu.

Teraz zamykam oczy i śnię na jawie.

Kiedy się przejdzie rynek w Inowrocławiu, na którym przed pięciu laty jeszcze sterczał pomnik poległych w 1871 roku Kujawiaków — ohydna „Maryna“, jak tę brzuchatą „Germanję“ lud nazywał — skręca się na lewo, a potem już na prawo, idzie się prostą drogą do Szymborza. W lecie, kiedy jest sucho, droga od biedy znośna, ale niech Bóg broni na wiosnę, lub jesień: przepastne błoto, w którym szymborzanie szczeniaki topili, a koła wozów aż po osie grzęzły. Ani jednego drzewka przez całą drogę, tylko tuż, niedaleko Szymborza, figura św. Marcina, wyobrażająca świętego, jak rozcina płaszcz i patrzy z głupkowatym uśmiechem na wyciągającego dłonie żebraka.

Pod tą figurą zakopane są nieczystym sposobem zdobyte skarby — tak lud twierdzi — a często widziano, jak się o północy niesamowitym, djabelskim ogniem palą.

Jeszcze kawałek, może jakiś kilometr, a już widne gospodarstwa Posadzych, Habrów, Łodygów... kawałek jeszcze: na

rogu karczma, a za nią obszerny plac, cały zapełniony brudną sadzawką, potworną w swym brudzie i kale, gdy ją letnie upały wysuszać jeły.

Na prawo od karczmy droga, wzdłuż której liczne zabudowania gospodarskie, a na samym brzegu dwupiętrowa, przez rząd pruski wybudowana szkoła — może jedyny murowany budynek w Szymborzu stanowił zawsze szczególny mój podziw — trochę dalej schludnie słomą poszyta — chałupa? — nie to już coś w rodzaju dworku i siedziba nauczyciela szymborskiego, Dybały, alias Dybalskiego, który bardzo ważną rolę miał odegrać w życiu Kasprowicza.

Zabudowania wokół tej chałupy-dworku, stodoła, stajnia, chlew, a nawet niesłychane na owe czasy! króliczarnia — tworzyły z tej zagrody coś niezmiernie wzorowego: nie dziw też, że nauczyciel Dybała otrzymał na wystawie, jaką szlachta okoliczna kiedyś pod rok 1875 w Szymborzu urządziła, pierwszą nagrodę za chów belgijskich królików i niewidzianych dotąd na Kujawach gołębi.

Dybała-Dybalski był niezwykle człowiekiem. Jako prosty parobczak w Łojewie zwrócił na siebie uwagę mego ojca, prefekta słynnej na całą okolicę analfabetycznej „akademii łojewskiej“, bo ojciec mój byłby mógł być raczej ogrodnikiem i pszczelarzem, aniżeli nauczycielem — zdumiewała jednak mego ojca niesłuchanie rzutka inteligencja parobczaka, jego żywy, gorący umysł, rwący się do nauki. Pomędzy meim ojcem a młodym Dybałą zawiązał się serdeczny stosunek nauczyciela do niesłuchanie zdolnego i pojętnego ucznia — prawdopodobnie jedynego ucznia, którym ojciec mój na serjo się zajmował — i tak się stało, że po paru latach mógł młody Dybała wstąpić do seminarjum nauczycielskiego, a po kilku dalszych latach otrzymał p o s a d ę nauczyciela w Szymborzu — gospodarstwo zyskał sobie pewno ożenkiem — tego już nie wiem.

Z Dybałą, teraz już Dybalskim, istniała aż do śmierci Dybalskiego między rodzicami moimi, a jego rodziną serdeczna i zażyła przyjaźń. Trochę było kiepskawo z niemczyzną Dybalskiego, więc czasami, a nieraz i parę razy na tydzień, przybie-

gał z Szymborza do Łojewa, by się ojca mego poradzić, jak ten lub ów raport, podanie lub rekurs napisać.

Droga z Szymborza do Łojewa nie była daleka. Jeżeli się przeszło „rynek“ szymborski, a raczej okrążyło się tę niechlujną sadzawkę, ciągnęła się już droga wprost wśród domostw prostych „chałupników“; między nimi stała chałupa, a raczej mała zagroda ojca Jana, która od dziecka wzbudzała we mnie jakiś tajemniczy szacunek — mówiono mi, że jest przepelniona książkami i pismami; tajemnicę tę zdradził mi rówieśnik mój, Władek Dybalski. Potem skręcało się na lewo, szło się długo, długo przez Sikorowo, wieś zamieszkaną przez kolonistów niemieckich, sprowadzonych tam jeszcze przez Fryderyka Wielkiego — znamienne, że teraz już droga aż do samego Łojewa była obsadzona rozłożystymi, cienistymi wierzbami. Zwykle szło się do Łojewa przez tak zwane górkę — jakie pojęcie ma się w Kujawach o górach, najlepszy dowód, że wzniesienia dziesięciometrowe górami się zowią — a potem wzdłuż rowów torfowisk, nad zamulonym kanałem, po ścieżynach na trzęsawiskach, po których idąc nogi się zapadały, jak po najpyszniejszym, wschodnim kobiercu, poprzez belki, na których trzeba było ostrożnie balansować, by się nie zwalić w błotnistą topiel, aż już wreszcie ścieżynką przez ogromną łąkę, ciągnącą się nad Gopłem aż pod nasz dom.

Tym razem przybył Dybalski ani z żadnym raportem, ani podaniem — był mocno zaaferowany, a nowy kaszkiet zafarbował mu spotniałe czoło czarną pręgą.

— Przyszedłem do kolegi po poradę.

— Cóż takiego?

— Mam ucznia w mojej szkole o tak zdumiewających zdolnościach, że Bógby mnie skarał, gdybym tego nie rozgłosił, bo nie można pozwolić, by taka zdolność miała się zmarnować.

I wyciągnął z kieszeni parę rysunków.

Widzę to wszystko, jakby się dziś działo.

— Niech kolega tylko spojrzy: ten Żyd na tym obrazku, to ten, który co niedziela lata po wszystkich wsiach i wykrzykuje: skórki, skórki!

(Co niedziela pod jesień wybiegała z Inowrocławia chmara Żydków i skupywała po okolicznych wsiach skórki zajęcze.)

— Przecież w tej chwili go poznać — to Szmul Zadek!

— Istotnie! — potwierdził ojciec.

— Albo tu, — ten szmaciarz, który odważa gałgany na swojej złodziejskiej wadze!

— Ale to nietylko to — ciągnął Dybalski — ten smarkacz wiersze pisze — podał ojcu kartkę papieru — a pamięć ma, bestja, taką, że co raz przeczyta, to słowo w słowo napamięć wyrecytuje.

Ojciec głęboko się zamyślił.

— Tak! to rzeczywiście niepospolity talent! Trzeba tu coś poradzić — pomóc — szkoda, by się taki chłopak zmarnował.

Odsunął od siebie książkę, w którą przed chwilą się wczytywał — z jaką łapczywością chwyciłem ją po odejściu ojca: Kraszewskiego: „Poeta i Świat“ — „Trzeba pomóc...“ a po chwili:

— Wie kolega co — właśnie wrócił Józef Kościelski z Egiptu, czy też z Jerozolimy, słyszałem, że krok w krok idzie śladami Słowackiego, pełen jest szczytnych ideałów, trzeba mu to wszystko pokazać, z nim pogadać — odstrychnął się całkiem od okolicznej szlachty, uważają go tu za całkiem czerwonego...

To jedno jeszcze pamiętam, że poszli do starego gospodarza Słabeckiego z prośbą o furmankę i tego samego wieczoru ruszyli do Józefa Kościelskiego, który rezydował w bardzo pięknym pałacyku nad Gopłem — w Szarleju, ongiś warownym zamku, który Władysław Biały, książę „Szarlejko“ zdobywał — (Józef Kościelski napisał dramat o tym księciu Szarlejko pod tytułem „Władysław Biały“), a który Szwedzi podczas najazdu Wielkopolski doszczętnie zburzyli. — Stał on naprzeciw ogromnego kopca na przeciwnej stronie Gopła, usypanego przez Szwedów, z którego Szwedzi Kruszwicę ostrzeliwali; kopiec ten po dziś dzień istnieje, a zaiste jest godzien, by społeczeństwo polskie gorąco się nim zajęło.

Kopiec ten, dorównywiający wysokością kopcowi Kościuszki, jest otoczony wysokim obronnym wałem, oddzielonym od kopca samego głęboką fosą. W przesądnych wierzeniach okolicznego ludu odgrywa on niezmiernie ważną rolę, a wątpię, czy kiedy znalazł się taki śmiałek, któryby nocą nań wejść się odważył.

Natomiast widziano częstokroć okolicznych obywateli niemieckich, którzy przeważnie byli masonami — piękną lożę murowaną w kształcie wieży mają stąd niedaleko we wsi Tupadły — zamienionych w ogromne czarne psy z jarzącymi się ślepiami, grzebiących za ukrytymi w tym kopcu skarbami.

Stary torfiarz Piernik opowiadał mi, że raz takiego psamasona ubił poświęconym trojakiem, a jak podszedł bliżej, ujrzał, że z psa została tylko kupka smoły.

Jakim skutkiem wizyta mego ojca i Dybalskiego u Kościelskiego uwieńczoną została — nie wiem. Wiem tylko jedno, że młody Jan strasznie się przemęczał w gimnazjum inowrocławskim, do którego oddany został. Och! jaką żólcia musiał być zaprawiony jego tam pobyt od najrychlejszej młodości, ten tylko zrozumieć jest w stanie, kto znał ówczesne stosunki w Poznaniu.

Miedzy panem a chłopem, dworem a chłopską chałupą, zionęła ta sama przepaść, co ongi za czasów Sasa.

Do gimnazjum mogła tylko szlachta swe dzieci posyłać: chłopskie dziecko w gimnazjum było tak niesłychanem, nieprawdopodobnem zjawiskiem, że wszystkie szlachciątka oglądały takiego raroga z tą samą pogardą, z takim lekceważeniem, w jakim je od dziecka troskliwie chowano: cham nie był człowiekiem.

Sam byłem świadkiem, jak głupi czternastoletni smarkacz w obecności swego ojca, właściciela obszernych dóbr — „posiedzicielem“ nazywa się taki pan w byłej dzielnicy pruskiej — uderzył starego stangreta kilkakrotnie w twarz, bo przyprzągł konie trochę za luźno.

Uśmiech zadowolenia i dumy wykwitł na ustach jaśnie wielmożnego pana na ten rycerski czyn swego spadkobiercy.

I raz jeden zdobyłem się na agresywny czyn: wyciąłem jednemu synowi szlacheckiemu policzek, bo głośno wykrzykiwał, że trzebaby podwyższyć o tysiąc procent szkolną opłatę w gimnazjum, aby temu chamstwu zagrozić drogę do wyższych studiów — ono to „zasmradza“ coraz więcej wyższe uczelnie — przecież niesposób z tą hordą na jednej ławie siedzieć!

Chłopskie dziecko po on czas w gimnazjum! Chryste Panie! Dziś stosunki się zmieniły, ale wówczas, 1870 roku, w Poz-

nańskim, kiedy Kasprowicz był całkiem nieprawdopodobnym zjawiskiem wśród całej tej kpiącej, wzgardliwej, szydzącej, dokuczliwej zgrai płytkich, wystrojonych i wymuskanych pannyków — pobyt dziecka chłopskiego wśród nich musiał być ciężką męką, i przebolesnem martyrijum!

Dzieje takiego dziecka wśród tego wrogiego, bezlitośnie okrutnego otoczenia stokroć razy tragiczniejsze, aniżeli najwięcej tragiczny los dorosłego człowieka.

Jaka olbrzymia siła musiała tkwić w małym Kasprowiczu, jaka hara da duma, jakie wciąż pragnienie obrony swej godności, jeżeli zdołał uratować swą duszę od ostatecznego spaczenia i ani na chwilę nienawiść nie obciążyła w jego duszy słońca miłości ciężkim, czarnym kirem. Już wtedy musiała bić od niego wielka moc, bo już po paru latach zyskał sobie tę umysłową przewagę nad swoimi rówieśnikami, która i najzacieklejszych wrogów chamstwa ku niemu zniewalała.

Po Kujawach, oczywiście na tym inowrocławskim odcinku, krążyły tajemnicze wieści o młodym poecie, który ponoć już w Warszawie drukuje swoje wiersze. Koledzy Kasprowicza przyjeżdżali na wakacje i rozsiewali dziwne gadki: jeden widział cały duży zeszyt, opiewający piękność Gopla, inny zaś początek jakiegoś dramatu, tamten znowu czytał bardzo pochlebną odpowiedź jakiejś redakcji warszawskiego pisma — dość, że Kasprowicz był na Kujawach już popularnym, kiedy nie przekroczył 18-ego roku życia. A właśnie wtedy sposobiły się Kujawy do uroczystego obchodu pięćdziesięcioletniego jubileuszu pracy Kraszewskiego.

W tym samym czasie, kiedy ja, w najgłębszej tajemnicy przed rodzicami mozoiliłem się, by w uroczystym wierszu wyrazić Kraszewskiemu mój nabożny hołd, wierszem, z którego tyle tylko jeszcze pamiętam:

„Choć dziesięcioletni chłopczyka

Wykształcenia nie ma...”

wędrował młody, osiemnastoletni Kasprowicz od jednej wsi do drugiej, i wypożyczał u okolicznych gospodarzy i okolicznej szlachty konie wierzchowe.

W dniu uroczystości wjeżdżał na czele może dwudziestu dorodnych parobczaków na koniach, w kujawskim stroju chłop-

skim Jan Kasprowicz do Kruszwicy, gdzie na wzgórku, kędy sterczy „Mysza Wieża“, cała uroczystość się odbyła.

Pomysł tej symbolicznej banderji chłopskiej był wówczas niesłychanie śmiałym protestem przeciw uroszczeniom szlachty, która niechętnie dopuszczała do obchodów mieszczaństwo, a tem mniej chłopów.

Jak pruski dyrektor gimnazjum w Inowrocławiu zareagował na tę manifestacyjną eskapadę Kasprowicza, nie wiem, może nie dowiedział się o niej, a może wiedzieć nie chciał — mój hołd, złożony Kraszewskiemu, zwał nagle na katedrę mego ojca list z Drezna, adresowany do Stanisława Przybyszewskiego.

Można sobie wyobrazić niesłychane zdumienie mego ojca. Widzę go jeszcze siedzącego na katedrze i przeszywającego mnie surowym wzrokiem — jak ten smarkacz ośmielił się coś bez jego wiedzy zrobić?

Przeczuwałem coś złego, ale widziałem, jak w trakcie czytania twarz ojca łagodniała, a nawet się uśmiechał. Nie dziw!

Własnoręczny list Kraszewskiego, w którym pisze, jak nieskończenie mu drogie te życzenia dziecka, jak gorąco prosi, by niebiosy wszystkie łaski zlały na moją „główkę“ — więc tym razem ominęła mnie kara, bo bez woli i wiedzy ojca nie wolno było nic robić.

III.

Gopło w ciągu ubiegłego wieku znacznie opadło wskutek pogłębienia koryta Noteci, osuszenia moczarów i wycięcia lasów. Miejsce, skąd się cofnęło, znaczyły wysokie parowy, gdzie pozasadzano srebrne topole, które po upływie kilkudziesięciu lat rozrosły się w królewskie drzewa.

Tam wybiegałem latem w największy popołudniowy skwar i upał, kładłem się w cieniu topoli, wsłuchiwałem się w pobrzęk srebrnych liści, potrząsanych leciuteńkim wietrzykiem, wpatrywałem się w wysokie lany trzciny, sitowia i tataraku, wśród których gnieździło się mnóstwo kuligów. W poszum tych jeziornych traw wpłytywałem wszystkie melodje, jakie matka na fortepianie wygrywała, patrzyłem, jak słońce mirjadem diamentowych szpileczek lechtało w psotnej igraszcze ciemne łono Gopła — słuchałem, aż wszystkie rozhowory topoli, ostre głosy kuligów, brzęki chrząszczów, poszumy łanów trzciny i kęp sitowia zlały się w jeden falisty ton, wznoszący się i opadający w bezustannych nawrotach i powrotach na „kseb“ i na „ocib“; patrzyłem, aż oczy mi śleply od żarzącego się blasku, a gdy je zamknąłem, kołowały pod powiekami delikatne koła w szybkim, tęczobarwnym obiegu, a w duszy dziecka rodziła się bolesna, niepokojem i lękiem trawiąca tęsknota, nie znająca ani przyczyn, ani powodów, bez żadnych pragnień i celów; tęsknota za niczem i za wszystkim; tęsknota sama w sobie — najfatalniejsza z wszystkich tęsknot, bo z niej się rodzi ten ponury, beznadziejny fatalizm życiowy kornego poddania się losowi, jakiby on tam był, ubezwładnienia rąk wobec każdej przeszkody i nieprzeciwiania się złemu.

Błogosławiona tęsknota, co w bolesnem napięciu rozwarła swoje skrzydła od jednego krańca do drugiego i rwie się, by

bohaterskim szturmem niebiosą zdobywać, błogosławiona i ta, która, z tysiąca ran brocząc, jednak, choćby z połamanymi skrzydłami, u progu upragnionego celu się rozłoży — coś z tego, że w tej samej chwili skona? błogosławiona i ta, która w pijanym szale tacza się z jednej stacji kalwaryjnej do drugiej z obłąkaną wiarą, że gdzieś, kiedyś dokonaną zostanie, ale ta tęsknota, która niczego się nie czepia, nie patrzy ani wstecz, ani w przyszłość, bo nic za nią i nic przed nią, to najboleśniejsza z wszystkich tęsknot.

O, znał ci ją doskonale Szopen. Jego preludjum *Fis-moll* (Op. 28 Nr. 8) pod koniec — pięć czy sześć taktów z jednym *cis* — to: *cis, cis, cis*, więcej opowiada o tej tęsknocie, aniżeli bym był w stanie choćby i na kilku stronicach ją zanalizować. I jeszcze jedno *cis*, ale tym razem z towarzyszącym mu cichym chęłchaniem zamarłego w krtani płaczu: *dis, dis, fis, dis* i znowu *cis, cis* bez końca — o Jezu, Jezu!

Jeden kwiat sobie ukochałem: dziewannę!

Wśród pustynnego ugoru nad Gopłem, wśród tej rozpaczliwej *cis*-pustyni, nagły, cichy szloch ziemi: dziewanna: *dis, dis, fis, dis*!

W duszy dziecka przetworzyło się to wszystko na tę bezdenną tęsknotę, łkającą cichym zdławionym płaczem, który gwałtem się z krtani wyrывa, ale w tejże samej chwili milknie, zduszony zalęknionym wstydem.

A z wszelkich dali i pociąży ustawicznie, wciąż ten sam manjacki refren:

„*Blade kłosy na rozłogu,
Jak sieroty twarz...*”

Po on czas już nieźle grałem na fortepianie.

Jeżeli mówię o fortepianie, to trzeba sobie wyobrazić coś w rodzaju bardzo lichego mozartowskiego szpinetu. Cieniuteńkie tony, a raczej brzdęki — coś w rodzaju harfy, a nadomiar bardzo kiepskiej, wiecznie rozstrojonej: jedyna pućcizna mej matki po zmarłym dziadku. Wiecznie łamały się młoteczki, osadzone na gęsich piórkach; struny, ze starości zardzewiały, chrypiły bezustannym katarą, a ponieważ niejednej brakło, więc głuchy, suchotniczy kaszel przerywał wszelką melodię częstym: „*Memento mori!*”

Matka z miłością uczyła chciwego muzyki syna, a jedyne popołudnia niedzielne, których nie zabijała śmiertelna nuda, to te, w których wszyscy z domu się porozchodzili, a ja z matką godzinami całami grałem na cztery ręce z nut, pisanych ręką mojego dziadka. Po on czas błąkał się po wszystkich dworkach jakiś jeden drukowany egzemplarz, który skrzętnie dziesiątki rąk przepisywało — drukowane nuty, jako bardzo drogie, były rzadkością.

„Moje dziecko“, powiedziała mi raz moja matka: „jakabym była szczęśliwa, gdybyś został muzykiem!“

Te słowa opadły ciężkim kamieniem na dno duszy dziecka i już mu nie miały dać spokoju. — Ale to nie było żadnym jakimś celem, raczej jakimś ciężkiem przerażeniem — słyszałem przecież, że muzycy dają koncerty na publicznych salach — mnóstwo ludzi przychodzi, by ich gry posłuchać, a myśl o tem, żeby mnie mogło mnóstwo ludzi słuchać, tak mnie paraliżowało, że tchu załapać nie mogłem.

Natomiast myśl, że mógłbym zostać muzykiem, tak dla siebie, już mnie nie opuszczała.

I zdarzyło się, że jakoś w lipcu przypadł odpust w Markowicach, po drugiej stronie Gopła. Kiedyś bogaty klasztor, który zamieszkiwało zgromadzenie o. o. kapucynów, jeśli się nie mylę. Prusacy zakon rozpędzili, przemienili go na szkołę i mieszkanie dla proboszcza, kapelana, organisty i nauczyciela — jeden tylko splendor klasztoru pozostał nietknięty: jego słynny odpust. Na odpust ten zjeżdżała się cała okolica z tej i z tamtej strony Gopła: z dwudziestu parafij zjeżdżali się księża — prócz w Kruszwicy na św. Piotra i Pawła nie było nigdzie w okolicy tak uroczystego odpustu, jak w Markowicach — czy nie na św. Anny?

Ojciec powiózł mnie na ten odpust, bo był on równocześnie zjazdem wszystkich okolicznych nauczycieli wiejskich, nie powiózł mnie jednak do Markowic, ale do znajomego kolegi, który mieszkał po drodze w Żernikach, i tam kazał mi na siebie czekać.

Czekałem jakiś czas, wyszedłem potem na drogę, zboczyłem do jakiegoś parku, (Żerniki, były ongiś rezydencją generała Kołaczkowskiego), błądziłem po nim tam i sam — nagle posłyszałem dźwięki fortepianu. Z bijącym sercem podeszedłem pod

okna pałacu, z którego gorącą, płomienistą falą lała się ku mnie jakaś niesłychana muzyka.

Tylem odwrócona do okna, sięgającego do samej ziemi, siedziała jakaś piękna pani z rozpuszczonym włosiem, przy fortepianie — Chryste Panie! co to był za niesłychany fortepian! Grzmiał, wył, ryczał, dzwonił, jak na Anioł Pański, śpiewał i kwilił — Jezus Marja! Jabym nie był śmiać palcem w taki klawisz uderzyć! A piękne ręce tej „anielskiej“ pani przebiegały całą klawiaturę z jednego końca na drugi z taką chyżością, żem poszczególnych palców nie widział, a ręce te latały, jak oszalałe, wyskakiwały w górę, to znów spadały na klawisze, przerzucały się jedna przez drugą, to znowu łączyły w grzmiących akordach na jednym miejscu, to znowu grzmiała lewa ręka w basie, a prawa wyciągała niesłychanie długi tryl, a tak szybcieńko, że nawet ruchu nie było widać...

Pani wstała od fortepianu i znikła, a biedny dzieciak wpadł, zataczając się, w zarośla parku.

Teraz dopiero zrozumiał, co to znaczy grać, umieć grać, i ciężki smutek zwałił się gorszym jeszcze młyńskim kamieniem na jego serce.

A ten młyński kamień nie był dla niego frazesem, podziwiał go już nieraz u młynarza w Łojewie, kiedy rozmyślał nad słowami Pana, że temu, który zgorszy jednego z małuczkich, należałoby kamień młyński przywiązać u szyi.

U szyi? Pół biedy — ale on spadł mu na serce i tak go do ziemi przytłoczył, że ruszyć się nie mógł.

— Cóż tak, Stasiu, osowiałeś? — pytała matka po powrocie moim do domu.

— Nic, mamu, tylko głowa mnie boli.

— Połóż się spać.

Ale Staś nie spał — a dla matki były wysoce niepokojące te bezsenne noce dziecka — ale tym razem nie zdradził się, że nie śpi: modlił się żarliwie do patronki muzyki, św. Cecylii, której obraz wisiał nad fortepianem, by mu wyjednała dar muzyki u pana Boga, aby cud się ziścił i mógł grać tak, jak ta piękna pani z rozwianymi włosami. — Nad ranem usnął snem gorączkowym, a po południu schował się w stodole i wyciągnięty

na sianie jął pisać żarliwą litanję do św. Cecylji, a w Antyfonie zaklinał ją, by prośbę jego spełnić raczyła.

A znał doskonale z „Żywotów świętych“ życie św. Cecylji.

Był to mój pierwszy utwór, pisany z niezłomną wiarą, że cud się stanie, i już wkrótce będę tak grał, jak ta piękna pani w Żernikach.

Ale napróżno wyczekiwałem cudu. Natomiast znalazła matka moją litanję — ja nigdy nic ukryć nie umiałem — i poszła z nią do księdza proboszcza — tak wyraźnie żyjącego w mej pamięci, księdza Kompfa.

— Dziecko przedwcześnie dojrzałe — powiedziała — zdaje się, że mógłby zostać przyjęty do pierwszej komunji — katechizmowo już jest przeze mnie przysposobiony.

Ksiądz Kumpf raz jeszcze przeczytał Antyfonę.

— Skończył już dziesięć lat?

— Teraz ma dziesięć i pół.

— Tak, to rzeczywiście wyjątkowo rozwinięte dziecko — niech jutro przyjdzie do spowiedzi — pojutrze razem z przygotowanymi dziećmi do komunji.

Pierwszy i ostatni raz, że jakiś mój twór tak po królewsku wynagrodzony został.

IV.

Zdawałoby się, że piszę wciąż o sobie.

Gdzież tam! Ten mały Stasio jest mi może więcej jeszcze obcym, aniżeli tym, którzy te legendę-prawdę czytają.

Patrzę na niego z ciekawością, z zimną ciekawością anatomiczną przy stole sekcyjnym, zajętego jakąś trepanacją czaszki, by może znaleźć „tumor”, który tam się gdzieś w mózgu usadowił!

Jakie dowcipy może wyłonić podobne porównanie!

Otóż od najrychlejszych lat poszukuję tego „tumoru”, a jest nim moje „ja”.

Przecież w tej mojej osobowości, ochrzczonej mojem imieniem i nazwiskiem, nie mieści się moje istotne „ja”.

To, czem żyję, co mi zupełnie wystarcza, by zetknąć się w mniej lub więcej rozkosznym kontakcie z mojem „zewnątrz” odczuwać z jego strony mniej lub więcej przykrą reakcję, odbierać ciosy, które umiem parować, lub też pod ich razami bezwładnie upadam: to wszystko, co nazywamy „identycznością” naszego „ja” wśród wszelkich przemian, powstawań i zaników, to tylko wrażenia, w ciągu mojego życia zdobyte, a które się w pamięci w tym samym porządku uprzytomniają, w jakim „successive” do mego mózgu napływały.

Ale to tylko krystaliczna powierzchnia łupku, pod którą wre i kipi domniemywane ogniste jądro ziemi.

Poza krajobrazem, jaki moim mózgiem widzę, poprzecinanych szynami, odrutowanym przewodami telegraficznymi, ohydnie zeszpeconym tem wszystkim, co naszą „cywilizacją” zowieśmy, spoczywa w głębi mej duszy przedpotopowa, zda się, już zamarła dżungla siluryczna z skamieniałą, dla mego mózgu niepojętą roślinnością, dżungla, w której potworne sigilarje, stigmarje i paprocie w niebo wyrastają.

Poza mojem osobistem „kulturalnem“ i „ucywilizowanym“ „ja“, ciasnym obrębem moich osobistych doświadczeń, tkwi we mnie człowiek-zwierzę z zaledwie co przebudzonym mózgiem, który nie umiał jeszcze rozróżniać przyczyny od skutków i na wszystko z zewnątrz reagował z niesłychaną eksplozywną siłą — tkwi we mnie jaskiniowiec, w którego mózgu sensorywne i motoryczne zwoje stanowią jeden jedyny przewód, niepoprzerwany jeszcze międzystacyjnemi przeszkodami, któreby mogły odebrane wrażenia powstrzymać od natychmiastowego motorycznego wyładowania.

Bóg wie, jakie cuda i czary odbywają się tam poza opłótkami mego maluskiego osobowego „ja“, tego malusieńkiego nieba albo też piekielka.

A straszne, gdy w tę maleńką zagrodę poczyną się wdzierać jakiś przedpotopowy mastodont, zda się, już dawno zamarłego, a wiecznie żywego Devonu.

I biedne i śmieszne to moje osobowe „ja“, gdy stanie wobec zalewu przedbytowych, a wiekuistych wrażeń, które całą pełnię mego życia ogarniają!

Przecież ja żyję tylko małym skrawkiem mej duszy, mego istotnego „ja“, żyję ochłapami, jakie mi do mózgu dusza wrzucić raczy — widzę tylko tyle, ile mi dusza widzieć pozwala i to w świetle paru biednych lampek, mimo, że wiem, iż istnieje we mnie olbrzymie słońce światła — słyszę tylko tyle, ile mój mizerny organ Cortiego słyszeć mi pozwala, a przecież wiem, że tam, poza mojem osobowem „ja“ szaleje i przelewa się muzyka, z której zaledwie jakiś mały tonik wyłowić jestem w stanie.

Biedne i śmieszne, bezradne i bezsilne moje „ja“ wobec predestynacji życia, według której w praiłach odrobinki protoplazmy już na najodleglejszą przyszłość całemu życiu granice i cele wyznaczone zostały — biedne, stokroć razy biedne moje „ja“, to mizerne „*tout de coalition*“ i to „*coalition*“ ubożuchnych moich wrażeń, gdy stanie nagle wobec zjawisk, z których nawet najniepozorniejszego nie jest w stanie na wędkę swego rozumu z ciemnej toni wyłowić.

Moje „ja“, przemęczone „sumieniem“, „obowiązkami“, „społeczeństwem“ i przerażającym mnóstwem tysiącznych paragrafów praw życiowych, udręczone „ja“, to tylko wążutka

furtka do jakiejs niesłychanej dżungli, pełnej strasznych niebezpieczeństw, szkodliwych i niszczących miazmatów, pełnej przepastnych bagien i zdradzieckich moczarów: dżungli splątanej w nieprzebyty gąszcz potwornem węzowiskiem ljanów: niesłychanego dla mego mózgu chaosu, w którym życie padliną się żywi, obojętne na „mordu i chwał meteory“ i naodwrot z najohydniejszej padliny bujnie i wspaniale wykwita.

Otóż:

Jeżeli odwracam wstecz kartki mego życia, to jedynie z zaciekle pragnieniem, by się przedrzeć przez ciasną furtkę tej małuśkiej zagrody, jaką moje osobowe „ja“ stanowi, i wdrzeć się w olbrzymie królestwo mego istotnego „ja“, tej rzeczywistej duszy, boskiej funkcji, która posługuje się tak niedołącznym organem, jakim jest mózg ludzki.

W każdym mojem przeżyciu, a przeważnie w największej błahem — dopatruję się tego okienka, które potrzebowałbym tylko na jedną sekundę uchylić, by buchnął do mego więzienia olbrzymi snop oślepiającego światła, w którymby ujrzał ukryte związki, które wypełniłoby te przepastne luki, jakie istnieją pomiędzy moją „mózgową“ przyczyną, a „skutkiem“ i pozwoliło mi życie widzieć, jako czystą prawdę.

W każdym mojem przeżyciu zda się tkwić żywe i gorące wspomnienie jakiegoś innego bytu, przeświadczenie jakiejś tajemniczej, niepojętej mocy, dla której żadne analogje w tem życiu nie istnieją.

Toć i w każdym człowieku rodzą się pytania, na które żaden rozum odpowiedzi dać nie może, i niemal każdym targa bolesna tęsknota — ta kolebka i grób bytu ludzkiego — by chociaż na jedną chwilę odsłonić rąbek kotary, jaka byt zmysłowy od pozazmysłowego oddziela.

Ale w miarę, jak człowiek się wysila rozwiązać zagadki, jakie mózg jego szarpią, coraz wyraźniej uświadamia sobie, że jest więźniem.

Wie nieomylnie, przecuciową wie wiarą, że poza tem więzieniem swoich zmysłów — katowskich stróżów, nie pozwalających mu się na wolność wydobyć — istnieje jakaś bezbrzeżna, niewysłowiona piękność, ale napróżno szarpie żelaznemi kratami więzienia, by się z pod panowania zmysłów

wyłamać, dostać się w to, wiekuistem Pięknem kwitnące państwo, które było przecież raz już jego własnością, a które utracił przez „grzech pierworodny“, jak poucza Kościół — och! jak przepastnie głęboka jest ta koncepcja grzechu pierworodnego! — przez pychę i bunt, by się z Bogiem zrównać.

A jednak bywają chwile, w których dla poszczególniej, specjalną łaską Boga nawiedzonej j e d n o s t k i rozstępują się więzienne mury zmysłów, a człowiek-twórca — bo takim mianem obdarzamy tę błogosławioną jednostkę — wybiega na świetlistą rajską polanę swego pierwotnego państwa i na nowo raj utracony w posiadanie bierze.

I w tej świętej chwili — natchnieniem ją nazywamy — staje się człowiek głuchym i ślepym na wszelakie „zewnątrz“, nie dochodzi go już gwar, kłótnia, rozterka, śmiech i gniew ulicy i żadne ziemskie światło nie mąci tej nadziemskiej „słoneczności“, o której Słowacki tak często mówi.

Człowiek-twórca wsłuchuje się w siebie: formy i kształty tego światła rozsypują się w chaotycznym rozbryzgu: on z niego nowe związki tworzy i nowe światy, przesycone blaskiem i rozzagwione zarzewiem innych słońc, jakie tu na ziemi grzesznym i sprawiedliwym przyświecają. W człowieku-twórcy budzą się do życia nigdy niewidziane obrazy, wyłaniają się z ciemnych mroków rajske jakieś lądy, wszelakie rzeczy, wyzwolone z pod dozoru mózgu, kojarzą się w całkiem inne związki: dźwięk żeńi się z barwą, woń wywołuje poznanie, dotyk świetliste wizje: wszystko naokół zdaje się innym prawom podlegać, jak tym, któremi mózg okleszczał zmysły, bo teraz wszystkie przenikają się wzajemnie; człowiek dociera do owej tajemniczej głębi, w której różnorodność absolutną Jednią się staje, aż wreszcie nadchodzi apogeum tej chwili, w której rozum-mózg staje się bezsilnym, niemym widzem i przypatruje się w uroczystem skupieniu i zdumieniu niepojętej jakiejś tajemniczej pracy, która się w przepastnych głębiach duszy ludzkiej odbywa.

Tak przeżyłem twórczo — teraz już chyba wyjaśniłem, co nazywam twórczem przeżyciem — przeżyłem:

Morze!

Pamiętam:

Miałem lat szesnaście — wysiadłem na jakiejś małej stacyjce — i posłyszałem daleki szum morza. Ledwom wysiadł z wagonu, skierowałem się w stronę, którą mi wskazano, przez gęsty, ciemny las.

Nie wiem, jak długo siedłem, aleć coraz bliżej i bliżej słyszałem wiekuiastą muzykę morza, przyśpieszyłem kroku, potem bieć począłem, a wkońcu nieprzytomnie pędzić, aż wreszcie padłem bez tchu, rażony straszliwą pięknnością nad wszelkie piękności: wspaniałą pięknnością rozhukanego morza, szalejącego w rozpacznej orgji tęsknoty, by ten marny ląd, siedlisko brudu, nędzy i zbrodni w swą czelustną głąb spłókać.

Wtedy to zawarłem śluby z morzem, a niemniej pozostałem wierny memu Gopłu, ongiś „polskiem morzem“ zwanemu. Przecież to Gopło musiało się kiedyś, jak świadczą wszystkie bachorze i moczary, na parę mil szerokości rozlewać.

Wprawdzie nie da się ten biedny Bałtyk, kopciuszek wśród mórz, ani w przybliżeniu porównać z Morzem Północnem, nie mówiąc już o Oceanie, ale jemu zawdzięczam właśnie tę wielką chwilę, w której z przerażającą jasnością poznałem w sobie twórcę.

Kiedym dziesięć lat później pisał „Nad morzem“ — o ile bogatszem wydaje mi się twórcze przeżycie od samego tworu — miałem ustawicznie Bałtyk przed oczyma, spotęgowany do ogromu strasznej, niewypowiedzianej mocy Oceanu.

Tak! tak! To była ona chwila, w której się Słowacki w Kordjanie modli:

„Niech grom we mnie wali!

Niech w tłumie myśli jakąś wielką myśl rozpali...

Boże, zdejm z mego serca jaskółczy niepokój.

Daj życiu duszę i cel duszy wyprorokój!...”

Bóg wysłuchał Słowackiego: zdjął z jego serca jaskółczy niepokój, a otóż ujrzał kopułę niby niebios całych ogniem napełnioną. Duch łaski nawiedził go swoją bezmierną światłością, w której odsłonił mu się początek świata i jego koniec, i danem mu było rozwiązać w „Genezis z Ducha“ odwieczne zagadnienie: czem byliśmy, czem się staliśmy, gdzieśmy byli i dokąd dążymy, czem są narodziny, czem powtórne przyjście na świat, czem życie, a czem śmierć.

We mnie przeciwnie stał się od tej chwili „jaskółczy niepokój” wściekłą szarpaniną w klatce więzionego sokoła: rozlewna, cicha, rozżalona i rozmodlona tęsknota jęła nabierać ostrych, namiętnych, w dzikiej niemocy targających się kształtów: w duszy chłopaka począł się po on czas rodzić hardy, zaciekły bunt, a z zdanego na wyroki boskie kwilenia — bolesny zgrzyt i krzyk.

Ten mój „Krzyk”, który miał powstać trzydzieści lat później, ja go już wtedy usłyszałem!

V.

W dwunastym roku mego życia oddał mnie ojciec mój do niemieckiego gimnazjum w Toruniu.

Niewesołe były to czasy dla młodego chłopaka, który za ledwie kiepsko język niemiecki rozumiał, a w klasie, liczącej około 60 uczniów, było, prócz mnie, 3-ch tylko Polaków, to też bezustannie byłem narażony na pośmiewisko i złośliwe kpiny moich współuczniów Niemców, którzy zanosili się od śmiechu, wraz z gospodarzem klasy, profesorem, nad moją wymową niemieckiego języka, przedrzeźniali mnie w ten złośliwy i okrutny sposób, jakim rozporządza tylko z natury złośliwy i do okrucieństwa zdolny dzieciak: nazwisko moje łamało im języki, to też przekręcano je, skracano, wywracano na ręby, aż wreszcie zostało jakieś „Sibi” i to „Sibi” wyrzuciło mnie za obręb synów bogatych mieszczan, oficerów, bankierów, profesorów, wyższych urzędników — gimnazjum w Toruniu zdawało się być przeznaczone li tylko dla arystokracji wszelakiego stanu.

Ale to błogosławione „Sibi” zrobiło, żem istotnie począł żyć tylko w sobie i dla siebie: „*sibi*”.

Zdawałoby się, że to głupi jakiś, nic nieznaczący przypadek!

Och nie!

Nie uznaję żadnych przypadków, a już całkiem nie widzę ich w mojem życiu.

Przecież to nie przypadek, żem się właśnie tam urodził: tam, a nigdzie indziej urodzić się nie mogłem — nie przypadek, żem to nazwisko otrzymał, które noszę. Byłem zawsze i wszędzie przybyszem, a przeważnie uważano mnie za rodzaj intruza, który wdarł się, Bóg wie, jakim prawem nietylko w obręb

społeczeństwa, ale — o zgrozo! — w ojczystą literaturę! Gdziekolwiek w życiu się znalazłem, czy zagranicą, czy u „swoich“, wszędzie byłem „przybyszem“.

A nawet imię „moje“ nie jest przypadkowem, aż nadto stało tej „sławy“, a raczej osławienia, bo „przybysze“ wzbudzają li tylko ciekawość i właśnie naokół nich snują się najrozmaitsze legendy i to doprawdy nienajpochlebniejsze, wiążą się z nimi domysły najfatalniejsze i niebardzo dla nich korzystne, to też nie dziw, że w średniowiecznych procesach o czary często gęsto wędrował na sromotny stos taki bliżej nieznan, a więc niesamowity „przybysz“ — taki sobie „*certain*“, „włóczęga“, „powsinoga“, „łapserdak“, a nawet „zakala“ społeczeństwa.

Nie piszę tego w jakimś rozżaleniu — niech ręka boska broni — ja pragnę tylko wykazać, jak nic nie jest w życiu człowieka przypadkowem — przeciwnie: symbolicznem określeniem drogi, jaką ma w życiu kroczyć.

W mojej wsi rodzinnej istniała chłopska rodzina o nazwisku Kruk. I co powiedzieć na to: Kruk w Kruka był złodziejem, a co jeden to gorszy. Inna rodzina zwała się Musiał. Musiał na każde pytanie, dlaczego to lub owo zrobił, odpowiadał kategorycznie: bo „musiałem“. Rodzina „Wydrów“ odznaczała się tem, że sześćioletni Wydra przepływał Gopło jednym tchem tam i zpowrotem, a nasza służąca Sroka nie mogła spojrzeć na coś łśniącego, by nie odczuwać silnych „ciągotek“.

I ten mój śmieszny przydomek „Sibi“ — tak sobie język niemiecki przystosował kawałek mego nazwiska: „Przyby“ — był niejako symbolem dla wytyczni mego przeznaczenia.

Chłopak tak niesłychanie wstydlivy i przeczulony, że krył się zawsze — nawet w domu rodzicielskim — w ostatnie kąty, by na niego uwagi nie zwrócono, stał się teraz już całkiem odludkiem i osamotnionym — począł żyć w sobie. Błądził po ponurych ulicach i zaułkach starego Torunia, a całe miasto przejmowało go drżącym, tajemniczym lękiem, a równocześnie przyciągało go nieprzepartym urokiem czegoś, co już przecież gdzieś, kiedyś musiał widzieć — błąkał się samotny wzdłuż brzegów Wisły, hen, daleko poza most żelazny, gdzie stromo nad rzeką pobudowało się robotnicze, wielce okrzyczane przedmieście: Winnica — to znowu wystawał godzinami całami

na moście i patrzył wdół, na tratwy flisaków, które Wisłę jak daleko okiem sięgnąć, całkowicie zapełniały — a co za rozkosz było siedzieć nad brzegiem Wisły i słuchać muzyki flisaków, kiedy już wieczór zapadał, a na każdej tratwie pozapalano ogniska! Jakie cudowne poematy możnaby z tego wysnuć!

Między Wisłą, oblewającą Toruń, a jej starem korytem, zwanem „leniwą Wisłą“, utworzyła się wyspa „Majdany“ — nazwa ta może być dla historyka ciekawą wskazówką, czem ta wyspa kiedyś była w średniowieczu — prawdopodobnie wielkiem targowiskiem, na które kupcy ze Wschodu zjeżdżali — w moich czasach królowały na nich potężne, rozłożyste dęby, ogromne buki, jesiony, srebrne olchy, płaczące wierzb, czarne wiąz, o poczwarnie powyginanych, szerokich ramionach, a całość tworzyła jakiś niewysłowienie piękny, bo nie ludzką ręką stworzony, park. Wśród drzew, które Wisła częstokroć prawie pod konary zalewała, rosły olbrzymie paprocie, skrzypy, przenajrozmaitsze zielsko, a tak ogromnie wybujałe, że mi po głowę wówczas sterczało.

Z jednej i drugiej strony ciągnęły się zbitym gąszczem, nieprzerwalnym murem splecione kępy wikliny, tu i ówdzie poprzerywane głęboko nad wodą pochyłoniemi, zgrzybiałymi i spróchniałymi pniami wierzb i topoli nadwiślańskich.

Można było błędzić swobodnie w tych zapadłych uroczyskach, a godzinami żywej duszy się nie spotkało, tylko w oddali przęgłuszony łoskot pociągów, przeciągły gwizd lokomotyw i stłumiony hałas i nawoływania robotników, ładujących wozy towarowe.

Tam mi dobrze było, tam roiła moja dusza dziwaczne sny i majaki — dziś zdumiony jestem, co się wtedy przez duszę dziecka przewalało — tu doznawałem trwożnego a uroczystego dreszczu pobliża potężnej natury — można sobie wyobrazić trwogę i zdumienie dziecka, które prócz małych zagajników i sadów z drzewami owocowymi w rodzinnej wsi nigdy lasu nie widziało, a cóż dopiero takiej dziewiczej prawie puszczy, jaką pyszniły się te moje Majdany!

Ale, co duszę moją najwięcej wstrząsało, to ustawiczne objawienia, jakich doznawałem, gdy mi się błakał po trzech

gotyckich kościołach — wszystkie z XIII wieku, wszystkie trzy nieporównanie piękne, przeczyste w ich dziewiczym majestacie!

Nie mogę o nich pisać, bobym musiał je opisywać, jak je teraz widzę, kiedy już zdołałem wnikać w tajemnicę ich architektury, w ich mgławiczną symbolikę, kiedy na nie patrzę okiem człowieka, który niemal wszystko widział, co gotyk pozostawił po sobie w Niemczech, Francji, Hiszpanji i Belgji — (zdumiewające, że te trzy kościoły, św. Jana, św. Jakóba i Panny Marji, wytrzymują wszelkie porównania) — nie mogę zatem nic więcej o nich powiedzieć, jak tylko to, co intuicją duszy dziecka-twórcy odczułem.

A uczucia tego nie mógłbym inaczej nazwać, jak natchnieniem, które ś w i a d o m i e parę lat później poznać miałem.

Intuicja!

„Czuciem“ nazywali ją nasi wielcy romantycy, głosem wewnętrznym — „daimonionem“ zwał Sokrates ten organ wyższego poznania, osiąganego w natchnieniu, które jest czystą i bezpośrednią emanacją złożonych w duszy ludzkiej wiekuistych prawd.

Intuicja wydaje mi się być pamięcią moich w bezustannych wcielaniach się przeżytych bytów przed tym moim bytem, pamięcią doznanych już kiedyś przeżyć duchowych, które, przebywając w głębiach nieświadomego, odnalazły w tem *mare tenebrarum* swoją naturę przedmyślową, to znaczy piękność architypów i z tą nową żywotną siłą wdzierają się w obręb świadomego. Intuicja budzi z wiekuistego snu na dnie duszy spoczywające, nagromadzone tam bezmierne skarby „idei“, które przeżywałem w innych bytach, i przez intuicję wyłaniają się one nagle w mojej świadomości, jako:

Objawienia!

Poprzez intuicję w natchnieniu otrzymałem objawienie najwyższej piękności w sztuce, a ponieważ „intuicja“ ta, to „czucie“ wiąże się z „uczuciem“, co płonie ogniem świętym gorejącego rozplamienia w twórczej e k s t a z i e, zrozumieć można, jakich wstrząsów doznawać musiała twórcza dusza dziecka.

Mówiłem na początku, że dusza moja bytowała ostatni raz ponoć wtedy, gdy już Gotyk doszedł do najwyższego rozkwitu.

Powiedzenie to wydawałoby się jakimś groteskowym absurdem, a przecież to wszystko, com w tych kościołach przeżywał, było istotnie przypomnieniem tego, com już kiedyś widział, może w większej wspaniałości — każdy szczegół, każda linja, kształt każdy w tych gotyckich budowlach był mi bardzo znany i zażyły — tylko trzeba dobrze zrozumieć: nie architektonicznie pojęty, ale symbol czegoś, czegom oczywiście wtedy zrozumieć nie mógł.

W chrześcijaństwie obudził się duch, pętany i obezwładniony przez potęgę materji w świecie pogańskim.

Budził się powoli, ospale, rozglądał się wokół, spozbrał na rozkwit przemysłu, handlu, tak zwanych sztuk pięknych, zachichotał cicho na widok tego wszystkiego, co ludzkość dumą najwyższą, swoją kulturą nazwała, a w której ostatnia iskierka z jego świętego praognia wygasła: teraz dźwiga się gniewnie, że to marne robactwo ludzkie tę chwilę, w której, niemocą zdjęty, wypocząć pragnął, tak marnie i głupio zużyło, zrywa się nagle przepotężny, oszalały i gdyby huragan rozkiełzanych ziemskich i niebieskich potęg zmiata z ziemi rozkoszne sioła i kwitnące miasta, w niwecz obraca wypieszczone przybytki użycia, kultury, wiedzy, w których przebywała do niedawna tak spokojnie w sadło porosła tłuszcza „zjadaczy chleba“, depce olbrzymią stopą święty znicz, w którym ludzkość fałszywym bogom ofiary składała, straszliwą pochodnią świętego ognia wznieca pożogę, która cały świat obejmuje, i pędzi przed się, rozszalały, burzy i niszczy, by kamień na kamieniu nie pozostał — pali i tratuje, by się nic nawet na załazek nie zostało z tej ohydnej „piękności“ materji i mści się w niepohamowanym szale, pędzi przez świat cały, i pali, i niszczy i wywraca, jako czynił to od początku świata i czynić będzie pod koniec jego, dopóki raz wreszcie miast czcicieli brzucha i zmysłów nie znajdzie ludzi, trwających w natchnionem uniesieniu i żarliwym nabożeństwie wokół ołtarzy, na których Znicz jego płonie.

A szesnaście wieków minęło, kiedy się poraz ostatni Duch w tej straszliwej potędze przebudził, kiedy w zapamiętałym szale niszczył Ateny i Rzym, i Aleksandrię, kiedy niszczył i palił, i z ziemią zrównywał najwspanialsze świątynie pogańskie, rozrąbywał i w pył kruszył to całe „piękno“, jakie pogańska potęga

materji wytworzyć zdołała. Ale nie miał dość sił tak doszczętnie wyniszczyć, by nic się nawet na załazek nie zostało — i to stało się jego w przyszłości najboleśniejszą tragedją.

Na razie niesłychane zwycięstwo:

Piękność duszy zatriumfowała w nigdy niebywalej potędze, w sztuce chrześcijańskiej, a boskiem kwieciami lotosu, w którym już niewypowiedziane Bóstwo spocząć miało, wytrysnął w niebo niepojęty cud Gotyku!

Duch był wówczas opętany wiarą. I mocą tej wiary miał prawo niszczyć doszczętnie tak zwaną piękność materji, jaka się w sztuce starożytnej przejawiała, bo ta piękność była dla Ducha obmierzlą, marną i plugawą brzydotą, potwornem zeszpece-niem jedynej piękności, w jakiej Duch się objawia, Duch, dla którego jedyną rzeczywistością jest nieogarnięty, niewypowiedziany Bóg Wszechświata i Idea Idei: Słowo, zaczem się ciałem stało.

A największym triumfem, jaki kiedykolwiek potęga Ducha w chrześcijaństwie nad potęgą materji w pogaństwie osiągnąć zdołała — to Gotyk!

Renesans — odrodzeniem?!

Śmieszne!

Raczej sromotnem cofnięciem się wstecz, zwycięstwem plugawej reakcji i sprośnego pogaństwa — potęgi zmysłów nad krótkiem panowaniem Ducha. Cały renesans, to jedna haniebna likwidacja wszystkiego tego, co wspaniała majestat Ducha i jego mocarstwo stworzyło — zwycięstwo pięciu zmysłów, lichutkich, biedniutkich pięciu zmysłów nad Objawieniem, dokonaniem królewską potęgą intuicji!

Ale dosyć już — przecież nie piszę historjozoficznych traktatów, ani nie mogę rozpatrywać dziejów Ducha, ani go śledzić na jego niepojętych, rozumem nieogarniętych drogach.

Oczywiście, że mózg chłopaka trzynastoletniego jeszcze w ten sposób nie rozumował, ani sobie jeszcze sprawy nie zdawał z różnicy piękna materji a Ducha — ale ekstatyczne wrażenia, wciąż i wciąż odbierane w tych trzech kościołach, stały się później podłożem dla całego mojego tworu.

Te wszystkie w moim tworze potworności, udręki, męczarnie, ascetyzm, połączony z orgjastycznym „rozwydrzeniem“, te wszyst-

kie „satanizmy“, jak to nazywano, tkwią wszystkimi korzeniami w przepastnej głębi — Gotyku!

Jedna straszna rozterka między Duchem, a materją, a raczej Szatanem — materją, a Duchem — Bogiem!

A może to znowu tylko przypadek, iż ojciec mój tysiącem rozmaitych względów był zniewolony oddać mnie właśnie do gimnazjum w Toruniu, a przecież byłoby o kilka godzin bliżej do inowrocławskiego gimnazjum, w którym przebywał Kasprowicz?

Rok cały żyłem samotny — w świecie, który sam sobie stworzyłem, a nie mogę powiedzieć, by był rozkosznym.

Wprawdzie bardzo szybko nauczyłem się języka niemieckiego, uczyć się prawie nie potrzebowałem, bo niezwykła pamięć naukę mi w niepomierne sposoby ułatwiała — stałem się najlepszym łacinnikiem w klasie, a tem samem współuczniom moim bardzo potrzebny. A ponieważ nigdy nie umiałem nikomu czegoś odmówić, więc za część moich kolegów odrabiałem zadania, i tem samem zyskałem sobie u nich pewien mir, który sromotnie okupywałem wzmianką w moich cenzurach: „Surowo karany za ciągle podpowiadanie“, — która to wzmianka wywołała w domu rodzicielskim odpowiedni odruch gniewu ojcowskiego.

Ale z nikim się nie przyjaźniłem...

W tej samej klasie biedował ciężko nieślubny syn jakiejś akuszerki, która w ślepej miłości do dziecka, oddała go do tego arystokratyczno-plutokratycznego gimnazjum.

Nieślubny syn akuszerki!

Dokładnie nie zdawałem sobie sprawy, jaką hańbą napiętnowany był mój kolega, ale już dawno widziałem, że sześćdziesięciu moich współuczniów unikało go, jak morowej zarazy, więc właśnie dlatego jałem naokoło niego krążyć.

Gospodarz klasy był nim widocznie wysoce zażenowany, a nawet siłił się mu gimnazjum tak uprzykrzyć, by się z niego czempredzej wyniósł.

Najwspanialszym środkiem pedagogicznym w Prusach była na on czas chłosta cielesna, a przy każdym zająknięciu się; bicie po twarzy.

Tego środka wypróbowywał gospodarz klasy najczęściej na nieślubnem dziecku akuszerki.

Dawno mnie to już oburzało i z coraz większą sympatją poczynałem zerkać ku mojemu, o pięć ław oddzielonemu, towarzyszowi.

Na początku roku pytał się profesor:

— Twoje nazwisko?

— Gdyka.

— Ojciec twój?

— Jestem nieślubnem dzieckiem, więc ojca nie mam.

Dziś jeszcze czuję zaparty oddech całej klasy.

Było to, jakby grom nagle w naszą klasę uderzył. Zapanowała cisza, jak makiem posiał.

Przez chwilę zmagaly się oczy chłopca z oczyma profesora, ale tylko na chwilę. Chłopak hardy, ale żywym ogniem oblany — profesor szyderczo się uśmiechnął.

— Matka twoja? zapytał.

— Akuszerka.

Napięcie, niepokój, zdumienie, które przez chwilę za silnie duszyczki chłopców na uwięzi trzymało, znalazło teraz ujście w jednym wielkim ryku śmiechu.

Tylko ja się nie śmiałem — pewno, że już na wsi odbijało się często o moje uszy to słowo: ślubny — nieślubny — widziałem z jaką pogardą te ostatnie dzieci były traktowane, więc nie mogłem sobie wyobrazić, by jakieś dziecko ośmieliło się przyznać do tej strasznej hańby.

Wątpię, czy kiedykolwiek mi coś tak zaimponowało, jak to harde przyznanie się dzieciaka, że jest nieślubnem dzieckiem.

Podziwiałem wprawdzie, gdy młody Jan Kasprowicz z pogardliwą dumą pędził drogą do gimnazjum wraz z matką parę prosiaków na targ w Inowrocławiu, ku strasznej uciezce swoich paniczynowskich kolegów; widziałem go nawet raz później — sporego już wyrostka — jak niósł — on gimnazista! — parę przez matkę zakupionych mioteł z taką powagą, jakby jakieś książęce insygnja piastował — ale to przyznanie się mego kolegi do tak „piekielnej hańby“ wydało mi się czemś jeszcze więcej bohaterskiem.

Podczas rekreacji zbliżyłem się nieśmiało do niego i zapytałem grzecznie:

— Pójdiesz dziś ze mną na Majdany?

Popatrzył na mnie z podełba — podejrzliwie.

Przecież to pierwszy raz jakiś kolega się do niego zbliżał. Obrzucił mnie oczyma od góry do dołu butnie i hardo, a potem odwrócił się:

— Nie! — odbąknął.

W tej chwili odczułem jakąś tkliwość:

— A ja ci powiadam, chodź ze mną, ty jeszcze tam nigdy nie byłeś, a tam jest bardzo, bardzo pięknie, będziemy botanizować — niema tu nigdzie tak pięknych i rzadkich kwiatów, jak tam... tam zresztą możemy się doskonale zabawić, bo żywej duszy tam niema, możemy przejechać się po Wiśle łódką — jest tam jedna, ukryta w zaroślach, „szyper“ przychodzi po nią dopiero późnym wieczorem...

— Daj mi spokój! Nie pójdę!

Widocznie się lękał, że chcę z niego zakpić, wziąć go na lep, aby móc potem całą klasę jego kosztem zabawić.

Ale, gdym się popołudniu ułożył w cieniu olbrzymiego dębu na Majdanach, zobaczyłem go, jak, tyłem do mnie obrócony, wpatrywał się w Wisłę.

Podszedłem do niego uradowany, odwrócił się zdziwiony, bąkał to i owo na usprawiedliwienie, że się tam znalazł — ponoć przyszedł z ciekawości, by zobaczyć tę łódkę, o której mu mówiłem — ale ja tak serdecznie do niego przemawiałem, że szybko już pozbył się swej podejrzliwości, zaufał mi: chwilami się jeszcze zaciął, ale nie minęła godzina, a już wzajemnie poczęliśmy się sobie zwierzać.

Gdyby móc teraz przemówić językiem trzynastoletniego chłopca, móc się wżyć w świat jego wyobraźni, odtworzyć w tej bezpośredniej świeżości cały jego zasób uczuć, marzeń, majaczeń, z jaką on wszystko naokół przeżywa, móc przeżyć jego wszystkie radości (— u dzieci typu „sibi“ są one niezmiernie rzadkie, a jeżeli bywają, to silnie zabarwione melancholją, smutkiem i przesycone jakimś — *je ne sais quoi?* — w czym już w zarodku tkwi jad przesyty —) móc się wżyć w wszystkie jego tęsknoty, i cierpienia — a zdumiewające, jak takie dziecko cierpi — móc raz jeszcze przeżyć tę tragedję dziecka, obarczono-go nadmierną wrażliwością twórczej duszy, jaka się w niem

już w zaraniu przejawia, — a stworzyłoby się coś tak niesłychanego, czego daremnie szukałoby się w całej literaturze.

— Ja wciąż czytam, wciąż czytam, — nie pamiętam oczywiście dokładnie słów mojego o dwa lata starszego kolegi, ale głęboko wrażliwa mi się w pamięć t r e ś ć tych urywanych, poplątanych wyznań: — „Wszędzie tylko mowa o starszych, o dorosłych, tak, jakby człowiek dopiero z 20-tym rokiem życia rozpoczynał, a nigdzie ani słowa o tem, jak się w moim wieku cierpi: takiego bólu, jaki ja bezustannie odczuwam, nie przeżywa dojrzały człowiek“.

I wstydem i upokorzeniem napęczniałym bólem, udręką, zacieklą nienawiścią przedwcześnie dojrzały chłopak jał mnie wtajemniczać w całą ciężką nędzę życia, nie tę, która wypływa z niedostatku pieniężnego, bo matka jego dosyć zarabiała, ale sto razy gorszą, bo wytworzoną niechlujstwem i złością ludzką.

Och! jak go chciwie słuchałem, jak dusza dziecka, które się już dawno o to do Boga modliło, by zesłał na niego większe cierpienia od tych, jakie Synowi swemu przeżyć kazał, chłoneła w siebie tę „chorą“ strawę, jaką go syn akuszerki — wyklęty „parjas“ — miał odtąd przez parę miesięcy karmić.

— Ja czytam, wciąż czytam, a matka moja ma dużo książek — jak chcesz, to ci je mogę pożyczyć.

Dawno już zmrok zapadł, gdyśmy przez drewniany most nad „leniwą“ Wisłą doszli do przystani małego parowca, który nas przewiózł na drugą stronę prawdziwej Wisły, do Torunia.

Na drugi dzień przyniósł mi pierwszy tom, a raczej tomik „Nędzników“ Wiktora Hugo — pomnę, że wydanie polskie tej straszliwej epopei bólu i nędzy ludzkiej obejmowało coś piętnaście takich małych tomików.

Nie wiem, a raczej dokładnie zdaje sobie sprawę, że żaden utwór literacki ani w przybliżeniu nie zrobił tak wyłomowego, wstrząsającego wrażenia w całym moim życiu, jak ten arcyutwór Hugo'a. Oczywiście nie jestem w stanie dać choćby najmniejszego pojęcia o tym kataklizmie, który mą duszę po on czas nawiedził. Zapewne nie rozumiałem dużej części tego, co czytałem, ale właśnie na tych dla mnie z natury rzeczy niezrozumiałych ustępach świeciła wyobraźnia dziecka najdziwsze orgje.

I teraz już dzień w dzień odbywaliśmy dalekie przechadzki, ale już nie po Majdanach, tylko daleko przed się, przez najbiedniejsze i najniechlujniejsze przedmieścia Torunia — po on czas oczywiście! — przez Winnice lub gdzieś w głęboki las, albo brzegiem Wisły, poprzez „Rybaki“ zamieszkane przez „szyprów“, „retmanów i rybaków“, zaglądaliśmy przez okna do spelunek i knajp flisaków, którzy tu często gęsto przybywali z Kongresówki, Galicji i Gdańska, a mentor mój uświadamiał mi na przykładach bezliku nędzę i męczarnie bezdomnych i wydziedziczonych, boć oczywiście widział w każdym z tych — może nawet z życia swego bardzo zadowolonych — „szyprów“ jakiegoś bohatera — galernika i bohatera „Nędzników“.

Z jaką rozkoszą pławiłem się w tej kałuży nędzy ostatnich biedaków, gdy mnie wreszcie zaprowadził do, po on czas całkiem zniszczonego, dziś śmiesznie po prusku odrestaurowanego zamku krzyżackiego. Był to wówczas przytułek ostatnich nędzarzy, jakieś potworne *leprarium* Torunia: rzadko kto stamtąd wychodził wąziutką uliczką, a raczej ciasnym zaułkiem, przez który wóz przepchać się nie mógł, a nigdy nie widziałem, by ktoś w jasny dzień tam wchodził. A to zdziczałe rozpustne żebractwo, gnieźdzące się w tych wilgotnych, rozpadających się norach знаło mego mentora! Odwiedzał on tam pokryjomu bez wiedzy matki jakiegoś krewniaka i zanosił mu — kwaterkę wódki!

Zwykle kończyła się nasza wycieczka do tego toruńskiego Witheapelu tem, że wśród urągów, śmiechu szyderczego a nawet pogróżek pięściami trzeba się nam było wymykać, nie pomnę już jakimi drózkami, na uliczkę: „An der Bache“. — Tam zawsze się mimowoli obracałem: olbrzymi łuk rozpięty był nad „Bache“ na drugą stronę, łuk ten zwano „*Dansker*“ — ponoć przez wnętrze tego szło przejście, którem przeprowadzali Krzyżacy skazanych na śmierć straceńców — toruński „*ponte dei sospiri*“.

Ukochałem wtedy nadewszystko nędze i cierpienie.

I stałem się hardy i „zły“ — „zły“ w całkiem innym znaczeniu.

Pozostałem tym samym tkliwym, nieśmiałym i odludnym chłopakiem, jakim byłem i jakim ostatecznie pozostać miałem,

ale w duszy mojej rodził się niepohamowany bunt przeciw niesprawiedliwości praw ludzkich i coraz więcej wzmagający się żal do Boga, że na to pozwalał.

Cała Europa korzy się przed jakimś „*soldat inconnu*” — a tym samym „*soldat inconnu*” był dla mej duszy ten nieznany syn akuszerki.

Jak moja dusza rosła, rozkwitała, jakie triumfy święciła, gdym przeczytał „*Notre Dame*” Wiktora Hugo — z jakim nieskończonem nabożeństwem, świętością ekstatycznego podziwu jałem się teraz rozglądać w trzech, nieskończonych tajemnic pełnych, gotyckich kościołach w Toruniu!

Teraz zrozumiałem świadomie, com już dawno intuicyjnie przeczuwał, że to nie budowle, ale cegłą pisane „księgi” — niejasne dla mózgu, ale dla duszy nieporównanie silniejszą jasnością żyjące: jałem rozglądać się w żebrach sklepień, piąć się okiem w górę po niebotycznych filarach, błądzić po witrażach z ich wyżyn, spływających wdół, a dusza moja rosła — rosła mocna, harda, dumna, rozwachlarzyła się tam gdzieś w górze — wyżej jeszcze winno się to sklepienie rozniebić: przecież przez tę olbrzymią, szeroką nawę już, już miało się przelać morze!

Tak — tak! przez te wszystkie, przez pięć piętr chyba wysokie okna winno się teraz lać morze — tą samą straszną nawałnicą, w jaką się moją duszę nowe objawienie wściekłą siklawą ciskało!

W jaki sposób skojarzyło się w ciemnych krużgankach Podświadomego w mej duszy pojęcie morza z gotykiem, tego nie wiem: cóż wogóle mogę wiedzieć, w jaki sposób dokonywały się w mej duszy wszystkie te dziwaczne, niepojęte skojarzenia, które tak długo dawały obfitą karmię wszystkim polskim humorystycznym pismom?

Czasami jestem świadom tych dziwacznych asocjacji: pisałem raz „żałoba białych róż”. Otóż widziałem raz trumnę możnego pana na katafalku, całą tonącą w powodzi białych róż — niech mnie tylko zaleci specyficzny zapach białej róży, choćbym jej kwiatu nawet nie widział, w tej chwili widzę katafalk z trumną — i nietylko to: cały korowód okolicznych ludzi z gromnicznymi świecami w rękach... uroczysty mrok, — bo przeniesienie

zwłok odbywało się wieczorem, — słyszę monotonne pieśni żałobne licznie zgromadzonego duchowieństwa — widzę piękną panią, słaniającą się w ciężkiej żałobie za trumną męża i wsłuchującą się w ponure bicie dzwonów, spadających „ciężarem“ z jakiegoś s z c z y t u oberwanych głązów. A „ciężar“ tych kamiennych jęków kojarzy się w mej duszy z procesją dzwonów, ciągnących w Wielki Piątek do Rzymu na nowe poświęcenie.

Raz widziałem tę procesję, jako małe dziecko — tylko to nie dzwony same wędrowały, ale białe ich dusze snuły się poprzez czarne, błotniste pola — a może to były tylko nadgoplańskie mgły? a późno już było, gdy raz w Wielki Piątek wracał do domu. Przyjechałem na wielkanocne wakacje i tak się złożyło, że sam jeden poszedłem na to wieczorne nabożeństwo, które szczególnie ukochałem, bo nie było żadnego, któreby tak odpowiadało ponurej — więcej niż kiedykolwiek ponurej, bo całą Gehenną cierpień wszystkich „nędzników“ świata obarczonej duszy — teraz już czterastoletniego Stasia.

A miałem zaiste zatrutą duszę: mój mentor ostatnimi tygodniami mówił ustawicznie o śmierci, delikatną jego twarz otaczał pruski profesor coraz gorliwszą pieczołowitością, bo syn akuszerki przestał się od jakiegoś czasu uczyć i wogóle na pytania odpowiadać, więc oczywiście promocji nie uzyskał, ja sam przyniosłem do domu cenzurę wprowadzie z promocją, ale w „zachowaniu się“ opatrzoną taką litanją najrozmaitszych zbrodni, jak podpowiadanie, odrabianie prac za innych, gorliwe pomaganie kolegom, by nauczycieli wprowadzić w błąd i t. d., że spotkało mnie w domu rodzicielskim ze strony ojca jak najgorsze przyjęcie.

Nigdy nie przeżywałem rozpaczniej tego ukochanego wielkopiątkowego nabożeństwa.

Wyszedłem z kościoła, a poprzez szeroko otwarte drzwi płynęła za mną ostatnia pieśń „gorzkich żalów“:

„Żegnaj mi głowo święta w cierniowej koronie...”

Noc już zapadała, gdy zmagałem się do naszej wsi — bo z Góry, z kościoła było blisko cztery kilometry — nagle zaleciał mnie zapach białych róż.

Chory lęk skręcił mi serce, nie mogłem tchu zaczerpnąć i co sił starczyło, popędziłem do domu.

Mama otarła spoconą twarz, zaniepokojona, co mi się stało, ale ją szybko uspokoiłem.

— Słuchaj, Stasiu, znałeś ty go?

— Kogo?

— No przeczytaj — podała mi numer „Dziennika Poznańskiego“... „Młodociany samobójca“, a pod tym nagłówkiem opowieść o samobójstwie ucznia trzeciej klasy, syna akuszerki, który odebrał sobie życie, ponieważ nie otrzymał promocji...

Odtąd począłem wciąż i wciąż myśleć o śmierci, aż dopóki mi się nie stała bliską i zażyłą — nietylko myśleć, ale tak się w nią wżywać, że już wtedy mógłbym jej zapytać:

„Śmierci, gdzież jest twoje żądło?!“

VI.

Niewypowiedzianych tajemnic boskich pełna, jedna z najgłębszych ksiąg, jaką ludzkość posiada, żydowska *Kabbalah*, poucza, że śmierć dotyczy jedynie najniższego pierwiastku, z jakich człowiek jest złożony, a więc ciała. Duszą tego ciała fizycznego jest pierwiastek *Nephesh*, który zarazem stanowi formę wyższego pierwiastku: duszy żądz, pragnień, namiętności, duszy wspólnej ludziom i zwierzętom, duszy, zwanej w *Kabbali* *Ruach*, duszy, która ze swej strony jest tylko formą wyższego pierwiastku: Ducha, którego *Kabbalah* zowie *Neschema*, a która jedynie człowieka od zwierzęcia odróżnia.

Po śmierci tu na ziemi ulega zepsuciu i zniszczeniu jedynie tylko ciało, bo już dawno dusza istotna — *Ruach* — z ciałem się rozłączyła. Ale *Nephesh* „duch kości“, jak go *Kabbala* nazywa, przez całe życie związany z ciałem, pozostaje mu wierny i poza grobem w formie *Habal-Garmin*.

Ten *Habal-Garmin* długo jeszcze „pokutuje“ na ziemi: sensytywni ludzie, o niezwykle przeczulonych zmysłach, widują go, jak błędzi na cmentarzach: gdyby nieutulona wdowa krąży wciąż i wciąż naokół grobu, w którym ciało dawno już się rozkładać jęło.

Niezwykłe silnym musiał być *Habal-Garmin* syna akuszerki, jeżeli bezustannie snuł się i przewłóczył „białą płachtą ducha“ poprzez podwórzec moich twórczych myśli.

Kto wie, czy właśnie w tem przeżyciu nie tkwi fakt, któryby skądinąd mógł słusznie zadziwić w moim tworze: rzadko u jakiego twórcy pojawia się tak często w utworach jego samobójstwo, jak właśnie u mnie.

Ale dla moich ludzi niema absolutnie innego wyjścia — *Habal-Garmin* syna akuszerki wampiryzuje postacie, które tworzę,

wysysa z nich krew, do obłędu doprowadza i wskazuje im jedyną drogę wyzwolenia, którą sam obrał.

I wciąż, wciąż słyszę słowa Kasprowicza:

*„Bądź pozdrowiona o ty — bez promienia,
Który nadzieją martwe serca pieści,
Spowita płaszczem bezdenne go cienia,
Źródło mej pieśni, macierzy natchnienia: Bolesci!”*

Wszystko już wtedy przetwarzało się w duszy dziecka na cierpienie, co miałem dziesięć lat później w mej książce „Na drogach duszy” ogłosić, jako jedyną oś twórczego bytu, kosmiczną potęgę, która światy z siebie wyrzuciła, jądro wszelakiego istnienia.

A równocześnie rósł w nieskończoność strach przed tym upragnionym majestatem piękna w cierpieniu, chory lęk przed życiem i koniecznością, musem życia, przed tem wszystkim, co Huysmans, zgrzytając zębami, zowie *la sale corvée de la vie!*

A już się tego ohydneho, upokarzającego, niszczącego ciężaru trosk życia powszedniego pozbyć nie miałem!

Materjalne stosunki w domu rodzicielskim pogorszyły się niepomniernie wskutek ciężkiej choroby ojca — trzeba było opuścić Toruń i przenieść się do przyrodniego brata ojca — do Wągrówca.

Mały folwarczek, który nosił dziwaczną nazwę: Ameryka, był bardzo miły; za stodołami i stajniami płynęła wśród rozkosznych łąk wąziutka, ale piękna rzeczka Wełna, która cały Wągrówiec przepływa; niedaleko zaś rozpostarło się piękne jezioro Durowskie, a na jego przeciwległej stronie pysznił się bujny las.

Wprawdzie nie gościłem długo w tej Ameryce, ale pół biedy było, żem w niej ostatecznie wyładował.

I tu w Wągrówcu spotkałem się z moim drugim „współczesnym”: Władysławem Rabskim.

Było to rok przed maturą. Obie ostatnie klasy były podczas niektórych przedmiotów połączone w jedną, i właśnie podczas wykładu języka polskiego, a wykladał go profesor, który od nas dopiero się tego języka uczył, poznałem Rabskiego, na razie jeszcze dosyć zdaleka.

Nas wszystkich uderzyła piękna, wysmukła postać, pewność siebie, żywa twarz o dużych, wyrazistych oczach.

Wszedł do sali, przystanął na progu i pokłonił się z trochę dobrotliwym, trochę kpiącym uśmiechem — on dziecko wielkiego miasta — a takim wydawał się nam, mieszkańcom małego miasteczka, ten prawie mistyczny Poznań, z którego Rabski przybywał.

Już na pierwszej lekcji dał nam się poznać z giętkiej, swobodnej swady, która nas w zdumienie wprowadzała, bo nikt z nas nie odważyłby się — właśnie w czasie najsroższego rygoru szkolnego w Prusach — przemawiać w ten sposób do swego profesora, jak on.

Staruszką, który nielitościwie kaleczył język polski, nazywał nie panem, ale paniczkiem, a cokolwiek tamten powiedział, zbywał ironicznym uśmiechem, który znowu tak starcowi imponował, że po ukończeniu lekcji pytał się mnie — on, którego ojciec mój jeszcze pamiętał, jako rektora: — Co to za Rabski? — a jak on się pisze? przez *b*, czy przez *p*?

Niedługo trwało, a Rabski zapanował bezwzględnie nad całą naszą umysłowością, i to nie jakimś przeświadczonym o swej sile terrorem, jaki zwykle wywierają chłopcy, świadomi swej wyższości, na swych młodszych kolegów — przeciwnie odnosił się do nas, którzy z całym tym „wielkim“ światem żadnego kontaktu nie mieliśmy, a nasz horyzont umysłowy nie sięgał w literaturze poza rok 1870, włączając do doby romantyzmu jeszcze Kraszewskiego — z oględną i delikatną wyrozumiałością, więc nie dziw, żeśmy się wszyscy z miłością i podziwem do niego odnosili.

Zapoznał nas przedewszystkiem z prądami „pozytywizmu“, przywiózł nam dwa roczniki „Prawdy“ Świętochowskiego, którego nadewszystko uwielbiał i to uwielbienie w nas wszczepił; odrazu zaabonowało nas paru „Prawdę“, co swoją drogą stanowiło niemały wyłom w naszym budzecie, odrazu zapoznaliśmy się z nowymi prądami w polskiej literaturze, o które podówczas tak namiętne i gwałtowne walki się w Warszawie toczyły, a niczem to wobec tego, że przywiózł nam „Żywot Chrystusa“ Dawida Straussa i — księgę dla nas zdumiewających rewelacji i doszczętnego wywrotu w całym naszym światopoglądzie —

biblię materjalizmu: „*Kraft und Stoff*“ Büchnera. Dziś żaden z współczesnych nie byłby w stanie zrozumieć tego piorunującego wrażenia, jakie ta książka na nasze młode umysły wywarła. Büchner rozwiązał w niezrównanie łatwy sposób wszystkie zagadki bytu, wytłumaczył, w jaki sposób mózg wytwarza myśli, jak się światy tworzyły, jak wysoce naiwną i dziecinną jest koncepcja bóstwa, a wprost już zabawnem pojęcie jakiejś duszy, a w dodatku jeszcze nieśmiertelnej: dusza istnieje, jak długo zasoby fosforu na jej życie wystarczają; w chwili, gdy mózg umiera, dusza istnieć przestaje.

Tysiąc innych jeszcze rzeczy, które mózg chłopaków, udręczony rozwiązywaniem najzawilszych zagadek, bezustannie zaprzętały, umiał Büchner szczęśliwie doprowadzić do jednego mianownika: *Kraft und Stoff*, a można sobie wyobrazić, jak rozkosznie uspokajały te nieskończenie naiwne, prostackie wywody chciwą ciekawość dzieciaków, nieobeznanych z najprymitywniejszymi kategorjami filozoficznego myślenia.

I przywiozł nam Rabski Ibsena: „Upiory“, „Wroga ludu“, „Brandta“ i „Peer Gynta“... Nie pomnę tak wstrząsającego wrażenia, jakie na mnie dramat „Upiory“ wywarł, a ponury postulat Brandta: „Wszystko, albo nic!“ miał odtąd przez długie lata stać się wytyczną mego życia.

Strasznie się zakotłowało po on czas w moim mózgu — a że gleba na przyjęcie tego „trującego zielska“ — *fleurs du mal* — była aż nadto przygotowana — wybuchał też ten „chwast“, jak się po onczas „przeklęta“ wiedza nazywała, wybuchał niepomierne, strzelił wysoką łodygą w górę, a w cieniu jego bogatego listowia dojrzały te wszystkie pierwiastki, z jakich, jak się później dowiedziałem, złożona jest dusza „bladego przestępcy“ Nietzschego — „*bleicher Verbrecher*“ — który nie ceni wszystkie wartości, rozbija stare tablice, idzie we wszystkim naopak, a co czyni, czyni naodwrot.

A rebours!

Na pohybel boskim i ludzkim prawom, nakazom, wszelkim dogmatom: nigdy *Habal Garmin* syna akuszerki nie rozpanoszył się w tak przemożnej sile w mej duszy jak w tym czasie.

Habal Garmin?

Nie — nie! tym razem było to raczej zapłodnieniem duszy. Wielki kabalista, Rabbi Luria, stworzył naukę, którą złożył w księdze *Ibbur*. Obca dusza dostaje się do mojej, zespala się z nią, potęguje ją, podnosi lub obniża, jest dla niej niebo-lub piekłowzięciem. Łączyła mnie wówczas gorąca i u mnie właśnie — rzadka i wyłączna przyjaźń z jednym z moich kolegów, z którym razem mieszkalem, a którego pamięć jest mi nieskończenie drogą, dziś jeszcze drży mi ręka, gdy piszę jego nazwisko:

Bolesław Deichsel.

Nieziemnie rzadką wydaje mi się przyjaźń, w którejby możliwość odczuwania do tego samego diapazonu dostrojona była, a właśnie wskutek tego szarmonizowania coraz więcej się potęgowała i zacieśniała, a wciąż świeżymi siłami, przewalającymi się z jednej duszy do drugiej zapładniała.

I istotnie było każde uczucie w tym nawale nowych, gwałtownych wrażeń, wywołanych doszczętnie „wywrotowemi“ naukami i pojęciami, nasiąknięte płomienną jakąś egzaltacją, rozżarzane bezustannymi dysputami i chciwem pragnieniem, by stworzyć jak najwięcej prozelitów; jak doskonale rozumiem tych ludzi, którzy z bohaterską odwagą, łaknącą jakiegokolwiek męczeństwa, starają się przypieczętować bezwzględną wiarę w swoje przekonania i dogmaty!

Z jaką chciwością wczytywaliśmy się — Deichsel i ja — w pisma Augusta Bebla, z jaką płomienną wiarą wchłanialiśmy w siebie naukę socjalizmu, zaczerpniętą z popularnych niemieckich broszurek, które, nie wiem nawet dziś, jakim cudem sobie sprowadzić zdołaliśmy — a ile razy groziło nam wyrzucenie z gimnazjum, boć przecież naszą maksymą stało się wtedy Brandta: Wszystko albo nic!

A silniejszą jeszcze żagiew od teoretycznej propagandy socjalizmu w częstokroć krwiożerczych broszurkach wrzucił w nasze rozgorączkowane serca — Zola! „*Germinal*“, „*L'Assomoir*“, „*Nana*“, „*L'Oeuvre*“, wywoływały w nas tak potężne wrażenie, żeśmy dniami całymi chodzili, jak błędni, i ślubowali sobie, że już wszystkie siły, życie całe sprawie robotniczej poświęcimy.

A nie pomnę szczytniejszego obchodu Wigilji Bożego Narodzenia nad tę wigilijną noc, w którejśmy od wieczora do rana

samego pierwszego święta jednym tchem przeczytali „Winę i karę” Dostojewskiego,

Przez cały następny dzień nie byliśmy w stanie do siebie przemówić, zdawało nam się, żebyśmy sprofanowali to olbrzymie wrażenie, jakie ten twór na nas wywarł, gdybyśmy o nim mówili.

Ile w tem wszystkim pięknej, rozegzaltowanej mocy, ile płomienistej siły i wiary — w jakąś świetlistą słoneczną przyszłość ludzkości, rządzonej jedynem prawem bezwzględnej sprawiedliwości, równości i braterstwa!

Oh, n'y pouvoir, n'y vouloir mourir, un peu!

Jak dziś widzę zdumioną i szczerze zafrasowaną twarz profesora Niemca, który wykladał historję, gdy Deichsel począł na lekcji rozwijać swoje poglądy na rewolucję francuską w oświeceniu socjalisty Blossa! Gdyby poczciwy profesor Frenzel, swoją drogą najświatlejszy i najwięcej ludzki między profesorami, jakich wogóle zaznałem, nie był się nami oboma już od dawna gorąco interesował, nie byłaby kochanemu Bolesiewi jego apologja rewolucji na sucho uszła.

Ale Deichsel był tylko pięknym, cieplarnianym kwiatem. Zaledwie rozkwitł pierwszą swoją wiosną, śmierć go ścięła. W mej pamięci żyje, gdyby jakiś wytworny huysmansowski „*Certain*” który zawsze miał wiele więcej do powiedzenia, niż tyłu i tyłu literatów razem, a jeżeli nic nie powiedział innym, cóż z tego? wszak ja kiedyś majaczyłem o „jedynym dla jedynego” — w Deichslu ziściła się moja tęsknota, a może i jego we mnie.

Z Rabskim łączyła mnie gwałtowna, ale krótka przyjaźń — możliwe, że obok Deichsla nie było miejsca w mem sercu dla kogokolwiek innego, możliwe, że już wówczas dla bystrego oka „pozytywisty, jakim Rabski miał już całe życie pozostać, kierunek, jaki moja dusza już dawno wtedy obrała, stał się odrazu antypatycznym i odtrącił go ode mnie — bo przecież później nie zwalczał Rabski niczego z taką zaciekłością, jak „przypuszczczyzny — tego „dlaczego” i „czemu”, by dojść do źródła tych przyczyn, nigdy nie byłem w stanie zrozumieć — dość, że gdyśmy się znowu spotkali na uniwersytecie w Berlinie, byliśmy już sobie całkiem obcy.

A jednak z prawdziwą wdzięcznością wspominam Rabskiego — przeleciał przez moje życie twórcze, jak nagły, olśniewający meteor — on sam prawdopodobnie nie wie, ani nie zdaje sobie z tego sprawy, jaką rolę w mojej umysłowości odegrał — nie to, by mnie zapłodnił, ale srebrnym medalikiem, jakim obdarzył moją duszę, wzbogacił ją już tem samem, że na drodze mego życia chwilę przystanął — uświadomił w niej dużo rzeczy, któreby pewnie jeszcze długo na uświadomienie czekały — przyspieszył rozwój mej duszy, który odtąd tak gwałtowne przybrał rozmiary, że z chwilą, gdym wstępował na uniwersytet, dokładnie już drogę znałem, wiedziałem, czego chcę i dokąd pójść.

Aha! Od Rabskiego dowiedziałem się po długim czasie bliższych szczegółów o Kasprowiczu. Rabski kolegował z nim przez dłuższy czas w Gimnazjum P. Marji w Poznaniu, zdaje się, że zbliżyli się w tym czasie do siebie, a może nigdy nie mówił Rabski o nikim z taką czcią, jak o swoim starszym koledze — Kasprowiczu.

W jego opowiadaniach wyrósł Kasprowicz na jakąś bogatą, złotą legendę, na olbrzyma, wobec którego Rabski czuł się małym i pokornym; „Na moje wiersze“ — żalił się Rabski przede mną — „machnął tylko ręką“.

— Cóżby dopiero był powiedział Kasprowicz na moje wiersze! — pomyślałem z lękiem, boć i ja wówczas wiersze pisałem!

Rabski chciał przemówić nad grobem Deichsla, ale policja pruska, obecna wówczas przy narodzinach, ślubach, pogrzebach i t. d., nie pozwoliła na to.

Na chwilę muszę się cofnąć wstecz.

Jak już powiedziałem wyżej, nie znam w życiu mojem żadnej przypadkowości: wszystko rozwijało się w niem z jakąś nieubłaganą, żelazną logiką — niema w niem nawet najbłahszego zdarzenia, któreby nie było aż nazbyt obfite w skutki, doniosłością swoją nie stojące w żadnym stosunku z drobnostką napozór przeżyciem.

W gimnazjum wągrowieckiem odbył się raz popis starszych uczniów — był to rodzaj koncertu, w którym i ja miałem występować, bo w małym miasteczku dawno się już rozniosło, że tu i owdzie, gdziekolwiek się u jakiegoś z moich współuczniów

znalazł fortepian, „wyrąbywałem“ z ogromnym rozmachem Szopena.

Opierałem się, bo nie mogłem sobie wyobrazić większej męczarni nad występ publiczny — zdawało mi się, że spale się ze wstydu, gdy się tylko ukażę na „estradzie“ — ale wola profesora rysunków i śpiewu miała zdecydować nie tylko o konieczności mego współudziału w koncercie, ale poniekąd rzucić ostry cień w moją przyszłość.

Ranek sam nie zapowiadał nic dobrego — gdym się obudził na mojem poddaszu u jakiegoś krawczyzny, który miał tę zdumiewającą właściwość, że jeżeli w niedzielę się upił, to dopiero w piątek chorował, a przez sobotę i niedzielę klin klinem wybijał — ujrzałem na mojej kółdrze warstwę śniegu, bo dach był dziurawy, popołudniu zaś skonstatowałem, że mi lewa ręka wskutek odmrożenia napuchła, a pod wieczór byłem już w największej rozpacz.

Jak się znalazłem na estradzie i przy fortepianie, tego już dzisiaj nie rozumiem — może być, że wlał we mnie cokolwiek otuchy kolega mój, Napoleon Rutkowski, twórca pięknej piosenki, znanej dziś w całej Polsce do słów Tetmajera: „Mów do mnie jeszcze“, z którym na pierwszy ogień grałem na cztery ręce drugą rapsodję Liszta, a już potem — ośmielony i oklaskami wywoływany — zagrałem własną (!!) kompozycję.

Na drugi dzień otrzymałem zaproszenie do domu bogatych Żydów, Seligsohnów, bym dwom paniom udzielał lekcji muzyki na fortepianie.

Odtąd począłem utrzymywać się z lekcji muzyki. Tobo oczywiście nie miało żadnego znaczenia, ale wdowa p. Seligsohn, krótko przed moją maturą przeniosła się do Berlina, a gdym przyjechał na uniwersytet berliński, dowiedziała się o tem zaraz od krewnych swoich w Wągrowcu i najserdeczniej zaprosiła do swego domu. I tu poznałem bardzo ciekawego człowieka, niezwykle inteligentnego lekarza, człowieka o szerokim intelektualnym zakroju, dr. Maxa Ascha.

Więcej artysta, aniżeli lekarz, odrazu gorąco mną się zainteresował, nie tylko to: przylgnął wprost do mnie, a nasze pierwsze poznanie skończyło się na tem, żeśmy w gorącej dyskusji przewędrowali dobre dwie godziny z placu Belle-Alliance,

aż het, na północ, poza Wedding, gdzieś u jakiegoś wiecznie pijanego „Steinrägera“ odnajmował izdebkę.

A i terazniejszy minister oświaty, Stanisław Grabski, miał parę lat później wyrzucić na tym dziwnym lekarzu wielkie wrażenie. Grabskiego trapiło zapalenie okostnej, utworzył się bolesny wrzód — zaprowadziłem go do Ascha. Asch wrzód przeciął, a potem wywiązała się między lekarzem a jego pacjentem gorąca dysputa o krytyce czystego rozumu, Kanta, która parę godzin trwała, aż wreszcie wyczerpany Asch — Grabski był lepszym dialektykiem od niego — zwrócił się do mnie z temi słowy: *„Der intelligenteste deutsche Jüngling ist ein armer Weisenknabe im Vergleich mit Eurer polnischen verdammten intellektuellen Frühreife“*!

Pamiętasz to panie Stanisławie?

Swoją drogą mierzył się dwudziestoletni Grabski już wówczas w sztuce dialektyki z niebyle kim, bo z Ignacym Daszyńskim, zdaje się drugim redaktorem zrządu berlińskiej polskiej socjalistycznej „Gazety Robotniczej“, którą miałem niezadługo po Grabskim — (trzecim redaktorze) — objąć.

Skarżył mi się Grabski, że jednak Daszyńskiemu sprostać nie może, a czasem go takie zwątpienie ogarniało, że myślał o wyjeździe do Ameryki, by tam dzikie konie ujeżdżać. Ponoć był świetnym jeźdźcą, co mu nie przeszkadzało zaorywać się z wściekłą namiętnością w filozofji i ekonomji społecznej, a raz w zdumienie wprowadził nas — garść studentów, którzy utworzyli w Berlinie kółko socjalistyczne, później przez policję berlińską sromotnie rozbite — zabójczem zbijaniem teorii Marxa-Lassalle'a.

To jedno szczerze powiedzieć muszę, że, patrząc długą drogą mego życia wstecz, nie spotkałem wśród młodego pokolenia młodzieńca o tak jasnej, zdecydowanej, fascynującej fizjonomji duchowej, jak Stanisław Grabski.

Grubo musiał się z nim liczyć „Przedświt“ londyński, — ostoja Mendelsohna, Jankowskiej, Jodko-Narkiewicza — frakcja socjalistyczna polska w Berlinie z Morawskim i Berfusem na czele bezwzględnie mu podlegała i we wszystkim szła za jego wolą, a nawet często ulegając kategorycznym rozkazom, i byłem istotnie zdumiony, z jaką ogromną ciekawością wysłuchi-

wał i stary Liebknecht, i August Bebel jego wywodów, rąbanych łamaną francuszczyzną. Zdumiony byłem? nie! raczej uradowany, boć jego program był już oddawna moim programem: całą socjalistyczną agitację przerzucić na Górny Śląsk, a poniechać doszczętnie jałowej pracy w Wielkopolsce.

A tymczasem stałem się dla dr. Ascha całkiem niezbędnym, nie było dnia, w którymby do mnie nie zachodził, lub do swojego bogatego domu nie zapraszał.

Pisałem wtedy pracę o mikroskopijnym ustroju rdzenia pa-cierzowego, którą się niezmiernie zainteresował, a za którą — nawiasem mówiąc — otrzymałem stypendjum imienia Karola Marcinkowskiego w Poznaniu.

Ostatni czas mego pobytu w gimnazjum wągrowieckim zaznaczył się — podczas zdawania matury — zdumiewającym faktem, który tak mną do głębi wstrząsnął, że podstawy, zdobyte nauką pozytywizmu i materializmu, na wszystkie strony chybotać się zaczęły, by niezadługo całkiem w gruzy się rozpaść.

Nie było w całej klasie gorszego matematyka ode mnie. Z ciężkim trudem opanowałem formułki trygonometryczne i stereometryczne, ale w żaden sposób nie umiałem ich zastosować przy rozwiązaniu matematycznych zadań.

Na dobitkę bardzo — może zbyt bardzo — był mi przychylny profesor matematyki, p. Rychlicki. Wiedział aż nadto, że wszystkim się zajmowałem, tylko nie matematyką, a ponieważ znał moje fatalne położenie materialne i wiedział, że moje nieuctwo może mnie z nóg ściąć podczas matury, więc chwycił się najostrzejszych środków. Twierdził stanowczo, że człowiek, niemający pojęcia o matematyce, jest prostym osłem, a ja mu udowodniłem, że chyba największym osłem był Goethe, który już nie miał całkiem najmniejszego pojęcia o matematyce; to też można sobie wyobrazić, z jaką rozpaczą, a święcie jestem przekonany, z większym jeszcze niepokojem wyczekiwał profesor Rychlicki tego, co to teraz będzie? Byłby mi mógł dotychczas nieznacznie utrudniać przejście z jednej klasy do drugiej, ale zamykał na wszystko oczy — teraz jednak — nie sposób! On i ja wyczekiwaliśmy rezultatu piśmiennego egzaminu, jako doszczętnie straconej placówki.

Wiedziałem więc, że bezwzględnie na egzaminie przepadnę i matury nie zdam, i już wytknąłem sobie plan na przyszłość: chciałem pójść do seminarjum nauczycielskiego, zostać nauczycielem ludowym, zarobić trochę grosza, dostać się do konserwatorium muzycznego w Lipsku, skąd właśnie powrócił syn nauczyciela ludowego i sam ludowy nauczyciel, późniejszy profesor muzyki w Inowrocławiu i Bydgoszczy, Stanisław Ogórkowski, i już się całkiem muzyce poświęcić.

Bóg inaczej pokierował, a fakt, który opowiem, wkracza już w dziedzinę okultyzmu.

Stała się rzecz zdumiewająca.

Dwie godziny błąkałem się z Bolesiem Deichslem nad Durrowskim jeziorem w ciężkiej i bolesnej rozterce, bo żadnego wyjścia nie było, nie można było dla mnie nawet marzyć o zdaniu matury.

Nagle Deichsel:

— Słuchaj! Pieniążek (dziś dziekan gdzieś w Wielkopolsce) ma zadania z dawniejszych matur, parę przerobimy — może jakieś zadanie się powtórzy.

I poszliśmy do Pieniążka. Wyciągnął na chybił trafił zadania z egzaminów z przed pięciu, czy sześciu laty, i tak całuteńka noc zeszła nad przepracowaniem tych zadań, choć nie rozumiałem dobrze, jaki mógł być w tem cel.

Kiedym rano szedł do egzaminu, widziałem już siebie w seminarjum dla nauczycieli ludowych, siedłem zrozpaczony i jak na ścięcie: „*Dormez tout espoir*“! — Widzę, jak p. Rychlicki wchodzi na katedrę, rozrywa pieczęcie koperty, w której były podkreślone te zadania, jakie nam rozwiązać kazano i — stał się cud:

Pierwsze, drugie, trzecie, czwarte zadanie — Jezus Marja! Zimny pot wystąpił mi na czoło, a ręce się tak trzęsły, że nie byłem prawie w stanie tych zadań napisać: wszystkie cztery przerobiłem jak najdokładniej tej nocy, a nigdy w życiu nie byłbym w stanie ich przerobić bez pomocy Deichsla i Pieniążka — tylko na piąte mogłem już machnąć ręką, bo trzy wystarczyły, by uzyskać stopień dostateczny.

Trwało to długie pół godziny, zaczęłam już z łatwością zabrałam się do rozwiązywania zadań.

A nigdy w życiu nie widziałem radośniejszego zdumienia na obliczu jakiegoś człowieka, jak to, które ujrzałem na twarzy profesora Rychlickiego.

Niepojęta, tajemnicza moc rozstrzygnęła o moim losie. Nigdy nie byłbym uzyskał matury, bo bym nigdy nie był w stanie samodzielnie jakiegoś matematycznego zadania rozwiązać.

Może to przypadek? He, he — takich przypadków niema — i doskonale już wtedy zrozumiałem, że to nie przypadek. Nie uświadomiłem sobie narazie doniosłości tego „cudu“, ale zarył mi się tak głęboko — narazie nieświadomie — w moją duszę, że od tego czasu przestał wierzyć w „przypadki“ i już z całkiem innego stanowiska jałem się patrzeć na bieg mego życia.

VII.

Zdałem maturę.

A więc nie potrzebowałem wstąpić do seminarjum nauczycielskiego — mogłem się już teraz swobodnie poświęcić architekturze!

Gotyk, gotyk, gotyk!

Zbudować jakąś przepotężną świątnię gotycką, potężniejszą od tych wszystkich gotyków, które widziałem w Toruniu i w Gdańsku, potężniejszą od tej boskiej, niesłychanej gdańskiej katedry Św. Marji, takim był przeskok od mikromanicznego postanowienia, by zostać ludowym nauczycielem, a w najlepszym razie profesorem muzyki w Inowrocławiu lub Bydgoszczy, do megalomanicznych projektów jakiegoś „bygmestra Solnessa“.

Wyobrażam sobie zdumienie jednego z najgłębszych znawców gotyku, profesora Schäfera w politechnice szarlotenburskiej pod Berlinem, gdy zobaczył nazwisko studenta pierwszego semestru na liście studentów, którzy kurs gotyku dopiero w piątym semestrze rozpoczynali.

Uśmiechnął się nasamprzód ironicznie, nic nie mówił, ale potem często gęsto spoglądał w tę stronę, gdzie nie „student“, ale namiętnie pragnący, zlakniony inicjacji, najpokorniejszy z pokornych uczeń, wchłaniał w siebie każde jego słowo, z wypiekami na twarzy i płonącymi oczami wsłuchiwał się w tę przedziwną gędzbę o tajemnicach gotyku.

Mówił o katedrach w Norymberdze, św. Wawrzyńca i Sebaldusa, mówił o Liebfrauenkirche, a z prawdziwym entuzjazmem mówił o gotyku w małych miasteczkach Bawarii i Wirtembergji, a głównie o Rothenburgu ob der Tauber, które on pierwszy „odkrył“.

A może to znowu przypadek, że po 25-ciu latach miałem przeżyć wraz z żoną moją Jadwigą najpiękniejsze lata naszego życia właśnie w Norymberdze i Rothenburgu, gdzieśmy przez pięć lat zrzędu po parę miesięcy spędzali?

Ale to nietylko to: przez cały semestr wędrowałem z nim razem po katedrach francuskiego gotyku, — północna Francja, a nie Niemcy, jak to chciał Goethe, jest ojczyzną gotyku — a zanim miałem po kilku latach ujrzeć te cuda na własne oczy, znałem już nawet w drobnych szczegółach zapomocą wspa-
niałego materiału reprodukcyjnego katedry gotyckie w Chartres, Amiens, Orleanie, poznałem dokładnie ukochaną już od chłopi-
ęcych lat „*Notre Dame*“ paryską, kiedym to jeszcze tak namiętnie wczytywał się w Wiktora Hugo, (a może właśnie „*Notre Dame*“ jest jego najwspanialszym tworem?), a ponieważ równo-
cześnie wczytywałem się w dzieła, traktujące o symbolice w sztuce chrześcijańskiej — a miałem ci ja niezrównanego znawcę tej sztuki jako inicjatora: prof. Adlera, więc głębiej i głębiej począłem wnikać w zdumiewające tajemnice tej najgłębszej e z o t e r y c z n e j nauki Kościoła, więcej niż „ukrytej“, bo pisanej kamieniami.

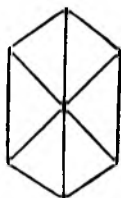
Czem są sakralne hieroglify egipskie, czem okultyzm ksiąg Thota, złożony w tajemniczych kartach dużych i małych arkanów cygańskiego „Tarota“, wobec tej przepastnej tajemnicy, jaka się w tej mowie kamieni ukrywa i pewno nigdy najaw wydobyta nie zostanie.

Znamy zaledwie parę głosek tego kamiennego alfabetu. Tarot Egipski znalazł tłumaczy — Raymunda Lulle, Cardanusa, Postela, Eteilla, Papusa. Gotyk daremnie czeka jeszcze na równie wnikliwych, niesłychaną intuicją obdarzonych rewela-
torów — coś nie coś przewidują współcześni alchemicy w sym-
bolach, porozsypywanych na tajemniczej wieży w Paryżu: „Tour St. Jacques“ w nierozwiązanych zagadkach, pomieszczonych w symbolicznych postaciach, ale czem jest odcyfrowanie paru zgłosek wobec tajemnicy tej olbrzymiej księgi, wyrażającej całe życie uniwersalne: i „*natura naturans*“ i „*natura naturata*“, stosunek człowieka do Wszechnatury, Wszech-
życia i Bóstwa, a równocześnie uzmysławiającej hermetyczny

ustrój natury człowieka i analogję tego ustroju z ustrojem Wszechświata!

Małeńki tylko przykład:

Spojrzyjcie na pierwotne sklepienie gotyku, a otrzymacie figurę żebrowania, dającą się wyrazić w tej formie:



Znacie szafir? Ten tajemniczy kosztowny kamień, który w nauce okultystycznej uchodzi za „kryształową pieczęć niebios”?

Otóż jeżeli trzymasz okrągło oszlifowany, przejrzysty kamień szafiru pod intensywne światło słoneczne, wtedy można dokładnie zauważyć „asteryzm”, to znaczy sześciopromienny, gwiazdzisty blask światła.

I, aby wnikać w ukrytą tajemnicę tej „kryształowej pieczęci”, trawili całe życie alchemicy średniowieczni, bo wiedzieli, że w „szafirze” tkwi „*magnum magisterium*” — kamień mądrości, a kto rozwiąże zagadkę szafiru, posiędzie to „*magisterium*”, bo tak powiedział Ezechiel I, 26 w Starym Testamencie:

„A nad utwierdzeniem, które wisiało nad ich głowami, jako pozór kamienia „s z a f i r a”, podobieństwo stolice, a na podobieństwo stolice, podobieństwo jako osoba człowiecza na niey”.

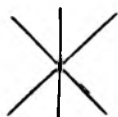
A w drugiej księdze Mojżesza XXIV, 10 czytamy:

„Y Uyzreli B o g a Irrachowego, a pod nogami jego jako robota kamienia S z a f i r o w e g o, a jako niebo, gdy pogodne jest”

a czytajcie Izajasza IIV, II:

„Ubożuchna od burzy rozbita, bez żadnej pociechy. Oto je posadzą porządnie kamienie twoje, a założą cię na s z a f i r a c h”.

Ta „ezoteryczna“ figura łamania się promieni w czysto oszlifowanym szafirze, znana już w najodleglejszej epoce rasy aryjskiej:



Ta figura, w której pierwsi Chrześcijanie prostopadłej kresce dodali w labarum Konstantego Wielkiego:



greckie rho, by z tego szafiru udowodnić ziszczenie się proctwa Izajaszowego, jako, że Bóg kamienie rozbitego świata usadził „porządnie“ i założył na „s z a f i r a c h“, została przekształconą na symboliczny znak:



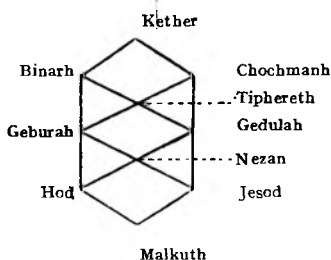
X — P — istos Christos:

Najwięksi genjusze ludzkości, budowniczy gotyku, czytali inaczej „Stary Testament“, jak my go czytamy, a przeważnie nazwisk ich nie znamy, byli zbyt potężni, by ich cokolwiek „sława“ ludzka mogła obchodzić, tak, jak nie obchodziło żadnego wtajemniczonego alchemika złoto, które mógł robić, ile mu się podobało. Gdyby więc człowiek był w stanie jakiegoś sto wieków poświęcić na odczytanie ukrytej wiedzy, złożonej w biblji, jak to uczynił Fabre d'Ollivet, gdy 40 lat użył na odczytanie

li tylko paru rozdziałów „Genesis“, możeby mógł już swobodnie gotyk rozumieć.

Ale genjusz-objawiciel, który kamieniami przemawiał, rozbił nie tylko pieczęcie Starego Testamentu, on wdarł się w tajemnice Kabbali, tę boską siostrę „Gnozy“ i Księgę Ksiąg najtajniejszych objawień.

Wiedział, że szafir, to hebrajskie utajone, święte „saphir“. S. P. R. (wiedziano, że hebrajskiemu pismu Bóg odjął samogłoski, by żydów ukarać). A „sepher“ oznacza książka, a czym jest książka zamknięta na siedm pieczęci dowiedzieć się można z Apokalipsy Św. Jana, a nikt nie zrozumie Apokalipsy, kto nie poszuka do niej klucza w Kabbali, a przedewszystkiem w dzieściu Sephirothach, składających się na Sephira, wyrażającej najgłębszą tajemnicę Boskości, a dającą się graficznie przedstawić w ten sposób:



I tak stanowi gotyckie sklepienie księga „Stworzenia“ *Sephir Iezirah*.

Oficjalny Kościół Katolicki zatracił klucze od najtajniejszych tajemnic nauki Chrystusa, najgłębiej jeszcze ujętej w Ewangelji Św. Jana i niekanonicznych i potępionych pismach Orygenesusa już w X wieku po Chrystusie, ale cały ezoteryzm nauki katolickiej ukrył się w tysiącnych symbolach, które „sztuka“ przechowała, a przedewszystkiem w budownictwie — linje Tajemnicy jasno jeszcze zadokumentowane w bazylikach i romanszczyźnie, zacierając się coraz więcej dla oka profana, kryją się, gubią w tajemniczej geometrii i stosunku liczb, a tak geometria, jak i algebra tajemnicy staje się coraz bardziej zawiłą i coraz więcej „enigmatyczną“.

By ukryć „tajemnicę“, stworzyli „wtajemniczeni“ Egiptu „Tarot“, karty do grania — by przekazać całą wiedzę ezoteryczną Chrześcijaństwa, tworzył wtajemniczony „mag“ — budowniczy — gotyckie katedry: na zewnątrz — „*biblia pauperum*“ — w istocie zaś tajemnica, przeznaczona tylko dla „wiedzących“.

Och! jak się rozpedziłem!

Ale tyle już o tym gotyku mówiłem i pisałem, że czytelnik mógłby być ciekawy, co to za jakaś tajemnicza sprawa z tym moim „gotykiem“.

Otóż jedynie tylko na przykładzie sklepienia starałem się wykazać, jak „gotyk“ c z y t a m.

Wiem, że każdy architekt buchnie śmiechem na te moje wywody, a w najlepszym razie sceptycznie pokręci głową. *Qu'importe?!!*

Ja zaś wiem swoje: gdyby nie było średniowiecznego cechu budowniczych, byłoby się już dawno to wszystko zatraciło, co dziś jako „okultyzm“ swoje zmartwychwstanie święci, a usycha już na starczą chorobę w łóżach masońskich i różokrzyżowców, bo zagubiono klucze do tajemnych symboli.

Ale „*templum Hiram*“, objawione w gotyku, zwolna, zwolna podwoje swoje otwierać poczyną.

Kościół zdawał się już w XIV wieku przeczuwać, jaką straszliwą „herezję“ gotyk w sobie ukrywa: tę samą herezję, za jaką z takim bezprzykładnem okrucieństwem zniszczył zakon templariuszów za czasów Filipa Pięknego.

Wprawdzie „oficjalna“ historia zwała całą winę na Filipa Pięknego, ale Filip bez papieża Klemensa V nic nie byłby mógł zrobić.

Zdaje się, że niema karty w całej historii wszechświata, na której byłaby zapisana tak ohydna i potworna i tak bezprzykładna zbrodnia, jak ta, którą monarcha francuski wraz z głową Kościoła długi czas przygotowywali i wreszcie ją spełnili.

Jak wiadomo, zostali templariusze, przynajmniej ci, którzy we Francji osiedli, w najstraszliwszy sposób wytępieni na podstawie oskarżenia, że uprawiają kult Szatana, czyli Baphometha.

A właśnie ten Baphomet był Bogiem gotyku, trzeba tylko według metody kabalistycznej „*notarikon*“ zwanej, czytać to słowo odwrotnie, to znaczy:

„*Temohpab*“: *Templi omnium hominum pacis abbas* („kapłan — demiurg — świątyni pokoju wszystkich ludzi“).

W niezliczonych symbolach dopatrzy się wiedzący tego Baphometa w całym gotyku — tego astralnego Boga, który według szmaragdowej tablicy Hermesa Trismegista jest:

„*Pater omnis Telesmi totius mundi!*“

Ale dosyć już, dosyć!

Kościół zniszczył zakon templariuszów, nienawidził gotyku i z rozkoszą powitał pogański renesans — nawet pogaństwo było lepsze od „mistyki“ — zniechłuił świątynie gotyckie tym obmierzłym renesansem — ale nie przeczuwał straszliwej pomsty „Baphometa“: Avignon, reformacja, schizma, Luther, różokrzyżowcy, potężne loże masonskie, wiek encyklopedystów, rewolucja francuska, doszczętny upadek kościelnego Rzymu, jako wszechświatowej politycznej potęgi — Mało jeszcze?!

Z popiołów powstał w naszych czasach spalony za Klemensa V ostatni komtur templariuszów Jakób de Molay jako straszliwy mściciel, ale teraz już nie jako wyznawca „Temohpab“, ale naodwrot: istotny Baphomet — Antychryst!

A trzeba wiedzieć, że Zakon Templariuszów miał jedno zadanie, które jeszcze w XVII wieku obowiązywało surowo „pod utratą istotnego Zbawienia“ bractwo różokrzyżowców, wynaturzonych potem w lożach masonskich — a mianowicie:

Stworzenia na ziemi Królestwa Pokoju i zjednoczenia wszystkich narodów.

W co się przekształcił ten potężny zakon tych nadludzkich objawicieli, proroczych jasnowidzów, potęgi boskiej sięgających olbrzymów i tych nieogarniętych w ich rozmachu budowniczych onych świątyń, które do dziś dnia strzegą w niemy i boski majestat spowite tajemnice — w co się przekształcił ten święty zakon „masonów“, budowniczych nowego Syonu i niebieskiej Jerozolimy?!

Rozpacz człowieka zbiera: przecież dzisiejsi masoni nie rozumieją nawet najprymitywniejszych symbolów, nie wiedzą nawet, co oznacza młotek lub kielnia!

„*Mon âme seulette a mal au coeur d'un dense ennui*“ — pokaż ci, bracie Verlaine — gdy pomyślę, w jak ohydny i niechluj-

ny sposób zabagniła się dusza ludzkości, która w gotyku w tak olbrzymim rozmachu niebiosza szturmowała!

A jakie niesłychane rewelacje astralnego świata ukrywają się w „chimerach“, „gryfach“, potworach, rzygaczach wody — niby to ozdoby, a w istocie najtajniejsze hieroglify „ukrytej wiedzy“ — porozmieszczane w gotyckich тумach!

Cały gruby tom możnaby napisać o „chimerach“, usadowionych na galerji pierwszego piętra *Notre Dame* w Paryżu. Z tych kilkunastu kamiennych symboli zaczerpnięta i „*Philosophia sagax*“ Paracelsa, i „*Philosophia occulta*“ Corneljusza Agrypy, a ostatni, który te symbole odczytywał, był wielki Postel, a popełnił ci on zbrodnię, bo wyjawiał tajemnicę „Tarotu“.

Oblędem przeplacił tę swoją śmiałość, bo najwyższym nakazem dla wtajemniczonego, to — Milczenie!

Wszystko to, co powyżej o gotyku powiedziałem, możeby zastanowiło tego mego pięknego profesora Schäfera, a możeby się tylko był dobrotliwie na moje wywody uśmiechnął, narazie widział, jak gorąco jestem gotykiem przejęty, więc podszeptał: „Niech Pan przeczyta encyklopedję gotyku Violet le Duc'a, tam Pan znajdzie to, na co w wykładach czasu nie mam“.

Po ciężkiej, a mozolnej pracy przestudjowałem tę sześciotomową encyklopedję — ale Violet le Duc mało co wiedział o ezoteryzmie gotyku, natomiast wielką jego zasługą: ustalenie pomiarów, stosunków liczbowych, geometrycznych i stereometrycznych symboli.

A bez końca najrozmaitsze Pentacle, Tetragramatony — Binery, Septenery, Duodenery!

A liczba to wielka i święta rzecz!

Wiedział o tem Mickiewicz — bo cóż oznacza jego 44? Hoho! Czterdzieści cztery rozkłada się w okultystycznym rachunku w ten sposób:

$$4 + 4 = 8.$$

Rozkładał 8 na pojedyncze składniki:

$$8, 7, 6, 5, 4, 3, 2, 1.$$

$$8+7+6+5+4+3+2+1=36.$$

$$3 + 6 = 9.$$

A 9 jest liczbą, oznaczającą najwyższego z Archaniołów a raczej Współ-Boga: Metathrona.

44 jest Metathronem, Demiurgiem tu na ziemi.

W liczbowym stosunku pomiarów gotyku tkwią właśnie te zdumiewające tajemnice — a niemniej głębokie w jego geometrii — w liniach.

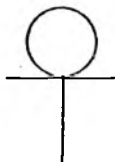
Jaka niesłychana głębia w tym gotyckim ostrołuku! A przecież on wzięty z najgłębszej tajemnicy linii Wschodu:



a przeobrażony na:



a zaczerpnięty z hinduskiego: „*crux ansata*“:



najgłębszego symbolu, wyobrażającego najtajniejsze istnienie istotnej duszy ludzkiej, nie potrzebującej głupiego mózgu i biednych narządów zmysłów.

Dlaczego się tak o gotyku rozpisałem?

Przedewszystkiem zależy mi na tem, by zrozumiano, dlaczego bezustannie powtarzam, iż dla mnie poza gotykiem sztuka nie istnieje — fałszywie się wyraziłem: istnieje, istnieje, ale nie ta, która jest dla mnie najwyższym wykwitem ducha ludzkiego: mogę szanować późniejszą sztukę, mogę się nią nawet zachwycać, ale nie jest już w stanie rozpałić mej duszy.

VIII.

Ale wkrótce rozwił się bogaty sen „bygmestra Solnessa“, by stworzyć jakąś niebywałą i zdumiewającą katedrę. Rozpoczęła się nieskończenie żmudna — techniczno-matematyczna praca, której już podolać nie mogłem. Pragnąłem kreślić gotyckie ostrołuki, a byłem zmuszony ślęczeć całymi dniami nad zniechęcającym atyckim brusowaniem świątyń greckich: miast kolumny — Ain Soph — z której wytryskują na całą świątynię płomienie Świętego Ducha (porównaj niezrównany kościółek Św. Krzyża w Krakowie, lub kaplicę na zamku w Lublinie) byłem zmuszony rysować bez końca kapitele jońskie, doryjskie i korynckie — byłem zmuszony wnikać w tajemnice ciesiówki i prostego murarstwa, a co mnie najwięcej przerażało: zająć się rachunkiem całkowym i różniczkowym.

Temu podolać nie mogłem — a może i nie chciałem: bo w tym samym czasie opętała mnie nauka biologji — a właśnie wtedy stawała się biologja nauką.

A ja po on czas jeszcze wierzyłem — biedactwo — że całe zbawienie znajduję w „ścisłej“ nauce. Jeszcze mi się po głowie pętała i Büchner, i Vogt, i Moleschott mimo to, że dusza moja już całkiem innemi szlakami kroczyła.

Straszne to „à rebours“ własnej duszy — niepojęte prawo, które całem życiem mojem zawładnęło. Wciąż jeszcze przeżywam tę długą bezsenną, rozpaczliwą noc, w której postanowiłem nadewszystko ukochanym rodzicom moim — a wiedziałem, jak ich strapię — przesłać uroczyste doniesienie, że minąłem się z mojem powołaniem: porzucam architekturę i przenoszę się na medycynę.

Skutek był fatalny: odebrano mi małe stypendjum rodzinne Musolffa, bo na „eksperymenta“ pieniędzy nie było, rodzice pomagać mi nie mogli — ach! jakie to wszystko smutne; te lata ciężkiej udręki, nędzy ostatniej, a może błogosławione lata, bo mi dano, a raczej kazano wymierzyć całą otchłań tej *sale corvée de la vie*.

I jaka szkoda, że żywotna siła moja sprzeciwiła się „złemu“. Przecież już raz doszedłem na drodze ascetyzmu, po trzytygodniowym głodzeniu się do tej doskonałości, żem na ulicy padł zemdlony.

Małuczko jeszcze, a byłbym przestąpił „próg“, który tylko zapomocą — wszystko jedno, czy dobrowolnej, czy wymuszonej ascezy — przestąpić można.

A że i koniecznością wskazana „asceza“ może z biednego człowieka stworzyć coś w rodzaju „Mahatmy“ miałem sposobność przekonać się, gdym słuchał objawień przyjaciela mojego, Piotra Hille, który po długich błakaniach po całym Berlinie przywędrował wreszcie do mnie w ostrym stanie delirjum głodu.

A o tym „Mahatmie“ jeszcze nieraz pomówię.

Narazie wracam do dr. Ascha.

Nic więcej go nie interesowało nad długie debaty o Stirnerze i o Nietzschem, jakie bezustannie z sobą prowadziliśmy.

Może mało jest ludzi w Polsce, którzyby o tem wiedzieli, że o istnieniu Nietzschego dowiedziały się Niemcy — od szwedzkiego pisarza, O l i H a n s s o n a.

Ola Hansson, Szwed, proskrybowany przez swoją ojczyznę, skutek swych „radykałnych“, „wywrotowych“ przekonań i aż nazbyt „śmiałych“ swoich nowel, uciekł — literalnie uciekł do Niemiec, gdzie znalazł bardzo gościnny przytułek w pięknej miejscowości pod Berlinem — w Friedrichshagen, gdzie po on czas gnieździła się cała literacka Bohema Niemiec.

Mieszkali tam bracia Henryk i Juljusz Hart, pierwsi, którzy znojne i ciężkie walki staczali o naturalizm Zoli w gwałtownych broszurach, ochrzczonych dosadnym mianem: „*Kritische Waffengänge*“, a odwagę, butę i zajadłość, z jaką rzucali się na „starą“ sztukę i ją zwycięsko zwalczali, przypłacili tem, że bezustannie żyli w ostatniej nędzy, a kiedy po latach całych znalazł się jakiś minister oświaty, który chciał Henrykowi Hart dopomóc, by

mógł wykończyć swoje, na olbrzymią miarę zakrojone epos: „*Lied der Menschheit*“, Henryk odrzucił wysokie stypendjum, bo było zawarunkowane kautelą, iż nigdy nic nie napisze, coby mogło godzić w „posady państwowości“.

Tam też mieszkali i Arno Holz, i Johannes Schlaf, nieodłączna po on czas para dioskurów — dziesięć lat później jęli się zwalczać w zacieklej nienawiści — jeden i drugi odegrali ważną rolę w przełomowej walce realizmu z „idealizmem“. Wychowankiem ich, przez nich najusilniej protegowanym i wycackanym pupilem, był Gerhart Hauptmann, który wtedy jeszcze miał tyle wdzięcznej odwagi, by pierwszy swój dramat — kto wie, czy nie najlepszy: „*Vor Sonnenaufgang*“ poświęcić: „*den einzigen consequenten Realisten — Arno Holz und Johannes Schlaf*“ — ten sam Gerhart Hauptmann, który istotnie niezmiernie dużo zawdzięczał jednemu i drugiemu, bo niewiadomo, kto więcej nad tym dramatem pracował, oni — czy on, a potem, gdy nadspodziewanie szybko w sadło porósł i już oswładnął Lessing-teatrem, usilnie przeciwko temu zabiegał, by bezporównania lepszy i głębszy dramat obydwóch: „*Die Familie Selicke*“ nie został wystawiony na tej jedynej scenie, której kierownik, Otto Brahm, umiał w bajeczny sposób wyzyskać daną konjunkturę i teatr swój oddał na usługę „konsekwentnemu realizmowi“ Hauptmanna.

Och, jaki ten „konsekwentny realizm“ był już od samego początku łagodny, kompromisowy, tak doskonale okiełznany i wyfraczony realizm, że cała, nawet najwięcej zacietrzewiona burżuazja odrazu jednym słowem ryknęła:

Taki realizm rozumiemy i taki jedynie ma prawo bytu!

Wprawdzie była na pierwszym przedstawieniu: „Przed wschodem słońca“, na którym i ja wraz z dr. Aschem byłem obecny, przykra burda, bo niejaki fanatyk „idealizmu“ — dr. Kaftan („*nomen*“ — „*omen*“, bo temu historykowi należał się „kaftan“ bezpieczeństwa) wyciągnął nagle w scenie, w której za kulisami połów się odbywa, olbrzymie szczypcy połogowe, wymachiwał nimi i ryczał na cały głos: „*Hier Hilfe!*“ — ale p. Kaftan wyleciał z piorunującą szybkością na świeże powietrze, a cała awantura zjednała Hauptmannowi tylko większą jeszcze sławę, tak, że już drugi jego dramat — całkiem już (i to w najłagodniej-

szem tempie) ujeżdżony żrebak, mógł sobie swobodnie, bez najinniejszego protestu hasać po scenie.

Dramatu tego: „*Friedensfest*“ ponoć się Hauptmann później wstydził. Niegodnie wyzyskał gościnę, jakiej mu dr. Wedekind, ojciec Franka Wedekinda, udzielił. Z brutalną, ordynarną i całkiem fotograficzną wiernością odtworzył stosunki rodzinne, jakie panowały w rodzinie Wedekindów w Zurychu. To też wobec Franka Wedekinda nie można nawet było wspomnieć o Hauptmannie.

Biedne te Niemcy, że tylko Hauptmannem się szczył — a przecież w utworach jego nie napotkasz nigdzie jakiegś głębszej myśli, nigdzie nie ujrysz jakichś rozległych horyzontów; tam, gdzie się sili na symboliczne ujęcia wypadków, tworzy suchy, płytki, naiwnie przezroczysty symbolizm, jak w „Dzwonie zatopionym“ lub „I Pipa tańczy“ — rozczulająco bezradny symbolizm, bo z tych wszystkich obłonek wszędzie wyłazi „konsekwentny naturalizm“, a gdziekolwiek Hauptmann uchwyci pierwiastek symboliczny, w tej chwili dusi go i dławi realistyczną metodą, bo mózg jego za słaby, by zdołał dotrzeć do tych prailów, w których wszechrzecz staje się według orzeczenia Goethego „*ein Gleichnis*“.

Język Hauptmanna do tego stopnia fatalny i wyzbyty wszelkiej kultury, że wierszy jego wprost czytać nie można — gdym czytał „Dzwon zatopiony“ w bajecznym polskim przekładzie Jana Kasprowicza, nie chciało mi się wierzyć, że to mógł być ten sam dramat, którego w oryginale nie byłem w stanie do końca przeczytać.

I pomyśleć, że Niemcy usiłowali tę swoją wydętą, a właściwie bardzo ubożuchną wielkość stawić narówni z Ibsenem! Wogóle w głowę się zachodzi, co Niemcy za dramatyczne arcydzieła uważają: czy może być nędzniejsze dramacidło, głupsze, więcej płytkie od „*Die Jugend*“ Maksa Halbe, a przecież to dramat, który cała niemiecka krytyka z jakimś obłąkanym entuzjazmem przyjęła!

Do dziś dnia tłucze się jeszcze ten marny utwór po wszystkich scenach niemieckich — a nawet próbowano go wystawić w Warszawie. Fatalny pomysł, bo dramat na scenie polskiej padł sromotnie, ale równocześnie okazało się, o ile publiczność

polską kulturą swoją przewyższa niemiecką, i o ile wyższy jest poziom krytyki literackiej w Polsce od niemieckiej.

Jak tylko Hauptmann kupił sobie swoją pierwszą willę wziął odrazu doszczętny rozbrat z kolonią artystyczną w Friedrichshagen, zerwał wszystkie z nią stosunki — a może i słusznie: nie chciał być bankierem swej literackiej braci, która przecież doniedawna ostatnim kawałkiem chleba z nim się dzieliła.

To ostatnie, com powiedział, to nie frazes: bo często często nie było nawet tego „ostatniego“ kawałka. A z innej strony nie jest frazesem: panowała między tą gromadką artystów taka solidarność i tak przeczulona niemal koleżeńskość, że nie było między nimi żadnego, któryby się z kolegą nie podzielił wszystkim, co miał.

Bezwzględny komunizm, piękny, ofiarny — nie! nie ofiarny! bo to samo przez się się rozumiało, że jeżeli ja coś mam, to i drugi artysta mieć musi — komunizm i biologiczna niemal „symbioza“, która nie pozwalała słabszemu zmarnieć, — komunizm wydziedziczonych, tak absolutnie niezrozumiały dla sytego motłochu, że zdołał go zohydzić słynnym paszkwilem:

*Wir wollen uns mit Schnaps berauschen.
Wir wollen unsere Weiber tauschen,
Wir wollen uns mit Talg beschmieren
Im Sonnenscheine nackt spazieren —
Wir wollen echte Russen sein!*

Ostatni wykrzyknik odnosi się do nihilistycznych prądów rosyjskich, które nurtowały właśnie w friedrichshagenowskiej kolonii, a każdy z jej członków schodził za niebezpiecznego anarchistę!

Och, jak łatwo wprawić ludzi sytych w ciężki, paniczny lęk przed głodnymi obdartusami, a oni właśnie cisi i pokorni: kiedyś badał historję głodów w Europie podczas średniowiecza, uderzyła mnie jedna wzmianka kronikarska, że pewien piekarz obronił swoją piekarnię przed napadem ludzi z głodu umierających prostym „kijaszkim“.

To też nihilizm i anarchizm całej tej kolonii istniał jedynie w teorii; głęboka sympatja, jaką odczuwała dla rosyjskich „męczenników“, była li tylko platoniczną, a zresztą dla duszy

niemieckiej jest dusza rosyjska i wogóle każda słowiańska czemś tak zasadniczo obcem i niezrozumiałem, że chociażby Niemiec z wszystkich sił zapragnął i, Bóg wie, jak się mozolił, nigdy w nią wniknąć nie zdoła.

Niemiec zna tylko „*Empörung*“ — zgorszenie, ale nie zna buntu! A jeżeli się kiedy zbuntuje, to przestrasz go chwytą na myśl, co bunt wywołać może. Nigdy nie był uleglejszy i pokorniejszy, jak po swoim „buncie“, swej karykaturalnej rewolucji w 1848 r., maluczko, a ujrzenie wspaniałe owoce buntu roku 1917!

Wprawdzie zamieszkał tu Tyrteusz ówczesnego anarchizmu — Karl Henkel — rzucał gromowładne błyskawice na podłą burżuazję i wymachiwał z okrutnym impetem czerwoną chorągwią, ale uspokoił się i przycichł, kiedy zabrał z sobą żonę przyjaciela, u którego zamieszkał, i drapnął z nią do Zurychu. Zbyt niej krzywdy mu nie zrobił, bo były mąż korespondował czule w dalszym ciągu z byłą żoną.

Natomiast składał częste wizyty w Friedrichshagen anarchista, wytworny, bogaty „*Salon-Anarchist*“, John Henry Mackay, który przed niedawnym czasem odkrył — a istotnie dzięki swym rozległym stosunkom i zasobom pieniężnym, umożliwiającym mu kosztowne rozjazdy i poszukiwania w Berlinie i Londynie, — odkrył Stirnera i z zupełnego zapomnienia wydobył najaw tak kapitalne dzieła, jakim jest niechybnie utwór Stirnera: „*Der Einzige und sein Eigentum*“.

To już obojętne, że John Henry — Niemcy po on czas wypierali się swojej niemieckości i dumni byli, że rodowód swój mogli z jakiegoś innego narodu wywodzić — chełpił się tem, że jest z pochodzenia Szkotem, był nieznośnym snobem z tem błazeńskim kokietowaniem z najrozpaczliwszymi teorjami, jakimi ostatnia już nędza zbrodnie swoje usprawiedliwić pragnie, obojętne, że ten zamożny człowiek nękał istotnego nędzarza, jakim był Piotr Hille, o 20 marek, które mu kiedyś w Genewie pożyczył — trzeba być sprawiedliwym: John Henry Mackay wyrządził garstce ludzi, którzy są w stanie Stirnera w całej jego niezmiernej głębi rozumieć, olbrzymią przysługę — o ile go znam, wyrządził ją całkiem nieświadomie, bo wątpię, czy choć jedno zdanie Stirnera rozumiał — ale mniejsza o to: uratował

ten arcykapitałny utwór „Jedynego“ dla „Jedynego“ — dla Fryderyka Nietzsche.

Wprawdzie Nietzsche nigdy Stirnera nie wspomina, ale nie ulega wątpliwości, że dzieło jego znał i to znał dokładnie, bo całemi garściami z niego czerpał i tu już na nic się nie zdadzą żadne wykrety, żadne wstydlive przebąkiwania, ani też fraso-bliwe drapanie się w głowę:

Nie byłoby *Ubermenscha* Nietzschego, gdyby nie było Stirnera: *Der Einzige*.

Może jedyny Nietzsche znał Stirnera przed Mackayem, tak, jak jego znał jedyny Ola Hansson, zanim miała się na niego zwałić ohydna lawina jego późniejszych „wielbicieli“.

Och, ci wielbicieli!

Często spotykałem Mackaya u dr. Ascha — Asch był w bliskiej komitywie nieomal z całą ówczesną literaturą, — i często próbowałem dojść z nim do jakiegoś ładu.

Ale nie sposób:

Na wszystko miał tylko jedną odpowiedź:

— Przeczytaj Pan moją powieść: „Anarchiści“.

— Ależ ja ją czytałem; niestety nie znalazłem w niej tego komentarza do Stirnera, o którym Pan mówi.

— To w takim razie, zwróć się Pan do Nietzschkego.

— Pan myśli o Nietzschem?

— Nietzsche — Nietzschke, to wszystko jedno.

— Pan zna Nietzschego?

— Poco? Znam Stirnera!

A było to właśnie w tym czasie, kiedy rozczytywałem się w pismach Nietzschego.

Dotychczas zajmowałem się poza oficjalnem studjum medycyny wyłącznie psychologją: „*De l'intelligence*“ Taine'a zrobiło na mnie silne wrażenie, przestudjowałem całego Ribota, Paulhana, z niemieckich psychologów Wundta i Münsterbergera, no i oczywiście ubóstwianego po on czas Spencera — to też nie dziw, że Nietzsche swoją psychologją „naukową“ imponować mi nie mógł, bom już to wszystko znał, a i względność jego etycznych poglądów — „*Jenseits von Gut und Böse*“ — nie zrobiło na mnie żadnego wrażenia — to miałem w krwi: dawno już nie wiedziałem, co dobre, co złe, — co piękne

lub brzydkie — przestałem już operować kategorjami — co natomiast wywołało we mnie najwyższy zachwyt i podziw: to język Nietzschego.

Nie główne dzieło Nietzschego: „*Menschliches Allzumenschliches*“ było dla mnie objawieniem — zaledwie parę kartek było dla mnie nowością, — ale królewski, majestatyczny w swej bezmiernej poetyckiej piękności utwór: „*Also sprach Zarathustra!*“

Wiecie kto mógłby ten utwór na język polski przełożyć!?

Jedyny Zygmunt Krasiński!

Język Nietzschego w Zarathustrze, to język Krasińskiego w przedmowie do Irydjona i w interludjach „Nieboskiej“.

Kiedym niedługo potem miał poznać siostrę wielkiego samotnika z Marja-Sils („*il piccolo santo*“, jak go Włosi w Maria Sils nazywali) panią Elżbietę Nietzsche-Förster, która jeła głosić naokoło, że Nietzsche pochodzi z polskiej hrabiowskiej rodziny Nickich — odnalazł się nawet sygnet, przechowywany w rodzinie, z polskim szlacheckim herbem Nickich — wcale tem opowiadaniem zdumiony nie byłem, bo przecież i Nietzsche zdawał sobie sprawę z swego obcego pochodzenia, gdy pisał, że właśnie dlatego zdołał wnikać w najgłębsze tajniki języka niemieckiego i wykrzesać z niego ukryte i tajemne piękności, których przed nim nikt nie przeczuwał, że nie był Niemcem, i zawsze podkreśla swoje polskie pochodzenie.

Według opowiadań p. Elżbiety, której pochodzenie polskie przypominały tylko i jedynie jej piękne rasowe ręce polskiej szlachcianki, jakich żadna Niemka nie posiada, wywędrował praszczur Nietzschego, dysydent polski, z lęku przed prześladowaniami z Polski do Saksonji i tu osiedlił się jako pastor ewangelicki. Potomkowie jego doszczętnie się wynarodowili i zniemczyli nazwisko Nickich, herbu Radwan — na Nietzsche*).

Ale to już obojętne, ile w tem wszystkim prawdy: Polska nie ma na razie ochoty — niestety! — upomnieć się o tego syna, który byłby, Bóg wie, w jaki niesłychany sposób wzbogacił język polski, gdyby nie było mu przeznaczonem robić zdumiewające odkrycia w *terra incognita* obcego języka.

*) Dokładnie zbadał całą tą sprawę pochodzenia Nietzsche-Nickiego archiwalnie p. Szarlitt.

(NB. A z jaką łączywością odbywa się obecnie rewindykacja dla Polski Korzeniowskiego-Conrada, który przecież z Nietzschem mierzyć się nie może!).

Cud języka Nietzschego może odczuć tylko Polak — toć to najcudowniejszy język polski, przetransponowany przez geniusza na język obcy! Język niemiecki Nietzschego gwałcił niebywale niemczyznę jego czasów: czytało go się, jak obcego pisarza — język ten wywoływał zdumienie i gorący protest... Niemcy szkalują Nietzschego mianem filozofa, a on nigdy nie był, ani chciał być filozofem, brzydził się tem mianem — on był przede wszystkim i jedynie potężnym poetą i twórcą własnego, jemu tylko właściwego języka, tak, jak nim był w zakresie muzyki brat jego, Szopen.

Dla Niemca jest język Nietzschego więcej jeszcze może obcym, niż dla Francuza język Szopena.

Czytajcie choćby tylko wstęp do: „*Also sprach Zarathustra*“ — tym majestatem dytyrambicznych, natchnionych, organowych dźwięków rozporządza jedynie język polski, który największą swą mistyczną potęgę osiągnął w muzycznej parafrazie Szopena.

Język Nietzschego wydał mi się odrazu — może to wrażenie było mimo swą oślepiającą prawdę, nawskroś paradoksalnem — transpozycją muzyki Szopena.

Mało kto zdaje sobie z tego dokładnie sprawę, w jak wysokim stopniu kształtuje poczucie muzyki język artysty. Wiedział o tem Verlaine, kiedy w uniesieniu wołał: *De la musique avant toutes choses*; świadomym jest tego nieograniczonego wpływu piszący te słowa, któremu Niemcy zarzucali, że lekko-myślnie szopenizuje ich język, i wiedział o tem Nietzsche, gdy właśnie w tym czasie, w którym pisał swego Zarathustrę, jał namiętnie kochać Szopena, a w jego Barkaroli dopatrywał się najszlachetniejszego, najwznioślejszego cudu, niemającego nic równego w całej literaturze muzycznej.

Barkarola!

Ten boski, orficzny hymn — czyż możnaby go lepiej, głębiej w słowach wypowiedzieć, jak słowami Nietzschego:

„*Nie noch fand ich das Weib, von dem ich Kinder mochte, es sei denn dieses Weib, das ich liebe, denn ich liebe, liebe Dich, oh Ewigkeit!*“

Denn ich liebe Dich, oh Ewigkeit!"

Barkarola! Ta niezrównana pieśń nad pieśniami — jak łatwo ją usłyszeć w przeróbce, — genialnej wprawdzie, ale zawsze w przeróbce — w *Feuerzauber* wagnerowskiego dramatu *Götterdämmerung* i *Liebestod* w *Tristan i Isoldzie*!

Mógłbym dużo jeszcze powodów przytoczyć, dlaczego w pierwszej mej książeczynie, pisanej po niemiecku, a zatytułowanej „*Chopin und Nietzsche*“, zestawilem Nietzschego z Szopenem, ale zajęłoby to zbyt dużo miejsca, bo już musiałbym teraz rozwijać całą moc psychologicznych problematów, które w on czas w moim mózgu się kotłowały, a raczej jasno już się kryształizowały.

Pisałem tę książczynę, a raczej broszurkę, luźnymi kartkami, tak od niechcienia, bo ta niewiarogodna myśl, by to miało być kiedyś drukowane, nie powstała w mej głowie. Pisałem to dla siebie, tak ot! na marginesie dzieł Nietzschego.

Nietzsche zdawał sobie jak najzupełniej sprawę, że w swoich zamierzeniach psychologiczno-filozoficznych nie da sobie rady bez znajomości nauk przyrodniczych, to też, jak wiadomo, zamierzał krótko przed swoją chorobą udać się do uniwersytetu wiedeńskiego, by tam gruntownie zapoznać się przedewszystkiem z biologją, o której miał tylko słabiuteńkie wyobrażenie: nie dziw zatem, że wpływu na mnie wyrzeć nie mógł, właśnie w tym czasie, gdy przetwarzał w moim mózgu zasady psychofizjologii, a nawet napisałem pracę o „progu świadomości“ Fechnera — oczywiście nie dla siebie, ale dla jakiegoś pana, któremu zachciało się być doktorem, a sam tej doktorskiej pracy napisać nie umiał.

Trzeba bowiem wiedzieć, że istniało po on czas w Berlinie biuro, które bogatym doktorantom dostarczało prac, na mocy których otrzymywali doktorat.

Otóż pracą w tem biurze zdobywałem sobie środki do życia — błogosławione biuro, bo nie wiem, jakbym inaczej był się na uniwersytecie utrzymał.

Napisałem kilka tych prac; jedną o wyprawie Napoleona na Moskwę — dużo przytem zyskałem, bom poznał całą jego korespondencję z tych czasów, wydaną przez Napoleona III, — pisałem o wpływie chloroformu na organizm zwierzęcy, —

jedną pracę z zakresu histologii, a mianowicie o tworzeniu się zębów u embrjonów — inną zaś o najnowszych teoriach układu komórki organicznej — no! i wreszcie o tym progu świadomości.

Ponieważ jednak doktorant przy egzaminie w Zurychu nie miał wyobrażenia o tym nieszczęsnym progu, nie wiedział nawet że go logarytmem wyrazić można, więc sromotnie przepadł — praca jego wywołała silne podejrzenia — po nici doszło się do kłębka i jednego dnia zastałem biuro puste: pan dyrektor zdołał się w sam czas ulotnić.

A katastrofa ta przypadła właśnie na ten czas, kiedy krótko przedtem zapoznałem się z Stanisławem Grabskim, którego wtedy policja polityczna berlińska bardzo uważnie i czujnie śledziła.

Istniało wtedy w Berlinie pismo dla polskich robotników socjalistów: „Gazeta Robotnicza“, subwencjonowana przez rząd socjalistycznej partji niemieckiej, ale ciesząca się jak najzupełniejszą autonomją i w niczem przez partję niemiecką ani kontrolowaną, ani krępowaną — mogłaby równie dobrze służyć interesom międzynarodówki, jak usilnemu pragnieniu, by stworzyć odrębną socjalistyczną partję polską.

W zarządzie partji niemieckiej jedyny Auer patrzył podejrzliwie na poczynania, coraz jaśniejsze i wyraźniejsze nasamprzód za czasów redakcji Ignacego Daszyńskiego, a następnie Stanisława Grabskiego. Auerowi nie było w smak to bezustanne podkreślanie polskości polskich robotników socjalistów — to też witał nas już u drzwi ironicznym okrzykiem: „*Polen kommt! Polen kommt!*“ Bebel zachowywał się obojętnie, zbyt dobrze wiedział, że z tej maki — to znaczy z polskiego robotnika — chleba nie będzie, z całą zaś sympatją odnosił się do partji stary Liebknecht, jedna z najpiękniejszych i czci najgodniejszych postaci, jakie wogóle w mem życiu poznałem, a zachwycający był stary Singer, — bogaty fabrykant żydowski, ale wiernie „sprawie“ oddany — kiedy raz po raz sypnął ostatnim dowcipem, który posłyszał w słynnej „Börsen-Cafe“, a wiadomo, że wytwórnią najlepszych dowcipów, to — giełda.

Rychło uporała się policja berlińska z Daszyńskim, a i Grabski, poddany rosyjski, czuł, że i jego bytowania w Berlinie długo nie będzie: coraz boleśniej przygrzewała mu stopy cała

sfora szpiclów, więc w sam raz, w przededniu, kiedy go w triumfie paru szpiclów odstawilo do granicy, powierzył mi redakcję „Gazety Robotniczej“.

Ponieważ byłem pruskim poddanym, nie można mnie było wyrzucić, a ponieważ nie znałem innej religii, nad ukochanie cierpienia i nędzy ludzkiej — nie! nie ludzkiej — tylko nędzy pracujących, wydziedziczonych, oszukiwanych, wyzyskiwanych, więc z rozkoszą objąłem w „Gazecie Robotniczej“ krzesło redakcyjne.

Już Grabski ośmielił się krytykować Marksa i Lassale'a — ja poszedłem dalej.

Stara międzynarodówka polska starała się na robotnika polskiego w ten sposób działać, aby przedewszystkiem oderwać go od Kościoła i wyżyć go wszelkich wierzeń religijnych.

„Chytry Wielkopolanin“, jak mnie nazwał jeszcze w Krakowie p. Ehrenberg, obecny redaktor „Kurjera Porannego“, nie wspomniał ani razu o Marksie, ani o Lassale'u.

To Hekuba dla robotników polskich, przeważnie analfabetów.

Natomiast powoływał się bezustannie na ewangelję, na pisma Ojców Kościoła, św. Ambrożego, Tertuljana, Laktancjusza, rozpoczął walkę z konserwatywno-katolicką, nawskroś niemiecką, ale w polskim języku redagowaną prasą na Górnym Śląsku której najzjadliwszym organem był bytomski „Katolik“ p. Napieralskiego — znacie go chyba z wojennych czasów — pisał ogniste artykuły, coby się stało z Chrystusem, gdyby się teraz jawił na ziemi, a artykułem p.t. „Siedem kłamstw Katolika“, zjednał sobie chytry Wielkopolanin nawet życzliwe poklepanie po ramieniu przez Londyn!

Ale mimo to Londyn kwaśno się uśmiechał. Socjalizm bez Marksa! Socjalizm bez radykalnego wykorzenia wiary z robotnika — horror i herezja! Ale na razie trzeba było odczekać. Liczba abonentów stale wzrastała, pismo docierało i do Galicji, i do Kongresówki. Kolportowano je gorliwie w Królewskiej Hucie, Bytomiu, Katowicach, Szarleju, bom właśnie na Górny Śląsk, to główne w onym czasie zbiorowisko mas robotniczych, polskich, zwrócił całą moją uwagę: zbyt dobrze wiedziałem, że z rolnym robotnikiem w Księstwie Poznańskim nic począć nie można, ale wreszcie śnać przeholowałem. W tym samym czasie, w któ-

rym mnie w Księstwie Poznańskim wyklinano z ambon, zostałem oskarżony o „propagandę katolicką“ przed zarządem partji niemieckiej i anim się spostrzegł, a już towarzysz Mokłowski, niezmiernie zdolny architekt, który po sobie pozostawił świetne dzieło o budownictwie polskim, zajął moje miejsce.

Toby było jeszcze pół biedy.

Socjalistą w oficjalnem znaczeniu nigdy nie byłem i oczywiście być nie mogłem. Przecież nie mogłem się godzić na naiwne, tak prostacko grubo materialistyczne pojmowanie dziejów Marksa, ani też na adwokacko-ochłokratyczną politykę Kleona-Lassalle'a; nie mogły mnie głębiej zainteresować pisma samouka genialnego wprowadzie, ale najgrubszym materializmem zakajdanionego samouka, Bebla, ani też oschły dogmatyzm Engelsa... To wszystko było dla mnie za naiwne, a znowu zbyt mądre i niedościgłe dla prostaczego rozumu robotnika — więc z punktu widzenia kanonicznego socjalizmu byłem całkiem nie na swoim miejscu i Jodko-Narkiewicz miał słuszność, gdy twierdził, że artysta w polityce może tylko zamęt wytworzyć.

Tak, to byłoby pół biedy.

Ale zaszła jednak okoliczność, która mnie całkiem wytrąciła z tej drogi życia, którą iść postanowiłem.

Mój szósty semestr medycyny dobiegał do końca. Policja oddawna już mnie pilnie śledziła, ale jakoś nie mogła się do mnie przyczepić, (chytry jestem — co, p. Ehrenberg?), ale Stanisław Grabski, którego przepędzono ze Lwowa do Paryża, zjechał nagle, mimo surowego zakazu, do Berlina, by wziąć udział w wyborach na Śląsku.

Wynająłem mu w Berlinie pokryjomu mieszkanie, co stanowiło po on czas polityczną zbrodnię, i obydwaj byliśmy na tyle naiwni, żeśmy sądzili, iż go już teraz nikt nie pozna, bo nosił olbrzymie niebieskie okulary, aleśmy się pomylili.

Na drugi, czy trzeci dzień zaaresztowano Grabskiego, mnie już osadzono w więzieniu w Moabicie, a gdy mnie wypuszczono, znalazłem zawezwanie do rektora, wielkiego Virchowa, który mnie pożegnał temi słowy: „*Wenn Sie von der Universität nicht weggehen, so werden Sie gegangen*“.

Tak się zakończyły moje psychopatyczne sny o profesurze psychiatrii, bo było mojem najpiękniejszym marzeniem zostać wielkim psychiatrą!

Zawsze kochałem obłąkanych, psychopatów, degeneratów, wykolejenców, ludzi niedociągniętych, spaczonych, takich, którzy śmierci szukają, a ta ich unika, jednym słowem: biednych, wydziedziczonych dzieci Szatana, i oni mnie nawzajem kochali.

„Raté, raté-ça encore raté!”

IX.

A dawno już przeczuwał dr. Asch, że ta sprawa z „Gazetą Robotniczą“ źle się skończy.

— Co Pan pocznie, jak Pana z uniwersytetu wyleją — przecież to prędzej, czy później nastąpić musi — i nieubłaganie nastąpi.

— Nie wiem.

Milczenie.

— Niech się Pan przyzna, mnie się Pan przyznać może — Pan pisze?!

— Pewno że pisałem — tak sobie, dla siebie — mam nawet kilkadziesiąt kartek, by być *au courant* z samym sobą.

— Bardzo będę Panu wdzięczny, jeżeli mnie Pan zaszczyci tem zaufaniem i przyniesie mi to, co Pan napisał.

— Panu — tak!

I przyniosłem mu manuskrypt „*Chopin und Nietzsche*“ — uporządkowałem go dopiero jednej nocy, by Asch nie potrzebował się gubić w chaotycznych notatkach.

— Bardzo dziękuję — wieczorem przeczytam — teraz mnie ciężki połów oczekuje.

Asch był znanym ginekologiem.

Zdarzyło się, że dopiero po paru dniach go odwiedziłem. Przywitał mnie w progu:

— Oj, wesołą nowinę mogę panu zwiastować.

— Co takiego?

— Bardzo poważny nakład — Fontane et Co — będzie drukować Pańską broszurę.

Nie wiem, czym kiedy był tak zakłopotany, onieśmielony, zafrasowany...

To byłoby trudne do zrozumienia, gdyby nie to, że ja do dzisiaj uczuвам jakiś dziwny głęboki wstyd, gdy widzę wydrukowane moje nazwisko, a przecież dawno powinienem był się z tem otrząsać. Jakiś afisz mego dramatu lub odczytu fizyczny wprost ból mi sprawia, a gdy się znajdę na estradzie, kołą mnie te setki oczu, zwróconych na mnie, gdyby ostre, przykre szpilki.

Zwierzyłem się Aschowi z tej przykrości.

— Z czegoś Pan żyć musi, z medycyną już nic! teraz pozostaje dla Pana tylko literatura, a Pan pisać umie — zdumiewające, że Pańskimi pierwocinami kto inny mógłby zakończyć. Ale mniejsza o to — komplementów prawić nie będę — manuskrypt Pański zaniósłem znajomemu mi krytykowi, teraz już w Berlinie bardzo poważanemu — zna Pan jego nazwisko? Franciszek Servaes — on zaledwie zdążył przeczytać, pobiegł do znajomego nakładcy Fontane, co go wielkiego trudu nie kosztowało, bo Fontane mieszka o piętro niżej. Fontane w tej chwili wziął, a ja wydusiłem od niego nawet honorarjum w kwocie stu marek — to bardzo dużo, bo Pan wie, że „początkujący“ muszą nakładcy opłacać koszty druku!

Byłem przygnębiony tą „radosną nowiną“ — wstyd mnie dławił, bo nagle uczułem, że to wszystko com napisał, było tak bezmiernie naiwne i głupiutkie — przecież to tylko tak dla siebie na kolanie pisane!

Ale już teraz nie mogłem odwrócić biegu mego przeznaczenia: dostałem się w literaturę, a Bóg mi świadkiem, że tego nie chciałem — minąłem się z mojem powołaniem, przecież ja miałem być muzykiem, jak tego sobie tak gorąco moja matka życzyła, a już jeżeli nie muzykiem — to księdzem! A i księdzem byłbym został, gdybym był zastał na ziemi gotyk! No! psychiatrą już teraz zostać nie mogłem!

Moje prymicie na „kapłana literatury“ były jedną udręką. Omijałem ulce z księgarniami, w których mogłoby być moje dzieło wystawione na pokaz publiczny, lękałem się wziąć gazetę do ręki, by się tam nie spotkać z mojem nazwiskiem.

Jednego dnia wdrapał się na czwarte piętro po niesłychanie brudnych wschodach w niechlujnym domu — najuboższej dzielnicy robotniczej — do mego mieszkania — (he, he: pokoiczek,

który zaledwie zdołał pomieścić łóżko, stół i dwa krzeselka) słynny już wtedy krytyk, Franciszek Servaes.

— Nie przyszła góra do Mahometa, przyszedł Mahomet do góry — powiedział żartobliwie — swoją drogą przyznam się Panu, żebym tej podróży na Wedding nie odbył — br! co to za dzielnica, pierwszy i ostatni raz ją widzę! — gdyby nie usilna prośba Oli Hanssona, serdecznego mego przyjaciela, bym Pana mu, o ile możliwe, żywcem przyprowadził. Dziś jadę — niech się Pan zbiera — Hansson chce koniecznie poznać człowieka, z którym wreszcie tu w Niemczech będzie się mógł porozumieć — kartka, którą mi pisze, nie jest pochlebną dla nas, Niemców, ale widzi Pan, ja tę pigułkę przełknąć mogę, ja pochodzę z Holandji.

Ola Hansson!

Zadrzałem z lęku, że mam stanąć wobec tego człowieka, który już oddawna był dla mnie czemś — jestem w kłopotcie, by określić, czem był dla mnie po on czas Ola Hansson.

Prawda: on sam stworzył miano na tę bezmierną wartość w swym zbiorze krytycznych *essays* pod tytułem „*Seher und Deuter*“, książki świetnie przetłumaczonej przez Stanisława Lacka na język polski — pod tytułem, jeżeli się nie mylę: „Jasnowidze i prorocy“.

I tem był już oddawna dla mnie Ola Hansson!

Z głęboką miłością pisałem o nim w drugim tomiku: „*Zur Psychologie des Individuums*“ — nie potrzebuję się zatem tu dłużej rozwodzić, jak wielką rolę odegrał w mojem życiu umysłowo ten człowiek i artysta, z najszczerzego złota ukuty.

Nie w tem znaczeniu, by mnie pchnął na jakieś nowe tory — to było wykluczone, bo już wtedy byłem zbyt samoistnym, by podlegać obcym wpływom, ale swojemi często i gęsto po wszystkich czasopismach niemieckich rozsypanemi, głębokimi i wytwornemi artykułami podbudzał mój mózg do coraz usilniejszej pracy: jedna jego wskazówka wystarczyła, bym tygodniami całemi starał się dotrzeć do jądra rzeczy, uzupełniał i pogłębiał to, co już wiedziałem, a szukał dokładnej wieści o tem, o czem tylko napomykał i wspominał jako o rzeczy dla niego dawno już znanej, a całkiem obcej nietylko dla mnie, ale i dla całej rzeszy literackiej w Niemczech.

I nie tylko w mem życiu umysłowem odegrał ważną rolę, ale i w całej literaturze niemieckiej pomiędzy 1880 do 1890 zapisał swe nazwisko niezatartemi głoskami.

Przecież on Niemców nauczył, a przynajmniej pragnął nauczyć, bardzo trudnej sztuki: pisania tego, co się *essay* nazywa. Język jego, niezmiernie suggestywny, wnikliwy, ostry i giętki, jak najszlachetniejsza stal toledańskiego floretu, był czemś tak zdumiewająco nowem, że język niemieckiego pisarza wydawał się w porównaniu z stylem Hanssona ordynarnem rąbaniem ciężkiego rapiru niemieckiego bursza.

A poza tem wkroczył ten młody Szwed na arenę literatury niemieckiej z bogatym i olśniewającym rynsztunkiem europejskiej kultury.

Podczas dłuższego pobytu w Paryżu poznał wszystkie prądy literackie w Francji, kiedy już naturalizm tam likwidował swoje rachunki, a w Niemczech dopiero o nim przebąkiwać poczęto; napisał cały szereg świetnych sylwetek najmłodszych pisarzy francuskich; pisał o Rimbaudzie i Verlainie, z entuzjazmem kreślił wspaniałe portrety duchowy Barbey'a d'Aureville, a jeżeli dziś ktoś w Niemczech z głęboką czcią wspomina Huysmansa — jedynie jemu ma do zawdzięczenia.

Zapoznał Niemcy z Nietzschem i Stirnerem, boć biedny Mackay nie wiedział, jakie przepastne głębie straszły w twórze, przez niego wydanym, odsłonił zdumionym oczom ponurą piękność Edgara Poe i duszę rosyjską w jej najszlachetniejszym przejawie, jakim jest twór Garszina.

On odtwarzał swoją zdumiewającą intuicją, jakimś niesłychanie głębokiem wniknięciem w dany twór, wszystko to, czego pisarz nie wypowiedział, ale co głębszą pięknoscią kwitło między linjami — zapominał czasami o twórze samym i jał na dany temat pisać precudowne warjacje i tak narzucał duszy czytelnika z wizjonerską siłą portrety Strindberga, Arne Garborga i tych wykołajeńców, i potępionych, i wyklętych, jak Arne Dyb-festa, lub Hansa Jaegera.

Dusza nawskroś arystokratyczna i o takiej wysokiej kulturze brzydziła się niepomierne płaskim poziomem kultury niemieckiej (— nie miał może Hauptmann więcej niebezpiecznego, bo pobłażliwie uśmiechniętego, wroga od niego — o Sudermanie

wogóle nie wspominał —) ale z pokorną i głęboką czią rozkochał się w akwafortach Maksa Klingera i to do tego stopnia, że za pieniądze, któremi miał zapłacić gwałtowny jakiś weksel, kupił sobie przypadkowo w jakimś wystawowym oknie wystawioną akwafortę Klingera:

W brudne i błotniste łożysko ziemi zjeżdża na dwóch delfinach para kochanków w świętym i namiętnym uścisku, a na nich sypie się grad kamieni!

Każdy jego artykuł był dla mnie objawieniem — własnej mej duszy. Czegom jeszcze wypowiedzieć nie umiał, bo zbyt mało przeżyłem i zbyt skąpo byłem obeznany z tem, co mi było tak nieskończenie bliskie i pokrewne, czegom jeszcze nie zdołał sobie uświadomić, choć to już wszystko na progu świadomości ostatniego zbawczego słowa wyczekiwało, to mi wszystko powiedział Ola Hansson i ten *Seher i Deuter* wskazał drogę nieśmiałym barankom — myślom moim — kędy jest ich państwo.

Byłem opętany tym wielkim artystą, budzicielem dusz i jasnowidzem — z ciężkim trudem wystarałem się o dwa małe tomiki jego własnej twórczości: *Sensitiva amorosa* i *Parias*, a nie pomnę, bym kiedyś czytał cokolwiek z równem nabożeństwem, jak te dwie małe książeczyny ubóstwianego przeze mnie pisarza.

Poza tem — trzeba pamiętać, że wiedza, a szczególnie wiedza przyrodnicza, która w onym czasie świeciła swoje najwyższe triumfy, nie tyle mi imponowała, ile była istotnie moją prawdziwą duszną potrzebą — poza tem rozporządzał Ola Hansson niezwykle rozległą wiedzą — a przedewszystkiem w zakresie psychofizjologii i biologji — stąd jego przedziwne porównania, czerpane z wiedzy przyrodniczej — i w tem, jedynie w tem, byłem jego uczniem i przyjąłem w pierwocinach mojego tworu jego metodę pisania.

Tem się tłumaczy natłok przyrodniczej wiedzy w moich pierwszych książkach, a może najwięcej w mojem pierwszym dziele *Totenmesse* — w polskiem tłumaczeniu: *Requiem aeternam*.

Snać odczuł to Ola Hansson, który z energją, graniczącą z zaciekłością, starał się połączyć, a raczej skojarzyć linję przy-

rodniczo-filozoficznego myślenia z twórczo-intuitywną, poza-mózgową siłą, kiedy napisał o mojem pierwszym twórczem dziele niemal entuzjastyczne sprawozdanie: on jeden znał do-
szczerźnie istotę mej twórczości.

A tą istotą: zimna, twarda, a może nawet i brudna ruda żelaza, bezustannie topiona w piecu o tysiącu stopniach gorąca.

Hands off! Bo się sparzysz!

I ten człowiek — nie doszukacie się go w żadnej historii literatury, nie znajdziecie go w żadnym Conversations-Leksikonie — wydaje mi się być jednym z tych „*Certains*“, przed którymi ludzkość może za jakie 50 lat korzyć się będzie, o ile znajdzie się znowu jakiś Ola Hansson, który go odnajdzie.

A zdumiewające: ten człowiek, który w każdym słowie, jakie napisał, był zaciekłym anarchistą, wywrotowcem, ale tylko takim, jakim może być jakiś wytworny i wielki pan — ten człowiek był w całym swoim życiu cichym, spokojnym i dziwnie pokornym — pokorą geniusza.

A było, że się nagle usta jego zacisnęły, mięśnie twarzy jęły się kurczyć i drgać, cała postać jęła się kurczyć, a palce rąk bębniły niesamowicie na stole jakąś złą fanfarę, ale tylko wtedy, gdy mowa była o Szwecji, która swego — może najszlachetniejszego syna — wyżeniła.

Z bijącym sercem przekroczyłem próg małego domku, w którym Ola Hansson zamieszkiwał wraz z swoją żoną i dwuletnim synkiem.

Powitanie było proste, bez żadnej serdeczności — Szwed nie umie być serdecznym, ani wylanym, nie robi nigdy żadnych komplementów, co najwyżej zaznaczy lekkim uśmiechem, czy gościowi jest rad lub nie.

Servaes znał Hanssona już dawniej, przecież umyślnie do niego pielgrzymował, kiedy Hansson mieszkał jeszcze w swej ojczyźnie — na wybrzeżu południowej Szwecji, niedaleko miasta uniwersyteckiego Lund, to też między nimi zawiązała się szybko rozmowa, której byłem niemy słuchaczem — miałem czas ochłonąć i nabrać odwagi.

Uderzyła mnie piękna i szlachetna postać Hanssona. Ponad miarę średniego wzrostu, szczupły, o delikatnej, rasowej twarzy, przez którą raz po raz przebiegał lekki skurcz, zwłaszcza

gdy się ożywia!ł, robił już na pierwszy rzut oka niezmiernie ujmujące wrażenie. Miał mi go w kilka lat później przypominać ś. p. Włodzimierz Tetmajer i istotnie: ile razy patrzyłem na ukochanego Włodka, tyle razy stawał mi w pamięci Hansson, to znaczy syn chłopu Hansa.

Tylko, że chłop szwedzki, to nie chłop polski, a przynajmniej nie ten, którego my chłopem nazywamy. Każdy z nich niemal może się wykazać wysoką kulturą, uniwersyteckiem wykształceniem, a ich „gaardy“ nie różnią się w niczem od dworaków zamożniejszej naszej szlachty. Wszędzie znajdziesz tam i zasobną bibliotekę, i fortepian, i wszystko to, co się tylko u północnych narodów napotyka: pedantyczną niemal czystość i prostą, ale troskliwą wygodę.

Chłop skandynawski jest w sobie zamknięty, mówi mało i skąpo, a skrajnie konserwatywnego elementu, jaki przedstawia chłop skandynawski, nie znajdzie się chyba nigdzie — bo słynny konserwatyzm angielskiego chłopu jest tak fatalnie pomieszany z obrzydliwym *cantem*, że wydaje się wobec skandynawskiego szczerego i prostolinijnego konserwatyizmu — wstrętną obłudą.

To też nigdzie może nie ściga „chłop“, bo nigdzie niema tej prawomocnej siły i możności ku temu, wszystkich objawów ewolucyjnych — nie mówiąc już o rewolucyjnych — czy to w religii, czy w polityce, czy też w sztuce z taką surową zacięłością, jak w Skandynawji.

Nieubłagane są te chłopskie rządy — garść szlachty szwedzkiej mało co wchodzi w rachubę — dla wszelakiej wybujałości, śmielszych zapatrywań, wogóle dla wszystkiego, co ponad zwykłą normę wyrasta.

Każdy jakiś śmielszy utwór wywołuje już nie burze, ale huragany oburzenia, prześladowań i nigdzie nie można się silnemu i odważnemu artyście tak łatwo dostać na listę proskrypcyjną i znaleźć się całkiem poza nawiasem społeczeństwa, jak właśnie w Skandynawji.

Ibsen musiał z Norwegji uciekać i pół życia strawił zagranicą, a jeżeli dramat jego „Podpory społeczeństwa“ — w którym z zajądlą wiernością odtwarza stosunki towarzyskie i społeczne w Norwegji (i z tego punktu widzenia, to znaczy obyczajowo-

wego, posiada dużą wartość) wywołał grozę i najwyższe oburzenie, to dramat jego „Upiory“ stał się przyczyną niebezpiecznego wrzenia w całym społeczeństwie.

Trzeba było długich lat, w których Ibsen wywalczył zagranicą to ogromne *préstege* dla sztuki skandynawskiej, jakiem się jeszcze obecnie cieszy, by Ibsen mógł na starość zamieszkać w swej ojczyźnie.

Trzeba było na to głosu całej Europy, by Norwegja zrozumiała, jaką „*magna pars*“ majątku narodowego przedstawia Ibsen.

I Arne Garborg musiał się tułać długi czas zagranicą, zaczętem mu wybaczone pierwsze jego i to najcięższe powieści — Hans Jäger zdołał umknąć w przeddzień aresztowania go za jego książkę: „*Christiania-Boheme*“, a malarz Christian Krogh, również doskonały pisarz, mocno otarł się o kryminal za swoją powieść: „*Albertine*“.

W Szwecji szczytno Strindberga przez całe życie, dopóki nie dostał obłędu prześladowczego; liryka wielkiej miary Frödinga unieszkodliwiono w domu obłąkanych, a Ola Hansson był już po napisaniu pierwszego swego tomiku nowel: „*Sensitiva amorosa*“ zmuszony czem prędzej ojczyznę swoją opuścić.

Nie lepiej postępowała Danja: Gustawa Wieda stawiano ustawicznie pod pręgierz, w niczem ni lepszy ni gorszy, jakim swego czasu Anglja ukarała Daniela Defoe. Herman Bang znalazł wkońcu przytułek w Ameryce, a wspaniały liryk Holger Drachmann nie opuszczał do końca życia — Hamburga.

Zresztą cóż to mówić o Skandynawji — czy w jakim kraju dzieje się inaczej?

Właściwie są to jałowe oskarżenia, a jeżeli o nich mówię, to jedynie na uniewinnienie Polski, której zarzucają, że ona tylko „krzyżowała“ swoich twórców.

A czasby już rozwiązać zabawną i dziecinną legendę, na jakie wyże zostałyby wyniesiony ten lub ów zapoznany w Polsce artysta, gdyby był się urodził Francuzem, Niemcem lub Anglikiem, albo też Skandynawem.

Pierwszy Żeromski otrzymałby za swoje „Dzieje Grzechu“ co najmniej dwa lata więzienia w Stokholmie, Daniłowski za swoją „Magdalene“ zostałby skazany w Christjanji na ciężkie roboty, za „Legandy“ wysłanoby Niemojewskiego w Kopen-

hadze do jakiejś kolonii zamorskiej, by go unieszkodliwić, a Bóg mnie ustrzegł przed losem Oskara Wilde'a, gdybym był jako Anglik napisać: „*De profundis*“.

I uporczywie powtarzam, nie wiem już który raz: Polska jest stanowczo najkulturalniejszym narodem w Europie, inna rzecz, że nie była w stanie swym twórcom zabezpieczyć materialnego bytu.

Tak przecież barbarzyńsko nie postępłaby Polska nawet w okresie najzapalczywszej walki przeciw t. zw. modernistom, jak postąpiła Danja, kiedy krytyka, który pochlebnie ocenił wyklęte dzieło Hansa Jaegera: „*Syg Kjaerlighed*“ (Chora miłość), skazała na trzy miesiące więzienia za samo napisanie krytyki! Z tego to „raju“ twórców, według zapewnień naszych krytyków i niedocenionych, albo wskutek tego, że czas swój wyprzedzili, niepopularnych, a więc mało poczytnych poetów, zdołał w sam czas zbiec jeden z najpiękniejszych synów Szwecji w przeddzień procesu o „*Sensitiva amorosa*“ — Ola Hansson.

Pisałem „jeden z najpiękniejszych“ i mogłoby się to wydać frazesem, ale tak jest w istocie. Hansson był piękny, nie tylko jako artysta, ale i jako człowiek. A to jest właśnie przekleństwem Szwecji, wywołanem oczywiście tym dzikim terorem, jakiemu twórca szwedzki ulega i ulegać musi, że Szwed, im większym talentem obdarzony, tem łatwiej podlega chorobie, graniczącej z *moral insanity*. Długo i szeroko rozprawialiśmy na ten temat przed paru laty z wybitnym duńskim pisarzem Rassmussenem.

Ola Hansson pod tym względem był nieomal wyjątkiem — naiwny, jak dziecko, szczery, bez odrobiny jakiegoś fałszu, prostolinijny w życiu — on właśnie o niezmiernie skomplikowanej duszy — siedł przez to swoje biedne życie jakby w somnambulicznym śnie, a charakteryzuje go to, co o nim żona jego — znana jako wybitna pisarka pod pseudonimem: Laura Marholm — mi mówiła:

„Nie znam artysty, któryby był w stanie tak się w sobie skupić, tak ogłuchnąć i oślepnąć na wszystko, co „zewnątrz“, jak Olinka — Laura Marholm pochodziła z bałtyckich prowincyj, z Estonji, i od Rosjan nauczyła się zdrobnień imion. — Dzieci całego przedmieścia wyprawiają harce przed naszymi

oknami — krzyk i hałas przez cały dzień: Olinka nic nie słyszy i spokojnie pracuje. Mały Ola — syn Hanssona — pląta mu się między nogami, a on nawet nie zauważy, że dziecko jest w pokoju“.

I Olinka był całkiem bezradny w życiu — nic go tak nie przestraszało, jak myśl, że będzie musiał się o jakieś honorarium upomnieć, że będzie musiał się z jakimś nakładcą spotkać i z nim pomówić, zetknąć się wogóle w jakiś sposób z rzeczywistością.

Gdyby nie pani Laura, możeby się już wtedy z nim to stało, co Hansson opowiada o Edgarze Poe — nie byłby w stanie zanieść manuskryptu do redakcji z braku przyzwoitego odzienia.

A pani Laura była energiczną, nie pozwalala go okradać i oszukiwać, ubóstwiała swego Olinke, a tłumaczenie jego rzeczy na język niemiecki — Hansson pisał wyłącznie w języku szwedzkim — sprawiało jej, jak mówiła, najwyższą radość — ona właśnie, niezwykle utalentowana pisarka, która miała dużo, dużo do powiedzenia, nieskończenie więcej, aniżeli rozlaźla Ellen Key, znajdowała najwyższe szczęście w tłumaczeniu tworu swego męża.

I pani Laura — doskonały psycholog — zrozumiała i musiała ocenić moje onieśmienie — wciągnęła mnie dyskretnie do rozmowy, zwolna się opanowałem — dobrze mi było w tej pracowni Hanssona, w której nic nie było prócz prymitywnych półek, zawalonych książkami, stołu do pisania, nad którym wisiała wspomniana już przeze mnie akwaforta Klingera i paru stołków; to też po upływie jakiejś godziny odnalazł snąć Ola Hansson tego człowieka, którego tak pragnął poznać, bo coraz baczniej i życzliwiej jął mi się przyglądać i z natężoną uwagą słuchał moich wywodów, a gdy pani Laura zaproponowała przechadzkę po pięknym lesie, do którego domek Hanssona przylegał, wysłała nas obu naprzód. „Tam się najlepiej odnajdziecie“, powiedziała z mądrym uśmiechem, „p. Servaes dotrzyma mi towarzystwa“; odnaleźliśmy tu się tak gruntownie, żeśmy się o dwie godziny na obiad spóźnili.

Z jaką głęboką wdzięcznością i miłością wspominam te długie — długie godziny, które sam na sam z Hanssonem prze-

pędziłem — różnica wieku wcale nas nie dzieliła, mimo, że był o dwanaście lat starszy ode mnie, ale łączyła nas dziwna jakaś wspólnota dążeń, pragnień i tego samego ukochania tych samych problemów, które jego i mój mózg po on czas tak intensywnie zaprzętały.

Pewno, że literacką kulturą swoją stał o wiele wyżej ode mnie, wzamian zato dawałem mu jako poparcie i *pied à terre* zasób mej wiedzy przyrodniczej i znajomości współczesnej nauki psychologii i psychiatrii, a co go przedewszystkiem zajmowało obeznanie z sugestją i hipnotyzmem: przecież właśnie Ola Hansson usiłował wytworzyć syntetyczną całość z ścisłego rozumowania empirycznego i intuicyjnego, uczuciowego, podświadomego życia psychicznego.

Nie wiem, czym kiedy doznał tak głębokiego wstrząsu i dumy i szczęścia, jak w chwili, gdy mi Hansson powiedział: „Pan jest pierwszym człowiekiem w Niemczech, z którym całkiem i bezwzględnie porozumieć się mogę.“

Odnalazłem siebie.

Nabrałem odwagi — tego dnia zmęźniałem psychicznie.

Przecież to Hansson, jedyna moja wyrocznia na on czas, potwierdził mi sakramentalnie to wszystko, z czym się łamałem, potwierdził myśli, których lękałem się wypowiedzieć, sposób patrzenia na ludzi i życie, z jakim nie śmiałbym się przed nikim zdradzić, by mnie nie wyśmiano, a niczego tak się nie lękałem jak ośmieszenia, — a moja teoria o tym tajemniczym węzle wszystkich zmysłów, w którym dźwięk na barwę się przetwarza, powonienie dotknięciem się staje, a hieroglif uczucia mieni się całą tęczą barw i brzmi rozległą skalą dźwięków, nadawała się w sam raz do bezlitosnych kpin, których mi swoją drogą w późniejszym życiu oszczędzić nie miano. I już wtedy kiełkowała we mnie i coraz wyraźniejszych kształtów nabierała moja nauka o „nagiej duszy“ i już wtedy zmagalem się z zasadniczym pytaniem, które ostatecznie rozstrzygnęło o mojem dotychczasowem materialistycznym pojmowaniu świata: co jest pierwsze: organ czy funkcja? czy pragnienie chwytania wytwarza organ, jakim jest ręka, czy też naodwrot?

Ile mnie to zmagać kosztowało, zaczętem wziętem rozbrat z darwinizmem, a jaką walkę stoczyć musiałem z samym sobą,

zaczem zdołałem uznać mózg nie jako siedlisko duszy, ale za proste i to bardzo bierne narzędzie duszy, zaczem wywalczyłem w sobie pojęcie duszy, jako „transcendentalnego subjektu“ — daleko później miałem się o tem dowiedzieć, że tak nazywał samoistną, niezależną od ciała duszę słynny okultysta niemiecki Du Prel, jak również daleko później dowiedziałem się, że Mickiewicz, w wielkiej mierze uczeń mistyków niemieckich, a w szczególności Böhme, już na pięćdziesiąt lat przede mną użył terminu „nagiej duszy“, duszy wyzwolonej z pęt ciała i wyswobodzonej z pod sromotnego jarzma mózgu i zmysłów.

Pod wieczór przyszło w odwiedziny kilku przedstawicieli „Nowych Niemiec“, zamieszkałych stale w Friedrichshagen: Bruno Wille, Wilhelm Bölsche, bracia Hart, Juljusz i Henryk.

Friedrichshagen, bardzo piękna miejscowość — właściwie małe miasteczko na wschód od Berlina, położone nad całym szeregiem jezior — Müggelseen — otoczone pagórkami — Müggelberge — wrzynające się w rozległe, piękne lasy sosnowe, tak, że każdy dom niemal możnaby uważać jako leśniczówkę, takż i domek Hanssona — to Friedrichshagen było po on czas niejako literackim programem.

Jeżeli mówiło się o Friedrichshagen, to nie o jakiejś miejscowości, ale o literackich prądach „Młodych“, a raczej „Zielonych“ Niemiec, bo złośliwa krytyka niemiecka zrobiła z *Jung-Deutschland* — *Grün-Deutschland* — a najgłówniejszymi przedstawicielami tych Młodych Niemiec byli właśnie bracia Hart, Wille i Bölsche.

Oni wszyscy wynieśli się z „kamiennego morza“ wielkiego miasta: niemożliwem i zabójczem było dla nich życie „bez natury“, czysty estetyzm kulturalny zadowolić ich nie mógł; tu na łonie natury, wśród lasów i jezior zapragnęli ukojenia i ciszy, bo każdy z nich był przede wszystkim filozofem i wszystkimi korzeniami tkwił w mistycyzmie Hölderlina, Novalisa, Fechnera, a każdy z nich szukał dla siebie wyzwolenia — nie w sztuce, mimo, że pisali niezliczone tomy liryk i powieści — ale w uszczęśliwianiu ludzkości.

Trudno było się z nimi godzić, jeżeli patrzyło się na nich jako artystów, ale na najwyższy szacunek zasługiwali jako pedagogzy tłumu, kulturalni socjaliści, ludzie, którzy w ciężkim

znoju wywalczali dla roboczego tłumu jakiś wyższy stopień rozpoznania i wyższy i szlachetniejszy światopogląd. A wszyscy namiętni wyznawcy społecznych idei, wielbiciela przyrody i to w tej przesadnej formie, jaka charakteryzuje sentymentalną epokę niemieckiego romantyzmu na początku 19-go stulecia — widziałem przecież, jak się chwyтали za ręce i obtańcowywali jakiś stary dąb i stroili kapelusze dębowymi liśćmi i wyśpiewywali hymny na cześć ludzkości, wolności, braterstwa — och! jak oni naiwnie się bawili, a co najważniejsze: bawić się umieli.

Baryłka piwa „*avant toute chose*“ — piwa, dużo piwa, parę dziecinnych dowcipów, bezdennie głębokie i bezdennie nudne teoretyczne wywody o ludzkości, sztuce, etyce, wygłaszane rozpaczliwą terminologią Hegla i Schellinga — namiętne kłótnie o systemy i systemaciki, ustawiczne wzajemne bezlitosne wykpiwanie siebie — i znowu piwo, i piwo: ponętnem nie było to towarzyskie życie w Friedrichshagen, a już jeżeli dla kogo całkiem obce — to dla Hanssona.

Każdy z artystów niemieckich, choćby i najkulturalniejszy nie wyzbywał się narowów niemieckiego „bursza“, chępił się swoją posiekaną twarzą, swoim *burschikös* obejściem, nie mógł się obyć bez rannego *frühschoppen*, który mu już na cały dzień paru kuflami piwa mózg zaćmiewał, a zdumiewający brak domowego wychowania — byli to ludzie przeważnie z niższych sfer społeczeństwa — i brak towarzyskiej ogłady utrudniał niezmiernie przebywanie obcego i „nieprzyzwyczajonego“ w towarzystwie tego „*Jung-Deutschland*“, zwłaszcza, gdy już drugą lub trzecią baryłkę piwa — „*Achtel*“ — w triumfalnym okrzyku na stole ustawiono.

Kobiety nie brały żadnego udziału w tych zebraniach niemieckich artystów. Były to przeważnie kobiety, które trudniły się wynajęciem mieszkań, a całym swoim zarobkiem, nawet stołem i łóżkiem dzieliły się z nędzarzem-artystą — a pięknie to o nim świadczy, jeżeli się w danym razie z nią ożenił, choć nie była w stanie jednego zdania rozumieć, które jej mąż napisał — były to szwaczki, które mu ostatni grosz oddawały, a nie było wypadku, by artysta jej zaufanie zawiódł — dawał jej swoje nazwisko, dzieci adoptował, ale to nie wszystko, co mógł zrobić — przecież bywały wypadki, że artysta nawet i pro-

stytutkę wyzwolił z pod straszliwego jarzma nadzoru policyjnego — a to chyba dosyć!

W umysłowym życiu artysty kobieta niemiecka przeważnie żadnego udziału nie brała, brać nie mogła, a na jej plus-konto zapisaćby można, że nie miała żadnych pretensyj, by jakąś rolę w życiu swego męża odgrywać.

Była trzykrotnem „K” — tem właśnie, czego Wilhelm II od kobiety niemieckiej wymagał: *Kind, Küche, Kirche!*

Historyk literatury niemieckiej z tego czasu nie będzie miał kłopotu z „kobietami”, które jakąś rolę odgrywały w życiu ówczesnych artystów: kucharki, szwaczki, co najwyżej nauczycielki szkół ludowych — i to bardzo rzadko — parę prostytutek, które nigdy niemi nie były, bo i w prostytucji może kobieta zachować najwyższą czystość, a swoją drogą nigdy nie zatraciła tego w trzykrotnem „K” wyrażonego ideału kobiety niemieckiej.

Właściwie nie była wrzekoma ewolucja, jaka się dokonała między 1880—1890 rokiem w Niemczech, żadną rewolucją literacką. Niema ani jednego dzieła w całej literaturze niemieckiej, któreby można uważać za coś przełomowego.

Jung-Deutschland żyło przeważnie okrucami królewskiego stołu, jaki dla niego Francja, Rosja, a przedewszystkiem Skandynawja zastawiła.

Zola, Zola! To był okrzyk bojowy naturalizmu, a raczej konsekwentnego realizmu niemieckiego — zachwycano się Maupassantem, raz po raz ktoś przebąknął o Huysmansie — czytano Dostojewskiego, Tołstoja, ale najwięcej przypadał do gustu Turgenjew — niezliczona moc krytyk pojawiła się w gazetach i czasopismach niemieckich o Ibsenie, Björnsonie, Kjellandzie, Jacobsenie — ale Niemcy nie mieli nic, coby tym koryfeuszom obcych literatur mogli przeciwstawić.

Nie chcę być niesprawiedliwym, ale całe to *Jung-Deutschland* było w gruncie rzeczy czemś fatalnie jałowem, żyjącem z łaski z drugiej ręki.

Jeżeli któryś z ich przedstawicieli sięgnął głębiej — niechybnie potrafił o Goethego. I bardzo charakterystycznym było powiedzenie Beera-Hoffmanna, który znowu był przedstawicielem *Jung-Wien* (Młodej Austrii):

— Słyszałem, że pan zbytnio Goethego nie uwielbia, ale trzeba panu wiedzieć, że żaden z nas nie położy się do łóżka, zanim nie przeczyta przynajmniej dziesięciu stron z pism Goethego — a czemuż jest nasz Ludwik Hoffmannsthal? — wszak to tylko odświeżony starczy Goethe, a nasz Herman Bahr? Przecież to tylko wcale niezła klisza młodego Goethego, a może nawet i tego, który poznał Napoleona i tak się do niego rozpalil, że zamyślał przenieść się do Paryża.

A fatalny bigos powstał w niemieckiej literaturze, gdy chciano w jakikolwiek sposób skojarzyć Goethego z Zolą, Turgenjewa z Spielhagenem, a biednego Hauptmanna z Ibsenem!

Właściwie nie przeżyła *Jung-Deutschland* tej wielkiej przełomowej chwili, którą nazwą „naturalizm“ ochrzczono: ta *Jung-Deutschland* ubóstwiała francuski i skandynawski naturalizm, ale nie pozostawiła ani jednego istotnie „naturalistycznego“ dzieła po sobie, chyba że się pod tę szufladkę skatalogują powieść Bleibtreua „*Grössenwahn*“, lub Conradiego „*Adam Mensch*“ — reszta dokumentów z tego czasu „naturalizmu“ niemieckiego dawno przestała istnieć.

Jeżeli coś na coś wogóle zakrawało, to wszystkimi szparami Goethe wyłaził: „*Goethe, Goethe, und kein Ende*“! I poza Goethego Młode Niemcy wyjść nie zdołały.

Niemcy przeżywały intensywnie wszystkie prądy literatur Zachodu, Północy i Wschodu, ale twórczo nie brały żadnego w nich udziału — całkiem, jak u nas w Polsce: jeżeli mowa o naturalizmie, tośmy mieli chyba jedyną jego przedstawicielkę: Gabriellę Zapolską.

Trudnoby opisać całą tę materjalną nędzę, w jakiej ta kolonja niemieckich „światoburców“ żyła. A publiczność niemiecka była tak niesłychanie zacofana, że tych „konsekwentnych realistów“, łagodnych i oswojonych „naturalistów“ uważała za światoburców. Przecież wystawienie „Upiorów“ Ibsena na niemieckiej scenie wywołało większe jeszcze zgorszenie, niż reprodukcja rzeźby wielkiego twórcy Vigelanda, chluby muzeum państwowego w Trondhjem (Norwegja) w „Życiu“ krakowskiem za mojej redakcji, z tą tylko różnicą, że „Upiory“ mimo wściekłych protestów zostały na scenie, a konfiskata całego nakładu „Życia“ przyspieszyła jego skon.

Każde śmielsze wyrażenie ściągało na artystę niemieckiego piekielne gromy oburzenia, a pamiętam, jaki huragan powstał w krytyce niemieckiej, gdy jakiś bohater powieści „wyżygał z obrzydzenia duszę“.

A każdy z tych światoburców i bardzo łagodnych ideologów-teoretyków, który o głodzie i chłodzie wyzwał ludzkość, głosił trzeci testament dla proletariatu i był gorącym wyznawcą mesjanizmu Marksa-Lassalle'a.

Bruno Wille był przez parę lat ruchliwym agitorem socjalistycznym, organizował masy robotnicze, stworzył dla nich „*Freie Volksbühne*“, wygłaszał dla nich odczyty, recytował swoje wiersze, przeprowadzał doszczętną reformę ludzkości. Toż samo czynił Wilhelm Bölsche, w nieporównanie większym mierze przyrodnik i filozof, aniżeli poeta, fantastyczny wielki Haeckla i entuzjastyczny propagator „monizmu“. Zbawicielem ludzkości pragnął też być Henryk Hart i całe życie strawił na pisaniu olbrzymiej epopei: „*Lied der Menschheit*“ ale dotarł tylko do Mojżesza. Z motyką na słońce wyruszył brat jego, Juliusz, i z pomocą Hegla i Fechnera kruszył ałkaliptyczne pieczęcie — Arno Holz przewracał do góry nogami wszystkie zasady romantycznej i klasycznej liryki i pisał według nowych teorii poematy, od których niemieckim krytykom żółć pękała, a które teraz mogą co najwyżej pobłażliwy uśmiech na usta wywołać:

Parturiunt montes, nascitur ridiculus mus! — Jeden z nich był wśród nich, który drwił, kpiał i wiecznie się śmiał, a ponieważ stale miał czczy żołądek, więc parę kieliszków starczyło już dniami całymi nie wychodził z „*rauschu*“ — Paweł Scheerbarth — a ponieważ zdradził się przede mną, że urodził w Gdańsku i jest pochodzenia kaszubskiego, więc ochrzci go uroczystie nowym nazwiskiem: Paweł Szczerba, który twór jeden jedyny krytyk umiał ocenić — Adolf Nowaczyński.

Jaki Scheerbarth był zdziwiony niesłychanym powodzeniem dramatu Hauptmana „Tkacze“! „Przecież codziennie wyczytują te hece w „*Lokal-Anzeigerze*“ a nikt się nie dziwi a tu nagle hałas, rwetes, jakby się ziemia zapadała. Och, potężny dramat mógłbym stworzyć, gdybym przedstawił żółtych portowych robotników w Gdańsku, a ojciec mój był „bov

(pijak nałogowy) „łajdak“ — „londrus“, „o właśnie kocham — ale pisać o tem — a! fe!“

„Weltgeist, wo bist du?“

Więc zamiast pisać „robotnicze hece“ pisał o kometach, które pojawiły się w 1848 roku, pisał o ciałach niebieskich, które w ciężkich delirjach wyrwały się z swych torów, a gdy po trzecim kieliszku zwał się z nóg, bił pięścią o podłogę i płakał, i jęczał:

„Weltgeist — wo bist du?!“

Taka to sobie anegdota — wprawdzie autentyczna, ale anegdota — czyżby tylko to? Poza tem wszystkim tkwił nim rozpaczny smutek i wytworność wielkiego pana, który niechem dławi piekielny ból życia. O, jak on umiał cudownie się śmiać w najniestychańszych tonacjach — u niego poznałem wszystkie gamy śmiechu i w Dur i Mol, a nigdy się nie zdradził — czasem tylko błysnął lęk w jego oczach, czy po powrocie do domu nie otrzyma od swego „niedźwiedzia“ — „Bär“ — tak nazywał swoją towarzyszkę, która w ciężkim trudzie zarabiała na życie swoje i jego — porządnym ciągów.

Wyobrażam sobie los tej, faktycznie do Szczerby przywiązanej istoty — przecież Scheerbarth chciał się, że przez całe życie — a miał wówczas 30 lat — zarobił ogółem 200 marek.

A nawet tyle nie zarobił jeden z najciekawszych a najmniej znanych twórców niemieckich w owej epoce, czterdziestoletni Piotr Hille, nieodstępny towarzysz Scheerbartha.

Piotr Hille wciąż pisał — bezustannie pisał. Wszystkie jego kieszenie były wypchane papierami, wypełnione pismem dla niego tylko czytelnem; zabrakło mu papieru, pisał na mankietach — pisał na stolikach kawiarnianych, na talerzach, które mu podawano, wciąż i wiecznie pisał.

Gdy przychodził do mnie, nie czekał odpowiedzi na zapytanie: „Jak ci się powodzi?“ ale już wyciągał mankiet i notował swoje myśli.

Piotr Hille nie śmiał się nigdy — ten żył poza życiem — harmonijny, zrównoważony, nie zdający sobie sprawy, co to ogółie znaczy walczyć o byt — był poza tem wszystkim.

Tej nędzy, na jaką się wśród niemieckich artystów napatrzyłem i sam ją między nimi przeżyłem, nie przeżywał żaden artysta w tej tak szkalowanej Polsce.

Och, co za niedorzeczne klepania: gdyby był tworzył zagranicą, gdyby się urodził Niemcem lub Francuzem, w jakie bogactwa byłby opływał! Brednie!

Tam, zagranicą, stokroć razy gorzej, aniżeli u nas w Polsce: w takiej nędzy materialnej, na jaką jest skazany artysta w Niemczech, czy Francji, nieuznany przez „ochlos“ (motłoch), nie żyje żaden artysta w Polsce.

Ale revenons à nos moutons.

Onego dla mnie tak pamiętnego wieczoru zeszła się gromadka tych wszystkich niemieckich „światoburców“ w gościnnym domku Oli Hanssona.

Na stole znalazła się flaszką whisky i koniaku, służąca wniosła samowar — nalewało się do szklanek trzy ćwierci wody wrzącej, a resztę whisky albo koniaku — (napój ten zowie się w języku skandynawskim *toddy*,) rozpoczęła się pogawędka — oglądano nieznanego przybysza, którym byłem ja — trochę mnie zagadywano, pobłażliwie po ramieniu klepano, boć już książczyna moja „*Chopin und Nietzsche*“ była znaną, ale nie wiem, co się nagle stało — wszyscy umilkli zczelna i jak zahipnotyzowani wsłuchiwali się w opowiadanie pani domu — Laury Marholm.

Tak olbrzymiego daru opowiadania, doprowadzonego do genialnych granic wirtuozji, nigdy przedtem i nigdy potem spotkać nie miałem.

Była brzydka, nawet bardzo brzydka, tak się na pierwszy rzut oka wydawało, ale gdy zaczynała mówić, opowiadać, gdy subtelniemi a wyrazistemi gestami uplastyczniała swoje opowiadanie, zabarwiała je bogatą skalą odcieni swego głosu, twarz jej piękniała, szlachetniała, a potem już nie widziało się cielesnej brzydoty: Laura Marholm-Hansson stawiała się piękną...

Cały wieczór mogła mówić sama jedna: w zdumiewająco barwnych linjach odtworzyła stan całej literatury skandynawskiej, literackiego życia w Kopenhadze i w Sztokholmie, i Chrystjanji, mówiła z przedziwną ironją o braciach Brandesach, tym Jerzym, który ponoć Polskę ukochał, i tym mniej znanym Edwardzie, opowiadała o Björnsonie, Ibsenie, a prze-

dewszystkiem o Strindbergu, którego Hanssonowie długi czas gościli, kiedy jeszcze w Szwecji przebywali, i jeden gest jej ręki wyczarowywał całą postać, odcień głosu starczył za obszerne wartościowanie, a pamiętam, jak scharakteryzowała paru gestami nie tylko postać Renana, ale i to, co w niej się kryło. Pokazała nam Zolę z jego parwenjuszowską małżonką, jak siedzą w łoży. Trzepotał się niespokojnie chory już wówczas Guy de Maupassant, uskarżał się ciężko na chory żołądek Jorris Huysmans, a rzucał się przy piecu stary Jonas Lie, i ciskał się w morze na powitanie swych gości w ustawicznym, fantastycznym rozmachu żyjący finlandzki poeta, Tavastjerna.

I bylibyśmy tak do rana siedzieli i słuchali, ale po północy szepnął mi towarzysz mój, Franciszek Servaes: „Za kwadrans ostatni pociąg“.

„Bardzo, bardzo proszę, jak najczęściej“, powiedział mi Ola Hansson na pożegnanie i serdecznie mi dłoń uściśnął.

„*Gute Nacht, und auf Wiedersehen, Sigismund August*“ — powiedziała pani Laura.

Gdybym mógł kiedy zrozumieć, jak się w jej mózgu Zyg-munt August ze mną skójarzył?!

Gdym tej nocy wrócił do domu, ujrzałem na stole 23 świeczki zapalone według niemieckiego zwyczaju kochającą ręką — a właśnie w tym dniu ukończyłem 23 rok życia.

A jakie do samego dna istotę moją wstrząsające wrażenie z tego pobytu u Oli Hanssona musiałem odnieść, dowodem, że mimo fizycznego zmęczenia tej jeszcze nocy rozpocząłem drugi tomik: „*Zur Psychologie des Individuums*“, zatytułowany: Ola Hansson.

Pisałem tę rzecz jednym tchem, a gdym ją w manuskrypcie z lękiem i po długim wahaniu przesłał Hanssonowi, bom oświadczyć nie śmiał mu to zawieźć, otrzymałem zaraz nazajutrz kartkę, pisaną ręką p. Laury — ona załatwiała całą korespondencję Hanssona — kartkę, której treść wrażyła mi się głęboko w pamięć:

„Wróciliśmy w nocy do domu, zastaliśmy Pański manuskrypt — Ola kazał sobie natychmiast go przeczytać — słuchał, słuchał i słuchał z szeroko rozwartymi oczyma, a potem powiedział:

„To najpiękniejsze, com tu przeżył: poznałem duszę człowieka“. To wszystko — oczekujemy Pana z upragnieniem“.

Książeczka ta była równocześnie niejako programem całej mojej przyszłej twórczości, a cały mój pogląd na miłość mężczyzny do kobiety zarysował się z dziś jeszcze z zdumiewającą dla mnie wyrazistością w rozdziale, rozpoczynającym się od słów: „Dlaczego kocham kobietę?“

Teraz dopiero widzę, jak lekkomyślnie rozrzucąłem na lewo i prawo to wszystko, coby w związku z całym, do tej chwili rozwiniętym tworem mogło nabrać istotnego znaczenia. Tymczasem w ten sposób pogubiło się w mnóstwie artykułów, drukowanych w „Zdroju“ Hulewicza Jerzego, w przedmowach do „Krzyku“, a przede wszystkim do „*De profundis*“, nie mówiąc już o przedmowach, któremi ratowałem w oczach kulturalnej publiczności polskiej twór Hansa Heinza Ewersa.

Pragnąlbym teraz gorąco dać tę całą moją artystyczną ideologię w jednym wielkim rzucie, ale trudno: powtarzać się nie mogę. Kogo to wszystko bliżej obchodzi, niech sobie przeczyta te wszystkie „*frontispices*“ i „W zwierciadle“, porówna to z książką moją „Na drogach duszy“ — zajrzy do mej książki: „Szlakiem duszy polskiej“ — niech się postara o małą, a dla mnie niezmiernie drogą książeczkę: „Poznań, ostoję myśli polskiej“ — dziś już prawdopodobnie jakiś biały kruk — niech sobie przeczyta moje przedmowy do „Alrauny“, „Ucznia czar-noksięskiego“ i „Mamaloi“ Ewersa, a — a nie jestem megalomanem, ale nie pożałuje ten ktoś, ten rzadki *certain* trudu, gdy te wszystkie porozsypywane kamyki w jedną mozaikę ułożyć zdoła.

Nierównego blasku te kamyki — ale widzieliście kiedy, jak się mozaika tworzy?

Bywają błdziutkie kamyki, ale jeżeli się je ułoży obok lśniących, bogatych — przez kontrast nabierają znaczenia i blasku, a zdumiewające: to najskromniej, najciszej powiedziane grzmi nagle triumfalnym chórem.

Te dwa małe tomiki, pisane po niemiecku „*Zur Psychologie des Individuums*“ były ogromną kanwą, na której jałem cały mój twór dzierżyć.

Wszystko tam wypowiedziałem — niedołężnie, bełkotem i przeczuciem zaledwie, może dla mnie tylko zrozumiałym zaczątkiem wzoru, który miał mi kiedyś posłużyć do wykonania wspaniałego kobierca — *hélas!* niewykonanego, ale, kto będzie umiał głęboko sięgnąć, tam całego mnie, jako twórcę — odnajdzie.

I nietylko, jako artystę, ale, jako ideologa — a ten ostatni dla mnóstwa moich czytelników jest najwięcej wartościowy. Ale to tylko *vigilantis somnia!*

Wielki Segantini narzucił parę plam na płótno, prowadził swego najbliższego przyjaciela przed ten „obraz“ i żądał od niego, by widział w tych paru plamach tę wspaniałą całość, jaka już w jego duszy całym swoim majestatem się rozgościła — a był mocno zirytowany, jeżeli ktoś z tych paru plam nie zdołał odtworzyć całej jego wizji.

Segantini miał prawo do tego, bo tę kanwę, którą przygotował, zapełnił całą niesłychanem bogactwem — jam sobie też kawał kanwy utkał, zbyt może wielki na moje siły — pozostały tu i owdzie szerokie, barwne plamy, tu i owdzie cały kawał kanwy wyszytej bogatym wzorem — ale jaki wielki obręb pustką świeci!

„*Et la tristesse de tout cela, o mon âme — et la tristesse de tout cela...*“

X.

Przyszedł do mnie raz kochany mój dr. Asch — a daleko musiał wędrować, bo mieszkałem w najwięcej osławionej dzielnicy robotniczej na północy Berlina — zachwycił się moją wspaniałą „budą”: stół, krzeselko i łóżko, tak twarde, że niczem prycza więzienna, a potem jął mi robić wyrzuty, że tak długo się u niego nie pokazałem. Dziś jednakowoż już się niczem nie wykręcę: bliski jego kolega, Karol Schleich, późniejszy profesor chirurgji na uniwersytecie berlińskim, pragnie mnie poznać, a poza tem, jeżeli mnie ten wielki chirurg, który zachwycił się moją broszurą: „Ola Hansson“ (a który potem miał czerpać z mego bogatego materiału, przysposobionego do mej pracy: „O histologii rdzenia pacierzowego“) mnie tak dalece nie zaciekawia, to w każdym razie spotkam tam jednego z najtęższych poetów niemieckich — w całkiem innym guście, jak bracia Hart, Wille lub Bölsche.

Nazwiska nie wymienił...

Dr. Schleich posiadał bardzo piękną prywatną klinikę chirurgiczną i przylegające do niej wytworne mieszkanie. Schleich był nie tylko świetnym chirurgiem, wynalazcą nowego środka lokalnej anestezji przy operacjach i to nawet bardzo ciężkich, jak wycinanie rąka, ale posiadał bardzo piękny baryton i kochał śpiew nadewszystko.

Może w całym Berlinie trudno byłoby znaleźć równie piękny instrument, jakim był „Steinway“ Schleicha.

Gdyśmy przyszli — spotkaliśmy już całe towarzystwo zgromadzone. Paru literatów już mi znanych: Hartleben, Scheerbart i jeszcze paru innych, a gdzieś z kąta wychylił się młody, smukły człowiek o przedziwnie wyrazistej, całkiem

posiekanej twarzy (pamiątka z menzur studenckich) o oczach, płonących intensywnym a równocześnie dobroci pełnym blaskiem: Ryszard Dehmel.

Znałem już to nazwisko, pochyliłem się głęboko przed nim; roześmiał się serdecznie i jeszcze głębiej skłonił się przede mną.

A, wisus!

Chciał mnie tylko ośmielić.

Z każdym innym artystą byłem zawsze przez dłuższy czas na „pan“, zaczem ten tytuł zrobił miejsce podczas jakiejś rozkosznej pijatyki, jakiejś alkoholem podnieconej *heure de confidence* poufałemu „ty“.

Dehmel podszedł do mnie, jakby mnie znał dziesiątki lat:

— Ale dziś będziesz grał — dla mnie tylko grał!

Nieraz się zastanawiałem, co takiego było w mojej nawskroś dyletanckiej grze, co tak ludzi porywało, ba! nawet całkiem wytrącało z równowagi. Zdaje się, że czynił to zwykle mocno podniecony nastrój, w którym ta moja nieokiełznana gra nie pozwoliła słuchaczom patrzeć krytycznie na fatalne niedomaganie techniczne: słuch ich tępał na wirtuozowską stronę wykonania, a tem wrażliwszą stawała się dusza na ogarnięcie ducha utworu, któregom moją barbarzyńską grą wyzwalał.

A co im, Niemcom — całkiem o technice mej zapominać kazało, to ich bezustanne zdumienie, że to, co im grałem — to był rzeczywiście Szopen: takiego Szopena nigdy jeszcze nie słyszeli, nawet wyobrazić sobie nie mogli, by to, co im grałem, było Szopenem. Tak dalece tkwiło im we krwi głupie jakieś powiedzenie, że muzyka Szopena, to muzyka *d'une chambre du mada-lade*, jakaś histerja rozgrymaszonych nerwów, niemęskiej, rozbeczanej melancholji, a tu nagle posłyszeli jakieś grzmiące, bohaterskie pochody, ból duszy do naga obnażonej, straszne, a bolesne cierpienie, heroiczne cierpienie, które się przed ludźmi kryje w wytwornym uśmiechu, a gdy się krzykiem zdradziło, to takim, który niebiosą w pasy drze, jak na obrazie Edwarda Muncha, zatytułowanym: *Skrig* (Krzyk)!

Ich przerażone zdumienie, gdy posłyszeli H-moll Scherzo, Fis-moll polonez, F-moll Fantazję, drugą balladę, Barkarollę! A to wszystko grane przez człowieka, który sam podczas gry popadał w jakiś niesamowity „trans“ i drugich nim zarażał!

Gdybym był wirtuozem, olśniłbym ich pewnie techniką, a ta nie pozwalałaby na co innego uwagi zwrócić, a tak przy tej grze „natchnionego“, w zacieklej ekstazie pogrążonego dyletanta oddziaływał na nich jedynie „duch“ gry.

Gra ta niezmiernie mnie wyczerpywała, przecież nawet tak potwornie suchy „liryk“, jak Arno Holz, przestrzegał Dehmle: *„Wenn der Kerl sich weiter so verausgeben wird, krepirt er in einem Jahr!“* ale gra ta stała się najsilniejszym łącznikiem między mną a moimi niemieckimi braćmi po piórze.

„Szopenizować“ stało się u Niemców przysłowiem. Jeżeli ktoś użył jakiejś dziwacznej, zbyt śmiałej metafory, jeżeli dowolnie przekształcał język, a raczej wydobywał z niego nieznane dotąd walory, nazywało się, że „szopenizuje“ język — ktoś popełnił niebywałą ekstrawagancję, było to „szopenizowaniem“ życia. I tak każdy z moich współczesnych Niemców „szopenizował“, gdy się w swoim tworze wił z bólu, gdy jakiś straszny krzyk z pod serca się mu wydarł, albo gdy już do najkorniejszej, cichej modlitwy złożył ręce.

Majaczono w Polsce o moim wpływie na literaturę niemiecką, i istotnie go wywarłem — ale nie moim tworem pisanim, który z natury rzeczy był i musiał być im obcym, mimo, że posługiwałem się, a raczej posługiwać się musiałem, ich językiem. Słowa rozumieli, byli nawet zdziwieni, że im tak bezczelnie język „szopenizowałem“, ale duch mego tworu był im więcej obcym, aniżeli chiński — jeden tylko go rozumiał: Ryszard Dehmel — natomiast wywarłem istotny wpływ moją grą — tylko się nie śmiecie — rozmachem, nieokiełznaną furją mej gry, nieujętej w żadne prawidła, niegrzeszącej metodą konserwatorium lub wogóle jakiegokolwiek profesora.

Wyobrażam sobie, z jaką pogardą, ba! nawet z serdecznym śmiechem, słuchałby pierwszy lepszy wirtuoz mej gry, i słusznie! ale ci ludzie, z których żaden grać nie umiał, tylko odczuwać grę i to nieraz tak odmętnie głęboko, jak Dehmel, powitali moją grę, jak objawienie.

Podczas tej gry powstał Dehmle cykl: *„Verwandlungen der Venus“*, może najwspanialszy dokument jego twórczości; pod wpływem tej gry napisał Juliusz Hart, zresztą bardzo mi niechętny pisarz niemiecki, najlepszy swój poemat *„Sehn-*

sucht“, Johannes Schlaf kilka precudnych poematów, które wydałem swego czasu w polskim przekładzie, pod tytułem „Wiosna“. — Znamienne, że ta iście królewska książka zdobyła sobie w Polsce w przeciągu 25 lat aż trzystu nabywców!

Et la tristesse de tout cela...

Henryk Hart wypowiedział wtedy zdanie, które mocno wszystkich zafrapowało: „Jeżeli mówą nie wypowiem tych wrażeń, jakie odbieram za pośrednictwem tonów muzycznych, przestanę pisać“ — wiecznie kpiący Scheerbarth — nikt nie słyszał, by kiedyś jakieś poważne słowo powiedział — wpadł w trans i jął pisać o kometach z 48 roku, które dostały ostrego szału i w delirycznych Hallelujach w ocean wieczności się rzucały — a w kącie stał cudowny anachoreta, Peter Hille, i spisywał ołówkiem na mankiecie swoje spostrzeżenia, jak się słowo w dźwięk przetwarza, i naodwrot — o sobie nie mówię, bo ja inaczej, jak szopenowskimi dźwiękami twórczo wogóle myśleć nie umiem.

Ta dywagacja była potrzebna do określenia mego stosunku do Dehmła: muzyka Szopena zadzierzgnęła między nami te silne, nierozzerwalne węzły gorącej i wiernej przyjaźni, która nas odtąd, aż do jego śmierci wiązała, i to nie tej zdawkowej — to, co to się zwykle „przyjaźnią“ nazywa — ale tej głębokiej, niezmiernie rzadkiej, która jeszcze u pierwotnych ludzi się znachodzi, a której barbarzyńskim symbolem: rozcinanie sobie żył i wzajemna wymiana krwi.

Ta przyjaźń rodzi się, jak miłość: w jednym błysku sekundy.

W tej samej chwili, gdy Dehmel podszedł do mnie i powiedział z jakimś tajemniczym uśmiechem: „Dziś będziesz mi grał“ — słyszał już mnóstwo legend, które się naokół mej gry tworzyć jęły — w tej samej chwili wiedziałem:

Znalazłem przyjaciela!

Oh, jak ja mu wtedy grałem! Zapomniałem, że jeszcze ktoś inny jest obecny w tym wytwornym salonie prócz nas obu — coraz gęstszy mrok zapadał — nastąpiło wielkie, skupione milczenie, którego się zawsze bałem, odszedłem chyłkiem od fortepianu, a nagle uczułem rękę Dehmła na swojej:

— Chodź — pójdziemy stąd!

Nie było to grzecznie, ale Schleich Dehmlowi wszystko wybaczał.

Szliśmy długo w milczeniu — Dehmel zdjął czapkę: całe czoło miał spocone.

— Słuchaj — powiedział nagle — Tobie nie wolno bawić się ludźmi i obciążkami im nerwy wyrwać!

— Tobie ich nie wyrwę — a, aby je drugim wyrwać, nato potrzebaby było kowalskich obcęgów.

Zaśmialiśmy się serdecznie — i to nas wyzwoliło.

Do porządnej restauracji wstąpić nie mogliśmy, na to nas nie było stać, ale zaprowadziłem go w pobliże mej dzielnicy za Weddingem do jakiejś „kaszemy“, punktu zbornego tak zwanych „szumowin wielkomiejskich“.

Byłem wtedy przejęty teorią Lombrosa o „*Uomo scelerato*“ i *criminel-né*, nie pomnę, którego z francuskich psychologów, i rozgorzałem gorącym pragnieniem, by poznać duszę zbrodnia-rza i istotę zbrodni, a poznanie to miał mi ułatwić mój sąsiad, który mi był wdzięczny, że nie pozwoliłem mu zabić jego żony, i tak już prawie na śmierć skatowanej.

Sąsiad mój był z zawodu „*Steinträgerem*“ — dźwigaczem kamieni — najpiękniejszy zawód w zakresie budowy, bo dzień cały musi dźwigać kamienie i cegły na wszystkie piętra, a równocześnie dziwnie deprawujący zawód: ilu ich spotkałem, każdy z nich zdradzał zbrodnicze skłonności i każdy z nich nieludzko się upijał, a co najgorsze: tragicznie się upijał.

Otóż ten mój kochany sąsiad, który jednakowoż posiadał dużo respektu przede mną, przyszedł razu pewnego do domu z tym szlachetnym zamiarem, by żonę swoją ubić — zanadto go „sekowała“ jego pijaństwem.

Słyszę nagle — nie po raz pierwszy — straszliwe krzyki, rozpaczliwe wzywanie pomocy — ale my wszyscy w całej ol-brzymiej kamienicy byliśmy do tego tak przyzwyczajeni, żeśmy przestali zwracać na to uwagę — tym razem jednak wydawała się sprawa poważniejszą.

A gdy się namyślał, co zrobić, wpadła do mojej izdebki wynędzniała kobieta, rzuciła się, jak długa na ziemię i wpełzła ostatkiem sił pod moje łóżko.

Ale w tejże chwili wpadł rozwścieczony *Steinträger*, i zdumiewające: nagle ochłonął.

Zmieszał się i zaczął bełkotać:

„Gdzie moja żona?”

Posadziłem go na stołku, zacząłem do niego bardzo delikatnie, bardzo dobrotliwie przemawiać, głaskałem go i ręką, i słowem i zatwardziały *Steinträger* rozbeczał się tym nagłym bekiem pewnej kategorii pijaków, których się nietylko w najniższych warstwach znachodzi.

Tymczasem żona jego wydostała się z pod łóżka, przyjął ją łaskawie, a po jakimś czasie usłyszałem to piekielne chrapanie, które mnie nocami, gdym musiał najintensywniej pracować, do rozpacz doprowadzało.

I specjalnym względem tego *Steinträgera* miałem do za wdzięczenia wstęp do tej „kaszemy” — Chryste Panie! jakie tam towarzystwo się gnieździło!

Całą moc wspomnień z tej „kaszemy” znajdziecie w moim „Krzyku”.

Wobec każdego obcego, przyjmowano tu bardzo wrogą postawę, bo w każdym wietrzono węchem złego sumienia „szpicla”, ale ponieważ byłem tu znany i przez ich człowieka wprowadzonym, więc i Dehmle przyjęto życzliwem skinieniem głów. Poza tem nie zwracano na nas najmniejszej uwagi, jakbyśmy wogóle nie istnieli.

Może w całym Berlinie nie było tak fantastycznie tanio, jak tu — z tej prostej przyczyny, że wyszynk był tylko pozorem, ukrywającym gruby, innego rodzaju interes, który światła dziennego nie znosił.

I tu w tem, jak Dehmel zauważył, „najwspanialszem towarzystwie”, ale poza jego nawiasem, spędziliśmy długie, długie godziny.

Mieliśmy razem talara (trzy marki), ale ten talar starczył jak najzupełniej, by wprowadzić nas w stan jakiejś niezmiernie przyjemnej ekstazy, w której się nasze dusze w braterskiej miłości spowiły. Tak się rozpoczął jeden z najpiękniejszych i najgłębszych stosunków, jakie mnie kiedykolwiek z mężczyzną łączyły.

Odtąd spotykaliśmy się prawie codziennie — Dehmel posiadał doktorat nauk ekonomicznych, ale do pasji go doprowadzało, jeśli go ktoś zatytułował: „*Herr Doktor!*“ — był sekretarzem „Zjednoczonego Towarzystwa Ubezpieczeń“ w Berlinie, i tam ciężko pracował od 10-ej rano do 3-ciej po południu, by zarobić miesięcznie olbrzymią — na one czasy sumę 250 marek.

Ta jałowa praca często go do rozpacz doprowadzała, ale wykonywać ją musiał, bo każdy liryk był w Niemczech zgóry na śmierć głodową skazany, o ile nie posiadał własnego majątku.

Tam, zagranicą, gdzie ponoć, według majaczeń naszych krytyków, umie społeczeństwo ocenić zasługi swych artystów, stokroć razy gorzej i boleśniej „krzyżuje się“, niszczy i wygładza najwybitniejsze talenty, aniżeli u nas. Żaden artysta w Polsce nie przeżywa takiej nędzy, jaką przeżywał istotny artysta z Bożej łaski w Niemczech.

Nędza w Friedrichshagen była przysłowiowa — bracia Hart ratowali swe życie podłą i wyczerpującą pracą dziennikarską, Wilhelm Bölsche pisanem popularnych artykułików z dziedziny przyrodniczej, a w tym zakresie posiadał istotnie głęboką wiedzę, był przecież ukochanym uczniem Haeckla, profesora zoologii w Jenie, słynnego później twórcy monizmu, w którym to poronionym tworze był mu wielką pomocą właśnie Bölsche — Bruno Wille pobierał małą pensyjkę, jako agitator socjalistyczny i kierownik *Freier Volksbühne* — Arno Holz zarabiał na życie wyrobem zabawek dla dzieci, a biedny Johannes Schlaf spędzał swe życie każde pół roku w najbiedniejszej mansardzie, by drugie półrocze spędzić w domu obłąkanych.

Obok Dehmle najtęższy i najwybitniejszy liryk niemiecki Detlev von Lilienkron przeżywał skrajną nędzę w Hamburgu, a wszystkie listy jego do przyjaciół i nielicznych wielbicieli to jeden rozpaczny krzyk: „Nie pozwólcie mi z głodu zdychać!“ (*krepiren*).

Paul Scheerbart byłby chyba nago chodził, gdyby się nad nim nie był zlitował Eryk Hartleben, który po swoim stryju, bogatym senatorze z Hanoweru, odziedziczył nie tylko cały jego dość znaczny majątek, ale również całą jego garderobę.

A trzeba było całego rozpaczliwego, a zarazem hardego i z całego świata kpiącego humoru Scheerbartha, by móc w białych

dzień paradować po ulicach Berlina w obszernym surducie opasłego senatora — (a Scheerbarth był chudy, jak szczapa) — sięgającym mu po kostki — na przeróbkę Scheerbarth zdobyć się nie mógł — i wyglądało to groteskowo i w wysokim stopniu komicznie. Scheerbart zdawał sobie z tego sprawę i tem dumniej przechadzał się na tych szczytach, gdzie to poeci, według Schillera, spacerują ręką w rękę z królami!

A jedno bolesne wspomnienie do dziś dnia mnie dławi! Pewnego dnia przyszedł do mnie Peter Hille, artysta dużej miary, człowiek o niezmiernie rozległej wiedzy literackiej, znawca i to głęboki i rzetelny znawca wszystkich literatur nie tylko europejskich, ale i azjatyckich narodów, wytworny pisarz, którego aforyzmy podziw w nas budziły — przyszedł biedny Piotruś z wyraźnymi objawami delirjum głodowego, bo właśnie gospodyni z domu go wygoniła, bo nie mógł się już od paru miesięcy uiścić z pięciomarkowego czynszu mieszkaniowego.

Słuchałem przez całą godzinę opowiadania o jego delirycznych wizjach, które były dla niego oczywiście najistotniejszą rzeczywistością, a mnie bezustannie przebiegały zimne dreszcze, gdy wysłuchiwałem tych opowiadań.

Parę filiżanek czarnej kawy uspokoiło go: zatrzymałem go u siebie.

Usnął, ale wśród nocy nagle się zerwał i stanął na środku pokoju całkiem nagi.

I ja zerwałem się przerażony: okazało się, że Hille nie posiadał wcale koszuli, a papierowe mankiety, całe zapisane drobnym, dla niego tylko czytelnym maczkiem, były umocowane na sznurku, przewieszonym przez szyję nędzarza.

A wspinała w swym majestatycznym tragicznie była śmierć tego, który czterema tomikami swego tworu, wydanego przez Henryka Harta po jego śmierci, wzbudził nie tylko głębokie zainteresowanie, ale wprost entuzjazm i to nie tylko wśród braci literatów, ale i u szerszej publiczności.

Odnaleziono go gdzieś, w parku jakimś pod Berlinem, całkiem głodem wycieńczonego i w nieprzytomnym stanie. Z gazet dowiedziało się o tem Elza Lasker-Schiler, wyjątkowo zdolna w Niemczech poetka, obdarzona rzeczywistym talentem. Przy-

wiozła go do swego mieszkania, pielęgnowała, czuwała nad nim dniem i nocą; wreszcie po kilku dniach Piotr Hille odzyskał przytomność, rozejrzał się dookoła, obejrzał czystą pościel, na której leżał, uśmiechnął się cicho i wyszeptał: „A ja wiedziałem, że raz wreszcie musi się człowiekowi w tem życiu dobrze powodzić...” — i skonał...

A sześćdziesięcioletni Detlev von Lilienkron, teraz uznany już przecież w Niemczech za największego liryka współczesnego, pisze do swego przyjaciela Kurta Pipera:

„Najwyższem dla mnie szczęściem byłoby za życia umrzeć i pójść w zapomnienie — to uważałbym za jedyne szczęście na ziemi — ale cóż począć? Kto mi da środki, by móc siebie i moją rodzinę wyżywić? Jestem więc zmuszony jeździć po odczytach. A każdy taki odczyt jest dla mnie wyrafinowaną torturą... Proszę Pana na klęczkach nie przychodź Pan na mój odczyt! Czytam same głupstwa! Przecież publiczność nie rozumie mych poezyj, przychodzą tylko poto, by na mnie się gapić!”

I tenże sam Lilienkron, dla którego ma niezadługo stanąć w Hamburgu pomnik, puka z coraz większą rozpaczą do drzwi 78 (siedemdziesięciu ośmiu) redakcyj pism niemieckich, by drukowano w feljetonie jego pamiętniki, zatytułowane: „Życie i Kłamstwo“ („*Leben und Lüge*“) — nie raczono mu nawet odpowiedzieć.

A straszny byłby los Dehmle, gdyby go nie była ratowała nad wszelki wyraz wyczerpująca dla niego praca w biurze „Ubezpieczeń“ a następnie dochody z kamienicy, którą w pięć lat później odziedziczył po śmierci ciotki swej pierwszej żony. Mógł wtedy szczęśliwiec porzucić biuro — zamieszkać w pobliżu cudownego parku w Pankow pod Berlinem, w pobliżu pięknego pałacyku, w którym Fryderyk Wielki osadził swoją zniestaną żonę.

Otóż tak wyglądał i wygląda prawdopodobnie dotychczas „raj“ artystów zagranicą — przynajmniej w Niemczech — a niewiele lepiej w Skandynawji, choć tam już zrozumiano, że artysta stanowi bardzo poważną część majątku narodowego, to też państwo szczególną opieką ich otacza, wypłacając

co wybitniejszym miesięczną ratę w wysokości płacy wyższego urzędnika państwowego.

Otóż znowu dywagacje, ale właśnie tem pozornem odskakiwaniem od „tematu“ zabarwia się wyraziściej tło życia tych artystów, przede wszystkim ich dziwnie bohaterską wolę i fanatyczną miłość sztuki, która im w tej życiowej udręce, w tej beznadziejnej nieraz mitrędze wytrwać kazała.

Nie dziw, że często przychodził wisielczy odruch, by zapomnieć, odurzyć się czemkolwiek bądź, byle tylko nie pamiętać o całej tej nędzy dnia powszedniego — zapomnieć oh! zapomnieć!

Marny, lichy „fuzel“, bo nikogo nie stać było na „szampańskie“ — jakaś flacha „Nordhäusera“ — za jedną markę cały litr — starczyła, by rozpaczna myśl o jutrze zamieniła się w pijanym transie w jakiś rozkoszny sen o wielkiej, wspańskiej przyszłości, o triumfach i o sławie, pogromie filistrów i zwycięstwie Piękna nad ohydą życia.

O to biedne, to rozpaczne *vigilantium somnia!*

A nazajutrz cięższe jeszcze rozczarowanie, boleśnieszka jeszcze udręka i rozpaczniejszy krzyk za wyzwoleniem!

I o tych nędzarzach chodziły zdumiewające gadki i legendy, że święcili w swoich „cenaclach“ potworne orgje — bachanalje, że pławili się w wódce i szampanie!! he! he! szampanie! że odprawiali jakieś nieludzkie „czarne msze“, o mało co, a już miało stać się pewnikiem, że wszystko to samo działo się w tych kółkach biednych cyganów, co Minutius Feliks o pierwszych chrześcijanach opowiada!

Biedne, głupie, śmieszne brednie!

Więcej może, aniżeli w jakimkolwiek społeczeństwie żył artysta niemiecki całkiem poza obrębem tego społeczeństwa. Do „obywatelskich“ domów drzwi były dla niego na dziesięć spustów zamknięte, zresztą nie starał się do nich wdzierać w tem dumnym przeświadczeniu, że jedyne towarzystwo, godne artysty, to artysta — poza tem burżuazja niemiecka miała straszny lęk przed tymi „obląkanymi“ wywrotowcami.

Widziałem kiedyś wspaniałą karykaturę, nie pomnę, kto ją rysował — zdaje się, że nieśmiertelny Oberländer, pod tytułem: „Aktorzy idą!“

Schludne podwórko w jakimś małym miasteczku. Na sznurach, porozwieszanych między drzewami, suszy się bielizna, na murawie pasą się kury, kaczki i gęsi. I ta osobliwa chwila: na okrzyk „Aktorzy idą!” (*Schauspieler kommen*), wypadają na podwórko w panicznym strachu kumoszki z całego domu, ściągają czem prędzej z sznurów bieliznę, chwytają pod pachę kury i kaczki, by to wszystko czem prędzej ukryć przed złodziejskimi zakusami wygłodzonych aktorów.

Mniej więcej tak samo traktowało społeczeństwo niemieckie tę garść artystów, którzy podówczas coś znaczyli — oczywiście tylko „zagranicą”. W samej ojczyźnie: darmożjady, zbereżnicy, chemicznie wyprani z wszelkiego poczucia etyki i wspólnoty społecznej, banda anarchistów, których bezustannie denuncjowano prokuratorji państwowej — pornografii — a jakże! — wpół obłąkani deliranci, którzy nadomiar wszystkiego podatków płacić nie mogli!

To już szczyt wszystkiego! Obywatel państwa niemieckiego, który podatków nie płaci! I do mnie zawitał raz poborca podatków, a ponieważ pieniędzy nie miałem, a nic nie posiadałem, coby można fantować, włożył ręce do kieszeni i z ciężką pogardą odezwał się do mnie: „I taki człowiek uważa się za wykształconego” (*Und so was will ein gebildeter Mensch sein!*).

A były to czasy, kiedy Ibsena w berlińskim teatrze dwukrotnie wygwizdano, w Lipsku wytoczono proces pięciu obmierzłym naturalistom o ciężką obrazę publicznej moralności, a Maks Nordau, ten *bougre-Dieu* obłudnej burżuazji, pisał rozpaczliwe lamenty nad zwyrodnieniem literatury niemieckiej i w każdym artyście berlińskiej bohemy dopatrywał się dośzczętnej degeneracji i obłądu.

A już z całą rozwydrzoną, zajadłą zaciekłością rzuciła się cała prasa na tę *Jung-Deutschland*, wyszydzaną przez nią i wyśmiewaną w całkiem niechłujny sposób, jako *Grün-Deutschland* (smarkaczowskie Niemcy): z taką plugawą ohydą nie miała jednak „Młoda Polska” do walczenia — nasz Jeskie-Choiński był wytwornym panem wobec tych niemieckich krytyków, którzy zaopiekowali się berlińską bohemą.

To też zrozumiałem moje „*caeterum censeo*” po powrocie moim do Polski, że Polska jest bądź co bądź najkulturalniej-

szym — bynajmniej nie sędzę, by najwięcej ucywilizowanym — narodem w Europie.

Ale pół biedy, że krytyka niemiecka wylewała codziennie cebry niechlujstwa na biedną Bohemę, w każdym razie to ciekawiało, zmuszało do kupowania „chylkiem“ oczywiście jednego lub drugiego utworu, ale gorzej było, gdy krytyka chwyciła się podlegszej a skuteczniejszej broni: przemilczania. A to „*Totschweigen*“ było często wprost wyrokiem śmierci dla artysty; w całym tego słowa znaczeniu było nim dla Piotra Hille, Ludwika Scharfa, Scheerbartha, Conradiego i tylu innych; naród lokai ślaniał się w pokorze przed obcymi literaturami, to też Arno Holz, który wtedy razem z Johannesem Schlafem tworzyli i stale byli przemilczani, wydali jedną książkę, podając za jej autora Norwega, Bjarna P. Holmsena.

Mistyfikacja się udała — krytyka niemiecka poświęciła całe szpalty temu „niezwykle uzdolnionemu“ Norwegowi!

Swoją drogą trzeba być sprawiedliwym: coby się było ze mną w Polsce działo, gdybym nie był przywiózł z sobą śmiesznego zagranicznego patentu: *made in Germany*, jako, że jestem *genialer Pole!*

He, he, he!

Właściwie nie miały „Młode Niemcy“ żadnej publiczności — książki ich rozchodziły się nieskończenie powoli, a jeżeli jaka książka ukazała się po paru latach w drugim wydaniu, przy nakładzie trzystu egzemplarzy, to już było niesłychane powodzenie. Artysta pisał dla siebie i dla bliskich mu artystów, wyodrębniał się coraz więcej wśród swego społeczeństwa i tak tworzył „Jedyny dla Jedynego“ i wprowadzał w życie najwyższy postulat ideologii Stirnera.

A takiego Jedynego, który, zdaje się, li tylko dla siebie i dla swego ukochanego bóstwa, Ryszarda Dehmła, tworzył, miałem niebawem poznać — „barona“ Detleva von Lilienkron.

— Dziś musisz koniecznie do mnie przyjść — Lilienkron przyjechał — uciekł przed dłużnikami — nie pożałujesz, że go poznasz, — powiedział mi raz Dehmel, gdyśmy się, jak zwykle w małej kawiarence po południu spotkali.

Pod wieczór poszedłem do Dehmła. Mieszkał na piątym piętrze, a dom zdawał się być położonym na najwyższym punkcie

Berlina, bo z okien mieszkania Dehmle rozścielał się nieporównany widok na cały Berlin — a raczej olbrzymie morze dachów, wież, kopuł, kominów fabrycznych — pierwszy i jedyny raz, że mi się w tym upalnym zmroku — właśnie w tym czasie dziesiątkowała cholera ludność Hamburga — Berlin nieomal pięknym wydał.

Może właśnie dlatego, że w tym czasie dyszało nad nim do białości rozżarzone powietrzne widmo cholery, która już kilkanaście ofiar w przeciągu dwóch dni w Berlinie samym zabrała, a lada chwila spodziewano się w ciężkim przerażeniu wybuchu tej zabójczej, a tajemniczej choroby.

U Dehmle zastałem prócz Lilienkrona, jeszcze Scheerbartha i pośrednika między młodą Francją a młodemi Niemcami: Henri Alberta, Alzatczyka, który wówczas właśnie się wahał, czy ma pisać po francusku, czy po niemiecku. Był stałym współpracownikiem *Mercure de France* i pisywał tam obszerne *lettres allemandes*, a równocześnie zasiliał stałemi korespondencjami o stanie literatury niemieckiej *Revue blanche*.

Lilienkron nazewnątrż niczem się nie wyróżniał: zwykły typ oficera pruskiego w cywilnem ubraniu, ale w każdym calu zdradzał wytwornego, w najsurowszych tradycjach junkierskich wychowanego pana — jedyny junkier z tych kilkunastu, którzy się prawie przemocą do naszego cygańskiego koła wdarli — który nie wnosił do pokoju specyficznego zapachu stajni.

Rozmowa szybko się zawiązała. Lilienkron przebywał, jako chorąży przed wojną francuską 1871 w Poznaniu, wyrażał się entuzjastycznie o Polakach, zwłaszcza o Polkach, jedynych kobietach, które się „ubrać“ umieją — opowiadał niezmiernie ciekawe rzeczy o rozpasaniu i zdziczeniu ludności w Hamburgu właśnie w tym czasie, kiedy cholera tam najwięcej się srożyła: jednym słowem nie zdradził się w nim ten nędzarz, któremu poprostu ostatnią koszulę zdzierano za długi, jakie u jakiegoś lichwiarza zaciągnął.

Dehmel postawił kilka butelek wina — rozmowa coraz więcej się ożywiała — teraz tylko już o literaturze była mowa. Nagle wyciągnął Dehmel z teki swej manuskrypt i jął czytać: był to poemat, jeden z najpiękniejszych poematów, jakie wówczas powstały: Lilienkrona „Aldebaran“.

Deklamacje Dehmle miały niesłychany urok. Każde słowo nabierało w niej jakiegoś intensywnego życia, lśniło nieporównanym blaskiem, śmiało się, zgrzytało, kwiliło, płakało, pysniło się purpurą wzniesłego majestatu, tuliło się w biedne, siermiężne żgło lub broczyło krwią. Słyszałem mnóstwo artystów, deklamujących swoje lub obce utwory — przecież było to celem naszych zebrań — ale nigdy przedtem, ni też już nigdy potem nie słyszałem żadnego artysty, który byłby w stanie słowo do tej potęgi w brzmieniu podnieść, do jakiej ją Dehmel wyolbrzymiał.

To, co przy zwykłym czytaniu mogło się wydać brudnem, nabierało w jego czytaniu powagi i świętości, ustępy, któreby się w czytaniu prawdopodobnie opuszczało, bo były przydługie pragnęło się w czytaniu Dehmle jeszcze raz posłyszeć, a nawet trywjalna rzecz stawała się czemś, godności pełna.

Kiedy Dehmel skończył, zaległo długie, pełne uroczystego zadumania, milczenie — i od tej chwili jałem czcić w Lilienkronie istotnie wielkiego artystę.

— Teraz wam coś innego przeczytam, — powiedział Dehmel po długiej chwili

I przeczytał swe zdumiewające tłumaczenie — oh! nie! to nie było tłumaczenie, to przewspaniała parafraza z Verlaine'a *La sagesse*. Po raz pierwszy poznałem wtedy Verlaine'a, a nie umiem powiedzieć, jak do głębi całą moją duszą wstrząsnął.

A gdy przeczytał to ostatnie westchnienie:

— *O pauvre âme — c'est cela...* (*O, arme Seele, so ist's recht*) — buchnął nagłym płaczem.

Była to chwila tak uroczystego podniesienia, tak świętego skupienia, że jakieś słowo byłoby jej zbeszczeszczaniem.

Milczeliśmy długo.

Wreszcie uspokoił się Dehmel — powoli ożywiła się rozmowa, a było to, jakby nas był wstyd ogarnął, żeśmy się tak do najistotniejszej głębi wzruszyli — bo najgłębsze wzruszenie jest nieskończenie wstydlive — wmg wypróżniliśmy flaszki — Dehmel postawił nowe.

— Słuchaj tylko, Stasiu — jedyny Niemiec, który mnie tak stale nazywał i to Stasiu dobrze wymówić zdołał — nie macie wy tam czego w polskiej literaturze, cobym mógł prze-

tłumaczyć — ty już wiesz, o jakiego rodzaju poemat mi chodzi.

Przypomniał mi się nagle Rabski i jego deklamacja Ujejskiego przed paru laty w gimnazjum wągrowieckiem.

— Ależ tak! Sam właśnie o tem myślałem — ja przetłumaczę ci dosłownie prozą jeden poemat świetnego polskiego artysty — a ty już będziesz wiedział, co z tem zrobić.

Wino poczęło działać: widzę jeszcze Scheerbartha, rozciągniętego na dywanie, jak wali pięścią w podłogę i krzyczy na całe gardło: „*Welgeist, wo bist du?!*” majaczy mi się blada, zmiętoszona twarz Henri Alberta, który nam nietylko Verlaine’a ale i Rimbauda i Laforgue’a z Paryża przywiózł, widzę usiłowania zawsze trzeźwego Lilienkrona, by Scheerbartha uspokoić, potem śledzę jeszcze gwałtownie kołyszące się ruchy lampy w rękach Dehmła, sprowadzającego nas na dół — potem buchnął na mnie piekielny żar ulicy — tego lata sypiać nie było można wskutek tego niesamowicie rozżarzonego powietrza, którego upał zdawał się być jeszcze więcej spotęgowanym w nocy — ale zdumiewające: gdym uszedł kawałek — otrzeźwiałem.

To była noc wielkiego cudu — wiem doskonale, że od tej nocy jęło coś we mnie kiełkować — jakieś mgławice krążyć i formować się — ale jeszcze nie nadszedł czas.

Kiedy po dwóch czy trzech dniach zaszedł do mnie Dehmel, już przetłumaczyłem cały „Marsz żałobny“ Ujejskiego, który Dehmła w zachwytyt wprawił.

I teraz rozpoczęła się mozolna praca.

Dehmel wsłuchiwał się po kilkanaście razy w dźwięki nieznanej mu mowy — deklamowałem mu to bezustannie jak to słyszałem w deklamacji Rabskiego — potem Dehmel czytał słowo po słowie — wypytywał się o wszystkie możliwe synonimy każdego wyrazu, badał rytm, jego wzniesienia i spadki, nagle jego zmiany, aż zabrał się do wielkiej i prawdziwie twórczej pracy.

Tłumaczenie to Dehmła przewyższyło nieomal oryginał — przestało być tłumaczeniem, a stało się czemś nawskroś twórczem. A w mojej duszy dokonywała się bezustannie jakaś dziwna, podziemna praca: w pół roku potem miał powstać pierwszy mój poemat prozą: *Totenmesse* (1893 r. w polskim *Requiem aeternam*).

XI.

W tymże samym czasie zapoznałem się z tworem kilku artystów francuskich, którzy głębokie wrażenie na mnie wywarli — w pierwszym rzędzie z Barbey d'Aureville.

Ola Hansson był znany w kołach młodej Francji i raz po raz ktoś do niego z Paryża przyjeżdżał. Tym razem węgierska arystokratka, panna Némethy, fanatyczna wielbicielka d'Aureville'ego i nieodstępna jego przyjaciółka w ostatnich latach jego życia. Sama pisała po francusku pod pseudonimem Jean de Néthy, a tłumaczenia jej węgierskich ludowych pieśni uzyskały już ze strony Akademii Francuskiej *mention honorable*.

Znaczną część swego majątku poświęciła na luksusowe wydanie całego tworu d'Aureville'ego, z wielkim trudem i mozołem pozbierała porozsypywane po najrozmaitszych czasopismach krytyki tego po Saint Beuve'ie, najoryginalniejszego krytyka francuskiego, z najwyższym pietyzmem i miłością uporządkowała całą jego literacką spuściznę, a przez parę miesięcy rozczytywałem się w tych dziewięciu, czy też dziesięciu tomach pism d'Aureville'ego, które mi panna Némethy nazajutrz, gdy ją poznał, do domu przysłała.

Objężdżała wszystkie stolice Europy z jedną tylko myślą, by genjusz ubóstwianego mistrza ujarzmił kulturalnie tę Europę. A ubóstwienie to graniczyło już wręcz z manjactwem — jedna rzecz jest pewna, że nikt może nie uprawiał takim nakładem i sił i majątku propagandy swego ukochanego artysty, jak właśnie ta kobieta, która pewno już dawno przekroczyła 30-ty rok życia.

Wprawdzie i dla Nietzschego nie brakło bardzo nawet intensywnej propagandy, ale siostra jego, Elżbieta Förster-

Nietzsche, robiła równocześnie na tworze swego brata bajeczne finansowe operacje i propaganda ta była nachalna i prawie ordynarna — propagowała też Nietzschego p. Lou Andreas Salome, która znowu gwałtownie kazała się domyślać, że była jedyną kobietą, „z którą Nietzsche utrzymywał stosunek“, a tymczasem Nietzsche nie mógł się jej opędzić i uciekał przed nią, jak przed zarazą: tego rodzaju propaganda była śmieszna i ośmieszająca, ale propaganda panny Némethy była całkiem bezinteresowna, była całkowitem oddaniem i zaparciem siebie, a poza tem wysoce taktowna.

Gardziła prasą, chociażby było jej łatwo za paręset marek podnieść niesłychany krzyk uwielbienia dla ukochanego mistrza, zwracała się jedynie do poszczególnych jednostek, u których była pewna gorącego i silnego oddźwięku dla tworu mistrza. W Berlinie nie pomyliła się: Ola Hansson, jedyny w Niemczech, do którego się zwróciła, napisał o d'Aurevillym piękne i głębokie studjum, a jeżeli ja, którego Hansson jej polecił, nie napisałem trzeciego tomiku „*Zur Psychologie des Individuums*“, poświęconego d'Aurevilly'emu — a już je rozpocząłem — to winą tego niesłuchanie fatalne stosunki, które mi się skupić nie pozwoliły. Praca redakcyjna i zarobkowa wyczerpywała doszczętnie moje siły.

D'Aurevilly wpływu na mnie nie wywarł, ani wyrzucić nie mógł: moja dusza już oddawna krążyła wokoło tych tematów, na których osnuł swój wspaniały zbiór nowel: *Les diaboliques* — natomiast dużo od niego się nauczyłem, ale to, czego się nauczyłem, dusza moja tak przetworzyła i „zszopenizowała“, że teraz samemu byłoby mi trudno powiedzieć, gdzie i co zawdzięczam d'Aurevilly'emu.

Jedno jest tylko pewne: z niego czerpałem odwagę, by wypowiedzieć to, czego żaden z moich „współczesnych“ wypowiedzieć nie byłby się odważył.

A już wprost wstrząsające wrażenie wywarły na mnie ilustracje do *Diaboliques* Féliciena Ropsa, które mi również panna Némethy w osobnej tece podarowała.

Rops był dla mnie istotnie objawieniem, a wrażenie spotęgowało się jeszcze, gdy w specjalnem pozwoleniu dyrektora *Kupferstich-kabinet'u* w Nowem Muzeum w Berlinie, które

mi dr. Asch wyrobił, mógł oglądać niedostępny dla przeciętnej publiczności cykl Ropsa: *Les Sataniques*.

Silniej, niż kiedykolwiek, odezwało się we mnie średniowiecze, a każdą chwilę wolnego czasu trawiłem w niezrównanej Bibliotece Królewskiej i rozczytywałem się w pismach diabolików i Bodinusa, de Lancre, Del Rio, Glanvila, Prieriasa, Grillanda: wszyscy ci oni byli mi bardzo bliskimi i pewno bardzo pokrewni, jeżeli ich pisma z taką rozkoszą w siebie wchłaniałem.

To moi „astralni“ współcześni — z nimi prawdopodobnie bardzo blisko obcowałem, zaczęła dusza moja się wcielać.

A mam ich wielu — wielu w pamięci — nazwiska ich same stworzyłyby litanję na kilka stronnic.

Słyszę niespokojny szept naokół: „Jak ten człowiek niesamowicie bredzi!“ niedawno temu dowiedziałem się, że mój odczyt, który miałem w Krakowie „O czarownicy i czarach“, oparty na sumiennych studjach, był jednym niesłychanym skandalem — ale dlaczegożbym nie miał pisać dla tych nielicznych, dla których moje ekskursje w dziedzinę okultyzmu bynajmniej nie są „bredniami“!?

Do rzeczy!

Panna Némethy dużo mi też opowiadała o Huysmansie. I przez nią to właśnie poznałem autora *À rebours*: co za rozkosz znaleźć w tworze takiego artysty potwierdzenie własnych twórczych zamiarów, — poznałem zbiorek przepysznych krytyk, zatytułowanych *Certains*, a przede wszystkim powieść jego: *La-bas*. A jeżeli już gwałtownie o jakiś wpływ chodzi, któremu rzekomo uległem, to mógłbym na jedynego Huysmansa wskazać, jako tego, który najsilniej na mnie oddziałał i który przez jakiś czas moją duszę opanował: mógł to jedynie dlatego zrobić, że dusze nasze spokrewnione, bo w metodzie samej zionie między nami cała przepaść. Natomiast łączą nas te same miłości i te same nienawiści.

I znowu nie mógłbym powiedzieć, w czym ten wpływ się objawia — na pierwszy rzut oka zdawałoby się, że Huysmans i ja to diametralnie przeciwne bieguny, antypody, skazane na to, by się nigdy nie spotkać — a przecież: dokładnie czuję, że duszy mej najlepiej w głębokim zlewie twardych, nieustępliwych, fanatycznych myśli i poglądów Huysmansa, a jak do dawnego

i bardzo zażyłego przyjaciela uśmiechała się moja dusza porozumiewawczo, gdy nieokiełzany, brutalny niemal pesymizm życiowy orgie w jego tworze święci.

Wpływ Huysmansa zdaje się jednakowoż objawiać wreszcie tylko w artystycznej fakturze, w ujęciu tematu, technice słowa — mózg mój jedynie podlegał temu wpływowi: dusza nie zbacziała ani na chwilę z tej ścieżki, którą od samego początku kroczyła, a którą sobie już wtedy obrała, gdy według *Introito* boskiej „Pieśni Wieczornej” Kasprowicza w świętem uniesieniu się kaja:

*„O duszo spragniona miłości,
o duszo spragniona spokoju!
On był i ty w nim byłaś przed początkiem,
nim jeszcze miłość i spokój
stały się ogniem trawiącym,
zanim się stały zabójczą tęsknicą
i tem kamiennem, ślepem prerażeniem”.*

I otóż właśnie: bardzo rzadko staje się ten straszliwy „ON” osią rozpędową tworu artysty i zasadniczą jego istotą, jak u Kasprowicza i u mnie: stąd to jego i moje odporności wobec wpływów tych wszystkich, skądinąd wielkich artystów, w których tworze ta najgłębsza i bolesna konieczność Bytu się nie uświadomiła.

Inaczej wszystko przeżywaliśmy — Kasprowicz bez porównania głębiej i szczerzej, aniżeli ja, i w swoich „Hymnach” znalazł bez porównania potężniejszy wyraz dla swej „tęsknicy” i „ślepego prerażenia”, ale podkład jego i mego tworu jest ten sam.

Szli na „pustynię” średniowieczni mistycy, a Boga samego nazwali „wielką pustynią” — najwyższem ich szczęściem było, gdy ich ta „pustynia” w siebie wchłoneła. I on i ja poszliśmy — innemi drogami wprawdzie — na naszą „pustynię”. A naszą wielką pustynią była ta „tęsknica”, to „kamienne, ślepe prerażenie” — nie słyszeliśmy ostrzegającego głosu Zarathustry-Nietzschego:

„*Die Wüste wächst, weh dem, der Wüsten birgt!*“ bośmy musieli posłuchać innego głosu:

„I była tam nade mną ręka Pańska i rzekł do mnie: Wstawszy, wyjdź w pole (pustynię) a tam się z tobą rozmówię.

„A tak wstawszy, szedłem w pole (pustynię) a oto chwała Pańska stała tam, jako chwała, którą widział u rzeki Cheber, i upadłem na oblicze moje“.

Ezechiel 3, 22, 23.

A ta chwała Pana, którą on i ja znaleźliśmy, to ta zabójcza „tęsknica“ i to ślepe „kamienne przerażenie“, a znamienne, że właśnie w tym czasie, kiedy i Barbey d'Aurevilly i Huysmans przypuszczali szturm do mej duszy, poszedłem na moją „pustynię“ i tam wyszlochałem mój bolesny hymn do Tęsknoty, który potem miał mi w ponurym blasku rozkسیęzycowić moje „Wigilje“.

Tej zabójczej tęsknicy, tego ognia trawiącego nie zna ani Francuz, ani Niemiec, ani Skandynawczyk, ani nawet Rosjanin, bo tęsknota jego jest całkiem innego rodzaju, zna ją tylko Polak: w całej potędze i ogromnie przeżył ją Szopen, ujawniła się w niej do samych trzewi dusza Kasprowicz a krzyżem rozłożyła się na niej twórcza dusza moja.

A upadłszy na moje oblicze przed wielką chwałą Pana, która mi się u rzeki Cheber objawiła, danem mi było rozpoznać bezkres jej potęgi i w bolesnym bełkocie wyjąkałem słowa świętej modlitwy:

„Wokół Twej głowy wieniec zwiędłych kwiatów gdyby korona czarnych słońc, a Twe oblicze płonie żałobą zastygłych gwiazd...

U nóg Twych kona burza mego żywota, gasnącą falą oblewa Twe stopy chory plód mej duszy.

Szaremi skrzydły okraża Cię obłęd moich przeznaczeń — Kolebko Ty moja, grobie Ty mój!

Z czarnych mgławic mego początku wyrosłaś w chmurne nieb stropy, w słabej muszli perłowej nędznego Bytu mojego płyniesz w głuche bezkresy, Ty, bolesna piękność, Ty, cudu nad cudu:

Tęsknoto Ty!“

XII.

To jedno jest bezwzględnie pewną rzeczą: literaturze niemieckiej nie zawdzięczam — zgoła nic.

Biję korne pokłony przed ich nauką, w wielkiej mierze przed ich muzyką, — przed ich malarstwem, ale literatura niemiecka nic mi nie dała, niczem mi duszy nie wzbogaciła, nie była nawet na chwilę podnietą do mego tworu.

Oni są mi może jeszcze więcej obcy, aniżeli ja im. A tak dalece jestem im obcy, że w ostatnich czasach usiłują zatrzeć moje rozliczne ślady w ich literaturze, bo wstyd im, że kiedyś wśród nich jakąś rolę odegrałem.

A chciałbym, żeby było inaczej, chciałbym istotnie coś im zawdzięczać wzamian za szczerą, dobrą gościnę, której mi używali — nigdy mnie nie spotkała chociażby najmniejsza przykrość ze strony moich niemieckich braci po piórze — nawet przeciwnie: wszędzie natrafiałem na serdeczną życzliwość, ale trudno: im więcej grzebię w mej pamięci, tem trudniej wskazać mi na jakiś utwór niemieckiego pisarza, któryby mnie zdołał głębiej poruszyć.

Już w gimnazjum nienawidziłem Schillera, Goethe do rozpaczny mnie doprowadzał, na śmierć mnie zanudzał, a na dobre mi nie wyszło, gdym się w literackich kołach zdradził z tą niechęcią do Goethego. Oni wszyscy nie wyszli poza Goethego — w każdym, nawet współczesnym tworze dopatrzyć się najpogoethego: młodego, dojrzałego birbanta, to znowu można rzadniejszego z porządnych, uczonego dyletanta i służalczej ekscelencji.

Można sobie wyobrazić zgorszenie mych kolegów, kiedym ich z trochę smarkaczowską arogancją pytał: *Monsieur Goethe — qu'est ce que ça?*

Wzamian zato otrzymałem przydomek „Getyński“ i opatentowany zostałem jako: *bornirtes Genie*!

A Goethe jest istotnie rozwiązaniem zagadki duszy niemieckiej i zdaje się, że tylko jedynie Niemiec jest zdolny odczuć jego wielkość. Kiedy roku 1900 rozpisano wszechświatową ankietę, co poszczególne narody Goethemu zawdzięczają, okazało się, że prawie nic. Narody romańskie znają go ze słychu, u Skandynawów cieszy się oschłym „*succés d'estime*”, z słowiańskich narodów jedyni Polacy chępią się tem, że Goethe Mickiewiczowi „złote pióro“ ofiarował, co jest wierutną bajdą — zdaje się nawet, że Mickiewicz był mocno Jego Ekscelemcją rozczarowany i na odwrót Goethe Mickiewiczem, bo, gdy Goethe na cześć „interesującego Polaka“ kazał wystawić swoją „Ifigenię“, Mickiewicz nie zdobył się nawet na prosty frazes grzeczności.

Tak mi przynajmniej opowiadał ś. p. Karol Brzozowski, autor „Strzelców z Anatolji“, który znał dokładnie przebieg całej wizyty Mickiewicza u Goethego.

To jedno tylko wiem, że Goethe jest kluczem do piśmienictwa niemieckiego: kto z Goethem na zły stopie, dla tego cała literatura niemiecka na siedem spustów zamknięta.

I to wszystko jedno, jakie fazy przechodziła — naturaliści tkwią tak samo w Goethem, jak idealiści, nawet ich futuryzm i ekspresjonizm szuka w Goethem uzasadnienia i potwierdzenia, bo jedyną i ostatnią, a najwyższą instancją w rzeczach sztuki jest Goethe.

Wreszcie: już, jako 55-letni mężczyzna, powiedziałem sobie: „Może byłeś za młody, zbyt mało dojrzały, spróbuj teraz!“

Istotnie zadałem sobie niemały trud, rzuciłem się z całą rozpaczą na Goethego, by odgadnąć tajemnicę jego wielkości, a gdy dotarł do ostatniego tomu, miałem wrażenie, że przebyłem lata całe w małomieszczańskiej atmosferze małego miasta, odbywałem z rozmaitymi Biedermajerami podróże po Szwajcarii i Włoszech, wracałem z rozkoszą do rezydencji małomiasteczkowej mego księcia i pana, byłem nieubłagany srogi dla rozmaitych wywrotowców i ludzi o nieuporządkowanych mózgach, którzy we mnie najwyższy wstręt wywoływali, wstydziłem się młodzięńczych wybryków, stroiłem się w coraz większą pychę i niedostępność wobec moich podwładnych, klepałem życzliwie po

ramieniu moich wielbicieli, uśmiechałem się przyjaźnie do roju wielbicielek, które się bezustannie wokół mnie plątały, z pogardą głęboką patrzyłem na niedowarzonych smarkaczy, którzy mej wielkości uznać nie chcieli, albo ośmielali się ją kwestjonować, a anim się nie spostrzegł, jak przedzierzgałem się w mojego współczesnego Henryka Ibsena, który na starość jął w Krystjanji tworzyć dokładną kopję roli, jaką Goethe w Wejmarze odgrywał — rolę tajemniczym nimbem osłoniętego, niedostępnego Olimpijczyka.

Żyć, jak Goethe, goetheizować się poniekąd, było tak dla starych, jak i młodych Niemiec, najwyższym ideałem, a p. Eliza Förster-Nietzsche niesłychane hece wyrabiała, by pomiędzy parę „dioskurów“, Schiller-Goethe, wepchnąć cichaczem swego nieszczęsnego brata, który na szczęście, obłędem spowity, nie potrzebował wstydić się i konać z obrzydzenia na widok tych śmiesznych wysiłków, ale musiał już je przedtem przeczuwać, kiedy zwrócił do siostry ten zaciekle złośliwy epigram:

„Jung: *beblühtes Höllenhaus,*
Alt: *ein Drache fährt heraus!*“

Przez jakąś chwilę, kiedy miał jeszcze 18 lat, zastanowił mnie rozwichrzony *Kraftgenie* Lenz, któremu właśnie Goethe tak skutecznie nogę podstawił, że zwałił się, jak długi, i już podnieść się nie mógł; usiłowałem się entuzjazmować Kristjanem Grabbe, wmawiałem sobie miłość do Amadeusza Hoffmana, rozrzewniał mnie Kleist nie swojemi dramatami, ale swoją samobójczą śmiercią wraz z swoją przyjaciółką, usiłowałem pokochać Zacharjasza Wernera, ale w żaden sposób nie mogłem zdobyć dystansu do tych *Kraftgenies* — jakby to przełożyć na język polski? — siłaczów-genjuszów, którzy brak istotnej twórczej siły maskowali tem nawskroś niemieckiem „*furor teutonicus*“ słowa.

Wszystko — słowa, słowa, słowa!

Nabrzmiałe, napęczniałe, nadęte słowa, chorujące na *Elephantiasis*, do potwornych rozmiarów opuchłe słowa, — *Hypdropsia* słowa — miałem często wrażenie, że stoję na jakimś małomiasteczkowym jarmarku: w jakiejś budzie sterczy długa, wysoka deska, miernik siły — w dole kowadło: uderzało się o nie ogromnym młotem, wtedy wyskakiwał kawałek żelaza,

a im wyżej dotarł, tem większe laury zbierał poszczególny siłacz, który młotem uderzył — taki pan nazywa się po niemiecku: *Kraftmeyer*.

A ta potworna retoryka, wrzaskliwa, wyjąca, huczająca, ten piekielny żargon filozoficzny niemożliwie powykręcanego, rachitycznego języka Schellinga, Hegla — te obrzydłe tasienie refleksyj, te cikliwe, obłeśne *Naturschwärmerei* — jakby to przetłumaczyć? — rozlazły, wstrętny sentymentalizm, to znowu parobkowski, chamski brutalizm, babrzący się w najplugawszych trywialnościach — o nie! nie! nie!

Chwilę przystanęłam przed Heinem — ale to wieczne „mauszlowanie“, te bezecnie tanie dowcipy, to przykre oślinianie i siebie i drugich szybko mi się znudziło — nietylko znudziło, ale wstrętem mnie przejmowało.

Młode Niemcy — właśnie ta moja generacja — ten sam obrachunek zrobiła z swoimi poprzednikami: już wprost brutalnie strąciła Schillera z piedestału, pomiatała z zacieklą furją pomniejszych z owych czasów, znęcała się Nielitościwie nad Dahnem, Ebersem, Spielhagenem, a głównie nad najpoczytniejszym po on czas Pawłem Heysem, zrehabilitowanym niedawno przez paradny areopag „jury“, „nagrody Nobla“ — to już zakrawa na Gaurisankar groteski! — a właściwie sąd „młodych Niemiec“ nie odbiegał tak dalece od tego, tak nieskończenie pogardliwego, jaki swego czasu Fryderyk Wielki wydał w francuskim języku o stanie literatury niemieckiej za jego czasów.

Przed jednym Goethem tchórzono — jedyny Goethe był nietykalny, ale i tu robiono olbrzymią różnicę pomiędzy młodym a „starczym“ Goethem, tamtym wciąż się jeszcze zachwycano, tego ostatniego omijano w dalekich okrażeniach, ale zawsze z przynależnym respektem i pietyzmem.

Właściwa literatura niemiecka rozpoczynała się w pojęciu „młodych“ dopiero z ich wystąpieniem, gdzieś około 1880 roku, kiedy to Michał Jerzy Conrad założył pierwsze i jedyne pismo, poświęcone „zrewolucjonizowanej“ literaturze niemieckiej „*Die Gesellschaft*“, naokoło którego jęła się gromadzić pierwsza garstka obrazoburców i wywrotowców, która poczęła z zacieklą namietnością roztrzaskiwać stare tablice i uświęcone kanony, ciskać pioruny na fałsze i konwenanse tak w społeczeństwie, jak i w jej

pokornej służce: literaturze — zrywać obłudną maskę idealizmu z owrzodziałej twarzy i zwać z zuchwałą odwagą z piedestałów przez cały naród uświęconych bonzów.

Och, jak w tem nowem jaskrawem oświeceniu wyglądały te wydęte wielkości, te cikliwe, sentymentalne „biedermejerowskie“ piękności!

„Pół Schillera, trzy czwarte wstrętnej moralności niemieckiej, a już całą absolutnie politykę liberalną z kretesem trzeba by wyniszczyć, by możnaby było mówić o jakimś duchowym życiu Niemiec“, grzmiał jeden z punktów programu, inny zaś opiewa, że „śmierć największego bohatera starej literatury, o ile chodzi o zużytkowanie tematu, stoi narówni z bólami porodowymi krowy“.

Conrad, Walloton, Alberti, Bleibtreu, a najciekawszy z nich Hermann Conradi, to był sztab generalny tego *Mord- und Brand* — czasopisma: *Gesellschaft*, a Bogiem ich był Zola — Zola ponad wszystkich, „najpotężniejszy“ genjusz, jaki dziewiętnaste stulecie wydało, w drugim rzędzie dopiero: Ibsen, Dostojewski, Tolstoj.

Co z tych czasów pozostało? Może dwie powieści rozwichrzone wściekłymi płomieniami miłości i nienawiści, pisane nie ręką, ale druzgoczącymi pięściami, walącemi o stół stylem, który koziółkuje poza obrębem jakichkolwiek artystycznych granic, ale równocześnie do groteskowych rozmiarów wypaczone zwierciadło tych zaciekłych ikonoklastów i całej ich epoki: Bleibtreu'a „*Größenwahn*“ i „*Adam Mensch*“ Hermana Conradiego.

Raz jeden spotkałem Conradiego i to krótko przed jego śmiercią. Ponoć życie sobie odebrał.

Zaciągnął mnie późną nocą jeden z moich kolegów szkolnych z Wągrówca, który miał styczność z ówczesnymi matadorami literackimi w Berlinie, do jakiejś knajpy, w której się zbierali. A właśnie przyjechał do Berlina na krótki czas słynny już Conradi.

Jemu i mnie przypadła ta sama droga zpowrotem. Pewnie, że on — 27-letnia wielkość — zwróciła na mnie — 20-letniego studenta — tylko o tyle uwagę, ile jej wymagało jego poczucie równowagi: taczał się z jednego brzegu chodnika na drugi,

olbrzymi kapelusz „kalabrezer“ nacisnął na oczy i głośno deklamował swój nieskończenie smutny wiersz:

*„Da nun die Nächte kamen,
Die Nächte wundersüß,
Wo letzter Nachtigallenschlag
Die Stunden feiert kurz vor Tag
Und frühestes Rosendüften —
Sehnt sich mein Herz nach Liebe nach Glück
Nach dem verlorenen Paradies zurück“...*

Jak mi to głęboko utkwiło w pamięci! — kiedyś po trzech tygodniach przyjechał do domu na wielkanocne wakacje, otrzymałem wieść o nagłym zgonie Conradowego.

Zmarł w sam czas, w trakcie procesu, który równocześnie wytoczono i jemu, i Conradowi, i Wallotonowi, i Bleibtreuowi, i Albertiemu o szerzenie niemoralności i pogardę dla „najświętszych zasad“, na jakich społeczeństwo jest oparte.

Niemniej zacieklą i bezwzględną była walka kolonji „młodych Niemiec“ w Friedrichshagen, gromadzącej się naokoło braci Hart, Bölsche, Bruno Wille, Arno Holz przeciw uświęconym wielkościom: Arno Holz krztusił się, gdy wypadło mu wymówić przypadkiem nazwisko Schillera, wszystkie ówczesne wielkości oskubywano do naga z ich piórek, ani strzępka nie pozostało z ich hermelinu: jeden Goethe ostał się zwycięsko, ale też tylko z zastrzeżeniami, natomiast wkroczyli triumfalnym rydwanem do literatury niemieckiej prócz Zoli i Flauberta sami Skandynawi: Ibsen, Björnson, Arne Garborg, Knut Hamsun, a przede wszystkim Strindberg.

„Nur vom Norden kommt das Heil für das deutsche Schrifttum“ — ten aksjomat nie ulegał żadnej wątpliwości.

Organem tej nowej warstwy literackiej „Młodych Niemiec“ stała się około 1890 roku „Freie Bühne“, pismo, które powstało równocześnie z założeniem „wolnej sceny“ („Freie Bühne“) Brahma i Schlenthera, na której to scenie na pierwszy ogień puszczono Hauptmanna „Vor Sonnenaufgang“.

Pismo samo, „Freie Bühne“, przepełnione było prawie wyłącznie tłumaczeniami ze skandynawskiej literatury, a rzadko kiedy pojawił się jakiś utwór niemieckiego pisarza, jak: „Einsame

Menschen“, dramat Hauptmanna i powieść Hermana Bahra, pisana językiem, który takie piekielne djabelskie młyńce wywijał, że nakładca nieomal żółtaczkę nie dostał z rozpaczy, iż redaktor Brahm ten utwór przyjął: „*Die gute Schule*“, ale poza tem spotykało się tylko nazwiska i utwory skandynawskich pisarzy. Tu także pojawił się artykuł Hanssona, oświeclający całą krytyczną działalność Jerzego Brandesa. Zarzucał mu lekkomyślną płytkość i stronniczość sądów, naginanie obcych utworów do swego własnego, bardzo biednego i eklektycznego poglądu na literaturę współczesną, doszczętne wypaczenie myśli i zamiarów omawianych przez niego autorów, kokietowanie z ostatnio pojawiającymi się prądami bez najmniejszego zrozumienia ich głębszego nurtu: jednym słowem Hansson miażdżył bezlitośnie wydetą wielkość Brandesa i to tak przekonywującymi argumentami, tak subtelną i druzgocącą dialektyką, że Brandes który był również w Niemczech, jak i w Polsce, niemal półbogiem, dostał poprostu ataku ostrego szału.

Jego replika, ociekająca pianą wściekłości, nie zrobiła wielkiego wrażenia, była prostą i ordynarną napaścią, ale od tego czasu był każdy, który nazwisko Hanssona wymówił, jego osobistym wrogiem, nad którym się bez miłosierdzia pastwił, a cóż dopiero nade mną, który całą broszurę o Oli Hanssonie napisał!

Tego mi zapomnieć nie mógł. Jeszcze w 1900 roku, kiedy Lwów na uroczystość odsłonięcia pomnika Sobieskiego zaprosił Brandesa, by wziął udział w tej uroczystości — „*et la tristesse de tout cela, o mon âme*“ — pienił się Brandes przez całą drogę z Krakowa do Lwowa na „Życie“, na mój twór, a ostatecznie wywarł całą swoją złość na biednym Skrzyńskim, który pragnął mu być „ciceronem“ po Lwowie.

Zdumiewające było u tych *Młodych Niemiec* to pogardliwe lekceważenie wszystkiego tego, co przed nimi w piśmiennictwie niemieckim powstało.

Raz po raz słyszało się jakieś. „*Nun ja — nun ja*“, jeżeli, wymieniało się Lenza, Grabbego, Kleista — (z wielką restrykcją), Kellera, może dlatego, że był najbliższym przyjacielem Böcklina, ale poza tem: „nie będziesz miał innych Bogów przede mną!“

A to wszystko tkwiło w najgrubszym, bo na niemiecki sposób zbrutalizowanym naturalizmie Zoli — Zoli — Zoli!

Ale już poczęto około 1890 roku majaczyć o przewycięzeniu naturalizmu — a pierwszy, który go przewycięzył, był Paweł Scheerbarth, kpił sobie z dedykacji Hauptmanna dla Arno Holza i Johannes Schlafa: „*Den einzigen consequenten Realisten*“; „O ile ja wyżej stoję“ — mówił — „od tych konsekwentnych realistów, ja — ja jedyny konsekwentny alkoholik? I cóż wy tak sławicie Hauptmanna? A kto słyszał o moich kometach z 48 roku, które szaleją teraz w delirycznej białej gorączce?“

Ale niech powiedzenie Scheerbartha pozostanie żartobliwym wspomnieniem.

Istotnie pierwszym, który doszczętnie naturalizm przełamał, może dlatego, że nigdy w nim głębiej nie tkwił, był Ryszard Dehmel.

Aby ocenić jego działalność i wpływ na ówczesny stan literatury niemieckiej, trzeba by osobne studjum napisać, a przecież ja nie piszę dziejów piśmiennictwa niemieckiego, dotykam go tylko o tyle, o ile miałem z nim wspólnego, a raczej, by wykazać całą niesłychaną rozbieżność między moim tworem, a pochodem twórczej myśli niemieckiej.

Dziś już Dehmel uznany przez całe Niemcy za największego liryka, jakiego Niemcy od czasów Goethego wydały — może jeszcze jednego Lilienkrona można by obok niego postawić i obydwie nazwiska jednym tchem wymówić, ale był czas, kiedy tylko małe kółko już w pierwszym jego tomiku „*Erlösungen*“ przeczuwało jego przyszłą wielkość, a dla tego kółka był Dehmel czemś tak mocnym, jednolitem, taki zbożny szacunek nakazującym, żeśmy wszyscy, ilu nas naokoło niego było, bezopornie podlegali jego umysłowej i kulturalnej przewadze.

Jako artysta formy olśniewał nas niesłychanym opanowaniem języka i twórczą siłą, z jaką ten język urabiał, naginał, zmuszał go do wypowiedzenia rzeczy, które zdawałoby się były całkiem niewypowiedziane, bo nikt — nawet Goethe — ich wypowiedzieć nie umiał, Dehmel stworzył sobie odrębną jakąś, a jak najzupełniej zgodną z duchem języka, składnię, zużył wszelkie możliwości rozwoju tego języka, który, jak żaden inny

z europejskich języków, wciąż jeszcze trwa w stanie rozwoju, i nawet przewidzieć nie można, jak będzie za jakie sto lat się przedstawiał — w tworze Dehmle mnóstwo antycypacji tej fazy rozwoju, w jaką dopiero obecnie język niemiecki wkroczył, a która ówczesnym filologom włosy na głowie z przerażenia jeżyła, a takim rozrzutnem bogactwem melodji, taką ogromną skalą rytmu, nigdy przed nim język niemiecki nie rozbrzmiewał.

Jako myśliciel zdumiewał nas niezwykłą dojrzałością i głębią swych myśli — a mimo, że jego światopogląd diametralnie różnił się od mego — tu w grę wchodziła głównie odrębność rasy — z pokorną cziłą słuchałem jego wywodów, tak były przesycone żarem głębokiego przekonania i wiary w to, co mówił. To też bezustannie zasięgałem u niego rad, które w mojej twórczości oczywiście w co innego się przetwarzały, i w inny sposób je zastosowywałem, jakby tego Dehmel był pragnął, był nawet nieraz zdumiony, jaki niespodziewany użytek z jego rad robiłem, niemniej zawdzięczam mu, żem niejedno, co mi się tylko jak we mgle zarysowywało, w pełnem świetle uświadomić sobie zdołał.

Obcą mi była jego poezja, w której refleksje, filozoficzne dociekania i zagłębianie się w metafizycznych spekulacjach poezję jego do tego stopnia obciążały, że stawała się nieomal dydaktyczną, ale bliską i pokrewną tam, gdzie Dehmel wyczerpywał cały świat uczuć i namietności we wszystkich jego wymiarach, kiedy wrył się, jak kret pod ziemię i kopał w niej ganki, do których skąpe tylko światło się przedzierało, lub kiedy ze zdumiewającą intuicją wgrzebywał się w najskrytsze zakątki duszy ludzkiej.

Surowy sędzia, który sztuce wykreślał rozległe granice, stawiał jej najwyższe wymagania i brzydził się nieszczerym sentymentalizmem, miał chorobliwy wstręt do wszelkiego rodzaju frazesu, lub płaskiego patosu, otrząsał się, gdy natrafił na coś, co w czemkolwiek jakąś gminnością trąciło, był on najpewniejszym drogowskazem dla kształcącej się dopiero duszy twórczej, borykającej się jeszcze z technicznymi środkami, jakimi się wszelkiego rodzaju twórczość posługiwać musi.

Najsurowszy sędzia dla siebie samego, był, jak już powiedziałem, niezmiernie surowym w ocenie tworu swoich najbliższych — a taki posiadał w naszym gronie — to znaczy w obrębie swego małego kółka, bezwzględny autorytet, że jeżeli Dehmel powiedział:

„To nic niewarte“, albo choćby: „Mógłbyś być to lepiej napisać“, starczyło, by utwór ten bezzwłocznie odbył wędrowkę do pieca.

Widywałem u Dehmela stopy manuskryptów Lilienkrona — bo Lilienkron nie napisał jednego utworu, którego by nie przesłał Dehmlowi do oceny. Dehmel całe noce trawił na kreśleniu tych rzeczy, które nazywał: „*lirische Dummheiten*“, a które się i największemu lirykowi zdarzają, słowa wyszłe z obiegu zastępował żywymi, sugestywnymi słowami, a gdzie napotkał na martwe miejsca — nazywał je „*Lückenbüsser'ami*“, dawał wskazówki, jak i czym je wypełnić można — czasami tak pokiereszował manuskrypt, że go trudno było rozpoznać, ale w tak twórczy sposób, że artysta z rozkoszą zabierał się do ponownego opracowania tego samego tworu.

Johannes Schlaf, kiedy już się całkiem z Arno Holzem rozłączył, wszystko, co napisał, przedkładał Dehmlowi, a jeżeli „Wiosna“ Schläfa otrzymała tę artystyczną skończoność i doskonałość, to w głównej mierze zasługa Dehmela: a ile godzin spędziliśmy razem na cyzelowaniu, doskonaleniu i wykończaniu moich utworów!

Dehmel wtajemniczył mnie w najskrytsze piękności języka niemieckiego, nie przepuszczał mi żadnego niedbalstwa, a podniecał mnie ciągle rozkoszną ostrogą: „Tobys Ty właśnie mógł daleko lepiej zrobić!“

A jak szczęśliwy byłem, gdym Dehmlowi przesłał mój Hymn do Tęsknoty, pomieszczony znacznie później w Wigiljach i po paru godzinach otrzymałem od niego pneumatyczną kartkę: „Ten poemat uprawnia cię do zabiegów o wieczność!“

A swoją drogą był Dehmel dumny, że nauka jego nie poszła w las. Kiedym dokonał przekładu Hymnów Kasprowicza na język niemiecki, a w przedmowie wyraziłem pragnienie, by tak potężny mocarz języka, jak Dehmel, podjął się rewizji mego tłumaczenia, powiedział mi ostatnim razem, kiedy go w Monachjum widziałem na parę lat przed wojną: „Lepiej od Ciebie i ja nie byłbym zrobił“.

Równie wielkim, jako twórca, był Dehmel, jako człowiek.

„*Edel sei der Mensch, hilfreich und gut!*“ ale to, co w ustach Goethego było ogólnikowym frazesem, było najistotniejszą treścią duszy Dehmela.

Jego poświęcenie dla przyjaciół nie znało granic, poświęcał ich sprawom połowę swego czasu, noce całe trawił nad ich tworem, by go z wszelkiego żuzlu oczyścić, pisywał listy na kilkunastu stronicach z najcenniejszymi wskazówkami, które nieraz oślepiającym blaskiem rozwidniały ciemne manowce, uświadamiały to, co niejasno w duszy się majaczyło, a gdy który z nich popadł w przykre położenie, nie spoczął rychlej, dopóki nie przyniósł pomocy.

Kiedy Johannes Schlaf zapadł ciężko na zdrowiu i trzeba było go umieścić w sanatorium, Dehmel latał całymi dniami po Berlinie, przypierał do muru wszystkie literackie „wielkości“, prosił, błagał, upokarzał się, ale nie spoczął, póki nie wyzebrał środków, zabezpieczających Schlafowi półroczny pobyt w sanatorium.

A w tej jałmużniczej misji zaszedł jeden ciekawy epizod: Schlaf napisał razem z Holzem — tylko, że udział Schlafa przewyższał o całe niebo udział Holza — bardzo ciekawy dramat: „*Meister Oelze*“. Dehmel zaproponował Brahmowi, dyrektorowi Teatru Niemieckiego, by ten dramat wystawił, dochód z przedstawienia tego dramatu mógłby być zapewnić Schlafowi zgóry pewną większą sumę, ale temu oparł się gwałtownie Gerhard Hauptmann, ten sam, który przed paru laty poświęcił swój dramat „*Vor Sonnenaufgang*“ Schlafowi i Holzowi, wtedy jeszcze w poczuciu wszystkiego tego, co im zawdzięczał — ale teraz już, gdy w sadło porósł, a Teatr Niemiecki stał się nieomal jego teatrem, wyparł się wszelkiej łączności z Schlafem, a z długu wdzięczności, lękając się współzawodnictwa z Schlafem na scenie, chciał się wykpić stoma markami!

Od Lilienkrona nadchodziły codziennie prawie alarmujące listy, w których się skarżył na ostatnią nędzę. Lilienkron musiał bezustannie zmieniać mieszkanie, bo, jak psy gończe, ścigają go wierzyciele i jednej chwili spokoju mu nie dają: obrzydzili mu do tego stopnia życie, że wstydzi się i sroma wogóle żyć — nieraz mu nie tylko na obiad nie starczy, ale ani nawet na nędzne cygaro. Dehmel rzuca całą swoją pracę, wędruje od jednego nakładcy do drugiego, aż wreszcie przyparł do muru wydawcę „*Berliner Tageblattu*“, Rudolfa Mosse, i obrabia go w krwawym pocie ciężkiej udręki niepewności tak długo, aż wreszcie Rudolf

Mosse, zahypnotyzowany wymową Dehmła, daje Lilienkronowi zaliczkę w kwocie czterech tysięcy marek za powieść, której tytuł dopiero w głowie Lilienkrona się ustalił, a która nie miała być nigdy napisaną: „*Mit dem linken Ellenbogen*“.

I tu znamienny rys duszy tego wielkiego i pięknego dziecka, jakim był Lilienkron przez całe swoje życie: więcej, aniżeli własna nędza, bolała go ta, w jaką popadła jakaś kelnerka, która mu gdzieś, kiedyś parę godzin czy parę dni jaśniejszych podarowała, bo wierzył jej, że go kocha. I właśnie teraz się do niego zwróciła, teraz, kiedy sam, jak szczwany zwierz, tłukł się przed sforą napastliwych psów po ostatnich norach Hamburga.

Nie da się opisać to niewypowiedziane szczęście, jakie go ogarnęło, gdy otrzymał tę zaliczkę: w tej chwili pobiegł na pocztę i wysłał owej kelnerce, której już nigdy potem spotkać nie miał, telegraficznie pięćset marek.

Piękną i wdzięczną była dusza Lilienkrona!

A takich przykładów poświęceń, ofiarności, rozkoszy dawania, zatrutowanej tylko myślą, że mogłaby ona inną duszę pocuciem wdzięczności lub wywdzięczania się krępować, mógłbym przytoczyć u Dehmła bez liku.

Jeżeli kto, to właśnie Dehmel żył tą najwyższą rozkoszą, jaką dusza ludzka odczuć jest zdolna: rozkoszą dawania, dawania bez końca.

A jaki użytek ktoś z jego daru robi — to już go nic nie obchodziło. Obojętnem mu to było, czy ten talar, który on dał, zamieni się na tyle a tyle szklanek piwa, czy tyle a tyle wódek, czy też posłuży na opłacenie „*logis*“ jednego tygodnia.

Znamienny rys dla psychiki Dehmła: nie znał uczucia nienawiści, nie wiedział, co zazdrość, co zawiść, a zdumiewającą była jego pokora.

Rzadko kiedy czytał własne swoje utwory, ale bezustannie wydobywał ze stosu manuskryptów, które zawsze jego biurko zalegały, utwory innych artystów, którzy się do niego zwracali, a szczęśliw był, jeżeli natrafił na utwór jakiegoś istotnego talentu.

Nie doczekałby się może Mombert tego uznania, jakim się teraz cieszy, gdyby autorytet Dehmła nie był go odrazu dźwignął na ten piedestał, na którym obecnie stoi. A przecież jeszcze

wtedy, gdym o Mombercie pisał, nie wiadano, kto większy warjat — Mombert czy ja?

Autorytet Dehmela rozstrzygnął: pogodzano się z tem, że Mombert jest wielkim talentem, a ja — obdarzony iskrą genjuszu.

Długo tłukła się gadka po Polsce o tym „*gienialem Pole*“, jakim to niby ja miałem być — prawdą w tem wszystkim jest tylko to, że Dehmel odczuwał we mnie w istocie „*ein Fünckchen Genie*“.

Dotychczas żywą jest we mnie pamięć tej chwili, kiedy Dehmel — a było to już nad ranem po ciężkiej i parnej nocy letniej — odczytał w gronie dwa razy już pijanych i dwa razy już całkiem wytrzeźwionych artystów — mój poemat: „Wniebowstąpienie“. Pomnę tę głuchą ciszę, która potem zaległa, niespokojny i zdumiony obrzut oczu wszystkich obecnych: było to coś tak dla nich niebywałego, że zdawało się wszystkim, iż posłyszeli dzikie jakieś melodie z domu obłąkanych.

Wogóle moich niemieckich braci po piórze wszystko we mnie przerażało i zdumiewało, i te niesłychane paradoksy, które wygłaszałem, całe to *à rebours* mego życia, *salta mortale*, jakie z ich językiem wyprawiałem, niesamowita obcość wszystkiego, co pisałem, a nawet sposób, w jaki z nimi przebywałem.

Zostałem zaproszony na wesele Juljusza Harta — w jednym dniu odbyły się zaślubiny z jakąś młodą nauczycielką i adoptacja podlotka, córki, którą miał z dotychczasową swoją gospodynią, a która to córka była na weselu tem druchną swej drugiej matki.

Nad ranem schwyciliśmy się z Dehmem za ręce i poczęliśmy tańczyć. Przy fortepianie siedział Willy Pastor — swoją drogą doskonały muzyk — i grał Wagnera „*Walkürenritt*“. Co to był za taniec! Usunięto czem prędzej stoły i stołki, byśmy sobie nóg nie połamali, goście przykucnęli pod ściany, by więcej miejsca się znalazło dla naszego dzikiego rozmachu, a gdy na drugi dzień około południa przyszedł Dehmel do swego biura, zjawił się u niego redaktor *Tägliche Rundschau*, jak wiadomo, ultra-pruskiego, a raczej wszechniemieckiego, najwięcej polakożerczego pisma w ówczesnym Berlinie, niejaki Lange, bardzo poważany wszechniemiec i ostrzegał Dehmela: „*Dehmel, Dehmel, nehmen Sie sich*

in Acht — ich habe Sie in dieser Nacht mit dem verfluchten Polen tanzen gesehen“.

Wróciłem z tego wesela z przetrąconym nosem, bo gdyśmy wyszli na ulicę, Scheerbarth położył się, jak długi, na chodniku, jął bić pięściami w ziemię i krzyczeć w niebogłosy: „*Weltgeist — wo bist Du?*“ A gdy ten „*Weltgeist*“ mu się ukazał i chciał go na nogi postawić, Scheerbarth wpadł w szał i laską nos mi przetrącił. Pewno, że musiałem na silny ból odpowiednio zareagować, ale to bynajmniej nie psuło naszej serdecznej przyjaźni, tem serdeczniejszej w miarę, jak Scheerbarth mój twór zaczął wykpiwać i trawestować.

Scheerbarth — „Szczerbą“ go nazywałem — „*wo bist Du?*“

Umarło biedactwo w strasznej nędzy, pozostawił biedną wdowę — „niedźwiedziem“ ją nazywał — powieść o niej napisał: „*Tarub die Köchin*“ — a biedna „*Bär-Tarub*“ nie byłaby sobie dała rady po jego śmierci, gdyby nie była pomogła hojna dłoń Dehmle.

A Peter Hille pisał wciąż notatki na swoich całkiem już czarnych od ołówka mankietach, i raz po raz rzucał w moją stronę pytanie: „*Was meinst Du, Stako*“ — nazywali mnie wszyscy Stako — za trudno było im wymówić Stachu — jedyny Dehmel nazywał mnie Stasiem — a Franciszek Ewers, teozof i wielbiciel *madame Blavatsky* gryzł szkło i połykał je, jako, że był „chela“ (ucznem) jakiegoś hinduskiego „guru“ (nauczyciela), więc mógł swobodnie szkło łykać — drobnostką było, że sobie poranił jamę ustną do tego stopnia, że przez cały tydzień krwawiła, a na wszelkie obiekcje, że przecież żadną miarą „mahatmą“ się nie stanie, odpowiadał jedynym frazesem francuskim, jakim rozporządzał: „*Nous verrons — nous verrons!*“ — a Willy Pastor grał niezrównanie siódmą symfonię Beethovena i przygrywał wszystkim światom do tańca, a Johannes Schlaf deklamował precudny swój poemat o komunardach francuskich w 1871 roku, a Arno Holz grzmiał bezustannym refrenem:

*„Ich bin mein eigener Dalai-Lama,
Ich bin mein eigener Jesus Christ!“...*

a nagle wielka cisza zaległa: w otwartym oknie — strasznie upalna była ta noc — usiadł na futrynie okna Dehmel i jął dekla-

mować wstęp do swego wspaniałego poematu: „*Verwandlungen der Venus*“, ten boski początek:

...*Nie noch s'ach ich die Nacht beglänztér
Diamantisch éstrahlen die Fernen*“...

* * *

— *Oh, quand reviendront le neiges d'antan?*”

* * *

Nigdy kobiety nie brały udziału w tych naszych zgromadzeniach — nawet na weselu Juljusza Harta nie wiem, czy ich było cztery, lub pięć, najbliższych krewnych Harta.

Jedynie tylko, gdy Dehmel zaprosił do swego domu, była przy kolacji obecną pierwsza żona jego Paula, a i ta niebawem odchodziła do dzieci.

A Paula Dehmel była tak wysoko wartościowym, tak szlachetnym okazem „człowieka“ w kobiecie, jak rzadko mi się spotkać zdarzyło.

Ubóstwiała swego męża, jako artystę, a równocześnie umiała doskonale odczuć wszystkie jego niedomagania — Dehmel może żadnemu innemu sądowi nie przypisywał tej wartości, co jej sądom — i ubóstwiała go, jako męża, a równocześnie godziła się z tem, że jej Ryszardowi żadna kobieta oprzeć się nie może, więc darzyła serdeczną przyjaźnią te przyjaciółki Dehmle, które uważała za godne jego przyjaźni. Była długi czas Dehmlowi nietylko w pierwszej fazie miłości kochanką, ukochaną żoną i przyjacielem-powiernikiem, ale potem, na co rzadko, albo prawie nigdy kobieta zdobyć się nie może — najserdeczniejszym i najtkliwszym przyjacielem tego, który ją dla innej opuścił — opuścił? Śmieszne! Jestem przeświadczony, że silniej jeszcze do niej przylgnął, gdy drugiej się zdawało, że już teraz duszę wybranego posiada!

XIII.

Tymczasem razem z dogorywającym naturalizmem Zoli w sztuce materialistyczny światopogląd w nauce wił się w ostatnich spazmach kurczów.

Przyszedł czas fatalnego pogromu doniedawna dumnie panoszącego się materializmu w nauce — a sromotnie wyrzucony z uniwersytetów, miażdżony przez istotnych myślicieli tak w Niemczech, jak we Francji, osaczony ze wszęch stron pokornym a nieustępliwym agnostycyzmem: „*Ignoramus et ignorabimus*“, Du Bois-Raymonda, uciekł pod „strzechy“, a raczej poddasza robotniczej kasarni i w ograniczonym, ciasnym mózgu robotnika i jego niedoksztalconych prowodyrów stał się jedyną jego religią, religią głodnego żołądka i przepracowanych mięśni, spragnionych chwili spoczynku.

Ekonomiczny socjalizm, oparty na „naukowych“ podstawach filozoficznego talmudyzmu — he, he — Marxa i Lassalle’a przetrwał materializm w nauce, ale w chwili, kiedy mu ciężka i bolesna ironja losu dała sposobność wypróbowania wartości tych „naukowych“ materialistycznych teoryj, poniósł sromotną klęskę.

Czasy powojenne w Niemczech i Rosji doprowadziły ten materialistyczny światopogląd głodnego i wyzyskiwanego robotnika „*ad absurdum*“.

Co za dziecinny obłęd, co za śmieszna arogancja megalomanicznego mózgu ludzkiego, chcieć wepchnąć to zawrotne skomplikowane życie ludzkie, które tysiące znanych, a zawrotne miljardy nieznanych, zaledwie przeczuwalnych sił kształtuje, w zabawny szemacik teoryjek o „kapitale“ i „pracy“!

Raz już umysłowość żydowska zapragnęła życie własnego narodu opalisadować terorem talmudu, ale była na tyle sprytną, by pozostawić tyle zamaskowanych furtek, by teroryzowany więzień w każdej chwili mógł się przez nie na wolność wydostać, bo na każde prawo istniało tysiące wybiegów i obejść: wszystko zostało po staremu — a kłamliwą złudą było ściśle zastosowanie się do zakazów i przykazów talmudu — i tym samym talmudem, oczywiście w całkiem zmodernizowanej formie, starała się ta sama umysłowość żydowska opanować i ujarzmić całą ludzkość.

A na lep tej nauki poszły wprowadzić nie najtęższe mózgi — socjalizm nie może się pochłubić ani jednym rzeczywistym i głębokim myślicielem — ale najszlachetniejsze serca, bo te nigdy nie grzeszą hipertrofią mózgu.

Ciężki smutek ogarnia człowieka na myśl, jakie olbrzymie hekatombie ofiar z wszystkiego, co najpiękniejsze było w narodzie, pochłonęła ta płytka teoria „internacjonalizmu“ ze strony „państwa“ zagrożonego przez ten internacjonalizm w swoich najistotniejszych posadach, ale w większej mierze ze strony tej chwilowym triumfem oszalałej „trzeciej międzynarodówki“, „ochłosa“ — motłochu, który rzezią inteligencji zainaugurował swoje władztwo!

Pierwsza reakcja przeciwko materjalizmowi w Niemczech objawiła się silnem zainteresowaniem się nauką okultystyczną, narazie w jej najprymitywniejszych objawach: spirytyzmie i teozofji.

Ruch spirytystyczny, zainicjowany w Ameryce przez genialnego, ale wpółbłakanego wizjonera, Andrew Jackson Davis, który w transie napisał mnóstwo dzieł blisko spokrewnionych z utworami Galena i Swedenborga, z którymi pozostawał w swoich wizjach w ustawicznym kontakcie — nie tylko z nimi, ale wogóle z duchami wszystkich wielkich okultystów — a trzeba już heroicznego zaparcia się siebie, by się przedostać przez chimerycznie poplątaną, w nieprzedarty gąszcz zbitą dżunglę tych chaotycznych, w delirycznych wizjach poczętych wywodów, do których rzadko tylko przedziera się jakiś promień oślepiającej jasności — otóż ruch ten, który w Ameryce wywołał silne wstrząśnienie umysłów około roku 1848, przedostał się niebawem do Anglii, gdzie fanatyczna zwolenniczka spirytyzmu, madame

van de Weyer, osobista przyjaciółka królowej Wiktorji, wprowadziła spirytyzm do zamku królewskiego i oczywiście tem samem do wszystkich salonów najwyższej arystokracji, a słynne medjum Eglinton, i równie niemniej słynny Home święcili olbrzymie triumfy.

Ruch ten, który się rozpoczął skromnemi fenomenami wirujących stolików, nabrał wreszcie tak poważnego znaczenia i tak wyzywającej postawy wobec ścisłej nauki, że ostatecznie wyłoniła się z grona najpoważniejszych i najuczciwszych mężów nauki, notabłów wszelkiego rodzaju, członków parlamentu i t. d. specjalna komisja, której zadaniem było badać bez wszelkich uprzedzeń mistyczne, a raczej okultystyczne zjawiska duszy ludzkiej w najobszerniejszym zakresie, rozjaśniać ciemne mroki, w jakie spowita jest ta nieznana nam „ciemna strona życia“, to tajemnicze życie duszy bez współudziału jej narządów zmysłowych, przejawiające się w hypnotyzmie, somnambulizmie, a głównie w medjumizmie, boć przecież żadna gałąź okultystycznych nauk nie rozporządza tak olbrzymim materiałem stwierdzonych, pozazmysłowych zjawisk, jak właśnie medjumizm.

Komisja ta ukonstytuowała się, jako słynna, do dziś dnia istniejąca, w olbrzymie zasługi naokoło wiedzy o ukrytych siłach w organizmie ludzkim przebogata *Society for Psychical Research*.

Apogeum gorączkowego zainteresowania się spirytyzmem w całej Europie stanowiły słynne eksperymenta, jakie przedsięwziął wielki Wiliam Crookes, ojciec współczesnej wiedzy fizykalnej, który na kilkanaście lat przed Curie przeczuwał istnienie radioaktywnej materji.

Prawie równocześnie zajęli się w Niemczech uczeni tej miary, co słynny matematyk Fryderyk Zöllner, który pierwszy stworzył przy sposobności badania zjawisk spirytystycznych, osiągniętych zapomocą medjum Slade, teorię o czwartym wymiarze — dziś operuje matematyka tysięcznym wymiarem — dalej fizyk Weber i genialny filozof-psycholog, profesor Th. Fechner.

Trzeba mnie tylko dobrze zrozumieć: mówię jedynie o fenomenologii spirytyzmu, a ta jest tak silnie i ściśle zadokumentowana, jak rzadko jakieś rzeczywiste zjawisko — inna rzecz, że wnioski, jakie fanatyczni, naukowo całkiem nieprzysposobieni, niedoksztalceni spirytyści, o ciasnym i biednym i niedo-

łęznym mózgu, na podstawie tych zjawisk wyciągają, są boleśnie śmieszne; dotychczas jeszcze nie istnieje żadna jako tako zadowalająca teoria, któraby te zjawiska wytłumaczyć zdołała.

A do przeraźliwych absurdów dochodzi Hippolyte Denisard Rivail, który wydał mnóstwo dzieł pod nazwiskiem Allan Kardec — bo nazwisko to, jak twierdzi, nosił w dawniejszym swoim życiu — a między innymi „*Livre des Esprits*“ Paris 1859 (obecnie ukazało się to dzieło w 40-tym wydaniu), które stało się biblią i trzecim Testamentem romańskiego spirytyzmu.

Nie do pozazdrosczenia los badacza spirytyzmu, który musi się przeprawić przez cały ocean najpotworniejszych halucynacyj mózgu ludzkiego, uwiecznionych w tysiącach tysięcy tomów, rozkopywać całą Himalaję „rozumnego“ obłędu tego biednego mózgu, by wreszcie powiedzieć sobie z rozpaczą: *Parturiunt montes, nascitur ridiculus mus*.

Ruch spirytystyczny w Niemczech stał się jednakże popularnym i jał wsiąkać we wszystkie warstwy społeczeństwa niemieckiego około 1890 r., a nabrał znaczenia i powagi przez jedyne pismo, poświęcone wszystkim gałęziom wiedzy okultystycznej, w głównej jednak mierze medjumizmowi, pismo wydawane przez istotnie wielkiego pana o głębokiej wiedzy, Hübbe-Schleiden, zatytułowane: „*Sphinx*“.

Na jakie 150 czasopism, poświęconych spirytyzmowi, jakie pojawiły się w Europie i w Ameryce, „*Sphinx*“ był jedynym pismem, które było nawet przez najzapalczywszych wrogów wszelkiego „okultyzmu“ poważnie traktowane.

Wydawane niezmiernie starannie i wytwornie — zdołało przecież w przeciągu jakichś dziesięciu lat pochłonąć znaczny majątek Hübbe-Schleiden — zaliczało do grona swych współpracowników najwybitniejszych okultystów-teoretyków, a więc barona Łazarza von Hellenbacha, Karola du Prel, Kiesewettera, którego trzytomowe dzieło „Historja okultyzmu“ jest istotnie epokowym dziełem, wobec którego wszystkie inne, przedmiot ten traktujące dzieła są płytkimi kompilacjami, dr. Thomassina, dr. Franciszka Hartmanna, zagorzałego propagatora tak. zw. teozofji, gorliwego i uczonego doradcy słynnej i osławionej Heleny Bławatskiej, „twórczyni“ ruchu teozoficznego w Europie — o czem mi jeszcze nieraz mówić wypadnie, a równocześnie

cieszył się „*Sphinx*“ współpracownictwem wysokiego rosyjskiego dygnitarza Aksakowa, który w swym dziele „Animizm i spirytyzm“ dał jedyną w swym rodzaju wyczerpującą, wysoce rozumną i pod wszelkim względem wspaniałą monografię „spirytyzmu“. Na jego wywody można się godzić lub nie, ale dzieło Aksakowa nie zostało dotychczas przez żadne inne w tym kierunku przewyższone.

Aksakow, który przez 35 lat usilnie, sumiennie, z żarliwością prawdziwego uczonego badał wszelakie objawy spirytyzmu, a dzięki wielkiemu majątkowi, jakim rozporządzał, a który ostatecznie całkowicie tym kosztownym badaniom poświęcił, mógł się zdobyć na bezustanne organizowanie seansów, które często-kroć ogromne sumy pochłaniały, bo trzeba było podejmować własnym kosztem szereg najszlachetniejszych podówczas medjów, jak Slade, Home, Mrs Clayer — zamierzał początkowo zogniskować wszelkie zamierzenia, by objawy spirytystyczne wyświetlić, w Rosji — napotkał jednak ze strony rządu rosyjskiego na stanowczy i gwałtowny opór, więc przeniósł całą swą działalność do Niemiec.

Tu stworzył cały sztab współpracowników, a na jego czele postawił bardzo poważnego i sumiennego badacza, dr. Wittiga, i tylko dzięki jego książęcej munificencji ukazały się w krótkim przeciągu czasu w tłumaczeniach niemieckich, dokonanych przez dr. Wittiga, najkapitałniejsze dzieła spirytyzmu, a więc dzieła Crookes'a, Cox'a, Russel Wallace'a, Edmounds'a, Owen'a, Hare'go i t. d.

Sam Aksakow przyznaje szczerze, że niesmaczne komunikacje z „duchami“, ich fatalne ubóstwo intelektualnej treści, nędzne i zdawkowe banalności ich frazeologii, jak najoczywiściej kłamliwy i mistyfikujący charakter przeważnej części manifestacji, zupełna niepewność fizykalnych fenomenów, jeżeli chodziło o poddanie ich pozytywnemu eksperymentowi, dziecinna łatwowierność i zaślepienie spirytystów i spirytystek, a wreszcie z seansami w ciemności połączone jak najwidoczniejsze „oszustwo“, zaciekle szowinizm kół spirytystycznych do rozpacz go doprowadzały i boleśnie zniechęcały, ale wszystkie te nawet najwięcej poważne wątpliwości, zniechęcania, musiały ostatecznie ulec potędze tak niezbitych dowodów, tak bezlitośnie przekony-

wających faktów, że niedopuszczały już ani najlżejszego poważniejszego o ich najoczywistszej rzeczywistości.

A właśnie w tym czasie napisał był słynny filozofaster niemiecki Edward von Hartmann z namiętną zjadłością swoje nieskończone płytkie dzieło „Der Spiritismus“, w którym stara się ostatecznie zmiażdżyć doszczętnie ten niebezpieczny „zabobon“. Odpowiedzią na tę książkę było właśnie to powyżej wspomniane dzieło Aksakowa, które wychodziło uprzednio przez pięć lat w założonym przez niego czasopiśmie „*Psychische Studien*“. Zanim ktokolwiek zechce się wypowiedzieć o „fenomenologii“ spirytyzmu, ale tylko o niej, winien bezwzględnie bez uprzedzeń przestudjować dziesięć roczników tych „*Psychische Studien*“ i samo dzieło Aksakowa w najwierniejszym, bo przez niego samego kontrolowanym, niemieckim przekładzie: „*Animismus und Spiritismus*“, dwa tomy, Lipsk 1890.

Co ludzi trzeźwych, których władze umysłowe są zrównoważone, od „spirytyzmu“ odstręcza, a nawet z wysokim niesmakiem odrzuca, to dziecinna wiara spirytystów w „duchy“. Jeżeli tę nieskończoną biedną i prawie z niechlujstwem myślowym graniczącą „wiarę“ odrzucimy, dojdziemy przy studjum spirytyzmu do tego przeświadczenia, jakie Aksakow tak pięknie na końcu swego dzieła wyraził:

„Teraz przy skłonie mego życia zapytuję się często samego siebie, czym rzeczywiście dobrze robił, jeżeli tyle czasu, tyle usilnej pracy i tyle środków materialnych poświęcił na zbadanie i spopularyzowanie fenomenów z tego zakresu?

„A może kroczyłem fałszywą drogą, a może wyczerpywałem się na próżno w gonitwie za jakąś złudną iluzją? A może zmarnowałem całą moją egzystencję w szukaniu czegoś, coby mogło w istocie wszystkie moje wysiłki usprawiedliwić i je wynagrodzić? Ale wciąż otrzymuję jedną i tę samą odpowiedź: Niczem godnie nie zdołałbym udowodnić sensu mego ziemskiego życia, jak poszukiwaniem dowodów istnienia transcendentalnej natury człowieka, która zaprawdę jest do całkiem innych celów powołana, aniżeli nasza marna, fenomenalna egzystencja. Nie żałuję zatem, że całe życie strawił, by celu mego dopiąć, choć według oficjalnej nauki na całkiem iluzorycznej drodze, która jednak dla mnie pewniejszą się wydaje, aniżeli błędne manowce wiedzy. A jeżeli

mi się udało chociaż jeden kamień przywlec pod budowę świątyni „Ducha“, nad której wzniesieniem wewnętrzne powołanie człowieka od samego początku pracuje, wtedy osiągnę nagrodę, nad którą godniejszej osiągnąćbym nie zdołał“.

Tak pojęty spirytyzm otwiera już na oścież ważną furtkę do okultyzmu w tej samej mierze, jak ją dotychczas dla ludzi, spragnionych prawdy, na wszystkie spusty swemi śmiesznymi bredniami o „duchach“ szczelnie zamykał.

I tym właśnie spirytyzmem, oczyszczonym z bredni Davisa lub Kardeca, zaczęła się w ostatnich czasach nauka i wiedza oficjalna coraz intensywniej zajmować — u nas w Polsce zrobił olbrzymi wyłom wielkiej, a świętej pamięci Ochorowicz — a kiedyś się niedawno wybitnego polskiego uczonego pytał, jak się oficjalna wiedza odnosi do badań okultystycznych, otrzymałem odpowiedź:

„Jak najlepiej! Ogromny postęp: dziś już nie uważa się tego rodzaju badacza za obłąkanego — za czasów Pańskich byli tacy Crookes, Zöllner, Wallace i Cox obłąkańcami — dziś odbyła się sumienna rewizja ich badań i coraz silniej ujawnia się wstyd nad głupim zaślepieniem, z jakim dotychczas nauka wszystkie okultystyczne objawy całkiem ignorować usiłowała. Uczestniczyłem w tegorocznym kongresie nauk psychicznych w Warszawie i zdumiony byłem tą zmianą frontu uczonych od niedawnych czasów, kiedy w Krakowie nie dopuszczono Ochorowicza do głosu!“

I w tym samym czasie, w którym spirytyzm święcił swoje ubożuchne „odrodzenie“ — w daleko innej potędze znany był on Kościołowi katolickiemu — przeczytajcie tylko zdumiewające dzieło Jezuitę Brognoli: „*Aleksikakon*“ — jał nurtować do samej głębi umysłowość Europy prąd „teozoficzny“.

Ale czem się stał Rosjanin Aksakow dla rehabilitacji spirytyzmu, tem stała się Rosjanka p. Helena Bławatska dla zniesławienia i ośmieszenia tego na modłę europejską przetworzonego i *ad usum delphini* przykrojonego buddyzmu. Tak genialną mistyfikatorką, a jeżeli ktoś zechce: tak niesłychaną oszustką, tak wspaniałą awanturnicą, godną, by nazwisko jej wymówić jednym tchem z nazwiskiem istotnie wielkiego Cagliostro, ród żeński dotychczas poszczycić się nie mógł. Córka Niemca,

majora w służbie rosyjskiej, hr. Piotra von Hahn-Rottenstern, wychodzi szesnastoletnia Helena Petrowna za generała Bławatskiego, ucieka jednak już po dwóch latach z domu swego męża, odbywa dalekie podróże po Ameryce, Egipcie i Indjach, wraca na jakiś czas do Rosji, gdzie doprowadza swoje medjumistyczne zdolności do potęgi, graniczącej z cudami — a nagle znika na przeciąg siedmiu lat, a wszelkie usiłowania, by ją odnaleźć, nie pomogły do wytropienia choćby najłżejszego jej śladu.

Otóż te siedem lat przepędziła, jak opowiada, na Himalajach wśród niedostępnych gór, na jakich stopa Europejczyka nie powstała, ani też prawdopodobnie „nigdy“ nie postanie, między kapłanami tybetańskimi, a raczej ucieleśnionymi bogami, czy też w bogów przeobrażonymi bonzami, którzy mogą się dowolnie z ciała wylaniać, kiedy zechcą, a w ciele astralnym udawać się na wszelkie krańce świata, bo w tej formie ucieleśnionej astroso-my, zwanej „*nikaramanya*“ nad duchem całego świata panują, a ich to emisariuszami jest zarówno Buddha, Mojżesz, Pythagoras, Plato, Chrystus, Mahomet, Luter! ba, nawet Goethe!

Po siedmiu latach, podczas których nauczyciel jej (*guru*) wtajemniczył swoją genialną uczennicę (*hela*) we wszystkie najgłębsze tajemnice i zagadki, jakie ludzkość od samego początku jej istnienia trapiły, udała się już jako „adeptka“ na rozkaz swego guru - mahatmy Koot Hoomi — do Nowego Jorku, by głosić białej rasie trzeci ten Testament, wobec którego dwa go poprzedzające były tylko bajkami nianiek, usypiających powierzone ich opiece dzieci.

I prawdopodobnie ten sam mahatma, który swego czasu przysłał Towiańskiego do Mickiewicza, dał Bławatskiej adres słynnego publicysty Colona Henry Olcotta, który właśnie wtedy narobił niesłychanego hałasu w prasie amerykańskiej opublikowaniem „seansów“, odbytych z non-plus-ultra-medium Eddy. Rok później założyła Bławatska razem z Olcottem „*Theosophical Society*“, której zadaniem było utworzenie jądra dla uniwersalnego zbratania wszystkich ludów świata, bez różnicy rasy i wyznania religijnego, ponadto ściśle badania nad aryjskimi i oryentalnymi religiami, a przede wszystkim jak najzarliwsze badanie ukrytych w człowieku, a nieznanym sił, wy-

dobycie najaw nieznanych praw natury i rozwój w organizmie człowieka istniejących, a dotychczas nieujawionych mocy.

Pierwszym prezydentem tego towarzystwa, które, Bóg wie dla czego, ochrzczono mianem teozofji, bo główne jego wytyczne były skierowane w stronę dróg spirytyzmu, wolnomularstwa, propagandy buddyzmu, nauki hermetycznej różo-krzyżowców, został przez Bławatską mianowany Colonel Olcott, a aby nadać tem większego rozgłosu całej tej „sekcji” — bo nic innego to towarzystwo nie przedstawiało — obrał „prezydent” teozofji miejscowość Adyar w pobliżu Madras w Indjach.

I tu się jęły dokonywać niesłychane cuda — żadna hagiografia nie śmiałaby ich pomieścić chociażby w życiu największej cudotwórczego świętego — w Adyar zaroilo się od mahatmów, którzy ukazywali się tajemniczo i również tajemniczo znikali, ale za każdym razem pozostawiali olbrzymie manuskrypty, którychby żaden człowiek nawet w przeciągu miesięcy całych sporządzić nie mógł, a jeżeli p. Bławatska miała jakieś wątpliwości, wrzucała do na ten cel w jej sypialni przygotowanej skrzynki swoje pytania, kładła się spać, a na drugi dzień otrzymywała wyczerpujące odpowiedzi. Oczywiście, że przy tak wygodnem współpracownictwie wszechwiedzących mahatmów, którzy dostarczali jej wyciągów nawet z tajemniczych ksiąg w bibliotece Watykanu, do której jedynie tylko papieżowi był dozwolony dostęp, nie mówiąc już o słynnej księdze „*Dzyan*”, której tekst jej telepatycznie guru Koot-Hoomi dostarczył, i to nie zapomogą głosek, ale odpowiednich barw, jakie głoskom odpowiadały — kto wie, czy Rimbaud nie zaczerpnął z Bławatskiej tematu dla swego słynnego sonetu o barwie samogłosek? — więc oczywiście, że przy tak obficie płynących źródłach mogło powstać ogromne dwutomowe dzieło „*Isis Unveiled*” (Odsłonięta Izys), i to już w pierwszym roku pobytu w Adyar 1875 — dzieło, w którem autorka usiłowała dowieść, że to, co ona „teozofją” nazywa, jest ezoterycznem jądrem wszelkich religij, wszelkich filozoficznych systemów, wszelakiej magji, kluczem absolutnym do całego olbrzymiego obszaru okultyzmu i t. d., i t. d.

Swoją drogą zdumiewała ta księga i zdumiewa mnie dotychczas wprost niesłychanem bogactwem materiału, zdumiewa w najwyższym stopniu olbrzymią pamięcią i wprost niewiarno-

godnem czytaniem autorki — i możnaby od biedy uwierzyć, że przy pisaniu tej księgi jakieś nadprzyrodzone moce istotną rolę odgrywały, a testament Bławatskiej mógłby w istocie zostać policzony w poczet ksiąg objawionych, a o to jej głównie chodziło, by całemu temu ruchowi nadać charakter czegoś „objawionego“, możnaby rzeczywiście powątpiewać, czy bez jakiejś „wyższej“ pomocy księga ta mogłaby w tak krótkim czasie powstać, gdyby się teraz nie знаło dokładnie źródeł, z jakich Bławatska czerpała, i to źródeł, po on czas całkiem nieznanym tak, że mogły zostać napisane pod etykietą ksiąg „*Dzyan*“! Teraz znamy już dokładnie tych „mahatmów“ i tego Koot-Hoomi, który jej „telepatycznie“ w barwnych przemianach światła tę księgę objawił. W pierwszym rzędzie figuruje tu mało komu znany uczony niemiecki Wilder, który dużo pisał o androgynizmie misteryj, które spoczywają na fundamencie turańskich legend, o reinkarnacjach Dalai-Lamy, i jemu też zawdzięcza Bławatska całą swoją wiedzę o Atlantydzie.

Dwadzieścia jeden utworów słynnego Jacolliot'a, na którego tak często okultyści się powołują, pogłębiły jeszcze jej wiedzę o tej Atlantydzie, a przede wszystkim jego bezkrytyczne dzieło: „*Les peuples et les continents disparus*“; całą swoją wiedzę o neo-platonizmie czerpała również z Wildera — wszystkiego, co wie o Paracelsie, dowiedziała się od świetnego znawcy Paracelsa, dr. Hartmanna, który długie lata żył w jej najbliższem otoczeniu — wielką pomocą był jej Aria-Samadji, przyprowadzony jej przez Olcotta, który niedawno przeszedł na buddyzm i zyskał sobie zaufanie kapłanów buddyjskich, a w filozofję sanskrytu wtajemniczał ją „brat“ Badhadaz z Madras.

To tylko parę nazwisk z ogromnej listy jej mahatmów, wśród których trzeba by jeszcze wymienić barona Palma, wielce ekscentrycznego, ale z całą, nawet najnieдоступniejszą literaturą okultystyczną doskonale obeznanego arystokratę, którego — podobno niesłychanie ciekawe dzieło — „*Art Magic*“ natychmiast po ukazaniu się wykupione i zniszczone zostało.

I aby uwiarogodnić objawiony charakter swej książki i dać dowód, że materiał swój czerpała z astralnego świata, uciekała się Bławatska do takich sztuczek, jak wypisywanie nazwisk w zwierciadlanem odbiciu i cytowanie w tem samem odbiciu

stronnic danego źródła. Cytowała zatem: strona 274 zamiast 472, a więc odwrotnie, boć przecież czytała kliszę astralną, a jeżeli i ta liczba się nie zgadzała, winą było mroczniejące astralne światło, które jej nie pozwalało dokładnie liczb odróżniać!

Tymczasem rozpoczęły się na jasnym dotychczas horyzoncie kłębić coraz to gęstsze zwały chmur. Bławatska żyła z angielskimi misjonarzami w możliwie najgorszych i jawnie wrogich stosunkach: do rządu angielskiego wpłynęła denuncjacja, że Bławatska jest rosyjskim szpiegiem, który pod pretekstem okultyzmu uprawia jawnie szpiegostwo na rzecz Rosji. — Bławatska uważała za stosowne opuścić Adyar na jakiś czas; równocześnie wykazał niejaki mr. Kiddle, że wrzekome listy mahatmy Koot-Hoomi są ordynarnym plagiatem jego własnych mów, wygłoszonych na jakimś tam spirytystycznym „meetingu“, ale najgorszy cios zadało Bławatskiej świadectwo pary małżeńskiej Coulomb, którą Bławatska w swej tajemniczej willi zatrudniała, a która teraz podczas jej nieobecności zapragnęła się zemścić za złe, szorstkie i ordynarne obchodzenie się Bławatskiej — a Bławatska była w życiu prywatnym, jak to nawet jej wierny przyjaciel dr. Hartmann poświadcza, nieznośną i prawie niepoczytalną „babą“.

Coulombowie zdradzili jednakowoż ostatecznie tajemnicę Mahatmy — wskazali na kilku helasów (adeptów), którzy w oszukańczy sposób odgrywali rolę onych zdumiewających mahatmów i wywoływali wszystkie te wrzekomo nadprzyrodzone manifestacje.

Potężne i wielką powagą cieszące się *Society for Psychical Research*, o którym już wspominałem, a które już oddawna śledziło „objawienia“ Bławatskiej, wysłało do Adyar jednego z najwybitniejszych swych członków, mr. Hodgsona, a ten, po sumiennem zbadaniu wszystkiego na miejscu, wysłał towarzystwu referat, który wywołał niebывały wprost skandal w całej Anglii.

Najwięcej czynni i najwybitniejsi członkowie angielskiej odnogi „Teozoficznego Stowarzyszenia“ wystąpili gremjalnie z tegoż łona, a Bławatskiej nie pomogły już żadne wykręty; wszelkie wysiłki rehabilitacji ze strony jej najwierniejszych przyjaciół spełzły na niczem — w Anglii, a pewna tego, że wieści o tym

skandalu dotrą do Niemiec dopiero za jakie dziesięć lat — bo Niemcy żyły po on czas o jakie dziesięć lat wstecz poza Francją, Ameryką i Anglią — udała się wraz ze swoim wiernym dr. Franciszkiem Hartmannem i Colonelem Olcott, do Niemiec.

Tu założyli w Elberfeldzie w r. 1884 towarzystwo teozoficzne pod nazwą *Theosophische Societät Germania*, i z początku zdawało się, że grunt niemiecki jest nader podatny do rozwoju teozofji, tem więcej, że teozofja tuliła się pod skrzydła istniejących już systemów filozoficznych niemieckich i doktryn mistycznych mistrza Eckehardta, Suso, głównie zaś Jakóba Böhme i Paracelsusa. A do rozwoju teozofji w Niemczech przyczyniło się w znacznej mierze ciekawie i świetnie napisane dzieło Sinett'a „*Esoteric Buddhism*“ w niemieckim tłumaczeniu „*Geheimbuddhismus*“, w którym to dziele nauka teozofji doskonale się uwypukla na tle buddyzmu, doktryny pytagorejczyków, Kabali, wiedzy paracelsistów, a nawet teorii ewolucyjnej Darwina. Ale i tu nie miała Bławatska znaleźć spokoju. Zwolna nabierał skandal w Madras coraz większego rozgłosu, a gdy ukazały się „*Proceedings*“ mr. Hodgsona w niemieckim tłumaczeniu, zwarzył mroźny wiatr święty gaj pani Bławatskiej: *Theosophische Societät Germania* wzięła rozbrat z całym kierunkiem Adyaru; Bławatska udała się z Olcottem do Anglii, gdzie niezadługo miała zdać kierownictwo ruchu teozoficznego swej przyjaciółce Annie Besant — na gruncie niemieckim pozostał dr. Hartmann, może najsympatyczniejsza i najrzetelniejsza postać w całym niemieckim ruchu teozoficznym, i tu założył Hartmann czasopismo „*Lotusblüten*“, które doskonale, rzeczowo i oględnie redagowane, bardzo skutecznie propagowało ideę teozoficzną. A dużo miejsca poświęcał teozofji Hübbe-Schleiden w swoim piśmie „*Sphinx*“ — nie dlatego, by był zwolennikiem Bławatskiej, przeciwnie odnosił się do niej niechętnie i bardzo sceptycznie i twierdził, że silnie zachwiała kredytem sprawy okultyzmu, ale jedynie dlatego, że ponad wszystkie religje czcił i uwielbiał buddyzm.

Jeżeli, jakby się na pierwszy rzut oka zdawało, nieproporcjonalnie dużo miejsca poświęciłem tym dwom prądom, które zostały wywołane silną reakcją przeciw materjalizmowi w nauce i naturalizmowi w sztuce, to jedynie dlatego, że w tej atmosferze okultystów jęły się coraz wyraźniej krystalizować moje poglądy

na świat i życie, coraz wyraźniejszych konturów nabierała moja nauka o nagiej duszy, coraz goręcej rozpalala się we mnie ciekawość poznania życia tego ukrytego — metapsychicznego organizmu w człowieku i jej zawdzięczałam ostatecznie doszczętne zerwanie z całą tą tradycją materializmu, w jakiej się dotychczas wychowywałam.

Niestety było to zetknięcie się z tym kołem, do którego mnie Dehmel wprowadził, zbyt krótkiem, bym miał na co innego czasu, jak tylko na pobieżne i dosyć powierzchowne zorientowanie się w olbrzymim obszarze nauk okultystycznych; ale zetknięcie to było tak intensywne, że wpływ jego nietylko, że nie zanikł, ale miał po kilkunastu latach tak intensywnej i nieustępliwiej siły nabrać, że piętnaście lat, przebytych w Monachjum, poświęcałem wyłącznie prawie nasamprzód dorywczym, a potem już stałym studjom nad okultyzmem.

A pracę moją ułatwiały bezcenne skarby z dziedziny okultyzmu, jakie zawiera Biblioteka Państwowa w Monachjum.

Narazie było owocem przebywania w tym kole gorące zainteresowanie się Hata-Yogą, „czarną magią“, o czym świadczy szereg pobieżnych studjów, połączonych w broszurce: „Synagoga Szatana“, a która odczytywana przez Hansa Heinza Ewersa jako jego własny utwór miała mu zdobyć, pierwszy rozgłos i pierwsze większe honoraria.

Zemściłem się na nim przedmowami, którem pisał do polskiego wydania jego dzieł.

Niezapomniane wieczory, spędzone wśród tych dziwnie uduchowionych i dobrych ludzi — istotę ich duszy stanowiła ogromna dobroć, pobłażliwość dla innych, a surowość wobec siebie samych — a znamienne dla Hübbe-Schleideny, który nigdy mięsa nie tknął i nic nie pił prócz wody: kazał gościom podawać i mięsne potrawy i miał zawsze dla nich w zapasie wyborne wino.

On to przytulił do siebie przez jakiś czas biednego łązę Piotra Hille, dał przytułek znanemu i w Polsce malarzowi, który swoje twory sygnował jako Fidus — właściwe jego nazwisko: Höppener, uczniowi słynnego z swych ekscentryczności malarza Dieffenbacha, który utworzył w Monachjum rodzaj sekty Adamitów: bo i dzieciom swoim i uczniom kazał się nago kąpać w słońcu, na co policja zgodzić się nie chciała

i wszystkich uczestników tych słonecznych kąpiei wsadziła do więzienia, a między innymi kochanego Fidusa — i to na parę tygodni.

Niema w całym świecie tak pilnie przez policję strzeżonej moralności, jak właśnie w tej ultramontannej chłopsko-chamsko-katolickiej Bawarii, cieszącej się w całej Europie największym procentem nieślubnych dzieci.

Nasza Polska jest wyrozumialsza. Wincenty Lutosławski, który zdaje się dużo przejął od Dieffenbacha, nie narażał się na szykany policyjne, kiedy w Krakowie propagował czystość nagiego ciała obojga płci w słonecznych kąpielach.

Sekretarzem „*Sphinx*” a równocześnie redaktorem literackiej części tegoż pisma był młody poeta niemiecki Franz Ewers (nie pozostający nawet w najodleglejszym pokrewieństwie z Hansem Heinzem Ewersem), który i w tem, co pisał, i w tem, jak się przedstawiał, w całej swojej *mise-en-scène* starał się naśladować Sâr Meradocha Peladana: twierdził, że otrzymuje częste odwiedziny Mahatmy, kroczył przez życie uroczystym krokiem kapłana i proroka, wierzył, że jest nam Bogiem, a co najmniej zastępcą jego i wybawicielem:

„*Ich bin Euch Gott: Vertreter und Erlöser!*“

Pisał ogromną moc hymnów, przepelnionych megalomaniicznymi frazesami, stroił się w bisior i purpurę teokratycznych, mesjanicznych królów, w włosy — zresztą bardzo bujne — wplatał raz po raz to laurowe wieńce Koryfantów, to znowu cierniową koronę Nazarejczyka, ale przepowiednie jego, wygłaszane w „Pieśniach nad Pieśniami“, w „Królewskiej Gęźbie“, w „Górnych Przepowieściach“, jako, że po jego śmierci jego „Pieśń nad Pieśniami“ będzie na wszystkich ustach, — nie miała się spełnić.

Zagubił się doszczętnie w próżnym, lawą słów ociekającym patosie: nagle zamilkł i słuch po nim zaniknął.

Snać bolesne było dla niego przebudzenie z tych hieratycznych kapłańsko-królewskich snów.

Jedynak zamożnej, owdowiałej matki, fanatycznie przez również zamożną ciotkę ukochany siostrzeniec, należał Ewers do naszej bohemy, nie jako śmieszny „snob“, których mnóstwo starało się do naszego koła wcisnąć, ale jako rzeczywisty, nie-

zmiernie uczynny, do ostatnich granic usłużny i poświęcający się „brat cechowy“.

Hojną ręką rozdawał, co miał, dzielił się wszystkim po bratersku, założył w Lipsku nakład pod nazwą: „Wirujących kół“ („*Kreisende Ringe*“), drukował w nim utwory, których żaden nakładca drukować nie chciał — między innymi Schläfa: „Wiosnę“ i „Śmierć lata“ („*Sommertod*“) — płacił na one czasy po królewsku i on to głównie ratował Schläfa w najkrwawszym położeniu, a bogatą swoją garderobą przykrywał naszą hiobową nagość.

Przecież i ja sam parodowałem w jego na królewską miarę skrojonym płaszczu i ogromnym kapeluszu — kalabrezie, a często gęsto zachodził do mnie, ale nigdy z próżnemi rękami — prócz pliki manuskryptów znalazła się zawsze paczka z wiktuałami, papierosami i flaszką „Nordhäusera“.

I niezapomniane te wieczory i noce, kiedy się u mnie schodzili Ewers i Fidus i Scheerbarth, często bardzo Dehmel z nieodstępnym Lilienkronem, czasami i Schlaf, który po on czas przechodził ciężką kryzys nerwową, a zawsze gdzieś w kąciку przymknął niesłychanie wytworny, nadmiernie wydelikacyony, nadmiernie wrażliwy i subtelny poeta, Maks Dauthenday, — przeczulona *Mimosa pudica* wśród nas mężczyzn, a jeżeli Weininger twierdzi, że w każdym mężczyźnie tkwi jedna czwarta kobiecości, to naodwrot było w Dauthendayu zaledwie jedna czwarta męskości, ale wszyscyśmy się mocno liczyli z tym zdumiewającym, niesłychanie delikatnym, niesłychanie wytwornym, egzotycznym talentem.

Wiecznie niespokojny, gnany chorą tęsknotą po przez wszystkie lądy i morza, a zwiedził niemal wszystkie kraje kuli ziemskiej, wracał wciąż do Berlina, nie dlatego, by go ukochał — przeciwnie nienawidził Berlina — ale dlatego, że tęsknił do tych paru ludzi, o których wiedział, że go kochają: Dehmla i mnie.

Wieść o jego śmierci, które życie jego ścięła na wyspie Jawie podczas wojny, głęboko mną wstrząsnęła.

Oparty o furtynę drzwi stał Piotr Hille i bezustannie notował coś ołówkiem na zbrudzonych mankietach, a kochany Lolo Broekere, podówczas uczeń konserwatorium w Berlinie,

obecnie profesor konserwatorium poznańskiego, grał na pianinie przez Dehmę wynajętem Szopena etiudę (18-ta *Gismoll*) i to boskie nieporównane preludjum, które mnie zawsze w ekstazę wprawiało Nr. 8 — *Fismoll*, i Broekere akompanjował Dehmłowi do jego recytacji niemieckiej transkrypcji Ujejskiego „Marsza Żałobnego“, tej cudownej transkrypcji, która Arno Holza do wściekłości, a Lilienkrona do szału zachwyty doprowadzała.

I wtedy to poznałem zimny dreszcz szczęścia, że jestem artystą: kiedy Dehmel przeczytał mój poemat: „Wniebowstąpienie“.

To były dla mnie istotne i przedziwne „gody życia“ — po raz pierwszy poczułem moją wartość — dwa razy jeszcze danem mi było przeżyć te uroczyste chwile: kiedy Kamiński grał główną rolę w „Gościach“ i kazał mi zapomnąć, że ja tę jednoaktówkę napisałem, i ostatni raz, gdy grano w Odesie dramat mój „Śnieg“: gdy zapadła kurtyna, publiczność powstała, jakby skamieniała przez parę minut i z miejsc się nie ruszyła.

Otóż tak i li tylko tak wyglądają te legendarne, rozwścieczone „orgje“, jakie bohema niemiecka wyprawiała, tak wyglądają te bluźniercze „msze szatańskie“, które ponoć ta sama bohema święciła.

A kiedy w czerwcu rozpoczęły się one noce, o których Conradi mówi, te rozkoszne noce, kiedy ostatni śpiew słowika uświęca godziny dnia długo przed wschodem, a rozbudził się pierwszy zapach róż, zdawało się, że straszliwa nostalgia opętała moje serce, i rozpacznie rozwyła się na klawiszach pieśń nad pieśniami: „Święty Boże, święty mocny“, a wszyscy na klęczkach śpiewali: „Zlituj się nad nami!“ A najrozpaczniej krzyczał to „Zlituj się nad nami“ ten, który był dumny, że jest „konsekwentnym“ alkoholikiem: Paweł Szczerba *alias* Scheerbarth.

„Wciąż mi brzmi w uszach ta zapamiętała melodia tego waszego „Święty Boże“ — mówił do mnie Dehmel — wszystko, co teraz piszę, zabarwia mi ta hymniczna rozpacz — muszę się przed tem obronić!“

W całej bohemie jęły coraz częściej rozbrzmiewać polskie słowa i przysłowia, Dehmel lubił, gdy go nazywał Rysiem, a Dauthenday był zachwycony, gdy posłyszał zdrobniałe „Masium“!

A gdy zaintonowałem rozpacznie rozpustnego „Kujawiaka“:

„Na kapuscie drobne liście...”

wtórowali mi już po polsku moi bracia cechowi, aby potem z żarliwą tęsknotą wsłuchiwać się w Dehmła „*Trinklied*“, ten nieśmiertelny, do całej głębi duszy wstrząsający „*Trinklied*“, jakiego piewca żadnego narodu z siebie wydać nie zdołał, a który naociecz otwiera najprzepastniejsze tajniki duszy ludzkiej:

„Noch eine Stunde, dann ist Nacht!

Trinkt, bis die Seele über läuft,

Wein her, trinkt!”

Tylko ten, który wymierzył otchłań całej nędzy ludzkiej, który ją w rozpaczonym obłędzie przeżył, jest zdolen odczuć to niesłychane „*Introibo*“, do jakiejś przebolesnej „*missa desperationis*“.

Niezapomniane te chwile oszołomienia i chorego pragnienia, by zapomnieć — daremnie: budzący się dzień trzeźwił zapomnienia spragnione mózgi, a w całej piekielnej nagości ujawniała się codzienna nędza, gonitwa za paru fenigami, by móc „dziś“ przeżyć, upokorzenie i wstyd, gdy było się zmuszonym parę marek pożyczyć, a równocześnie świadomość, że znajdzie się kieszenie na wszystkie guziki zapięte i spotka się z oberländlerowską paniką: „*Die Artisten kommen!...*“

XIV.

W domu Oli Hanssona byłem stałym gościem — bynajmniej nie natrętem — przeciwnie: gdym przez jakie parę tygodni nie mógł do Friedrichshagen jechać, przysyłał Ola Hansson serdeczne do mnie zaproszenia.

A bezustannie była mowa o Strindbergu...

Zanim go poznałem, już Laura Hansson-Marholm opowiadała mi o nim tysiące szczegółów — pokazywała dziesiątki fotografii Strindberga z najrozmaitszych faz jego życia i spowiadała się z pierwszych wrażeń, gdy Strindberga poznała.

Było to, kiedy właśnie wyszła zamaż za Olinę i spędzali miodowe miesiące nad brzegiem morza, w całkiem nieznanej i przez nikogo nieodwiedzanej, zapadłej miejscowości. Pojawił się wówczas entuzjastyczny artykuł Hanssona o Strindbergu, któremu właśnie niedawno wytoczono proces o „szerzenie niemoralności“ a z którego jednak Strindberg wyszedł obronną ręką, mimo, że, jak później twierdził, nikt nic podobnie brutalnego nie napisał nad jego dwa tomy „*Giftas*“ (historje małżeństwa).

Strindberg był wtedy bohaterem dnia, młodzież go ubóstwiała, na rękach wyniosła go z sali posiedzeń, gdy go ostatecznie uwolniono, rozrywano go na wszystkie strony, ale Strindberg tysiąc razy więcej zmęczony swojemi przeżyciami małżeńskimi aniżeli tym procesem, który mu nawet pomógł rozluźnić doszczętnie więzy, jakie go z jego pierwszą żoną łączyły, zapowiedział Hanssonowi swój przyjazd do tej miejscowości, w której Hansson przebywał.

Hansson już dawniej znał Strindberga, a mimo, że go entuzjastycznie uwielbiał, nie był ślepy na jego małostkową próżność.

— Jak wyjdziemy mu naprzeciw, na stację — tak pouczał Olinka Laurę — daj mu odrazu poznać, że jest w twoich oczach czemś wyjątkowem, wybiegającym daleko poza wszelką normę ludzką, a wtedy zyskasz jego przyjaźń.

Pani Laura nie potrzebowała zresztą żadnej komedji odgrywać — już w Kopenhadze, gdzie się nią zacieklej jej późniejszy wróg, Jerzy Brandes, gorąco zajmował, ubóstwiała Strindberga — to też Strindberg przyjęty przez Hanssonów, gdyby jakiś udzielny książę — pani Laura nie śmiała się w jego obecności odzywać — przylgnął podczas parotygodniowego pobytu u Hanssonów serdeczną przyjaźnią, o ile był wogóle w stanie być komuś przyjacielem, do Oli Hanssona, tem więcej, że żona jego, pani Laura, umiała swoim niezrównanym taktem i istotnie zdumiewającą znajomością duszy ludzkiej uśpić w Strindbergu jego chorobliwą nienawiść ku kobiecie, mimo to, że lepiej od niego, obarczonego 90 % kobiecości, nie znał nikt kobiety.

Hansson musiał z Szwecji uciekać — bo i jemu groził proces o „szerzenie niemoralności”, kiedy był napisał swój niezrównany zbiór nowel: „*Sensitiva amorrosa*” i „*Parias*” — przebywał jakiś czas w Paryżu, zaczem osiadł wreszcie w Friedrichshagen, gdzie do tego stopnia panowało ubóstwianie wszystkiego, co z Skandynawji pochodziło, że niemieccy autorzy, by być czytani, posługiwali się skandynawskimi pseudonimami.

Ola Hansson pozostawał ustawicznie w bardzo ożywionej korespondencji z Strindbergiem, ale niczem te skargi i żale na nędzny los artysty, jakie roztaczał Lilienkron w swoich listach do Dehmle, wobec listów, jakie Hansson otrzymywał od Strindberga.

Strindberg, ten wielki Strindberg, ubóstwiany przez „Młode Niemcy”, — biedniutki był późniejszy kult dla Oskara Wilde’a wobec tego, jakim się Strindberg w Niemczech cieszył — znalazł się po długiej włóczędce po Szwajcarji i Francji w własnej ojczyźnie w najfatalniejszym położeniu.

Wskutek swego skandalicznego procesu, mimo że ukończył się jego uwolnieniem, stracił Strindberg swego dotychczasowego nakładcę, — tych kilku innych, jacy jeszcze istnieli, lękali się wydawać jego pisma, a zresztą nie było tak dalece co wydawać,

bo Strindberg był wtedy dotknięty rodzajem umysłowej „parezy” — ciężkie rodzinne przejścia sparaliżowały na jakiś czas jego mózg, a twórcza ta niemoc miała trwać przez jakieś dziesięć lat — wpadł w ręce lichwiarzy, a ponieważ nie był w stanie nawet procentów opłacać, zafantowano mu jego bardzo cenną bibliotekę i sprzedano wkońcu zabezpiecen: zaledwie zdołał uratować listy i swój olbrzymi niebieski worek, z którego potem czerpał materiały do swych „niebieskich ksiąg”, a które pojawiły się dopiero pod koniec jego życia.

Wreszcie nadszedł tak alarmujący list, że Ola Hansson postanowił go bądź co bądź, za wszelką cenę z tego piekła — ojczyzny wyratować.

W tej akcji ratunkowej brała Laura Marholm gorący udział, a posądzam panią Laurę, że czyniła to nie z zbytnej miłości do Strindberga, ale pewno w głównej mierze, by pomścić swego męża, z którym Szwecja haniebnie się obeszła, i skompromitować wobec Europy Szwecję, która pozwalała najlepszym swym synom ginąć z nędzy.

I ona inspirowała artykuł, jaki Ola pomieścił w „*Zukunft*”, pełen goryczy, a nawet nienawiści zaciśniętych zębów ku tej obżartej chamskiej Szwecji, która zna tylko jedną religję: kramarstwo, i jedną mszę, jaką żarliwie uprawia: „żarcie”!

Trochę było w tem racji, bom w żadnym kościele nie widział tak skupionego nabożeństwa, z jakim Szwedzi w restauracjach obiad spożywają. Odważy się ktoś głośniejsz mówić, albo — co gorsze jeszcze — rozśmiać się — a wywoła bezwarunkowo milczący, ale tem dosadniejszy protest najgłębszego oburzenia.

Z listu Strindberga przytoczył parę najjaskrawszych zdań, które swoją drogą trąciły już wtedy manją prześladowczą, o czym Ola Hansson niebawem miał się przekonać, a zakończy trochę emfaticznym wykrzykiem, który miał się potem ciężko na nim pomścić, bo już raz na zawsze zamknął sobie drogę do swej ojczyzny:

„Otóż jak Szwecja obchodzi się z swymi największymi synami!”

Artykuł ten wywołał niesłychane oburzenie w Szwecji, stanowisko Strindberga znacznie się jeszcze w jego ojczyźnie

pogorszyło, a głębokie współczucie w Niemczech nie na wiele mu się zdało.

Współczuć, a pomóc! Jaka olbrzymia przepaść dzieli te dwa pojęcia!

Hansson wyświadczył Strindbergowi niedźwiedzią przysługę, mimo najszlachetniejszych pragnień, bo był głęboko przeświadczony, że teraz posypią się tysiące z kieszeni Niemców, ubóstwiających Strindberga: nadzieja ta doszczętnie zawiodła, a teraz już uniemożliwiła wprost dalszy pobyt Strindberga w Szwecji.

Hansson pociągnął konsekwencję: „A więc dobrze, to ja sam Strindberga zaproszę do siebie, niech u mnie zostanie, jak długo chce, a w Niemczech ostatecznie znajdzie dostatnie utrzymanie.”

O ten piękny, ten bezdennie naiwny Olinka!

Nigdy nie wiedział, z czym ma się liczyć, bo pani Laura nie chciała mu zaprzętać głowy troskami materjalnemi i Ola nie wiedział, że Laura biedoliła i trapiła się po nocach, jakim cudem wytrwa dwustu markami przez cały miesiąc, a tu Ola sprasza nagwałt Strindberga.

„*Sigismund August — helfen Sie!*“ i schwyciła mnie za rękę, ciężko stroskana. (Co w jej mózgu skojarzyło Zygmunta Augusta ze mną — pewno sama nie wiedziała).

I istotnie znalazłem radę — poszedłem do dr. Ascha, który w zażyłych stosunkach żył z Maksymiljanem Hardenem, wydawcą „*Zukunft*“ i wielkim wielbicielem Strindberga, ten zaś miał w wszystkich kołach niesłychanie rozległe stosunki — jak się to wszystko stało nie wiem, dość, że już na drugi dzień dr. Asch wręczył Hanssonowi 600 marek, który rozpromieniony i szczęśliwy wysłał je telegraficznie Strindbergowi.

Za tydzień — było to już późną jesienią — przyjechał z małym kufereczkiem z bielizną i z swym „zielonym workiem“, w jednym ubraniu i to mocno podniszczonem, ten wielki, podówczas 45-cioletni Strindberg — do Berlina.

Po moim powrocie do Polski pisano tyle niestworzonych rzeczy o wpływie Strindberga na mnie, że nieraz byłem rzetelnie zdumiony, bo nie byłem pewien, czy krytycy moi czytali wogóle jakiś Strindberga lub mój utwór.

Niema chyba tak ogromnej różnicy między tworem dwóch artystów, jak między tworem Strindberga, a moim. Może jakaś wspólność istniała — i to krótki czas — ale odnosiła się tylko do metod używania środków artystycznych. On i ja posługiwaliśmy się — on stale — ja przejściowo — wiedzą przyrodniczą w obrazowaniu, sposobem ujęcia przedmiotów, metaforach — ale to wszystko. Łączyła nas poza tem odwaga wypowiedzenia rzeczy, których przedtem nie ośmielał się nikt wypowiedzieć, tylko każdy z nas inaczej to wypowiadał: Strindberg z niesłyszana, częstokroć nawet brutalną zajadłością, — ja szukałem zawsze dla tego, co miałem do powiedzenia, jakiegoś metafizycznego podkładu, — a niczego tak Strindberg nienawidził, jak — metafizyki!

Jak często kończyły się nasze rozmowy niechętnem rozcięciem rozprawy kategorycznym oświadczeniem Strindberga: „To metafizyka — tego nie rozumiem!”

Swoją drogą miałem dla Strindberga niezmierną cześć i wielki szacunek — niesłuchanie wysoko stawiałem jego dramaty: „Ojca” — „Hrabiankę Julję” — „Wierzycieli”, — przedmowę do jednoaktówki „*Comtesse Julie*” uważam w dziedzinie dramatu za coś iście przełomowego, a powieść jego: „Nad otwartym morzem” cenię dotychczas jako jedną z najlepszych powieści wogóle: nietylko szwedzkich, ale ogólnie europejskich.

Nie potrzeba było sugestji tego uwielbienia, jakim Młode Niemcy darzyły po on czas Strindberga, bym go stawiał na tym piedestale, na jakim dla mnie istniał — byłem jak najzupełniej i wtedy i teraz świadom jego wielkości — ale między nim, a mną zionęła cała przepaść, a przedewszystkiem w zagadnieniu stosunku kobiety do mężczyzny.

Dla mnie kwestja ta: mężczyzna i kobieta, to jedna i ta sama rzecz, tylko inaczej spolaryzowana: ujemnie, czy dodatnio, kto to rozstrzygnąć może?

Strindberg popełnił ten sam błąd, który kilkanaście lat po nim miał Weininger popełnić: mierzył kobietę miarą mężczyzny, a do dwóch różnych — diametralnie różnych rzeczy nie można, ani nie wolno jednego i tego samego łokcia przykładać.

Ile razy stawiam sobie to pytanie, czy Strindberg popełnił błąd, nasuwa mi się przypuszczenie, że musiał go popełnić:

Strindberg mierzył kobietę miarą kobiety — a, gdyby to już nie zakrawało na jakiś dziki paradoks to gotów jestem twierdzić, że Strindberg, w którym tkwiło co najmniej 90% kobiecości, męskiej miary w ocenianiu kobiety mieć nie mógł — swoją drogą żaden mężczyzna nie jest w stanie ocenić, czy miara Strindberga jest sprawiedliwą, lub nie — tę kwestję kobieta tylko ocenić i sprawdzić może.

Mężczyzna inaczej patrzy na kobietę, jak Strindberg, i nie jest w stanie sprawdzić, czy kobieta tak wygląda, jak ją Strindberg przedstawia, ale możliwe, że jedyny, w najwyższym stopniu „genjalny“ umysł „kobiety“, jaki dla mnie przedstawia umysł Strindberga — całą bolesną prawdę wyłowić zdołał.

Tylko kobieta umie tak kobietę nienawidzieć, jak Strindberg, a może i dla żadnej kobiety nie był tak znienawidzony typ mężczyzny, który Strindberg nazywał „gynolatrem“, jak właśnie dla niego.

Dla mnie było zagadnienie mężczyzna-kobieta prostą, choć niezmiernie głęboką kwestją biologiczną, i to nas różniło: kategoryczność kobieca w Strindbergu domagała się gwałtownie, bym szedł jego śladami. A to już nie było dla mnie możliwem, bom nie mógł sobie stawić tak śmiesznego pytania, czy kobieta jest wyższym typem człowieka od mężczyzny, czy też niższym. Dla mnie to pytanie oczywiście istnieć nie mogło: jako mężczyzna nie mogę, ani nie jestem w stanie w jakkolwiek etyczny, czy też jakkolwiek inny sposób, wartościować kobiety, jako takiej, bo jest czemś diametralnie poniekąd innem stworzeniem ode mnie — ani niższą, ani wyższą, tylko — inną.

Zdumiewające, że z większą może nienawiścią, jaką Strindberg zionął ku kobiecie, pieńiła się Gabrjela Zapolska przeciwko mężczyźnie.

Niech się to wyda groteskowo paradoksalnem, co śmiem teraz powiedzieć, ale od tej myśli odczepić się nie mogę: z tą samą furją, zaciekłością, z jaką Strindberg szalał przeciwko kobiecie w sobie, znęcała się Zapolska nad mężczyzną w sobie.

Dałem tylko krańcowe przykłady — (przecież mnie nikt chyba nie posądzi, bym miał równać Strindberga z Zapolską, jako artystów) — przykłady, jak mści się w duszy artysty nadmiar

kobiecości, lub naodwrot w duszy artystki nadmiar męskiego pierwiastku.

W normalnych warunkach nigdy kobieta nic widzieć nie może o mężczyźnie, ani mężczyzna o kobiecie — wszystko, co kobieta pisze o mężczyźnie, jest prostą, przeważnie niesłychanie śmieszną fikcją, a to, co mężczyzna pisze o kobiecie, to również fikcją: tak wygląda kobieta w jego duszy, kobieta przez niego stworzona, z morskiej piany najgłębszych pokładów oceanicznych głębi jego duszy wyłaniająca się Venus — nic więcej.

Między kobietą a mężczyzną niema i nie może być żadnego pomostu — prócz miłości.

Nienawiść z jednej lub drugiej strony, to obłąkany „Tamas“ hinduskiej filozofii, który naszem życiem rządzi i każe nam dwie całkiem nierównomierne wielkości jednym i tym samym głupim łokciem mierzyć.

Och, jak rozkosznie rzechocze matka nędznego bytu ludzkiego — straszna Maya, gdy patrzy na tę oszalałą, rozbestwioną walkę między samcem a samicą — toby jeszcze nie było najgorsze: ale: między wrzekomo „wiedzącym“ mężczyzną, a — *risum teneatis* — „równouprawnienia“ żadną niewiastą!

Ha, ha, ha!

Mężczyzna, prócz Strindberga i Weiningera dawno już zrozumiał, że istnieje inna miara wartościowania dla kobiety i całkiem inna dla mężczyzny.

Obłądną fikcję „równouprawnienia“ otrzymuje się tylko wtedy, jeżeli wyrzuci się poza nawias całe życie, a więc różnicę płci. Bo tylko wtedy, jeżeli się płeć wyeliminuje i poczyną się myśleć abstrakcyjnie, zapomina się o tem, że prawa podtrzymania bytu ludzkiego narzuciły całkiem inne obowiązki i cnoty kobiecie, a całkiem inne mężczyźnie.

Jaka śmieszna megalomanja — a taką opętana li tylko bezpłodna, lub bezpłciowa kobieta — („*das dritte Geschlecht*“ nazywa Niemiec wzgardliwie tego rodzaju bastarda) — chce przełamać jedno z najwięcej „żelaznych“ praw natury — i jaki brak poczucia własnej godności i własnego majestatu, boć przecież bez najwznioślejszej funkcji kobiety — najszlachetniej-

szego jej dostojęstwa i najboleśniejszej ofiary: macierzyństwa — życie istniećby przestało.

I Strindberg nie był w stanie — w tem tkwi tak nawskroś kobieca kategoryczność jego sądów — pojąć, że kolubrynę, którą mierzył w kobietę, wymierzył przeciwko samemu sobie.

Poczynanie jego to same, co poczynanie zacieklej sufrażystki, kiedy mężczyznę mierzy miarą kobiety.

„Emancypantka“, czy sufrażystka, każde wszelakiego rodzaju „*virago*“, uznaje jednakowoż mężczyznę, jako tego, który nie tylko prawa, ale i wszystkie wartości stanowi, i walczy o te prawa i te wartości mężczyzny, zamiast stanowić własne odrębne prawa i odrębne wartości i w tem uznaje wyższość mężczyzny nad sobą. Istotny mężczyzna nie przeszkadzał nigdy kobiecie, by sobie te prawa stanowiła — przeciwnie: aż nadto miała kobieta czasu i swobody w kuchni, by odkryć prawa chemiczne i poznać potęgę pary i nie jego wina, jeżeli kobieta tego dokonać nie zdołała, ani ją o tą niezdolność nie wini — li tylko mężczyzna, w którym tkwi przeważający procent kobiecości, wypowiedział walkę kobiecie na tej samej zasadzie: uznaje potęgę i moc kobiety, i niebezpieczeństwo, które mu z tej strony grozić może. A zatem: im więcej kobietę nienawidzi i zwalcza, tem większą potęgę jej przyznaje.

Fatalny błąd, jaki popełnił Strindberg, a raczej skutek swej organizacji popełnić musiał, to właśnie to, że uznawał w kobiecie wroga, silniejszego, czy słabszego — mniejsza o to — w każdym razie równomiernego wroga, bo przykładał do niego całkiem fałszywą miarę — miarę mężczyzny.

Nieraz wprost „babska“ kategoryczność sądów Strindberga uniemożliwiała spokojną dyskusję na ten temat. Hansson, jako myśliciel, nieporównanie głębszy od Strindberga, ośmielił mu się sprzeciwić i to odrazu wszczepiło się ostrym klinem w ich dotychczas gorącą przyjaźń.

Strindberg nie znosił żadnego sprzeciwu: ktokolwiek ośmielił mu się oponować, stawał się w jego oczach śmiesznym „gynolatrą“ (*gyne* = kobieta i *latrein* = ubóstwiać), a nie zdawał sobie sprawy — on właśnie, bezustannie w coraz to nowe związki małżeńskie wstępujący — jak ośmieszał się swoim mizogynizmem.

Nie zapomnę, gdym go po raz pierwszy ujrzał: na wysokim, rosłym bardzo, tęgim korpusie osadzona była głowa o małej twarzy i ogromnem sklepieniu czaszki. W twarzy uderzały przedewszystkiem małe, pełne usta, skrojone całkiem, jak u kobiety, i tak dziwnie złożone, że zdawały się bezustannie gwizdać. Pod krótkim, małym nosem sterczały małe, po szwedzku à la Gustaw Wasa przycięte wąsiki, wzwyż rozszerzała się ta mała twarz, ozdobiona z jednej i drugiej strony małemi i delikatnemi konchami uszu, całkiem, jak u kobiety — pod pięknym łukiem zakreślonymi brwiami osadzone były oczy, tak dziwnie zmienne, że barwy ich nie sposób było określić, a tak wymowne, że patrząc w nie, można było w tej chwili w nich wyczytać, co się w jego duszy działo.

Cała twarz nikła wobec nieustosunkowanego ogromu czaszki, pokrytej gęstym, wijącym się a miękkim gąszczem włosów, bezustannie przeczesywanym grzebieniem, który zawsze nosił przy sobie. A dziwny był objaw, gdy grzebieniem przez nie przejeżdżał — dokładnie słyszeć było można elektryczne objawy trzeszczenia, a w ciemności włos jego fosforyzował, jak u kota, gdy się w ciemności trze jego sierść.

Przy ogromnym korpusie zdumiewały małe i prawie pulchne ręce o krótkich palcach i małe stopy, z których był bardzo dumny i z nich wywodził swoje arystokratyczne pochodzenie i z nich, i z braku wszelakiego owłosienia na ciele wywnioskowywał wyższość rasy, z jakiej pochodził, co mu nie przeszkadzało twierdzić, że matką jego była jakaś hamburska żydówka.

Narazie zapowiadało się wszystko bardzo pięknie. Podniecona, serdeczna harmonja — byliśmy wtedy — onego pierwszego wieczoru w pięciu: dr. Asch, wierny i nieodstępny Asch, pisarz szwedzki Adolf Paul — nagwałt chciał uchodzić za Finlandczyka, mimo że jednego słowa fińskiego nie znał — Hanssonowie i ja.

Strindberg wydawał się szczęśliwym, twierdził, że do samego Hamburga był strzeżony przez detektywów, a ochłonął dopiero w Berlinie, gdzie go już opuścić musieli — mówił dużo z początku łamaną niemczyzną, ale w miarę, jakieśmy poczęli pić — a piło się u Hanssonów tylko todny — (szklanka wół na wół gorącej wody z koniakiem lub whisky) — rozwiązywał mu

się język, a po dziesiątym todty mówił już czystym literackim językiem niemieckim.

Mówił przez cały wieczór, olśniewał nas zdumiewającymi paradoksami, w podziw wprawiał teorjami naukowemi, wywracającemi na ręby dotychczasowe poglądy naukowe, a istotnie rozporządzał rozległą wiedzą przyrodniczą, pogardliwie potrzącał o literaturę — jednego tylko uznawał: Balzaca — i poniekąd Zolę, opowiadał o swoich przejściach życiowych z taką szczerością i taką bezwzględną otwartością, żeśmy mimowoli spoglądali zażenowani po sobie, a wkońcu — było to już nad ranem — schwycił za gitarę, z którą się nigdy nie rozstawał i śpiewał, stojąc na jednej nodze, sromotnie sprośne i (dziwna rzecz: przypomniały mi się kujawiaki), przeraźliwie smutne studenckie piosnki szwedzkie.

Po raz pierwszy dowiedziałem się od niego, że najulubieńszym narodowym tańcem szwedzkim, to taniec „polska“ — dziwaczne skojarzenie mazurka z polką.

Umiał być Strindberg — nie umiał, bo nigdy nad sobą nie panował, ani opanować siebie nie był w stanie — ale b y w a ł Strindberg niezmiernie zajmujący, rozrzucał naokoło pełnemi garściami wprost skarby ciekawych spostrzeżeń, zdumiewających kojarzeń, niewyczerpana jego, niesłychanie bujna fantazja wytwarzała między najprostszymi rzeczami związku, które swą głębią zastanawiały, ale jednakże nigdy nie można się było pozbyć przykrego uczucia jakiejś niesamowitości w tych wszystkich fajerwerkach i fanalach jego myślenia.

Podłoże jego myślenia, wszystkich jego uczuć było przepojone jakąś chorą nienawiścią — w całym jego tworze nie znajdziesz miłości — nienawiścią chorego człowieka, cierpiącego na manję prześladowczą. A właśnie ta manja, która miała parę lat później przetrworzyć się w delirje manjackie, już się teraz na dobre poczęła rozgaszczać w jego mózgu.

To też pierwotna harmonja, jaka łączyła Strindberga z domem Hanssonów, już po paru tygodniach została zamgloną i zatrutą obłądną podejrzliwością Strindberga. Mózg jego zaczął chorobliwie pracować: zapomniał o rozpaczliwych listach, jakie pisywał do Oli Hanssona, i począł go podejrzynwać, że Hansson, sprowadzając go do Niemiec — jego wielkiego i słynnego

człowieka — pragnął w jego cieniu wyrosnąć również na rozgłośnego artystę — zapomniał o tem, że listy Nietzschego, który także do niego pisywał, kiedy już jego mózg był obłędem spowity, pozostawił bratu swojemu w Sztokholmie do przechowania, a teraz, kiedy ich odnaleźć nie mógł, posądzał Laurę Marholm, że mu je skradła. Całą tę akcję ratunkową, którą wywołał rozpaczliwem wołaniem o pomoc, uznał teraz za niecną intrygę, by go uniemożliwić w jego ojczyźnie — Hansson, który raz po raz ośmielał się być innego zdania, aniżeli on, wydał mu się bardzo podejrzanym intrygantem, a panią Laurę uważał za detektywa, która go dniem i nocą śledzi, by wydostać z niego najgłębsze jego tajemnice i opublikować je w skandynawskiej prasie.

A ja byłem bezustannym świadkiem tych chorobliwych przeobrażeń w mózgu Strindberga — codziennie prawie wzywał mnie do siebie i znalazłem się w fatalnem położeniu.

Sprzeciwić się w czemkolwiek Strindbergowi znaczyło ściągnąć na siebie gorącą jego nienawiść — Strindberg był genjuszem nienawiści — z drugiej strony bolały mnie insynuacje i podejrzenia, uporczywie skierowywane w stronę Hanssonów. Pod pozorem nawału pracy usunęłem się przez czas jakiś od Strindberga i Hanssona, ale nie minęło dwóch tygodni, gdy nagle rychłym rankiem zjawił się Strindberg w mojem mieszkaniu, tym razem już bez kuferka, tylko z swoją zieloną torbą pod pachą.

— Wyzwoliłem się! — i wyczerpany padł na stół.

Zerwał się w nocy, bo był przekonany, że Laura Marholm czyha na jego życie, pobiegł na dworzec i pierwszym pociągiem przyjechał do Berlina — do mnie.

Trzeba było Strindberga ratować: cały jego majątek wynosił coś około 50 fenigów.

Rozpoczęła się nowa, uciążliwsza jeszcze akcja ratunkowa — pobiegłem do Ascha, ale dr. Asch, który narówni ze mną cenil i kochał Hanssona, był oburzony już oddawna, że Strindberg w ten dziwny sposób Hanssonowi się wywdzięczał, więc kosztowało to dużo zachodu i przekonywań, by go wprost zniewolić do przyjścia z pomocą.

Wkońcu utworzyło się całe konsorcjum, które przejęło na siebie obowiązek utrzymania Strindberga. I ciekawe! — Sami

Żydzi: Seligsohnowie, Kantorowicze, Förtnerowie, familja Aschów i Goldbergów. Trzech tylko Aryczyków wstąpiło do tego konsorcjum — jeden biedak, który ledwie koniec z końcem mógł związać: Ryszard Dehmel — drugi, genialny lekarz-chirurg, którego wszystkie dochody pochłaniały jego wynalazki: Ludwig Schleich — późniejszy słynny profesor chirurgji na uniwersytecie berlińskim — no i ja, który pomóc nie mogłem, natomiast wszystkie siły wyteżałem, by coś dla Strindberga wyżebrać.

I to znamienne:

Strindberg był zdumiony, że nagle został otoczony opieką Żydów — kto ich zebrał? Przybyszewski — Aha! Rok później, kiedy zapłnął do mnie — Bóg wie, z jakich powodów — zaciekle nienawiścią, jał rozpisywać do moich znajomych, że jestem Żydem, a ojciec mój kierownikiem żydowskiego kahału!!

Narazie został byt Strindberga całkowicie zabezpieczony. Wynajęło mu się ładny pokój w małym hoteliku na cichej uliczce, ślepej bocznicy przy „Unter den Linden“, kupiło mu się ubranie i co najpotrzebniejszego z bielizny, jako lokaj nastroczył mu się ów już wspomniany fińsko-szwedzki pisarz, Adolf Paul, który, załatwiając rzekomo interesy Strindberga, załatwiał swoje własne — a był to okres, w którym Paul rozpaczliwie dobijał się o jakieś stanowisko w literaturze niemieckiej — co tydzień przychodził jakiś Seligsohn i załatwiał rachunki w hotelu, które często gęsto nadmiernie urastały — Strindberg niczego sobie nie odmawiał — w międzyczasie wynalazł sobie Strindberg w pobliżu mało co uczęszczaną winiarenkę, która niedługo miała się stać najsłynniejszym, a raczej najwięcej osławionym lokalem bohemy — wcale nie niemieckiej, bo tę nie było stać na wino — ale skandynawskiej: „*Zum schwarzen Ferkel*“ — „Pod czarnym prosiakiem“.

Cała ta winiarenka składała się z dwóch małych pokoiów, przedzielonych ciasnym szynkwasem, w którym piętrzyły się flaszki najprzeróżniejszych trunków — pokoiów tak małych, że zaledwie 20 osób od razu w nich pomieścić się mogło, a po 6-tej po południu nie można było 10 centymetrów miejsca znaleźć, tak była przepełniona — i to od czasu, kiedy Strindberg począł w tej winiarni stale przesiadywać.

Wieść o tem szybko się rozniosła w kolonji skandynawskiej, a nie było wśród niej nikogo, któryby nie zapragnął zapoznać się z Strindbergiem, albo odświeżyć dawną z nim znajomość.

Artysta skandynawski tem się odznacza, że wszędzie mu dobrze, tylko nie w domu, — dopóki młody oczywiście, bo na starość wraca do domu albo z zagranicznym patentem, że jest istotnie przez Europę uznanym artystą, a bez tego patentu Skandynawja artysty nie uznaje — *tout, comme chez nous* — albo też z ciężkiem rozgoryczeniem, jeżeli tego patentu nie otrzymał. To też Berlin roił się od skandynawskich artystów, którzy w dalszej podróży do Paryża i Włoch zwykle o Berlin zaczepiali, a często w nim i dłuższy czas utknęli.

Artyście skandynawskiemu nie trudno było z swej, narazie wprost znieenawidzonej, ojczyzny wyfrunąć. Każdy z nich pobierał na mocy uchwały Shorthingu tak w Krystjanji, jak w Kopenhadze stałą pensję miesięczną, która pozwalała mu na wygodny trzechletni pobyt zagranicą.

To też prawie wszyscy artyści przebywali przez całą zimę przeważnie zagranicą — w Berlinie, Monachjum, Paryżu, Florencji, Rzymie, a w każdym z tych miast tworzyli całkiem odrębną bohemę — bohemę: poniekąd *contradictio in adjecto* — bo ta bohema rozporządzała środkami pieniężnymi, a jeżeli ich nie miała, to nie trudno jej było je zdobyć, bo ojczyzna — Hinterland — nigdy o nich w razie potrzeby nie zapominała.

Och! to była inna bohema, jak ta nasza berlińska.

Nasze sympozje składały się z paru flaszek piwa, flaszki Nordhäusera, trochę „Aufschnittu“, który każdy przynosił ze sobą, o ile go na to starczyło — a bywało, żeśmy w ośmiu lub nawet w dziesięciorgo ludzi nie zdołali zebrać ani jednego talara — a oni pili burgundzkie wina — Chambertina przedewszystkiem, pijali bardzo często szampana, a jadalі ostrygi i homary.

Gospodarz „Czarnego prosiaka“ kłaniał się do nóg członkowi skandynawskiej bohemy, a z pogardą patrzył, gdy który z nas do jego winiarni się zabłąkał.

Już po krótkim czasie jał się pychą rozdymać — zardzewiałe żelazne obręcze, na których ów czarny prosiak wisiał, wymienił na srebrne, a w wszystkich pismach ogłaszał, że lokal jego to „*Rendez-vous-Ort*“ najwybitniejszych skandynawskich artystów.

I nie było w tem w istocie żadnej blagi.

Naokoło Strindberga i jego nieodstępnego famulusa, Adolfa Paula, gromadziło się całe artystyczne „*ver sacrum*“, jakie Skandynawja, wierna starym tradycjom Wikingów, zagranicą dostarczała.

Przez całą zimę przebywał tam słynny malarz norweski, Christian Krogh, który wraz z Hansem Jägerem stworzyli piekielnie ponurą i tragiczną bohemę norweską w Kristjanji, przebywała tam żona Krogha, heroina powieści Jägera, tak bezwstydnie rewelacyjnej, że jakiś krytyk w Kopenhadze, który się o niej rozpiął, dostał trzy miesiące więzienia, a przebywała — co kraj, to obyczaj — nie w towarzystwie swego męża, ale zawsze razem z nieodstępnym Gunarem Heibergiem, twórcą dramatu, któregooby się Oscar Wilde nie był powstydzil: „*Balkon*“ (drukowałem go swego czasu w „*Życiu*“ krakowskiem) — wyśiadywał w „Czarnym prosiaku“ finlandzki pisarz, wytworny pan, ale mierny artysta, Tavastjerna wraz z swoją żoną, która daremnie szturmowała scenę niemiecką, a niefortunny jej występ w „*Pannie Julji*“ Strindberga stał się dla niej: „*Lasciate ogni speranza...*“ Przy wąskim stoliku rozpościerał się wielki malarz norweski Fritz Thaulow, przypominający żywo objętością swoich rozmiarów naszego Stanisławskiego, którego zresztą łączyły potem przyjazne stosunki z Thaulowem w Paryżu. Nad wszystkimi górował duński pisarz, Holger Drachman, tak podobny do szwedzkiego króla Oskara II, że podobno raz się odwach zamku berlińskiego pomylił i powitał go wszystkimi bębenkami, jakimi się tylko Jego Majestat wita. Naprzeciw siadywał słynny malarz szwedzki, Liljeforss, który fanatycznie Strindberga uwielbiał, a ten nie raczył nawet na niego spojrzeć. Gdzieś, w kącie dumał nad szklanką whisky wielki wizjoner Edward Munch, a tyłem do wszystkich obrócony siedział Gabriel Finne, jeden z najzdolniejszych młodych pisarzy norweskich, i żuł bezustannie prymkę.

I tak pili jedną, dwie godziny w zadumie; rzadko kiedy padło jakieś słowo: niechętnie i zółcią zaprawione. Zdumiewające, jak się ci ludzie wszyscy wzajem nie lubili — potem rozmowa zaczęła się ożywiać, sądy w przykry sposób ścierać, ukryte nienawiści wychodziły na jaw, z początku urywane, krótko

i ostrojęzycznie, raz po raz wybuchowały swarne kłótnie, uspakajane i łagodzone przez trzeźwiejszych kompanów, a potem znowu nagle jakieś wybuchy i niesmaczne awantury.

A za każdym razem miałem to „*distinct*” wrażenie, że to aura Strindberga w ten sposób na obecnych oddziaływa. Gdziekolwiek Strindberg się pojawił, rozpoczynały się niesnaski, a gniew i gorycz, dawno zapomniane urazy się odnawiały, a zabliznione rany nanowo jęły krwią broczyć.

Byłem świadkiem kilku ordynarnych scen wśród zresztą dość spokojnie żyjącego małżeństwa, wywołanych prawie że tylko obecnością Strindberga, bo prócz kilku brutalnych słów, które w kipiący war ich nagłej kłótni rzucił, nie zauważyłem żadnego innego podjudzania.

Pewno, że, gdybym zamierzał napisać zbiór jak najautentyczniejszych anegdot o Strindbergu, książka moja całkiem inaczej mogłaby zaspokoić ciekawość moich czytelników i całkiem ich inaczej zająć, ale już od samego początku nakreśliłem program całego tego mego „pamiętnika”: to nie zbiór anegdot, ale wierny obraz prądów, jakim podlegałem, a zaśię innych, które bez najmniejszego śladu przez moją duszę się przewalały, to znowu takich, których nawet odczuć nie mogłem, bo brakowało mi odpowiedniego zmysłu.

Zbyt silnym był we mnie męczyzna, by móc rozumieć, albo nawet i odczuć mizogynizm Strindberga dla kobiety, zbyt silnie odczuwałem dystans, jaki Bóg — Natura wytworzyła między psychą mężczyzny a kobiety, by ją zato znienawidzić, co ostatecznie może jest jej najwyższą cnotą i jedyną możliwością dopełnienia zakonu, aby „rodu ludzkiemu końca nie było” — a, gdym kiedyś publicznie powiedział, że po mej śmierci kobiety winny z wdzięczności trumnę moją na swych ramionach ponieść do grobu, cały świat niewieści moim słowem z uniesieniem przyklasnęła.

I cały sposób myślenia Strindberga i mój był diametralnie przeciwny. O ile między Olą Hanssonem, swoją drogą jednym z najsubtelniejszych i najgłębszych myślicieli, jakich w artystycznym świecie skandynawskim poznałem, a mną istniała czasami nawet zadziwiająca harmonja i zbieżność poglądów na świat i życie — nie pomnę, byśmy kiedyś na przeciwnych bie-

gunach stanęli — o tyle niemożliwym było dla mnie bliższe zetknięcie się duchowe z Strindbergiem.

Strindberg opozycji nie znosił — sposób jego myślenia był nawskroś absolutystyczny, dogmatyczny, wyłączający wszelką względność — co on pomyślał, co on powiedział, musiało być bezwzględnie prawdą, a jego „*autos epha*“ rozstrzygało każdą kwestję. Absolutystyczny, nawskroś kobiecy jego umysł nie był prawie zdolny do oderwanego, metafizycznego myślenia, to też moje wywody przerywał zwykle znudzonem i niechętnem: „*Das ist Metaphysik! Davon will ich nichts wissen!*“

Niczem tak nie pogardzał, jak „metafizyką“, a wszystko, co wybiegało poza grubomaterjalistyczną wiedzę, było metafizyką.

Cały jego późniejszy twór, w którym możnaby się dopatrzeć jakiegoś przejścia przez „Inferno“, by drogą „Damaszku“ dotrzeć do Swedenborga, nie zmyli tego, który wie, do jakiego stopnia Strindberg nie był zdolny pojąć najprymitywniejszych zasadniczych podstaw mistycyzmu.

W mistycyzmie obchodziły go jedynie zewnętrzne objawy, których nie był w stanie w jakiśkolwiek sposób mózgowymi teorjami sobie wytłumaczyć, a jednakże był zmuszony w nie wierzyć — przerażoną, wylęknioną, do obłędu „przesadną“ wiarą kobiety.

A przykro się na mnieo dbiło, żem pragnął go z „czarną magją“ zapoznać, oczywiście teoretycznie tylko.

Opowiadałem mu dużo o magicznem działaniu na dystans — już wtedy zająłem się gorąco okultystyczną nauką — mówiłem mu, jak zapomocą woskowych figurek ludzie średniowiecza zabijali swoich wrogów — a właśnie po on czas dowodził słynny Rochas możność tego rodzaju „*envoûtement*“ — opowiadałem mu o nieznanym całkiem „odylicznym“ prądzie, które mogą zniechęconą ofiarę do najstraszliwszych męczarni doprowadzić, a, jeżeli jakiś czytelnik jest ciekaw, jaki wpływ miały te moje opowiadania parę lat później na Strindberga wyrzucić, to niech sobie przeczyta w „Inferno“ te straszliwe tortury, które mu nieobecny, czarny mag Popowski, mieszkający w Berlinie, zadaje na jego łożu choroby w Paryżu.

Czas wreszcie uporać się z tą głupią, plotkarską legendą, a zarazem z uporczywą plotką, jakobym cały mój czas wysiadywał w „Czarnym prosiaku“.

Przeciwnie, gdy już narazie zabezpieczył byt Strindbergowi i byłem przeświadczony, że co tydzień jakiś Seligsohn popłaci wszystkie jego rachunki w hotelu, przez niego zamieszkanym, całkiem się usunąłem, chociażby już dlatego, że nie stać mnie było na wino, a poza tem pochłaniała cały mój czas praca redakcyjna w „Gazecie Robotniczej“ — przygotowanie polskiej klasy robotniczej do wyborów do Sejmu, które już za parę miesięcy odbyć się miały, nie mówiąc już o tem, że po on czas sposobił do druku pierwszy mój — w całym tego słowa znaczeniu — utwór literacki „*Totenmesse*“, a głównie trawiła mnie namiętność zbierania znaczków pocztowych.

Teraz już rzadko i coraz rzadziej spotykałem się z Strindbergiem, aż nagle otrzymałem depeszę z Weimaru, aby go ratować, bo dostał się w straszliwe położenie.

Z ciężkim trudem zabrałem pieniądze — między innymi sypnął hojnym groszem poczciwy młodziutki Teodor Toeplitz, student politechniki w Charlottenburgu — pojechałem do Weimaru, by wykupić Strindberga z istotnie rozpaczliwego położenia.

Strindberg w tych czasach, w których go nie widywałem, zaawanturował się po oną wiosnę z paru niewiastami.

Zaręczył się z córką szefredaktora „*Neue Freie Presse*“, panną Uhl. W międzyczasie, kiedy przyszła jego żona wyjechała do Wiednia, by powiadomić rodziców o tej niesłychanej zdo-byczy, zakochał się w Norweżce, która przyjechała właśnie na studia muzyczne do Berlina, pannie Dagny Juell, do tego stopnia, że niepomny swych zaręczyn z p. Uhl proponował p. Juell małżeństwo, a gdy mu ta ostatnia zwróciła uwagę, że przecież mógłby być jej ojcem, zapalał ciężką nienawiścią ku kobiecie, która go się w ten sposób znieważać ośmieliła, zwrócił wszystkie swoje wiosniane afekty ku finlandzkiej aktorce, której mąż po ów czas przebywał w Weimarze, a za którą pogonił do tego nieszczęsnego Weimaru, miejsca, w którym przeżyłem jedno z najtragiczniejszych wrażeń mego życia.

Po raz pierwszy i po raz ostatni ujrzałem w Weimarze, na werandzie małej willi, Nietzschego, którego siostra jego Elżbieta

dzień w dzień wywoziła na wózku na platformę werandy — och! jakie to było bolesne: miało się wrażenie, że ten nieszczęsny genjusz miał stanowić nową atrakcję Weimaru!

Straszny to był widok:

Jakby się jakaś potężna, a święta katedra gotycka była zawaliła — przeolbrzymia ruina i dreszczem ogromu przeszywające gruzy!

Oczy, oślepiłe na to głupie zewnątrz, wjały się, zda się, w inny świat — w tę wieczność, którą tak ukochał — uszy ogłuchły na rastaqueryzm wagnerowskiego Parsifalla, a poiły się wiecznością szopenowskiej Barkarolli, głuchy był na słowo ludzkie, bo nie było nikogo, z kimby mógł się porozumieć: jego meta - słowo: dźwięk, barwa, linja, monarszy gest, z tak niesłychaną wspaniałością przejawiający się w „Antychryście“, jego słowo: jakieś niesłychane poprzez wszystkie oktawy nawet i fortepianu szopenowskiego przelewające się „*arpeggio*“ musiało być z natury rzeczy dla nikogo zrozumiałem — więc zamilkł!

Miałem wrażenie, że umyślnie zaślepił, umyślnie ogłuchł, aby raz wreszcie pozbyć się tej ohydnej, głupiej „jawy“ i móc poślubić tę jedyną swoją kochankę, z którą pragnął mieć dziecko:

W i e c z n o ś ć !

„*Nie noch sah ich ein Weib, von dem ich Kinder haben mochte, es sei denn Du — oh, Ewigkeit!*“

Nietzsche chory — Nietzsche obłąkany?!

He, he! Głupie brednie!

To właśnie ten wielki, ten wyzwolony Nietzsche, ten w swoim ogromie pokorniuteńki Nietzsche — ten „*Piccolo Santo*“, który tam rozparty w głębokiem krześle za żywa wgłębiał się w uroczyska tajemnic Wieczności.

Stałem jak zagwożdżony w ziemię, sięgnąłem po kapelusz, a przecież go już dawno trzymałem w ręku, a równocześnie uczułem wstyd, jakobym obnażał jakąś wielką świętość, i poszedłem — nie! powlokłem się do hotelu, w którym Strindberg zamieszkał.

I Strindberg wrócił do Berlina.

Oczekiwała go panna Uhl, która niezadługo miała się stać jego prawą małżonką. Stół był uwienczony festonami kwiatów,

na stole wszystko, w czym Strindberg smakował, i tak skończyła się szczęśliwie dla niego ta weimarska eskapada.

Parę tygodni później odprowadzałem nowożeńców na dworzec, a ponieważ młodej małżonce wręczyłem bukiet kwiatów, pożegnał mnie Strindberg komplementem: „*Du bist ein Gentleman*“.

Dopiero po wyjeździe Strindberga z Berlina wraz z jego małżonką, panną Uhl, miałem poznać dziwnym wypadkiem moją pierwszą żonę: Dagny Juell.

Tak wygląda w świetle bezwzględnej prawdy cała, po całej Polsce i Niemczech kolportowana legenda o mojem uwodzeniu „żony“ Strindberga.

Nieskończenie mi przykro, że jestem zmuszony tę osobistą sprawę wywłóczyć, ale mam już dosyć tych potwornych legend, które się naokoło mnie podzwrotnikowymi lianami oplatają.

XIII.

Strindberg! Strindberg!

Wzrął się w moją pamięć ten opętany genjusz nienawiści, który nigdy żadnej miłości dać nie mógł, a jeżeli ją dawał, musiał ją niszczyć i trutować.

Strindberg nikogo i nic nie kochał, a ciężką jego tragedją, że wymagał bezmiaru miłości — a jakże można było go pokochać, kiedy chory jego „*hysteros*“ wszelkie zakusy miłości niweczył?

Niezwykłe inteligentny lekarz, jakim był wspomniany dr. Schleich, stwierdził, że na sto kobiecych histeryczek przypada jeden osobnik płci męskiej, ale wtedy histerja przejawia się w mężczyźnie z bez porównania większą potęgą.

A jak niezmiernie blisko graniczy genjusz z obłędem, miałem niestety sposobność stwierdzić w obcowaniu — przeszło całorocznem obcowaniu z Strindbergiem.

Co za niesłychanie bogata, niewyczerpana kopalnia dla prawdziwego psychiatry cały jego twór — te wszystkie jego zwierzenia, te — czasami — bezwstydne obnażania się do naga wobec całej publiczności — te wszystkie jego „confesje“ i potworne „exhibicje“!

A w tem wszystkim zaledwie ziarnko prawdy znajdziesz: Jego „*Plaidoyer d'un fou*“, rzecz pisana w francuskim języku, a przetłumaczona później przez jego drugą żonę, pannę Uhl, pod tyt. „*Beichte eines Thoren*“ na język niemiecki — to jedno niesłychane, całkiem wyimaginowane zjawisko jadu chorej nienawiści — druga jego „konfesja“ (w niemieckim języku ukazała się pod tyt.: „*Sohn einer Dienstmagd*“), to próba zniechlujenia nawet własnej matki, o której wiem, że była zącną i kochającą kobietą, jego zaciekły paszkwil p. tyt.: „*Inferno*“,

nawet „Droga do Damaszku“ mogłyby człowieka, któryby go nieznał, przejąć jeżeli nie wstrętem, to w każdym razie głębokiem politowaniem nad biednym, bardzo biednym, chorym człowiekiem.

Długo się we mnie wzmagało jedno i drugie uczucie, ale przewyciężył głęboki szacunek i podziw dla niesłychanego rozmachu, z jakim te paszkwile napisane zostały, dla twórczej potęgi, na jaką się zdobył tak nieskończenie jałowy, u kobiet w ordynarnych awanturach wyładowujący się histeryczny obłęd!

Kluczem do zrozumienia Strindberga, to jego histerja, jako potęga twórcza.

Dwoma mózgami rozporządzał:

Jednym, którym się mężczyzna — twórca posługuje — ten odnaleźć można w olbrzymich rzutach twórczych koncepcyj, w ogromnym rozpędzie niezwykle namiętnej, światoburczej sile — w burzycielskiej potędze jakiegoś barbarzyńskiego Dżingis-Hana, z którą niszczył istniejące tablice praw, przykazów i zakazów.

A drugim, silniejszym jeszcze:

Macicznym mózgiem kobiety-furjatki, chciwym pomsty za urojone krzywdy, oszalałym nienawiścią do wszystkich i wszystkiego, co się ośmieliło wpoprzek jego woli stawiać, opętanym manją prześladowczą, która w każdym najniewinniejszym słowie, najniewinniejszym czynie wietrzy spisek, knucie i niechybną zdradę.

Jeżeli się patrzy na twór Strindberga z stanowiska czysto życiowego, to ta przeraźliwa, nieludzko potworna walka z wiatrakami, których nigdy nie było, wstrząsa człowiekiem tą straszliwą męką nieszczęsnego człowieka, który ją stacza — patrząc na ten twór z stanowiska artysty, zbiega go zimnym dreszczem ta niesłychana potęga, z jaką człowiek-artysta był w stanie te stany duszy (*etats d'âme*) przed oczy widza, czy też czytelnika nie przedstawić — to za słabe wyrażenie — ale w krwawym trudzie wywlec, zaorać się pazurami w nieszczęsną ofiarę i z nią razem wyczołgać się z jakiejś głębokiej jamy na jasny dzień.

A wszędzie i zawsze jest Strindberg jakimś strasznym grabarzem — nie dość, że ofiary swoje grzebie, ale wyciąga je potem z grobu — „demaskowaniem“ to nazywa — znęca się nad nimi

w potwornym sadyzmie, aby się wkońcu zawlec do stóp — o Jezu, mój Jezu! — do stóp Swedenborga.

Snać wyczuł Strindberg swoją grabarską misję, bo nikogo tak nienawidził, jak Ryszarda Dehmła.

Dehmel na powitanie Strindberga napisał piękny wiersz: „*An Deutschlands Gast*“ — w którym porównywał Strindberga z jaźwcem, który ryje tajemnicze nory, w ciemniach nocy się kryje, aby rozpoznać straszliwą zagadkę życia.

Jaźwiec nazywa się po niemiecku „*Dachs*“ — a „*Dachs*“ po szwedzku: *Grabswin* — świnia, ryjąca w grobach (*Grabschwein*), ponieważ Strindberg raczył nazywać swoich najbliższych rozmaitemi przydomkami, jak p. X: *der Eber*, p. Y: *Priapus*, p. Ż: *der Hengst*, i t. d. więc przyłgnął do niego przydomek wzięty z powitalnego „hymnu“ — (a takim był w istocie Dehmła: *der Dachs*) — w skandynawskiej kolonji przetłumaczony na „*Grabsvin*“!

Ale to wszystko śmieszne i głupie — jaką nieskończenie małostkową byłaby moja zemsta za wszystkie ciężkie krzywdy, jakimi Strindberg wyrządzał, gdybym miał się rozpisywać o tem wszystkiem, co z nim przeżyłem, to jedno jest pewne: gdyby powstał z grobu, całowałbym jego ręce z tą samą głęboką czcią i uwielbieniem, z jaką je ucałowałem, gdy go poznał.

Był zdumiony tym objawem czci. Uśmiechnąłem się:

„*Polnische Perversität!*“

W całej literaturze europejskiej nie znam twórcy, któryby się z taką zacieklą furją wciąż i wciąż analizował. Jakikolwiek utwór weźmiesz do ręki — wszędzie i zawsze on — on — on!

Lokaj Jean w „*Comtesse Julie*“, zdradzony mąż w „*Creditoren*“ („Wierzyciele“) na manję prześladowczą chory letnik w „*Parias*“, wpół obłąkany megaloman, bohater powieści „*Ved Havets Strand*“ (*Am Meeresstrand*), Ojciec w równobrzmiącym dramacie, to wszystko on sam, to wszystko straszliwe dokumenty genjalnego obłądu — raka, który jego duszę toczył.

A tem straszliwsze te cierpienia, że nic nie było w jego życiu, coby je mogło wytłumaczyć — w powodach tych cierpień, które z taką potęgą opisuje, zaledwie — jak już powiedziałem — znajdzie się drobne ziarno prawdy.

Ta zacieklą analiza własnej duszy z gruntu u niego fałszywa, bo oparta na wyimaginowanych, ciężką histerją splodzonych

przesłankach, staje się nieoceniona jako wspaniały dokument nawskroś chorej, w konwulsjach obłądnego cierpienia wijącej się duszy.

I żaden ze znanych mi twórców nie musiał tak krwawo walczyć z sobą, jak Strindberg — a miał on w sobie najsroźszego i w całym swoim demonizmie potwornego wroga: kobietę!

Cała jego, jadłem wprost groteskowej nienawiści dysząca zaciekłość przeciw kobiecie, to sadystyczne znęcanie się nad kobietą w samym sobie — cała ta zębami zgrzytająca, rozszalała walka z kobietą, w której nawet już wprost ohydną bronią się posługiwał, jak w „*Giftas*“ (po niem. *Ehegeschichten* — książka, którą sam nazywał najbrutalniejszą, jaka wogóle została napisana) — to walka z tym szatańskim demonem w sobie samym: kobietą!

W całej historii literatury wszechświatowej widnieje tylko jedno, jedynie jedno nazwisko istotnie twórczej, na gigantyczną miarę zakrojonej genialnej kobiety, nazwisko, płonące niesamowitym ogniem, w jakim po raz pierwszy „magiczna“ dusza mężczyzny się objawiła — a nazwisko to, to właśnie Strindberg!

Poza Strindbergiem cała twórczość kobieca jest tylko mizerną literaturą — z śmieszną karykaturą apokaliptycznej „*futatrice*“ p. George Sand na czele.

Z tego punktu widzenia nabiera cała twórczość Strindberga jakiejś tajemniczej grozy, jakiegoś piekielnego zmagania się dwóch pierwiastków w duszy każdego człowieka, męskiego i żeńskiego: u normalnego człowieka w odpowiedniej mierze dwóch zrównoważonych pierwiastków. Każdy mężczyzna ma w swej duszy domieszkę kobiecości i naodwrot każda kobieta jakąś domieszkę duszy mężczyzny, a wtedy stosunek wyrównany: podział na dwie odrębne płci dokonany. Ale straszny zamęt i ciężka rozterka powstaje w duszy człowieka, kiedy w mężczyźnie przeważa pierwiastek kobiecy i naodwrot w duszy kobiecej — pierwiastek męski.

A, abym był już całkiem jasno zrozumiany: każdy człowiek, zarówno kobieta jak mężczyzna jest dwupłciowo założony.

W okresie dojrzewania obydwa te pierwiastki silnie się w duszy każdego chłopaka i każdej dziewczyny zmagają —

chodzi o to, który pierwiastek przewycięży. W tak zwanych „anormalnych“ wypadkach zwycięża w duszy dojrzewającego chłopca pierwiastek żeński, i naodwrot w duszy dziewczęcia pierwiastek męski i tem smutnem, rozpaczliwem zwycięstwem tłumaczy się ten dla „zdrowego“ człowieka niezrozumiały, a tak barbarzyńsko prześladowany objaw tak zwanego „homoseksualizmu“.

Ten homoseksualizm niekoniecznie musi się objawiać w życiu jedynie tylko w przejawach płciowych, najczęściej manifestuje się w życiu psychicznem — stąd wydaje mi się poniekąd słuszne rozróżnianie twórczych genjuszów, a choćby nawet talentów na męskie i kobiece.

W najwyższej mierze męskim genjuszem był Mickiewicz, pierwiastek kobiecy przeważał w Słowackim — męskim nawskroś był Kochanowski, nawskroś kobiecym Janicki i Klonowicz — cała męska potęga talentu przejawia się w naszych czasach w Kąsprowiczu, a pierwiastek kobiecy przeważa szalę w ogromnym talencie Kazimierza Tetmajera.

Ale to wszystko jest jeszcze r ó w n o w a g a.

Całkowite wytrącenie z tej równowagi przedstawia w literaturze z jednej strony Strindberg, z drugiej może jedyna tylko Św. Teresa, w malarstwie Rafael, z drugiej jedyna jedna Rosa Bonheur — w muzyce wolne miejsce obok Mozarta i pewno już po wszystkie wieki wolnem pozostanie.

Wyobrażam sobie, jakim dziwnym paradoksem wydaje się wam wszystkim to całe moje rozumowanie, a przecież napotyka się już na ślady nawet w oficjalnej nauce, że te moje teorie, które głoszę już od 30-tu lat, nie są wcale bezpłodne.

Na tej samej kanwie myśli dzierzga świetny psycholog Freud w Wiedniu bogate i ciekawe wzory swoich teoryj, a przed paru laty doczekałem się tej satysfakcji, że na kongresie psychologów w Wiedniu, powoływano się na moje „*De profundis*“ jako na wnikliwy opis tego, co dwadzieścia lat później miało się nazwać w niemieckiej psychjatrii „*Dämmerungszustand*“.

O, qualis artifex pereo!

Sam warjat, byłbym był został istotnie świetnym psychjatrą. Przez całe życie wgrzebywałem się w te nieznane, opętane, obłąkane, warjackie stany duszy człowieczej, że mimowoli musia-

łem się poniekąd obłędem moich bohaterów zarazić, a dziwne: wielki Forel, dla którego żywię jak najgłębszy szacunek, wyśpowiadał się przed swoimi słuchaczami z tej samej „zawodowej” choroby:

Moi - mème, je suis absolument fou!

Ale dosyć tych jowialnych wynurzeń — teraz już całkiem na serjo:

W tem wszystkim tkwi jedna z najgłębszych koncepcyj myśli ludzkiej, która od kilku tysięcy wieków ludzkość trapi, wprowadzie tylko w najgłębszych, okultystycznych objawieniach:

Androgynizm!

Najstraszliwszą może męczarnią, jaką Bóg człowieka po jego „upadku” ukarał — (jakie niesłychane, przedziwne tajemnice kryją się w czelustnych kryjówkach biblijnego opowiadania o grzechu pierworodnym!) — to było rozszczepienie płci, spolaryzowanie jej na męski i żeński biegun.

Taki Gaurisankar udręki dla rodu ludzkiego tylko jeden Bóg był w stanie obmyślić.

Człowiek był przed oskorupieniem się tu na ziemi: „androgyną” — kobietą i mężczyzną zarazem — drwinki Platona w jego „Symposion” są tylko chytrą obłonką najgłębszej prawdy okultystycznej, której zdradzić nie chciał, ani nie mógł — wielki kabalista, jeden z najprzedniejszych mistrzów różokrzyżowców, Kunrath, zbadał tę tajemnicę, znał ją zapewne Hoene-Wroński — może ten „androgynizm” jest tą tak rozpacznie poszukiwaną tajemnicą 22-giej karty Tarotu — do mnie zalecał na jeden błysk sekundy pyłek tej świadomości androgynicznego bytu z jakiegoś tajemniczego, międzyplanetarnego świata — i jałem bełkotać — onej nocy, kiedym powrócił z pierwszej mej wizyty u Oli Hanssona:

I czemu kocham kobietę?

„Każda linja, w którą jej ciało wciąż na nowo w bezustannych przemianach się przeobłócza, *teint* jej twarzy, *timbre* jej głosu, zapach, jaki jej ciało promieniuje: to linje, barwy, zapachy, w których najgłębsza moja istota znalazła swój najpotężniejszy hieroglif.

„Ta kobieta — tam nazewnątrz, która jest w stanie o te najtajniejsze struny mego bytu potrafić i je rozegrać, wkrada

się bezopornie do mego mózgu i kocham ją wtedy z tem samem głębokiem, niczem niezawarunkowanym uczuciem, z jakim kocham ziemię, która ma duszę w te, a nie w inne formy ukształtowała.

„W kobiecie kocham siebie, jedynie siebie, moje do najwyższej mocy spotęgowane, ukryte Ja, które się nagle w Miłości przejawia — wszystkie te, na wszystkie strony porozrzucane, w tysiącach skrytek mego mózgu śpiące stany, w jakich najgłębsza zawartość istoty tajemnicami Nieświadomego spowita spoczywa. I nagle poczyną się to wszystko naokoło tej przeze mnie ukochanej kobiety gromadzić, koncentrować, jak opilki żelaza w okół bieguna magnesu: wszystkie te rzeczy, które dotychczas to tu, to ówdzie w tym, lub owym stanie świadomościowym przypadkowo odnajdywałem, teraz nagle skupiają się w jedną całość, tysiące rozbieżnych promieni zlewają się w jednej soczewce, — wszystkie te wrażenia, z których każde poszczególne reprezentowało najwyższą miarę rozkoszy, jaką w całkiem innych wrażeniach odczuwałem, teraz zazębiają się w jednym kół zespole, — najodleglejsze punkty równej ciepłoty i równego ciśnienia atmosferycznego, łączą się zapomocą isotermów i isobarów: więc to, co kocham, to ta kobieta — czy poza mną nie wiem? ale ta we mnie, która tę tajemną koncentrację wywołuje — i kocham moją isotermę i izobarę najgłębszych i najintensywniejszych uczuć rozkoszy.

„A, że tę właśnie kobietę kocham, a nie inną, to tylko kwestja mej organicznej konstytucji, kwestja, do jakiego stopnia jestem w stanie rozkoszować się jakąś formą, a żadne uczucie przykrości nie jest w stanie się w to uczucie rozkoszy zakraść, do jakiego stopnia jestem w stanie przeżywać wewnątrznie melodje ruchów, a żaden dysonans żadnym zgrzytem mi ani na chwilę jej nie zepsuje: jednym słowem to wielkie pytanie, do jakiego stopnia jestem w stanie przeżywać psychiczne stany jeszcze jako rozkosz — a to „jeszcze“ to właśnie najwyższe i najintensywniejsze jej napięcia.

„Najgłębsza i najtajniejsza zawartość mej, jedynie mej istoty, to jeden aspekt mej miłości, drugi zaś to nieświadome uczucia najwyższej miary tego, co we mnie najgłębszem uczuciem rozkoszy jest w stanie się rozżagwić.

„A kobieta, którą kocham, to jestem to utajone, mnie samemu nieznane. Ja: tajemnicze „*arrière fond*“ całego mojego Bytu, miara najwięcej spotęgowanych mych sił psychicznych, obszar, w którym mój „transcendentalny subiekt“ — istotne moje „Ja“ na chwilę w najwięcej zdumiewających przejawach błyskawicznie się odsłania“.

To całe moje młodzieńcze rozumowanie może być bardzo niedołężne, może nawet dla obcego na pierwszy rzut oka ciemne i zawile — sambym teraz potrzebował długiego wykładu, by ten, w jeden kłęb splątany bezmiar do samego jądra rzeczy docierających myśli rozwikłać i to, co w nim istotnie głębokie, uzasadnić, ale to właśnie stanowiło podłoże mej ówczesnej twórczości.

W żadnym z tych pięciu poematów, jeżeli te wybuchowe „rapsodje“ tak nazwać zechcemy (*Requiem aeternam* — Wiggilje. — W godzinie Cudu — *De profundis* — Nad morzem) — niema tego, co istotnie kobietą nazywamy, to oderwane planety od gorejącego słońca, własnej Duszy w jej najpotężniejszym rozmachu: dzikie, czasami potworne wizje w partenogenetycznych porodach, wulkaniczne wybuchy, w których Dusza z własnej ognistej lawy pragnie sobie objawić to, za czym w rozpacznej tęsknocie kona.

Androgyne!

W tej idei androgynizmu — może być niejasnej, przeczuwającej tylko, niezdarnie wyrażonej, w mękach porodu chaosu, który gwiazdy rodzi, splodzonej, w tym potworku do ostatecznych, dla mnie przystępnych granic wytężonej myśli — tkwi klucz nie tylko dla moich poematów, ale dla całego mojego tworu.

Jaka cudowna tajemnica kryje się w kabalistycznym:

„*Ani w'atah*“

Ja - Ty: Dwój - Jednia! Maluteńka łódeczka zarazem na spienionych, niebo szturmujących falach Oceanu.

A — „*ani w'atah*“ — to ja sam! „Ja sam“ w każdym człowieku:

Androgyne!

Jak fatalnie wypaczył ten cały szereg myśli Weininger, który ponoć się bezustannie z moją księżczyną: „Ola Hansson“ nosił, w swej osławionej książce: „*Geschlecht und Charakter*“!

Ale temu zdumiewającemu, cudownemu dziecku, które prze-
raża wprost ogromem w kilku latach zdobytej wiedzy, bogac-
stwem tragicznie nieuporządkowanych myśli, lękiem i trwogą
przejmuje swemi karkołomnemi „*salto mortale*“ dowodzeń i ka-
tegorycznych twierdzeń (tak kategorycznie umie twierdzić tylko
mózg, *par excellence* kobiecy, stąd jego bliskie pokrewieństwo
z Strindbergiem w nienawiści ku kobiecie) wszystko mu się
wybacza temu przerażająco genialnemu dzieciakowi, pierwszemu
w dziejach piśmiennictwa, który zdołał sobie niemal całą Europę
podbić — (prawda, zapomniałem, że istniał przed nim Rimbaud!) —
z pobłażliwym, a nawet podziwiającym uśmiechem patrzy się na
rozbryzgi jego fajerwerków, gasnących w ciemnej nocy, wyba-
cza mu się wszystkie jego myślowe eskapady, jego nieuporząd-
kowane, chaotyczne, wywody, które, jak Niemiec mówi, za
kląki są przyciągane (*an den Haaren herbeigezogen*), wszystkie
jego dowodzenia, któreby można z daleko większym skutkiem
użyć jako przeciwnych argumentów, wywracających doszczętnie
ten cały jego gmach z lotnych kart, to wszystko mu się wybacza —
a przystaje się z głęboką czcią przed tą wielką, a świętą pokorą,
jaką Weininger w swoim życiu objawiał:

Nie mógł przejść obok żadnego żebraka, by mu nie dać
hojnej — tak, tak! — hojnej jałmużny — a, zaczem ją dał,
zdejmował przed żebrakiem kornie kapelusz.

On — Żyd: jeden z ostatnich, istotnych chrześcijaninów!

Nie dziw, że właśnie on mógł o Chrystusie z tą wielką mi-
łością pisać i najpiękniejsze kartki swego tworu Chrystusowi
poświęcić — on — Żyd!

Przeczytajcie „*Totenmesse*“ (*Requiem aeternam*): antycy-
pacja tego typu człowieka, jakim był Weininger — tego „*certain*“,
który nagle, jak piękny kwiat w strasznym upale słońca przy
drodze się spali, tego młodzieniaszka, ale „*cent fois grandeur
naturelle*“ — a znajdziecie klucz do tej rozpacznej duszy, tak
straszenie spragnionej miłości, a która w swej niemocy mogła
się tylko zdobyć na cyniczną radę wobec kobiety:

Ofeljo, idź do klasztoru!

XIV.

Prawie w tym samym dniu tego samego miesiąca i tego samego roku wyszły dwie książki, które były sensacją dnia: Dehmle tom poezyj pod dziwacznym tytułem: „*Aber die Liebe*“ i książka „*eines Herrn mit unaussprechlichem Namen*“: moja „*Totenmesse*“.

O „*Aber die Liebe*“ Dehmle — tytuł zaczerpnięty z proctw Jeremjasza, gdzie Jeremjasz mówi o miłości mniej więcej językiem Tertuljana, że ona to jest „*das Trübe*“ w życiu, w niebo i w piekłowie zarazem, — napiszę osobno, jako wstęp do świetnych tłumaczeń Dehmle najcenniejszych utworów, przygotowywanych do druku przez profesora Arnolda Spaeta w Stryju, a nikt nie byłby więcej kompetentny ku napisaniu tej przedmowy ode mnie: wszak Dehmel tworzył to dzieło w moich oczach i z każdej twórczej myśli po on czas się przede mną wynurzał — na chwilę wracam do „*Totenmesse*“.

Dehmel nazwał mnie w jakimś liście po przeczytaniu „*Totenmesse*“ Jeremjaszem zdegenerowanych instynktów (*Jeremia der entarteten Instinkte*) i trafił w sedno. Dziś patrzę na „*Totenmesse*“ jak na psychologiczny dokument duszy onych wykołajeńców, „schyłkowców“, w jakich obfituje — dziwna rzecz — czas na przełomie dwóch wieków: ciekawem byłoby zestawienie takich typów, jak Werter, jak bohater Musseta w „*Spowiedzi dziecka swego wieku*“, jak Lermontowa „*Bohater naszych czasów*“ z tym moim „*Certain*“, jak mego bohatera w przedmowie do „*Totenmesse*“ nazywam.

A że analizę moją tej duszy dokonałem z ścisłą precyzją, zadokumentował to Weininger i swoim tworem i swoją samobójczą śmiercią.

W jego „*Geschlecht i Charakter*“ całe mnóstwo ustępów, które wydają mi się jakoby parafrazą — genialną wprawdzie parafrazą tego, com dziesięć, czy piętnaście lat przed nim napisał, a weiningerowskie: „*je n'en vois la necessité*“, by ludzkość dalej trwać miała, jego wstręt i obrzydzenie do wszelakiego rodzaju „*fecondité*“ głosi nieszczęsny bohater mego tworu na każdej kartce swych przedśmiertnych zwierzeń.

Ponoć słynny clown-poeta wiedeński Peter Altenberg — tak wyczytałem przynajmniej w feljetonie p. Janikowskiego w jakimś galicyjskiem piśmie — latał po kawiarniach wiedeńskich i głosił mnie zbrodniarzem, bo śmierć samobójczą Weiningerowi przypisywał — a raczej wpływowi tej mojej nieszczęsnej „*Totenmesse*“.

To oczywiście głupi bezsens — jeden dowód więcej, jakie potworne legendy wokół mnie się tworzyły i wciąż jeszcze się tworzą — natomiast miałem satysfakcję, iż ta właśnie legenda powstać mogła: to najlepszy dowód dla mnie, iż w analizie tej zdegenerowanej duszy schyłkowca, degenerata, młodzieńca z osławionej epoki „*fin de siecle*“ się nie pomyliłem.

I jak nie mam gorzkich łez ronić, żem nie został psychjatrą!

A tak mi żal tego genialnego dziecka — zbyt wielkim ciężarem klątwy zważyło się na jego duszę jego semickie pochodzenie, klątwy, którą, jak sam twierdzi, jedyny Chrystus przełamał, a, by móc tę klątwę przełamać — trzeba być Bogiem.

Twór jego cały, mimo całej swej genialnej, groteskowej paradoksalności — a raczej „demencji“ geniusza — mógłby mnie zdumiewać olbrzymią erudycją, błyskawicznymi przeblyskami niesłychanej intuicji, która atoli już po paru sekundach głuźnie i ślepie, ale twór ten jest dla mnie niczem w porównaniu z temi objawieniami duszy żydowskiej, które niewypowiedziane tylko między linijkami wyczytać możesz, o ile czytać umiesz. A nie znam trudniejszej sztuki, od sztuki czytania!

Ta straszna klątwa wywodzenia się z rodu, więcej może jeszcze pogardzanego i nienawidzonego od Cyganów, parjasów i trędowatych, kazała Weiningerowi samobójczą śmierć popełnić — nie zaś lektura mojej „*Totenmesse*“

A ile u nas takich Weiningerów, tragicznych męczenników swego pochodzenia — kilku ich poznałem: miałem, i mam wśród

nich najszczerzych i najwierniejszych przyjaciół, bo wiedzą, że może nikt inny w Polsce nie wniknął głębiej w bolesny tragizm ich dusz, jak właśnie ja.

A, a! przeholowałem: był jeszcze jeden współczesny Polak — Aryjczyk prócz mnie, który tą tragedją był głęboko przejęty: Stanisław Wyspiański! Właściwie jedynym jego przyjacielem, którego niezmiernie cenił, przed którym nawet i z najszybszych twórczych myśli się zwierzał, czego przed nikim nie czynił, o którego się jeszcze na łożu śmierci dowadywał, to był biedny młody „Żydowina“, chory na płuca, ciężki kaleka, a męczennik tego kalectwa, bo było ono i śmieszne i ciężką litość wzbudzające, niezmiernie inteligentny „Żydowina“, którego już po paru godzinach rozmowy zaprosiłem do składu redakcji „Życia“: św. pamięci Stanisław Lack.

Stosunku Wyspiańskiego do Wilhelma Feldmana bliżej nie znam, więc nic o nim powiedzieć nie mogę.

Do tej, właśnie tej tragedji w duszy Żyda, który zdołał sobie ogrom tej tragedji uświadomić, a która w całą otchłań cierpienia go stacza, nieraz jeszcze powrócę, gdy będę pisał o moim powrocie do kraju.

To jedno:

Gdyby Polacy postarali się dotrzeć do najgłębszych źródeł duszy żydowskiej, nie odtrącaliby od siebie tych dusz, które mogą stanowić kosztowne drożdże dla rozwoju duszy polskiej.

Usilne, a niesłuchanie uciążliwe studjum Kabbali — nie można sobie wyobrazić, jak różni się nasz aryjski sposób myślenia od sposobu myślenia semickiego, a wogóle orjentalnego — pozwoliło mi spojrzeć w ponure głębie tych Żydów, nie na miarę Heinego — o nie! nie! — ale na świętą i tragiczną miarę tego genialnego dzieciaka, Weininger, skrojoną.

Tą „pierwszą książką“ moją „*Totenmesse*“ zostałem zapisany w literaturze niemieckiej, jako „*Schriftsteller vom Rang*“ — odpowiada to mniej więcej urzędniczemu piątemu stopniowi, który zajmowałem do niedawna w Dyrekcji Kolei Żelaznych w Gdańsku.

A tak nie chciałem pisać — tak trudno mi było pisać!

Przypominam sobie: naganiła mnie Laura Marholm, bym wreszcie tę „pierwszą książkę“ napisał, karmił mnie Ola Hansson

milczącym, napominającym wzrokiem, Strindberg przysłał do mnie swego adlatusa, Adolfa Paula, by zbadał, czy ja co piszę, a gdy tenże zdał mu relację, że w moim domu niema ani pióra, ani atramentu (pióro i atrament miałem w biurze „Gazety Robotniczej”), poczynano o mnie wątpić — jeden Dehmel wiedział, że tworzę.

Książka moja była dla mojego otoczenia nagłą niespodzianią.

Przyjął ją z głębokim szacunkiem Ola Hansson — nikt przedtem, ani potem tak głęboko nie wniknął w jej istotę, jak właśnie on w swoim *essay*, drukowanem swego czasu w najpoważniejszym literackim tygodniku w Berlinie: „*Die Nation*“, kusiła się na „Zygmunta Augusta“ pani Marholm, że ten mój *Certain* tak pogardliwie o kobietach mówił, „gynolatrem“ szkalował mnie Strindberg, że za dobrze o tych gałęńskich kobietach mówię, zacierał ręce z radości mój wierny, mój kochany dr. Asch i powtarzał: „A czym nie mówił? *Hab' ich es nicht gesagt!*“ — ale z najgłębszym wzruszeniem myślę teraz o Dehmlu.

Gdym mu manuskrypt przeczytał, schwycił mnie za rękę i trzymał długo, długo w jakimś parnem, ciężkiem milczeniu.

Raz po raz ścisłała się kurczowo jego dłoń, tak, że dotkliwy ból odczuwał — rzadko kiedy uczulem milczenie tak krzycząco — wymownem.

Wziął mój manuskrypt: „To musi być językowo wyszlifowane do najmożliwszych granic“, powiedział i prosił mnie, bym nazajutrz do niego przyszedł.

Nazajutrz przywitał mnie w drzwiach całym ustępem z „*Totenmesse*“, który mu się najpiękniejszym wydawał — mówił go na pamięć, a Dehmel rozporządzał wprost fenomenalną pamięcią — wyraził zdumienie, że do tego stopnia język niemiecki opanował, a w istocie nie było dużo do poprawiania — spieszo mi było zpowrotem, ale gwałtownie mnie zatrzymał.

— Właśnie otrzymałem od Schlafa manuskrypt, razem go przeczytamy.

To była Schlafa, później przeze mnie przetłumaczona na polski język: „*Wiosna*“ czytał, czytał, głos jego drżał, mienił się, zawodził, chrypnął, a nagle buchnął Dehmel strasznym, niepowstrzymanym płaczem.

„*Frühling! Oh, Du mein Frühling!*“ — zakrwawiał się Schlaf.

„*Frühling, Oh Du mein Frühling!*“ wstrząsało konwulsyjnym płaczem Dehmle.

Z wielkim trudem zdołaliśmy — żona jego Paula, która nadbiegła, i ja — go uspokoić.

Zostałem przy nim przez całą noc, a, gdybym miał już całkiem utracić pamięć, tej nocy nie zapomnę.

Gdym rano wrócił do domu, zastałem biedną izdebkę umaloną przez kochające ręce tatarakiem i gałązkami brzozy, bo było to pierwsze święto „Zielonych Świątek“.

Pomyślałem o 23 świeczkach, którem zastał, gdym wracał przed rokiem od Oli Hanssona w dzień moich imienin.

I, zaczem zapomnę:

Pani Paula, pierwsza żona Dehmle — błogosławiona niech będzie jej pamięć — była doskonałą pianistką i, jak na kobietę, gra jej była niezwykle indywidualną — najulubieńszą uczennicą znanego muzyka Szarwenki, była doskonałą odtwórczynią Beethovena.

Dehmel tworzył najpiękniejsze rzeczy, gdy Paula mu o zmroku godzinami grała, i Dehmle mogła tylko muzyką uspokoić.

A onej nocy grała „Appassionatę“ ku mojemu przerażeniu, bo myślałem, że tą sonatą jeszcze więcej go rozdrażni — „Przeciwnie, powiedziała, wtedy on się styka z wiecznością“.

Rzadko widziałem człowieka, któryby tak manjacko, tak fanatycznie ukochał muzykę, jak Dehmel — i on jeden wśród Niemców, jeżeli całkiem nie rozumiał, to intuicyjnie przeczuwał otchłanne głębie muzyki S z o p e n a.

W ciągłym, niemal codziennem obcowaniu z Dehmem, rosła ma dusza — nie w tem znaczeniu, by na mnie wpływał, albo mi duszę swoją narzucał — takim nierozumnym terrorystą miałem ja sam się stać później dla młodych twórców, którzy do mnie o radę się uciekali, a Dehmel był za mądry i głęboki, by chcieć kogoś innego w jarzmo własnej indywidualności wtłaczać — ale bezustannem zachęcaniem mnie do tworzenia; był dla mnie ostrogą, a nieraz i harapem.

Wyprany doszczętnie z ambicji literackiej — przeciwnie: zawód mój literacki był mi tylko jednym wstydem i udręką, do której dopiero po wielu, wielu latach musiałem przywyknąć —

wyzbyty całkowicie z pragnienia sławy — och! jaką klątwą zwała się na moją duszę ta śmieszna sława, a raczej osławienie — ociągałem się, jak mogłem, z dalszą pracą.

Poco ja miałem pisać, kiedym najpiękniejszy mój twór przeżywał, gdym godzinami całemi o zmroku krążył naokoło stołu mego ciasnego pokoiku?

Opowiadają, że Szopen nie był w stanie swych improwizacji na papier przelać, że jego improwizacje przerastały o całe niebo jego pisany twór, a niewymowną męczarnię sprawiała mu świadoma już twórcza praca, gdy siadł do pisania.

Według relacji p. Sand — w tym jednym wypadku może niekłamliwych — Szopen rzucił się, jak obłąkany, gdy tworzył, płakał, gryzł sobie palce, a z resztek sił wyczerpywał go te godziny, które spędzał nad papierem nutowym.

Coś podobnego działo się i we mnie — wszystko, com napisał, jest tylko lichem odbiciem tego wszystkiego, com przeżył w moich bezustannych wędrówkach naokoło stołu, którego widok mnie przerażał, bo teraz już był na nim rozłożony papier, leżało pióro i stał kałamarz.

Ale Dehmel nie uznawał improwizacji — niesłuchanie sumienny artysta, z wolą wydyscyplinowaną do podjęcia najkrwawszych trudów, by „tanią“, jak ją nazywał, improwizację przetopić na trwałą, a bardzo kosztowny bronz tworzący, który miał już pozostać „*aere perennius*“, — zmuszał mnie dobrą namową i poważną pochwałą i szacunkiem i miłością, a najczęściej złą, niweczącą irytacją, pogardliwym słowem do pracy.

— Napisałeś, powiedział mi raz wysoce zirytowany, tak piękną rzecz, pod którą z rozkoszą podpisałbym swoje nazwisko — ten hymn do Tęsknoty, ale to przecież tylko ośrodek — „*culmen*“ czegoś, co za wyzwoleniem krzyczy. Zacząłeś budowę piramidy od czubka, dobuduj teraz podstawę, albo Cię znać nie chcę.

Zawstydziłem się w istocie — przecież ten „*Schriftsteller vom Rang*“ nie mógł spocząć na wątpliwych laurach swej „pierwszej książki“.

Tym razem była nieocenioną wskazówką Dehmela, że hymn do Tęsknoty był czubkiem piramidy — mozolną okazała się podbudówka, ale niezadługo się z nią uporałem.

Naokoło tego hymnu, jęła się okręcać nika, śmieszna prawie fabuła, ale z całego zasobu w ciężkim trudzie porodzonych myśli, a zwałów młyńskich kamieni, jakimi mózg mój meł ziarna od tylu lat wsypywane do jego spichrza: z żaren ukrytych, dla mnie samego tajemniczych sił intuicji zdołałem wytworzyć ten materiał, jakiego potrzebowałem, by tę podbudówkę wykonać.

Tak powstał mój utwór: „Wigilje“.

Tu już idea „androgynizmu“ jasno rozwinięta — szeroka podstawa, na której miały się niezadługo wzniesć: „Androgyne“ i „Nad Morzem“.

XV.

W tym samym czasie żyłem w bardzo bliskich stosunkach z norweskim malarzem, Edwardem Munchem, który miał się stać jedną z największych sensacji przez jakiś czas w Berlinie.

Silnie zorganizowane i największe w Niemczech zrzeszenie wszystkich malarzy w Berlinie, do którego należeli najwięksi „potentaci” malarstwa niemieckiego, zaprosiło przypadkowo, nie wiedząc, kogo prosi, młodego norweskiego malarza, by obrazy swoje, o których się cośniedoś słyszało, wystawił w „*Kunstvereinie*”, (coś w rodzaju warszawskiej „Zachęty”). W gmachu tego „*Kunstvereinu*” można się było zapoznać z najwybitniejszymi malarzami i wogóle plastykami nie tylko Niemiec, ale i całej Europy.

Z polskich malarzy można było się tam często spotykać z obrazami Siemiradzkiego, a jego „Phryne” wzbudziła wśród Niemców ogromne wrażenie — ale najczęściej natrafiało się na wystawy skandynawskich malarzy, którzy tem samem wielkiem uznaniem i tym samym podziwem cieszyli się wśród malarzy, jakiem w literaturze publiczność niemiecka darzyła skandynawskich pisarzy.

Wszystko, co tylko pochodziło z Skandynawji, przyjmowano z bezkrytycznym entuzjazmem i to do tego stopnia, że na śmierć zamilczani („*totgeschwiegen!*”) artyści niemieccy, Arno Holz i Johannes Schlaf, przemycali swoje dzieła, aby o nich wogóle wspomniano, pod skandynawskim pseudonimem.

Tem się tylko tłumaczy, że niezmiernie surowy areopag, stanowiący „jury” *Kunstvereinu*, w którego skład wchodził profesorowie Akademji Sztuk Pięknych w Berlinie, najzacieklejsi przeciwnicy wszelkich nowych prądów w malarstwie, uległ

również chorobie tej modnej skandynawszczyzny i, nie widząc jednego obrazu Muncha, zaprosił go do wystawienia w *Kunstvereinie* swoich obrazów.

I trzydziestoletni podówczas Edward Munch przysłał całą dużą kolekcję swych obrazów.

Jak długo Berlin Berlinem, nie przeżył takiej niesłychanej sensacji — oczywiście mówię o świecie artystycznym — jak w chwili, gdy obrazy te nadeszły i jury się zebrało, by je ocenić i wystawić.

Jeden w niebo bijący okrzyk oburzenia, wściekłości, grozy, a nawet panicznego przestachu wyzwolił się wściekłą burzą z przerażonych duszyczek profesorów: całe zacne, niezmiernie poważane, aureolą najwyższych godności i państwowego — (przez samego cesarza Wilhelma II uświęconego) — autorytetu opromienione grono malarzy niemieckich, zaszczyconych raz po raz odwiedzinami Cesarza, który raczył im dawać cenne wskazówki, a nawet ich płótna poprawiać, zawrzało srogim gniewem, że ktoś ośmielił się w tak bezczelny sposób z nich zakpić!

Oczywiście napisano obrażony list do Muncha, iż obrazów jego się nie wystawi, że zaszła fatalna pomyłka, a wkońcu dano mu radę, by się z takimi nieprawdopodobnymi bohamazami do żadnej poważnej „korporacji“ w Niemczech nie zgłaszał.

W Niemczech, jak wiadomo, wszystko jest korporacją. Ale nagle zaszedł niespodziewany wypadek:

W łonie „*Kunstvereinu*“ toczyła się już oddawna cicha, ukryta, ale niezmiernie zaciepła walka pomiędzy prezydentem *Kunstvereinu*, słynnym nadwornym malarzem butów, Anton v. Werner, stawianym przez niemieckiego cesarza narówni z Tyccjanem, a nowatorem, który właśnie zaimportował do Niemiec francuski naturalizm właśnie w tym czasie, kiedy on naturalizm w francuskim malarstwie już przekwitał, — Maksem Liebermannem.

Liebermann szukał już dawno jakiegoś pretekstu, by zrobić stanowczy wyłom w składzie „jury“ tego niesłychanie przestarzałego „Zopfu“ i wpuścić odrobinę świeżego powietrza do zatęchłej, pleśnią obrzydłego byzantynizmu cuchnącej sali posiedzeń „jury“.

I Liebermann, który doniedawna wywijał zwycięską chorągwią z hasłem, że jedynie tylko najkonsekwentniejszy naturalizm jest istotnem zbawieniem w sztuce, a „głupia fantazja“, śmiesznem „*Notbehelf*“ — (namiastkiem sztuki) stał się nagle gorącym rzecznikiem obrazów Muncha, na których widok pękał może serdeczniejszym śmiechem, aniżeli w fryderykowski jeszcze „*Zopf*“ uposażona świta nadwornego malarza książęcych i generalskich butów v. Wenera.

Taktyczny — och, jak chytro i bystro obmyślany, taktyczny protest Liebermanna spowodował kilka burzliwych posiedzeń „*Kunstvereinu*“, a ostatecznym wynikiem był doszczętny rozłam w łonie tegoż *Vereinu* — w cesarskich łaskach wygrzewający się nadworni malarze utworzyli prawicę, Liebermann wraz z całym szeregiem, dotychczas cicho siedzących, a teraz już przykładem Liebermanna mocno rozsrożonych „młodych“, utworzyli berlińską „secesję“.

Przez jakieś dwa tygodnie o niczem nie pisano w feljetonach prasy berlińskiej, jak tylko o tym niebywałym „skandalu“ — staczano na łamach wszystkich pism homeryczne boje „za i przeciw“ — wkońcu jednak opinia przechyliła się na stronę Liebermanna — rozłam w „*Kunstvereinie*“ został dokonany — „Żyd“ Liebermann — przed chwilą mówiłem, że Żydzi są drożdżami tak zwanego „postępu“ — oczyścił ciężką stęchlizną cuchnące powietrze życia plastyków niemieckich: prawica poszła na strych — „młodzi“, lewicowcy, wywrotowcy mogli już teraz swobodniej odetchnąć — Liebermann wyzwolił ich z pod jarzma cesarskiego clownostwa.

A tymczasem patrzył bezradny Munch, — ale bezradny tą artystyczną bezradnością ludzi, którzy są stworzeni na magnatów, a w nędzy żyć muszą — na to dziwne widowisko.

Jego nazwisko stało się jakimś, gdzieś tam z oddali dola-tującym go „*cri de bataille*“: w godle jego nazwiska można było wygrać lub przegrać jakąś walną bitwę — on! z rodu najdo-stojniejszych magnatów ducha z pustą kieszenią — siedział w małym hoteliku i czekał o chłodzie i głodzie — a zima tego roku była niezwykle ciężka — co to z tego będzie:

„*Hopos estai tade erga?*!“, słowa, które Homer kładzie w usta zdumionego syna Odyseusza, kiedy Machaon zawiódł go do pałacu Menelausa.

Protest Liebermanna, którego Munch może tyle obchodził, co wilka gwiazdy, bo nie o Muncha w danej chwili chodziło, ale o „odcięcie“ starego Zopfu, zrobił jego nazwisko przez jakiś czas niesamowicie popularnem w Berlinie.

Z wszelkiego ziemskiego majątku starannie obdartemu magnackiemu dziecku wynajęto — i to głównie za staraniem mojego wiernego opiekuna: dr. Ascha — dwie, czy też trzy sale w nowo wybudowanym pałacu, jeszcze nie zajęтым całkowicie przez jakąś manufakturę — na rogu ulicy Lipskiej i Frydrychowskiej i tam wystawił wszystkie swoje obrazy, sromotnie odrzucone przez sławetne „jury“ „*Kunstverein*“.

Chryste Panie! Co się wtedy działo w Berlinie!

Nazwisko Muncha, popularne już przez rozłam malarzy niemieckich w *Kunstverein*, stało się teraz przeraźliwie popularnem. W ciągu trzech tygodni, jak długo wystawa jego obrazów trwała, rżała, ryczała z śmiechu — śmiechu w istniejących i nie istniejących tonacjach cała tak zwana „inteligencja“ Berlina.

Srogo odcierpiałem, kiedy się mój entuzjastyczny artykuł o Munchu w „*Freie Bühne*“ pojawił; pomieścił go wprawdzie redaktor „*Freie Bühne*“ — słynny Otto, Julek Bierbaum — ale w dopisku dodał uroczyście, że się z moją oceną nie godzi: pomieszcza ją ze względu, że już wtedy zaliczano mnie do 5-tej rangi literatów niemieckich.

Po drodze do mej redakcji „Gazety Robotniczej“ wstępowałem prawie codziennie na tę wystawę — musiałem obok niej przechodzić, a prawie zawsze spotykałem tam Maksa (Masia) Dauthendeya, który w jakimś ekstatycznym skupieniu chodził od jednego obrazu do drugiego — a, jeżeli ja zawsze myślałem linjami i myślę dotychczas — Dauthendey myślał barwami.

Ośmieszano i wykpiwano biednego Masia, jako dowód największej degeneracji przytaczano słynny i w chamski, głupi sposób osławiony sonet Rimbauda, w którym Rimbaud każdej samogłosce jej przynależny korelat barwny nadaje — uznano to za obłąd tak, jak wyśmiewano jako „obłąkany snobizm“

des Esseintes'a w „*A rebours*“ Huysmansa, który sobie z prze-najrozmaitszych likierów stworzył całą gamę smaku, przeobra-żoną w gamę dźwięków, a raczej gamę kolorytu różnorodnych instrumentów muzycznych — a przecież to najzwyczajniejsza trans-formacja wzrokowych wrażeń na słuchowe, transmutacja powo-nienia lub gestów, wywołanych przez mięśnie, na barwy, dźwięki i linje: czyż ktoś się zastanowił, patrząc na pałkę ka-pelmistrza, do jakiego stopnia dźwięk w linijsny ruch się prze-mienia i przemieniać musi! — (dla mnie dźwięk bez linii nie jest do pomyślenia), a tem mniej słowo? Otóż miałem szczęś-cie poznać człowieka, który tylko barwami myślał: Maksa Dauthendeya: nieskończenie ciekawym, wartościowym doku-mentem tej „*audition colorée*“ i tej „*vision audite*“ jest jego niezmiernie rzadki poemat: „*Ultra-Violet*“.

A swoją drogą: jeżeli nie jestem w stanie wykreślić jasno w powietrzu kompozycyjnych linii mego tworu rękoma, wiem, że pomysł nie dojrzał.

Każdy mój dramat —dramat przedewszystkiem —jest dla mnie tem doskonalszy, im jaśniej jestem go w stanie linjami nakreślić.

I to właśnie ja, który był zawsze z geometrią w najcięższej rozterce!

Wystawa obrazów Muncha była w ustawicznym oblężeniu przez „inteligentny“ Berlin.

Tak jasno nie uświadomiło się Lombroso, do jakiego stopnia graniczy obłęd z genjuszem, jak mi się poonczas uświadomiło, w jak niesłychany sposób spowinowacona jest tak zwana „in-teligencja“ z ordynarnem chamstwem!

Ponoć Eugenia, żona Napoleona III, dostała spazmów śmiechu na widok obrazów Maneta, ale to, co się działo na wy-stawie obrazów Muncha, to był jeden rżący, brutalny ryk śmiechu, tego samego Muncha, o którym dziś wspaniałe monografie nie-mieckich profesorów istnieją, Muncha, którego futuryści, formiści i inni „iści“ za swego ojca uznają, tego magnackiego Muncha, który niczem więcej być nie pragnął, jak tylko Jedynym dla Jedynego.

Przed piętnastu laty otrzymałem od niego kartkę:

„Pięćdziesięcioletni Edward Munch, który nigdy nie był żadnym „istą“, gorąco Cię pozdrawia“.

Jak go musiało boleć, że „iści“ chcieli go do swego rydwanu zaprząć!

Mimo ogromnego natłoku na tej „skandalicznej“ wystawie — Berlin uspokoić się nie mógł — w kasie, którą zawiadowała młoda panienka, były wieczne pustki.

Ciekawa przygoda:

Jednego ranka, idąc do mojej redakcji, spotykam Muncha na ulicy z gołą głową — a było to pod koniec marca, chłodno, a nawet mroźno — parę kroków za nim ujrzałem kelnera z czapką Muncha w rękę.

— Cóż Ty tu robisz? pytam.

— Siedziałem w kawiarni, jadłem i piłem przez całą noc — miał przyjść Adolf Paul (*adlatus* Strindberga), miał mnie wykupić — nie przyszedł — kelner zafantował moją czapkę, a teraz idę na moją wystawę, pewno będę się mógł kelnerowi wykupić!

A w czym się różnił sąd *jury Kunstvereinu* od sądu poborcy podatków?

Przyszedł taki poborca — świadkiem byłem tej sceny — do Muncha, a mieszkał on na czwartym piętrze w dawniejszym atelier zmarłego rzeźbiarza polskiego Franciszka Flauma — i zażądał od niego zapłacenia podatku.

Munch pieniędzy nie miał, ani wogóle niczego, coby jakąś wartość przedstawiało, wskazał więc wspaniałym gestem na swoje obrazy, które w rozpaczonym nieporządku walały się po ziemi.

Poborca podatków chwycił się pod boki i ryknął ogromnym śmiechem, gdy począł obrazy Muncha oglądać:

-- Ha, ha, ha! Ale za to wszystko nikt w całym Berlinie Panu dziesięciu fenigów nie da!

Zdumiewające, jak wartościowanie poborcy podatków zgadzało się z sądem prezydenta *Kunstvereinu*!

Rzadko łączyło mnie z którymkolwiek artystą tak bliskie duchowe spokrewnienie, jak właśnie z Edwardem Munchem — i naodwrot — sam to bezustannie podkreślał.

Poonczas potrzeba było dużo odwagi, by odważyć się Muncha brać na serjo. Gdy się ukazało moje studjum o Munchu, była

cała konfraternja literacka przekonana, że dostał pomieszania zmysłów. Munch przyszedł do mnie z głębokiem wzruszeniem:

— Jestem przerażony, że jakiś człowiek mnie w najtajniejszych twórczych chwilach podsłuchuje — ale i ja Ciebie podsłuchałem.

Nazajutrz pokazał mi swój słynny obraz, który teraz bezustannie widuję w książkach, traktujących o futuryzmie: „*Skrig*“ — „Krzyk“, o którym szeroko rozpisałem się w mojem studjum o Munchu w późniejszym moim utworze: „Na drogach duszy“.

Nie wyobrażam sobie, by można potężniej w barwie przeobrazić jakiś utwór literacki — w tym wypadku: „*Totenmesse*“.

Może jedyny Felicjan Rops umiał się zdobyć na tak równomierną transpozycję utworu Barbey d'Aureville: „*Les diaboliques*“.

Munch posiadał w wysokim stopniu, co rzadko u malarzy się napotyka, istotną kulturę literacką, doskonale był obznajmiony z współczesną literaturą, a sąd jego o jakimś literackim utworze był dla mnie wysoce wartościowy. Ponadto interesował go okultyzm, a, gdy mu dał książkę Aksakowa: „Spirytyzm a animizm“, pożarł ją literalnie jednej nocy, a był uszczęśliwiony, gdy wypożyczył dla niego z państwowej biblioteki Swedenborga: *De coelo et inferno* (w niemieckiem tłumaczeniu, Tübingen, trzecie wydanie 1873).

Obcowanie z Munchem było ostatnie moje, istotnie głębokie „przeżycie“ duchowe w Niemczech — wśród „obcych“.

W przededniu wyjazdu mego do Norwegji, gdzie nauczyłem się być „sam z sobą“ i gdzie mnie wprost zabijała nostalgia za Polską, otrzymałem serdeczny list, wraz z książką — od Miriama — Zenona Przesmyckiego.

Przesłał mi wtedy swoje wspaniałe studjum o Maeterlincku i królewskie tłumaczenie utworów Maeterlincka.

Oczom nie mogłem wierzyć, że jakiś poeta polski, a znałem już wytworny tomik jego poezyj: „Z czary młodości“, mógłby do mnie się zwrócić. A zabijało mnie wprost to przeświadczenie, że tam — w Polsce — nie chcą o mnie nic wiedzieć, ponieważ piszę po niemiecku — a przecież ja byłem zmuszony pisać po niemiecku — nie było jeszcze wtedy polskiego nakładcy, któryby się mógł odważyć wydać jakieśkolwiek moje dzieło w polskim

języku — jeszcze dwadzieścia lat później nie dawała cenzura — ani rosyjska, ani też galicyjsko-arcybiskupia — zezwolenia na wydawanie mych dzieł: wychodziły wszystkie w barbarzyńskim okrojeniu.

Odtąd już nastąpiła częsta wymiana listów między Miriamem i mną — jak ja byłem wdzięczny, że „wśród obcych“ — całkiem mi obcych, bo raz jeszcze powtarzam: dusza polska a niemiecka, choćby nawet takiego Dehmle, to całkiem „*incommensurable*“ wielkości — dotarł do mnie głos polskiego twórcy i to twórcy — myśliciela tej miary, co Miriam!

Niewymowną wdzięczność odczuwam do tego, bezwarunkowo najkulturalniejszego w Polsce człowieka, którego listy przez parę lat, jakie miałem jeszcze pozostać zagranicą, były dla mnie za każdym razem odświeżną radością.

Czcilem go i czczę po dziś dzień jako starszego brata — po kilku latach miałem go dopiero osobiście poznać, ale już wtedy wywarł na mnie istotny i niezatarty wpływ.

Nie na twórczą duszę moją wpływ jego się rozciągał, ale każda jego wskazówka była dla mnie drogocenną i miarodajną — teraz już, gdy cośkolwiek napisałem, to pisałem z myślą, co Miriam o tem powie.

A Miriam był mi surowym wprawdzie, ale oględnym sędzią, a może nikt inny nie zrozumiał głębiej całego założenia mego tworu, jak właśnie Miriam — to też na niczyj głos nie było ucho moje wtedy tak wyczulone, jak na jego.

Ciężkie perypetje w mem życiu wywołały zagubienie jego listów do mnie, a byłby ich spory tomik — w tych listach odśloniłaby się cała piękna, magnacka, niesłychanym bogactwem najwytworniejszej kultury obdarzona dusza Miriama.

Nie mam słów, któreby mogły wyrazić moją głęboką wdzięczność dla tego człowieka — artysty, który sam jeden — on jedyny tylko — wskazał mi drogę do Polski i on to rozniecił we mnie ten ciężki ból nostalgji za Polską, że już się wszędzie czułem obcym i niesamowitym „przybyszem“.

(Kochany Adolf Nowaczyński opowiada w jakiejś z swych książek, że on to sprowadził Przybyszewskiego do Polski!)

Ta paroletnia korespondencja z Miriamem pouczyła mnie o tem, że Polska — po raz który bo już powtarzam? — bądź, co bądź jest najkulturalniejszym krajem w Europie!

Całe naręcza wdzięcznego kwiecica rzucam przed nogi tego człowieka, który stał mi się i jako artysta, i jako głęboki myśliciel, i jako człowiek o głębokiej intuicji psychologicznej i niezmiernej dobroci istotną, niezmiernie drogocenną ostoją w mojem ówczesnem życiu twórczem, — przed nogi jednego z najprzedniejszych w Polsce:

Miriama-Zenona Przesmyckiego.

Ile ja razy czytałem ten wspaniały wstęp do jego przekładów Maeterlincka, jak głęboko wsłuchiwałem się w słowa tego, który już „wiedział“, podczas gdy ja się „poomacku“ błąkałem, a może-bym jeszcze długo był musiał instynktem i przecuciem się kierować, gdybym nie był znalazł bratniej ręki Miriama: kulturalnem bogactwem mógłby mu tylko Ola Hansson dorównać, ale Olinka nie mógł mi dać tego kulturalnego pierwiastka, który był dla mnie najważniejszym: pierwiastka kultury polskiej i to tej najszczytniejszej, objawionej w ostatniem ośmioleciu twórczej pracy Juliusza Słowackiego — tem ośmioleciu zamknętem na siedem pieczęci dla przeważnie wszystkich historyków literatury polskiej—on to przysłał mi już w załączeniu do następnego listu ten olbrzymi poemat, który poniekąd stał się dla mnie objawieniem: Kasprowiczą „Na wzgórzu śmierci“!

Jakim ja się biednym i maluczkim wtedy uczułem!

Wiecie już, jak niezmiernie był mi bliskim Dehmel — jedyny wśród Niemców, który orjentował się w mojej duszy — ale ta tak „przerażliwie polska dusza“, jak Dehmel, o mej duszy się wyrażał (*dieser furchtbare Irrgarten der polnischen Seele*) kosztowała go dużo trudu, dużo względów i dziwnej czasem dla mnie niezrozumiałej — dobrotliwej — przyjaźni:

Miriam jeden wiedział, co z tą duszą począć!

W tych kilkudziesięciu listach, którem od Miriama otrzymał, a które, ohydny wypadkiem losu, uległy zniszczeniu, bylibyście mogli najlepiej poznać tę wytworną magnacką duszę, która bogatą dłonią rozsypywała swe bogactwa.

A każdy z jego listów, które miałem już stale otrzymywać — myślę o tem z najgłębszą wdzięcznością — był dla mnie nauką,

przestroga — Miriam brzydził się tem niespokojnem, nerwowem „chłastaniem“, z jakim ja nieraz pracowałem — a każda jego pochwała — nie! to śmieszne powiedzenie — każde jego potakiwanie temu, co napisałem, było mi rzešką pobudką.

Nie miał mi potem szczędzić ostrych i gorzkich wyrzutów, bo właśnie ode mnie wymagał — nie wiem, czy słusznie, i nie wiem, czy się w tem nie mylił — bym się pokusił o najwyższe szczyty — nie wiem, czy oczu jego nie mamiła głęboka i serdeczna przyjaźń ku mnie, choć mnie osobiście nie znał — ale jeżeli jakiegokolwiek listu od przyjaciela wyczekiwałem z prawdziwą tęsknotą tam, gdzie już całkiem pozostałem „sam z sobą“ — to od Miriama.

A listy jego były dla mnie bogactwem i „upragnieniem“ — inaczej tego nazwać nie mogę — właśnie tam, w Skandynawji, gdzie w lecie słońce nie zachodzi i wieczny dzień, a podczas zimy nie wschodzi i wieczna noc panuje!

W kilka lat później miał nas los rozłączyć — ale z niewygasłą wdzięcznością myślę bezustannie o tym człowieku, który mi takim „*souverain*“ gestem, a zarazem nieskończenie mądrym nakazem wskazał drogę do Polski — o tym twórcy, który pustelnię mojego „sam z sobą“ raz po raz raczył nawiedzać swoją szlachetną i niezmiernie mądrą „*gaya scienzia*“:

XVI.

Okoliczności, że wskutek stosunków rodzinnych mej pierwszej żony — Norweżki — byłem zmuszony przez pięć lat zrzędu spędzać co rok wiosnę i lato aż do późnej jesieni, a raz nawet całą zimę w Skandynawji, przypisywano po moim powrocie do Polski niesłychane znaczenie.

Fatalnie niski ówczesny poziom krytyki literackiej w Polsce zezwalał na najdziwsze absurda.

Ponieważ było wiadomem, że m pozostawał w Berlinie w bliskich stosunkach z Strindbergiem, a więc musiałem oczywiście jego wpływom ulegać, a niema chyba dwóch artystów, pomiędzy którymi zionęłaby taka przepaść, jak między tworem Strindberga, a moim. Żyliśmy dopóty w zgodnej przyjaźni, o ile nie rozpoczęła się między nami dysputa na jakiśkolwiek temat — już po paru minutach zachnął się Strindberg: „To jest metafizyka — nic więcej“; pamiętam, kiedy zjechał do Berlina niezmiernie zdolny przyrodnik szwedzki, Bengt Lidforss, zmarły przed paru laty, jako profesor botaniki w Lund, właśnie, kiedy już się cieszył wszecheuropejską sławą — odwiedziliśmy Strindberga w jego hotelu i niebawem jęliśmy poruszać najwięcej po on czas sporne kwestje biologiczne, a właśnie wtedy dokonywała się bezlitosna długotrwała rewizja materialistycznych poglądów. Strindberg leżał na kanapie i jakiś czas spokojnie się przysłuchiwał — nagle zerwał się: „Mam już dosyć tych metafizycznych bredni, nic a nic z tego nie rozumiem!“ i omal, że nas za drzwi nie wyprosił. Pomiędzy naturalistą a *outrance*, Strindbergiem, twórcą najbrutalniejszej „książki, jaką ktośkolwiek napisał“ — Strindberg zwykły był się tem chełpić — „*Giftas*“ (historja małżeństwa), a mną, który może

śmiało o sobie powiedzieć, że trumnę moją winny kobiety na swych barkach do grobu ponieść, bo rzadko który artysta umiał wnikać w to, co w duszy kobiety jest istotnie pięknem i czystem, nie mogło i nie może być żadnego pomostu, a jednakowoż prześladowano mnie lata całe Strindbergiem.

A ponieważ było w Polsce wiadomem, żem dłuższy czas przebywał w Skandynawji, więc odrazu zrobiono z Skandynawji moją „drugą ojczyznę“.

To już Himalaja bezmyślnej płytkości i głupoty.

A przecież to właśnie w Skandynawji uświadomiłem sobie w bolesnej tęsknocie, z rozpaczem czasem poczuciem obcości moją narodową odrębność: tam przeżyłem w ciężkiej udręce istotną chorobę, którą piękną nazwą „nostalgji“ ochrzczono. Jużbym ja jej drugi raz przeżyć nie chciał, a nawet przeżyć nie zdołał — a, jeżeli kiedykolwiek miałem odczuć potęgę tęsknoty za „krajem“, za „swojskością“ — najgorszą z tęsknot — to tam właśnie, gdzie wszyscy i wszystko było mi obcem, jak bardzo obcem! Tam rozegzaltowała się moja dusza nad pięknością Gopła i Kujaw do nadmiernej potęgi. Gdybym nie był tak długo przebywał w Skandynawji, wątpię, czy byłbym w stanie napisać „Z gleby kujawskiej“; ja tam tylko ciałem przebywałem, dusza moja i na dniu i w nocy wyrwała się do Kujaw lub na Pałuki, do wągrowieckich jezior — nad Gopło i Noteć, Wełnę i Durowskie jezioro — a wciąż, opętany tą manjacką nostalgią, wszeptywałem w moją chorzejącą duszę wiersz niemieckiego poety Momberta, który tej nostalgji dał zdumiewająco prosty, wstrząsający wyraz:

*„Schlafend trägt man mich
In mein Heimalland —
Ferne komm' ich her,
Ueber Berge, über Schlünde,
Ueber ein dunkles Meer
In mein Heimalland...“*

Tam w Polsce i w śnie i na jawie krążyła bezustannie moja boleśnie stęskniona dusza, tam wybiegała bezustannie poprzez góry i przepaście i ciemne morza, a na nowo odżyło we mnie to samo pragnienie, które kazało mi — dzieciakowi — uciekać z gimnazjum w Toruniu do rodzinnej wsi Łojewa.

Ale nietylko ja sam przeżywałem tę męczarnię nostalgii. Było nas po on czas czterech Polaków w całej Skandynawii.

Wkrótce po przyjeździe do Norwegji, poznałem Polaka, który zdołał się po 63 roku uratować ucieczką przed strykiem. Sztokholm był najpewniejszą przystanią dla rozbitków, którym szczęśliwy los pozwolił tam wylądować, i tam zdołał się dostać po niesłychanie trudnych przeprawach młody Szaciński. W Szwecji panował po on czas bardzo kochany, bardzo jowjalny król, Karol XVI, wynalazca wspaniałego trunku, tak zwanego królewskiego *pijotteru*, i od rana do nocy pił, nie jak było w zwyczaju wodę sodową, wpół na wpół zmieszaną z koniakiem, lub whisky, ale koniak, lub whisky „w tym samym stosunku do szampańa”. Codziennie odbywał paradę swego przybocznego regimentu; za nim kroczyło kilku adjutantów z pudłami cygar, a Jego Królewska Mość raczyła dać rozkaz: „Gębę otworzyć!” Żołnierze z rozkoszą spełniali ten rozkaz, bo otóż Król kroczył z uroczystą powagą od jednego żołnierza do drugiego i każdemu wtykał w otwartą gębę ogromne cygaro i to nie byle jakie.

I otóż podczas takiej parady ujrzał Król z wielkiem zdumieniem człowieka, który nastawił z zimnym spokojem aparat fotograficzny — wtedy aparat ten był jeszcze dużą maszyną — by ten historyczny moment na płycie uwiecznić.

Król podszedł kilka kroków, ale nagle przystanął, bo przykuł go do miejsca zniecierpliwiony rozkaz: „Niech Wasza Królewska Mość się teraz z miejsca nie rusza”.

I Król, zdumiony, rozbawiony, nie ruszał się z miejsca, póki młody, a bardzo przystojny człowiek nie ukończył swoich manipulacji.

To był Szaciński.

Przed wybuchem powstania podróżował Szaciński po Niemczech, zawadził o Bawarję i utknął w Wyrzburgu, gdzie cieszył się ogromnym powodzeniem jeden z najpierwszych i najsłynniejszych daguerrotypistów w Niemczech, Dauthenday, ojciec tego wytwornego poety, o którym już wspomniałem, Maksymiljana Dauthendaya, kochanego mojego „Masia”.

(Dziwne, jak chętnie przyjmowali moi niemieccy koledzy po piórze „zszopenizowane” przeze mnie *diminutiva* swych imion).

U starego Dauthendaya nauczył się młody szlachcic polski fotografować — bawiło go to pewno tak samo, jak ongi bawiły paniczów polskich reformatorskie „nowinki“ w Wittenbergu — a amatorska fantazja miała się po kilku latach stać dla niego deską ratunku.

Jowjalna Królewska Mość wsadziła i jemu, ale już własnoręcznie i z własnego portfelu cygaro do ust, poprowadziła na zamek i uraczyła hardego polskiego junaka „*kongepjolterem*“ — oną słynną mieszaniną szampana z koniakiem.

Król upodobał sobie odrazu Szacińskiego — wdał się z nim w długą rozmowę, a rezultatem tej rozmowy było to, że powierzył mu całą swoją myśliwską psiarnię. Okazało się bowiem, że fotografowanie było tylko pobocznem zajęciem Szacińskiego, a głównem i umiłowanem jego powołaniem, to tresura psów myśliwskich.

Nie porzucił wprawdzie Szaciński swego zawodu fotografa — odrazu został bez wszelkich zastrzeżeń nadwornym fotografem Jego Królewskiej Mości, zasłynął nawet później jako jeden z najlepszych fotografów w całej Skandynawji, a *atelier* jego fotograficzne w Krystjanji, dokąd się niebawem przeniósł, cieszyło się ogromnem wzięciem — ale największe triumfy święcił w całej Skandynawji jako niezrównany, „genjalny“ mistrz w niezmiernie trudnej sztuce tresury myśliwskich legawców.

Tylko z trudem zdołano Królowi wytłumaczyć, że orderu szwedzkiego „*Pro litteris et arte*“ nie można udzielić choćby i najgenjalniejszemu mistrzowi w tresurze psów.

O tem wszystkiem dowiedziałem się, zanim Szacińskiego poznałem. Wyobrażałem sobie człowieka pełnego fantazji, tryskającego zdrowiem i szerokim szlacheckim rozmachem, a tu nagle stanąłem wobec człowieka, którego twarz czarnym cieniem oskrzydliła ciężka ponura melancholja.

Na dźwięk polskiej mowy zabłysły na chwilę gorąco jego oczy, zakrzętnął się, by mnie ugościć, przyniósł flaszkę wina, jął gorączkowo opowiadać o swej przeszłości, a nagle opadł, oczy jego stały się mętne i szkliste — zapadło niesamowite milczenie, które napróżno chciałem przerwać opowiadaniem o Polsce i obecnem położeniu Polaków w Wielkopolsce — wreszcie podniósł ciężko na piersi opadniętą głowę:

„Niech Pan czem prędzej ten kraj opuści — tu żaden Polak długo nie wytrzyma — tęsknota za krajem go zabije — prędzej czy później... Ja tu już przeszło 30 lat, a z każdym rokiem gorzej i gorzej...”

Było to powiedziane z tak ciężkim i przeraźliwym smutkiem, że mrowie po mnie przeszło. Znowu głębokie milczenie, którego już nie śmiałem, ani nie miałem ochoty przerywać. „Wprawdzie czytuję raz po raz polskie gazety” — rozpoczął po długiej chwili — ale to tylko jeszcze ranę rozognia...”

Znowu milczenie, a nagle podniósł znowu swą biedną, niešťczęsną głowę, która zdała mu się kłoda z ółowiu ciężyć.

„Powiedz mi Pan szczerze — Pan przecież moim rodakiem — ja tu wśród nich mimo wszystko, com dobrego od nich znał, całkiem obcy i oni dla mnie tak samo — ja ich o to pytać nie mogę, ani pytać nie będę — ale Pan, rodak, niech mi Pan powie, jak ja wyglądam?”

— Ależ doskonale — doskonale! — kłamałem, bom już dobrze znał ten fatalny wygląd ciężkiego melancholika — psychopaty.

„Doskonale? mówi Pan, że doskonale, a ja czuję...” i urwał.

Znowu długie milczenie — teraz już go znieść nie mogłem.

„Jestem bardzo szczęśliwy, powiedziałam powstając, żem tu na obcej ziemi spotkał rodaka...”

— Ja również — dźwignął się z trudem z krzesła — uśmiechnął się bolesnym grymasem.

Odetchnąłem ciężko, gdy m się znalazł na ulicy.

W trzy dni później Szaciński już nie żył. Nabił swoją lefoszówkę wodą i rozsadził sobie czaszkę.

Norweska łoża masonska w Krystjanji, do której Szaciński przynależał, wysłała do Polski swego członka, by przywiózł wór polskiej ziemi; trumnę Szacińskiego pokryto chorągwią z białym orłem polskim na amarantowym tle — przysypano ziemią, z Polski przywiezioną, a potem dopiero zwała się na trumnę ta tak gošcinna, a tak obca — bardzo obca ziemia.

Całe to moje opowiadanie zakrawa na jakąś fantastyczną nowelę — coś w rodzaju Sienkiewicza „Latarnika” — a w całym tem opowiadaniu niema jednego zmyšłonego słowa, fakt sam łatwo stwierdzić: właśnie okragłe trzydzieści lat temu wszystkie

pisma norweskie w Krystjanji poświęciły Szacińskiemu obszerne nekrologi.

Ukończyłem wtedy 26-ty rok życia — ile to setek lat temu? a więc działo się to wszystko w maju lub czerwcu 1896 r.

W tym samym czasie dogorywał drugi Polak, hr. Czapski, w domu obłąkanych w Lundzie — w południowej Szwecji — a coraz więcej dziwaczał w Sztokholmie ten trzeci — człowiek o niesłychanie gorącym sercu, zdumiewającej ofiarności, fanatycznej miłości ku Polsce, człowiek, który zbyt Polskę i Polaków ukochał, i właśnie wskutek tego stał się zgorzkniałym mizantropem, co sercu jego nie przeszkadzało co chwilę wybuchać gorętszem jeszcze płomieniem ukochania: Henryk Bukowski.

Piękną jego sylwetkę skreślił Stefan Żeromski w „Ludziach bezdomnych”. Ten stary dziwak, osiadły w Konstantynopolu, dobroczyńca i opiekun Judyma — to właśnie Bukowski, który gorąco się Żeromskim zajął, dał mu posadę bibliotekarza w Rapperswyłu i wysoko go cenił. U Bukowskiego w Sztokholmie zapoznałem się z pierwszym tworem Żeromskiego: „Rozdziobią nas kruki, wrony...” a czytałem ją w zupełnie chorym napadzie chronicznej już teraz nostalgji w samą wilgę Bożego Narodzenia, kiedy to tam w Szwecji ustawiczny zmrok panuje, a lampa prawie nie gaśnie. Pomnę, jak głębokie wrażenie ten utwór na mnie zrobił. Swoją drogą nie musiało być wesoło Żeromskiemu tam w Rapperswyłu współ z dziwakiem — psychopata, słynnym kustoszem muzeum Rapperswylskiego, Rosenwarthem de Różyckim, który katalogowanie książek w bibliotece uważał za dziki przesąd, wogóle tak książek nienawidził, że dziurawił kosztowne wydania elzewirowskie wystrzałami z pistoletu; gremjalny, niezmiernie cenny protest Anglików, zawierający około 60 tysięcy podpisów, zwrócony przeciw caratowi podczas powstania 1863 r. pociął na paski, porobił z nich różyczki i porozwieszał na ścianach; sfabrykował spodnie Kościuszki, które tenże Kościuszko miał w bitwie pod Maciejowicami; pokazywał stół — oczywiście przez siebie zrobiony — przy którym Kościuszko siedział w więzieniu podczas odwiedzin cara Pawła II, a poza tem zaprzepaścił wspaniały zbiór bezcennych medali, gem i minjatura, w wolnych chwilach trudnił się numizmatyką, to znaczy podrabiał stare monety i ponoć w tym fachu doszedł do mistrzostwa.

Bukowski zgrzytał zębami z wściekłości, gdy odczytał cały ten memorjał, nadesłany mu właśnie z Rapperswyłu przez jego przyjaciela, którego specjalnie tam dotąd wysłał, by sprawę na miejscu zbadał, ale nic na to poradzić nie mógł — jakaś tam specjalna klauzula w fundacji hrabiego Platera zastrzegąca Różyckiemu dożywocie i w zamku i w muzeum, i rada muzealna w żaden sposób pozbyć się go nie mogła.

Tem więcej bolała i gryzła Bukowskiego ta nierządna i niechlujna gospodarka Różyckiego, bo właściwie zawdzięcza muzeum Rapperswyłskie jemu — Bukowskiemu — całe swoje istnienie.

Dobre trzy czwarte wszystkich zbiorów w Rapperswyłu, to dary Bukowskiego, — a jeżeli dziś nie znajdziesz w Szwecji ani na pokaz nic z tych olbrzymich łupów, zrabowanych ongi w Polsce przez Szwedów, to jedynie dlatego, że Bukowski wykupił niemal wszystko, co się w prywatnych rękach możliwych szwedzkich baronów znajdowało, by te bezcenne skarby Rapperswyłowi ofiarowywać, a jeżeli w Państwowem Muzeum w Sztokholmie pokazują rzadkie i niesłychanie cenne pamiątki polskie z wojen szwedzkich z stereotypową wzmianką: „Tośmy *uratowali* z Polski“ — to w ten sam sposób *ratował* Bukowski dla Polski niezmiernie rzadkie i bezcenne druki polskie, zrabowane przez Szwedów, a które gniły w piwnicach, lub na strychach Państwowej Biblioteki — a Bukowski fungował długi czas z polecenia onego jowjalnego Karola XVI, który sobie bardzo Polaków ukochał, jako bibliotekarz przy tej Bibliotece.

I w tym charakterze zdołał „uratować“ dla Polski nietylko „białe kruki“, ale tysiące tomów dzieł polskich, które dla szwedzkiej biblioteki były zupełnie bezwartościowe, a dla nas kosztownym nabytkiem.

Głęboki znawca sztuki, wtajemniczony w wszystkie arkana, związane z niezmiernie trudnym fachem zawodowego antykwariusza i to do tego stopnia, że zjeżdżano do niego i z Anglii i z Ameryki, by w wątpliwych i spornych kwestjach jego rozstrzygającej rady zasięgnąć, posiadał sam najpiękniejszy i najbogatszy antykwariat w całej Skandynawji, pilnie uczęszczany zwłaszcza przez koronowane głowy ówczesnej Europy.

A miał ci on siłą do opowiadania o tych koronowanych głowach. Wszystkim im się zdawało, że niesłychanym zaszczy-

tem dla Bukowskiego będzie ten fakt, że kupią, a nie zapłacą. Dwa lata musiał się Bukowski procesować z królową Wiktorją, matką cesarza Wilhelma, zanim mu wreszcie wypłacono dziesięć tysięcy koron szwedzkich za rzecz potrójnej wartości; przed Wilhelmem II trzeba było bardzo grzecznie drzwi zamknąć, a przed wizytą następcy tronu angielskiego, późniejszego Edwarda VII, ostrzegł szwedzki król, Oskar II, Bukowskiego przez swego adjutanta, że prawdopodobnie zniknie podczas tej wizyty jakiś drogocenny przedmiot, za który jednakoż dwór szwedzki odpowiada.

I istotnie „zwędził“ królewski — oczywiście nie złodziej, tylko „kleptoman“ — bardzo rzadki naszyjnik o ogromnej wartości. Bukowski spostrzegł się natychmiast — posłał rachunek na dwór królewski, który bezzwłocznie przez Oskara II wyrównany został. Oj! drogo, bardzo drogo kosztowało Oskara II goszczenie takiego „kuzyna“.

Zwykle mało mówny, w sobie zamknięty, nawet nazewnątrz zgryźliwy i zdziwaczały — takim mi się przynajmniej wydawał, — rozjaśniał się i ożywiał, gdy w swoim gościu dosondował się do tej samej miłości ku rzeczom „starym“, jaką właściwie on cały żył. A posiadał jedynie cenne i wartościowe rzeczy i całą jego tragedją było, gdy był zmuszony się z niemi rozstawać. Bolało go to niezmiernie, że musiał sprzedawać przedmioty, których wyszukanie i odnalezienie czasami miesiące całe czasu go kosztowały, ale nad manją fanatycznego i rzadko wykształconego kolektora górowała manjacka wprost miłość do ukochanego Muzeum Rapperswylskiego: ono to pochłaniało cały jego trud i mózół, i ciężką, wyczerpującą pracę, i wszystkie jego siły, majątek i wszystkie prawie dochody, jakie mu jego bogaty antykwariat przynosił.

Niezapomniane te jasne, piękne godziny, które u Bukowskiego w jego kantorze — kantor ten był miniaturową cudownego muzeum — spędzałem, kiedy się ten stary pan o rzadko szlachetnej i pięknej twarzy rozgrzał i rozgađał, kiedy znosił mi z swego antykwariatu najrzadsze i najkosztowniejsze przedmioty, tłumaczył ich wartość i uchylał przede mną szparę, przez którą na jeden błysk zdołałem pochwycić promyczek tajemnicy znawstwa istotnego, śmiało powiedzieć mogę, genialnego antykwariusza.

To najjaśniejsze moje wspomnienia z Sztokholmu — poza tem przeżyłem tam jedno z najwięcej wstrząsających wrażeń w całym mojem twórczym życiu — a dała mi je — nie moja „duchowa ojczyzna“ — he, he, ta mi nic nie dała, przynajmniej w Szwecji nic — ale zdumiewająco potężna, ponad wszelką miarę wspaniała, królewska gra Eleonory Duse!

Podczas mego pobytu gościła z swoją trupą w Sztokholmie i występowała pięć razy.

Pomnę ją w „Damie Kameljowej“, „Norze“ Ibsena, „Gnieździe rodzinnem“ Sudermanna i dwóch jeszcze francuskich, a może i włoskich komedjach.

Wybór dramatów najfatalniejszy w świecie, ale co mnie mógł lepszy lub gorszy dramat obchodzić — to całkiem w grę nie wchodziło. Nawet współgrających aktorów się nie widziało — wogóle nic się nie widziało prócz Eleonory i jej genialnej gry. Gry? Nie, to nie była gra, to jakaś niepojęta eksterjoryzacja najtajniej ukrytej duszy kobiety, objawianie jej najgłębszych tajemnic, pragnień, cierpień, bolesnego ogromu tęsknot, porywów i upadków, i grzmiących fanfar pustego wesela, i krwawych „*Requiem*“ bólu.

I nie potrzeba było rozumieć słów obcego języka, poco? naco? Duse nie potrzebowałyby wcale mówić zrozumiałem językiem włoskim, równie dobrze mogłaby mówić po fińsku, lub jakimś hinduskim „*pali*“ — a zrozumiałoby się każde słowo. I to słowo się w i d z i a ł o ; po raz pierwszy zrozumiałem, że słowo jest czemś materialnem, że można je istotnie widzieć. Gdyby nawet nie było tej wstrząsającej, do szpiku kości przesywającej muzyki jej mówionego słowa — to i cóż? Wszystkoby się rozumiało, bo każdy miesiąc w jej twarzy mówił wyrazistszą mową, na jaką ludzki głos zdobyćby się nie mógł. Duse nie potrzebowała mówić. Nora Ibsena wygłasza po ostatecznej rozprawie z swym mężem jakieś oklepiane feministyczne komunały — o całe niebo głębsza Nora Eleonory Duse milczała w ślepe, głuche przeżeniu, skamieniałem milczeniu. Słowa nie powiedziała, tylko oczy jej krzyczały w rozpacznej, zdumionej rozterce: „To ja tego człowieka kochałam!“ szeroko rozstawione palce wyciągniętej ręki — nieruchomo sterczącej gdyby w kataleptycznym śnie — tworzyły nieprzeparty, niebotyczny mur, który majestat

jej duszy odgraniczał od tej biednej, płaskiej duszy tego, którego jeszcze doniedawna mężem zwała, a każdy jej krok wtył: to nie krok, ale zrywanie wszystkich tajnych nici, wiążących duszę kobiety z duszą mężczyzny — drugi krok, to zrywanie taśm, jakimi łączy dziecko kobietę z mężczyzną — jeszcze jeden krok: zrywanie społecznych powrozów — potem przystanek: z przerażeniem zdumieniem widzi, jak poza nią trawia wściekle błyskawice raj utracony — cichy, bolesny uśmiech, ociekający krwią bólu, boć ten raj był tylko domkiem dla lalek, a potem wahające, drżące błędzenie w płomieniach najdzikszego bólu palącej się ręki naokoło klamki drzwi — wreszcie drzwi cichutko się otwierają: Nora przerażona, przystaje chwileczkę — w jej grze cała wieczność stopiła się w tej chwileczce — nagle: straszny, bezgłośny krzyk — cała jej postać krzyczała w niewymownym lęku przed tem, co ją za tym progiem czekało, całe powietrze wokół się rozkrzyczało, chociaż głosu słyhać nie było: Nora przestąpiła próg!

Nigdy przedtem, ani potem nie patrzałem na nic z tak boleśnie zapartem oddechem — nietylko ja, ale cała widownia zimnych, spokojnych Szwedów nie była w stanie tchu złapać.

A stary Ibsen wściekał się na tę genialną poprawkę swego utworu! He, he — a Duse dopiero stworzyła — Norę! Nora Ibsena to przyszła sufrażystka, rycząca na wszystkich meetin-gach o prohibicjonizm alkoholu, domagająca się o miejsce w parlamencie, by już doszczętnie zidjociała Europę ogłupić — Nora Eleonory Dusy: najcudowniejszy wykwit wytwornej, szlachetnej kultury duszy kobiecej, górującej o całe niebo nad płaskim egoizmem brutalnego samca!

A co Duse zrobiła z tej nieszczęsnej „Damy Kameljowej“!

Jej wysoka kultura, genialny instynkt twórczy nie pozwalał jej wygłaszać śmiesznych komunałów Dumasa, to też opuszczała całe „kwestje“, mówiąc technicznym językiem aktorów: usta jej się poruszały, mówiły bezgłośnie, a tysiącokroć razy wymowniej, gdyby była słowa wypowiadała — czasami zastępowała słowa zdumiewającą grą swych przedziwnie pięknych rąk — jedno zerwanie się nagle z krzesła — ho, ho! to nie było nagle zerwanie, to była błyskawiczna gama ruchów, którymi całą kaskadę słów wypowiadała, w jednym rozciągłym *arpeggio*

ruchów donaga swą duszę wykrzyczała — na obelgi Gastona — czy jak on się tam nazywa — tekst w grze Eleonory stawał się całkiem obojętny — nic nie odpowiada, — milczy, milczy... Istotnie potrzeba genjuszu, umieć tak milczyć, by milczenie samo się rozkrzyczało huraganem bolesnych krzyków, spazmami dławiących łkań i piersi rozrywających szlochów!

W scenie konania, żeganie się z kochankiem — nic — nic prócz wyciągniętych, to opadających to znowu krzyżujących się rąk, rąk, chwytających w przedśmiertelnej męce odrobinę powietrza, rąk, które nagle zapominają o bolesnej agonji, wyciągają się ku życiu, prczą się nagle w radosnem zdumieniu: różnobarwne motyle przelatują w powietrzu: chwycić je chwycić! — cały boski kobierzec przedziwnych kwiatów na łąkach Asfodelosa: zrywać je, cały naręcz ich zerwać — by, by... o śmiertelna trwogo! zasypać nim własną trumnę!

Och, te ręce, te boskie ręce Eleonory Duse!...

W grze Duse objawiła mi się istota dramatu. Ile razy jakiś dramat pisałem, stawała mi przed oczyma: w jej usta kładłem moje słowa, a wszystko niedopowiedziane i niewypowiedziane wykwiłało całą jej przebogatą skalą uśmiechu, rozegrało się przebogatą kadenzę ruchów, tysiączną zmianą światła i mrocznych cieniów mieniło się w grze mięśni jej twarzy, królewścią po wagą, pogardą i zmierzchem przyobłoczyło się w zadumanej, tęskniącej, rozplakanej i zrozpaczonej grze jej rąk.

O! to było niezmiernie bogate przeżycie — a to przeżycie to klucz do techniki moich dramatów.

I pomyśleć, że taką piękność wolno było zniechłuić takiemu chamskiemu Pochroniowi, jakim był i jest d'Annunzio w ohydny swym pamflecie: „*Il fuoco!*“

Marny lokaj, który przez całe życie podpatrywał przez dziurkę od klucza maniery swego księcia pana i z małpią zrzecnością umiał je naśladować!

Jedno jeszcze, co świadczy o niezmiernie wysokim poziomie kulturalnym Duse. Była zmuszoną na swych występach w Niemczech grać jakiś dramat niemieckiego pisarza, który był wówczas najwięcej *en vogue*; ktoś jej niefortunnie poradził Sudermanna, który był wtedy istotnie bożyszczem niemieckiego motłochu — to znaczy, najliczniej do teatru uczęszczającej publiczności

niemieckiej (— przez siedem lat byłem dwa razy w berlińskich teatrach —) i zagrała Magdę w Sudermanna dramacie: „Gniazdo rodzinne!“

Nawet wielka, twórcza Duse nie mogła sobie z tą nędzotą poradzić — grała od niechcenia — prawie z drwinkami. Ale niemiecka publiczność szalała z zachwytem.

To zawdzięczam Eleonorze Duse. Z mojej „duchowej ojczyzny“ — o niezgłębione Orinoko mądrości i bystrości rodzimej krytyki literackiej! — wyniosłem — z Sztokholmu oczywiście — jedno wspomnienie:

Ellen Key!

Pragnęła mnie poznać, chętnie złożyłem jej wizytę, bo szanowałem ją i szanuje jako — bądź co bądź — najrozumniejszą z wszystkich feministek: jedyna, która była w stanie na trzeźwo myśleć — a niczem „opętane“ niewiasty w średnich wiekach wobec skandynawskich feministek — uraczyła mnie mocnem piwem szwedzkim, uśmiechała się dobrotliwie nad mojem nieuctwem, bom od niej dopiero się dowiedział, że skandynawskie kobiety postanowiły na jakimś meetingu, by kazać kastrować jakiegoś pastora, który zgwałcił małoletnie dziewczę — a wkońcu pokazała mi mały stołeczek z czasów, kiedy liczyła sobie siedem lat. „Jak jestem bardzo zdenerwowana, mówiła, to siadam w tym stołeczku i w tej chwili się uspokajam!“

I dała mi dowód: chudziutka, drobniutka, pewno wtedy pięćdziesięcioletnia kobiecinka doskonale pomieściła się w stołeczku dla siedmioletniego dziecka.

XVII.

Na pogrzeb nieszczęsnego Szacińskiego spóźniłem się, ale mało co, a byłbym moim „astralem“ uczestniczył w własnym pogrzebie.

Oczywiście dostałem się zaraz po przyjeździe do Krystjanji w środowisko norweskiej, literackiej i malarskiej bohemy.

Przyjechałem wtedy po raz pierwszy w towarzystwie nieodstępnego mego i drogiego przyjaciela, malarza Edwarda Muncha, do Norwegji.

I Munch zapoznał mnie z bohemą norweską.

Pozostały tylko mizernawe szczątki po tej bohemie, którą zainaugurował doszczętnie zgniły, ale wyposażony ogromną potęgą sugestywnej siły Hans Jaeger, niezwykle zdolny malarz, który potem całkiem na psy zeszedł, Kristjan Krogh, i o całe niebo ich obu przerastający twórczą swą mocą Arne Garborg.

Naokoło tych trzech stałych słońc kręciło się mnóstwo pomniejszych planet, które zaledwie zaświeciły, już mizernie gasły; a kiedy Hans Jaeger zmusił jakiegoś młodego „adepta” do samobójstwa — Hans Jaeger był demonicznym eksperymentatorem i niejedno samobójstwo młodych jego uczniów zostało wywołane jego wściekle silną sugestją — a ten biedny samobójca zdołał jeszcze wylecieć na ulicę i wskazać na Jaegera, jako ostatniego zbrodniarza, wskutek czego Jaeger czem prędzej drapnął do Paryża — kiedy to Christjan Krogh nie zdołał się uchronić od piorunów, które na niego padały, gdy się ukazała jego książka z bajecznymi ilustracjami: „*Albertine*” — historia prostytutki — a Arne Garborg również musiał się salwować ucieczką do Niemiec przed gromami, które jęły w niego walić

po ukazaniu się jego książki „*Bondestudenter*“ (Chłopscy studenci), bohema norweska utraciła grunt pod nogami.

Paru tylko jeszcze żyło tradycją Jaegera, o którym dziwy i cuda opowiadano — w całej Europie nie było ponoć większego i złośliwszego, a równocześnie większą mocą rozporządzającego demona od niego — i mnóstwo ofiar ciążyło istotnie na jego sumieniu, między innymi, bardzo zdolny pisarz Arne Dybfast, którego Jaeger wyprowadził w kruchej łodzi na morze, skąd Dybfast już nie powrócił; żyło obyczajem i cyniczną rozpustą tegoż Jaegera, która miała znaleźć po paru latach upust w stokroć razy przeklętej książce *Syg kjaerlighed*, w najohydniejszy sposób kompromitującej żonę jego najwięcej mu oddanego przyjaciela Kristjana Krogga, jeszcze paru doszczętnie wykończonych wiecznych studentów, którzy już na uniwersytecie siwieć poczynali; tulał się niesamowicie doszczętny straceniec, Jappe Nilsen, z jednej kawiarni do drugiej, bo i jemu „literacka“ miłość kark zwichnęła; Arne Garborg zaszył się wraz z swoją małżonką, Hildą, w głębokich lasach nad jakimś fjordem — niedawno był powrócił z Niemczech i to z ciężkimi przeszkodami, bo gdy przybył z Monachjum do Berlina, nie miał ani feniga przy duszy i, gdyby nie starania i latania Laury Marholm, nie byłby się mógł w dalszą drogę ruszyć (Sam Fischer, słynny nakładca skandynawskich pisarzy, pewno do dziś dnia się wścieka że dał się przez panią Laurę „nabrać“ na 600 marek). Tak tedy, co na gruncie Krystjanji wegetowało, to już były tylko wybiórki.

I każdy z nich chodził już luzem.

A, gdy się przypadkowo spotkali, wtedy każdy z nich pił na umór, ale uporczywie milczeli — godzinami całemi umieli nic do siebie nie przemówić. Aż nagle, ni stąd, ni zowąd, ani człowiek się spostrzegł, wybuchały nagle nienawiści, polały się potoki ordynarnych słów „prawdy“, rozpoczęły się wrogie wycieczki w najsłabszą stronę przeciwnika, a bardzo często przychodziło do zupełnie wulgarnych burd i rękoczynów.

Nieraz sam siebie się pytałem, czemu ci ludzie tak się wzajem nienawidzą, i to literaci, którzy zazwyczaj w względnej zgodzie z sobą żyją, nie tak, jak przeważnie muzycy — jeden drugiego najchętniejby w łyżce wody utopił — i zdaje się, że znalazłem na to pytanie odpowiedź.

Po czasach Ibsena, Bjørnsona, Arne Garborga, nawet Kjel-landa, nawet tego starego barda „kącika ciepłego pieca“, jak Laura Marholm złośliwie nazwała Jonasza Lie, przyszła ciężka posucha na pole literatury norweskiej.

A ja trafiłem właśnie na całkowite wyjałowienie tej kiedyś tak bujnej i żywej gleby literackiej w Norwegji.

Wszystkich ich, ilu ich tylko było, trapiła ciężka niemoc, prawie każdy z nich wysilił się na jedną książczynę, która coś nadziejnje zapowiadała, a potem nagle sparaliżowanie.

To był istotnie niezmiernie ciekawy objaw.

Tomasz Krag napisał jedną — pierwszą powieść — „Miedziany wąż“ — wszystkich oczy zwróciły się w stronę Kraga: doszczętnie zawiódł wszystkie nadzieje — dalsze jego powieści to liche naśladownictwa Maupassanta i Bourgeta.

Brat jego, Wilem Krag, debiutował całkiem niezłym tomikiem poezyj, który każda panienka norweska umiała cały — całutętki na pamięć — i na tem się skończyło.

Gabriel Finne napisał jedną kapitalną jednoaktówkę „Sowę“ (*Uglen*) i na tem się skończyło, bo jego powieści już mało wartościowe.

Gunnar Heiberg wywołał niesłychaną sensację i ciężkie zgorszenie swoim dramatem: „Balkon“ — drukowałem go w przekładzie nieodżałowanej pamięci Stanisława Lacka swego czasu w krakowskim „Życiu“ — i nic już potem nie napisał, na coby można było uwagę zwrócić.

Był tam jeszcze delikatniutki Obstfelder o duszy cichego, wytwornego spinetu z czasów Mozarta — zmarł rychło, jedyną jego puścizną mała książeczka, której tytułu nie pamiętam — był Mons Lie, syn Jonasza, który karykaturował boleśnie nowe Dostojewskiego; był „słynny“ krytyk Nils Kjaer, chorujący na atrofję mózgu, — anemiczno rachityczny Christensen i paru jeszcze pomniejszych „wielkości“, wysiadujących przy odrębnych stolikach w *Café Grand*.

Jedyny, który wtem literackiem środowisku sterczył *cent fois grandeur naturelle* był Knut Hamsun — i on to napisał „*Ny Jord*“ — „Nowa Ziemia“: jeden miażdżący, bezlitośnie druzgoczący obrachunek z jego współczesnymi braćmi po piórze w Norwegji.

Otóż wydaje mi się, że właśnie ta świadomość tej niemocy artystycznej, tego doszczętnego wyjałowienia i tej beznadziejnej posuchy wywoływała w tych artystach rozpaczne zgorzknienie, wzajemną nienawiść, a gdy który miał jakie takie powodzenie, zawziętą zawiść zazdrości.

A szczytem ich marzeń było dostać się zagranicę, ujrzeć swój utwór w niemieckim, lub — tu już serca były namiętnem, przyspieszonym tętnem — w francuskim tłumaczeniu.

Również jak bohema niemiecka, przewyciężała bohema norweska brutalny naturalizm Jaegera — dziwna rzecz, że wszechmożny wpływ jego jednakże pokutować nie przestał — brutalniejszy jeszcze Strindberga, wzruszano ramionami, gdy była mowa o Björnsonie, uśmiechano się litośnie, gdy wspominało się o Jonaszu Lie lub Kjellandzie — wcale zręcznego epigona Turgienjewa. Bogiem tych „młodych“ został nagle duński pisarz E. P. Jacobsen, ten niezmiernie przeczulony, ponad miarę wydelikacony, suchotniczy genjusz Skandynawji — i w tym to czasie — może największą jego zasługą — wygrzebano z zapomnienia duńskiego filozofa-poetę, Sören Kirkegaarda, którego „Dziennik uwodziciela“ dałem również w redagowanym przeze mnie „Życiu“ krakowskiem — w tłumaczeniu tegoż samego Stanisława Lacka, który na moją usilną prośbę wyuczył się duńskiego języka w przeciągu jednego miesiąca i to w Krakowie; szczęśliw jestem, że mogłem mu dać bardzo wydatną pomoc, ale i tak świadczy świetne tłumaczenie Lacka o niezwykłych zdolnościach tego przedwcześnie zmarłego, a niezwykle utalentowanego głębokiego i wnikliwego krytyka — jedyne go swoją drogą, którego Stanisław Wyspiański uznawał i jeszcze na łożu śmierci o niego się dopytywał.

„*Nils Lyhne*“ i „*Marie Grubbe*“ Jacobsena, poza tem „Dziennik uwodziciela“ Kirkegaarda stanowiły niejako biblię młodej generacji literackiej nietylko w Norwegji, ale i całej Skandynawji. Nie było prawie artysty wśród „młodych“ Skandynawczyków, któryby nie był wykrajał żywy kawał mięsa z tego prometeuszowskiego torsa Kirkegaarda. Jeden zgotował tylko cienki buljon z tego ochłapu, a wsławił się na całą Europę swoją powieścią: „Dziennik panny Julji“ — Piotr Nansen zwał się ten pan — a mnóstwo ich było, którzy nietylko w literaturze wy-

plądrowywali nieszczęsnego „Uwodziciela“, ale i na jawie go przeżywali: natrafiłem właśnie na skandaliczny proces takiego „uwodziciela“, a uwiódł on istotnie około 60 dziewcząt i to z najlepszych domów w Kopenhadze, a o każdej z nich prowadził ściśle, dokładne, drobiazgowo zapiski.

Wobec tego „uwodziciela“ był „Disciple“ biednego Bourgeta istotnie biedną, głupią sierotką, a gdyby Bourget nie był się wtedy całkiem już schował pod kobiece kiecki, toby musiał zwalić całą winę raczej na heroinę swej powieści, a nie na biednego „disciple“, który był głupi, jak żak.

I niema powieści z tych czasów, w którychby nie pokutował Nils Lyhne, lub Stög Jacobsena; poza tem cieszył się wielkiem uznaniem Maupassant, Bourget, neokatolik Hello i — Dostojewski, którego całego poznałem właśnie w Skandynawji i to w wspianiem tłumaczeniu norweskim; dotychczas znałem tylko „Winę i karę“.

Dostojewski — tylko uznany? — Nie, nie! — nie ściśle się wyraziłem — wpływ jego był olbrzymi, ale z całej tej młodej generacji skandynawskiej nikt nie był w stanie dokładnie go zrozumieć — jedyny Knut Hamsun zdołał go przetrwać, oczywiście, o ile Słowianina Norweg przetrwać jest w stanie. Narazie przetrwał go tak dokumentnie — że ponoć w „somnabulicznym transie“ — ogłosił „Gracza“ Dostojewskiego jako swój własny utwór. Jak boleśnie musiał biedny Hamsun odcierpieć ten swój bezwiedny plagjat! — głębiej już i samoistnie całkiem przeżył Hamsun Dostojewskiego w „Misterjach“, a nietrudno odnaleźć w bohaterze „Głodu“ Raszkolnikowa.

Dziwić się Hamsunowi! Przecież i ja — przyznaję się szczerze — musiałem się rękami i nogami bronić przed przemożnym wpływem tego olbrzymiego Shakespeare’a powieści, a byłem przerażony, jakie zagony zaczął zapuszczać ten potężny władca w moją biedną ojcowiznę! A jak bezwiednie zaciążył Dostojewski na jedną chwilę na mojej twórczości — dowodem „Dzieci Szatana“ — zdumiewające tylko, że pisząc „Dzieci Szatana“ nie znałem jeszcze „Biesów“ — ale powieść cała zdaje mi się być wysnutą z ducha Dostojewskiego.

Ta cała dywagacja była tym razem potrzebna, bo daje wprawdzie tylko zgruba nakreślony szkic ówczesnej bohemy norweskiej, ale w gruncie rzeczy całkiem prawdziwy.

Na przyjęcie „zamorskiego“ gościa — ja zawsze i wszędzie, a nawet w mojej Polsce byłem „zamorskim“ i „przybyszem“ — nastąpiła „*treuga Dei*“. Siedliśmy wszyscy przy jednym stole — a było to już dwa dni po pogrzebie Szacińskiego — i piliśmy — piliśmy... Wtedy przeprowadziły niewiasty — wszechmocne niewiasty norweskie — w norweskim Storthingu „bill“, na mocy którego nie było wolno sprzedawać alkoholu w flaszkach — więc kupowano od razu całe beczki.

Ja już tu byłem znany; postarał się o to słynny poeta duński, Holger Drachmann, z którym żyłem w Berlinie w bardzo pogodnej przyjaźni, a który napisał już kilka artykułów o tym niezwykłym Polaku, co od jakiegoś czasu niepokoi orgjazmem swego „demonicznego“ temperamentu ciężkie sny „młodych Niemiec“, żądnych spoczynku po dziesiątym kuflu piwa.

A pisał w duńskim piśmie „*Politiken*“, które każdy człowiek w całej Skandynawji, nawet każdy robotnik, czyta.

Z całej serji artykułów o mnie wyróżniał się jeden, poświęcony wyłącznie mojej barbarzyńskiej grze Szopena, pod tyt. „Nowoczesny łapacz szczurów z Hameln“; właśnie ukazał się, gdym tego dnia do Krystjanji przyjechał.

W niesłychanych fajerwerkowych parabolach i hyperbolach opisywał moją chimeryczną grę: nie mógł sobie zdać sprawy, czy gram rękoma, czy też łokciami; nie wiedział, czy instrument, nad którym się „sadyście“ zęcam, jest jakimiś pierwotnymi organami z czasów Karola Wielkiego w X stuleciu po Chrystusie, czy też jakąś trąbą jerychońską, lub też harfą eolską; opisywał złośliwie i dowcipnie, jak moi słuchacze popadali w trans, a wkońcu nic nie widzieli, jak tylko białe — oczywiście jakiegoś ducha — zmaterjalizowane ręce, latające w dzikich pościgach po jakiejś nieprawdopodobnej klawijaturze. I teraz dopiero zdołał odczytać poplątane hieroglify mojej „*Totenmesse*“ i „*Wigilij*“.

Troszkę mi się niesamowicie zrobiło — to nie jest zbyt wielką przyjemnością, gdy już na progu życia tworzą się naokoło człowieka niesłychane legendy.

Poza tem rozniosło się już, że stary Ibsen, tak szczerze zapięty na wszystkie guziki, że właściwie nic się na nim nie widziało, prócz tych guzików surduta, podpiętego pod samą brodę, zaszczycił mnie w przede dniu mej wizyty u Szacińskiego uprzejmą rozmową na jakimś raucie u ministra Blehra.

A otóż ta wiekopomna rozmowa, która słowo w słowo po jakimś czasie powtórzyć się miała: „A — a!“ — bardzo uprzejmy uścisk dłoni — „Dużo, już dużo o panu słyszałem — dużo dobrego i dużo złego, ale ważniejszem jest, jeżeli się o młodym artyście dużo złego słyszy“. — Jakaś ekscelencja podeszła ku nam i rozmowa się przerwała.

Już nam się wszystkim dobrze dymiło z czuba, kiedy wybiła godzina 11-ta, fatalna godzina, którą nieraz w żywe kamienie przeklinałem, bo w tej chwili gaszą w wszystkich lokalach światło. Obojętne, czy na stole stoi jeszcze nienaruszona flaszka, czy też nie — o 11-tej Krystjanja umiera!

Swoją drogą nie wiem, czy tam światło gaszono, boć to przecież wtedy w Norwegji w lecie o północy jeszcze całkiem jasno, jak u nas o 6-tej po południu.

W każdym razie musieliśmy się wszyscy nagwałt z *Café Grand* — to był rodzaj kawiarni berlińskiej, która popularnie zwała się: *Café Grössenwahn* — wynosić — istotnie nagwałt — kelner norweski jest brutalny, demokratyczny i nie zna żartów.

Na Karl-Johanngade — równie szerokiej, jak Newskij Prospekt w Petersburgu — rozpoczęła się narada, co dalej począć: przecież my dopiero rozpoczęliśmy ucztować!

A i mnie było niezmiernie trudno, teraz się z moimi współbiesiadnikami rozłączać, tem trudniej, boć właśnie przed dziesięciu minutami nadszedł Knut Hamsun w towarzystwie jakiegoś grubego jegomości — przyszedł ten Knut Hamsun, którego byłem tak niezmiernie ciekaw — przyszedł on, który na całe mile stronił od wszystkiego, co się „literaturą“ nazywało — a przyszedł, by mi okazać swoją głęboką wdzięczność, że się tak „cudownie z nim obszedłem“, jak twierdził.

Głęboko się zawstydziłem. Wprawdzie napisałem krótko po napaści Żydka berlińskiego — zresztą gorąco przez Hauptmana propagowanego — Feliksa Holländera — na Knuta Hamsuna, że wykroił kilkanaście zdań z Dostojewskiego „Gracza“

— entuzjastyczny dwuarkuszowy artykuł w najpoczytniejszym tygodniku niemieckim (ba, tygodnik ten był nawet *Welt-blattem*: „*Zukunft*“ Maksymiljana Hardena —) o „Misterjach“ Hamsuna, wykazałem całą jego niepomiarłą głębię i wielkość w tej bolesnej pustyni, jaką po on czas upiornie świeciła literatura prawie całej Europy, ale czułem się bardzo nieswojo, gdy on — pewno o piętnaście lat ode mnie starszy artysta, któremu zawdzięczałem jedno z najgłębszych wrażeń wśród mej mozolnej wędrówki po jałowym obszarze współczesnej literatury — podszedł ku mnie, smarkacza 26-letniego, i z gorącym wylaniem jął mi dziękować.

Byłem już porządnie pijany, gdy Knut Hamsun do mnie podszedł — i w tej samej chwili wytrzeźwiałem. To nagłe doszczętne wytrzeźwienie z całkiem pijanego transu raz tylko jeszcze miało się w mojem życiu powtórzyć. Siedziałem ciężko zamroczony w łoży teatru łódzkiego, kiedy jeszcze Grubiński był jego dyrektorem. Wiedziałem, że się coś na scenie działo — grano mój dramat „Dla szczęścia“ — wytrzeszczyłem oczy, ale nic nie widziałem, a jednak czułem, że się tam coś zdumiewającego dokonywa — nie trwało pięciu minut, a byłem trzeźwiuteńki, jakgdybym wogóle kieliszka wódki nie miał przez cały dzień w ustach, a przecież piłem od samego rana do wieczora. Stał się cud: Edward Olszewski grał rolę Żdźarskiego w „Dla szczęścia“ — tak mi jej nikt nie zagra — tak, jak nikt nie będzie w stanie zagrać po starym Leszczyńskim, tym magnacie sztuki aktor-skiej — roli Ruszczyca w mojem „Złotem runie“.

To mimochodem.

I tak staliśmy — pewno było nas dziesięciu — przez jakiś czas na tym szerokim „Newskim Prospekcie“ Krystjanji — obecny fanatyczny i groteskowy szowinizm norweski przechrzcił Krystjanję na „Osłö“ — tak się zwała pierwotna osada Wikingów na tem miejscu — aż wreszcie odezwał się on gruby jegomość, który przyszedł wraz z Hamsunem do *Grand Café*: „Ja was wszystkich do siebie zapraszam!“ — „I mam doskonały fortepian!“ — dodał z dziwnym jakimś triumfem.

Oczywiście przyjęliśmy z radością jego propozycję — my? głównie ja, bo byłoby mi niezmiernie przykro rozstać się teraz

z Hamsunem, z którym mnie już odtąd miała łączyć aż po dzisiejszy dzień serdeczna przyjaźń.

Szliśmy i szliśmy, aż wreszcie otwarła się jakaś brama. Gospodarz otwierał jedne i drugie drzwi, ale dziwne, że wciąż szliśmy wdół — aż wreszcie znaleźliśmy się w głębokiej piwnicy — piwnicy, wytapetowanej w olbrzymich stereometrycznych wymiarach — ogromnymi beczkami: wzdłuż piwnicznego salonu beczka przy beczce — to stół biesiadny ...wzdłuż tego stołu mniejsze beczki: to stołki!

Gościnnie gospodarz rozbudził służbę, która strzegła jego piwnicznych skarbów i w mig polał się w nęśtychanej obfitości francuski szampan *Veuve Cliquot* — w Norwegji nie pito innego — niktby nie tknął niemieckiego *Mathias Müller*.

Gorącemi słowy przywitał mnie Knut Hamsun — och! jak on pięknie umiał mówić — potem otwarły się drzwi do przyległego pokoju, ale już nie piwnicy: był to obszerny pokój mieszkalny gospodarza — jadalnia, sypialnia i salon dla gości — tylko dla „wybranych gości“ — zarazem — a w środku stał świetny instrument: fortepian Bechsteina!

Okazało się niebawem, że ten gruby jegomość, który tak Hamsuna ukochał, że był może więcej o niego zazdrosny, jakby mógł być zwykły człowiek o ukochaną kobietę — ten najsłynniejszy handlarz win na całą Norwęgję, był doskonałym muzykiem — stworzył kilkanaście istotnie pięknych pieśni — rzewnych, słodkich, cichą delikatną melancholją spowitych pieśni — dla dzieci.

„Wytłumacz mi — szepnął mi Munch do ucha: „dlaczego najsilniejsze, może najwięcej brutalne narody rozkochały się w tej mdłej, sentymentalnej słodkości? A tak samo w malarstwie: taki dziki naród, jak Czarnogórcy, malują tak słodkawe, sentymentalne obrazy, że możnaby wymiotować; a ten — ja go znam — na chwilę by się nie zawahał swojemu konkurentowi kark skrócić, a równocześnie pisze niańczyne kołysanki dla małych dzieci!“.

Ta uwaga Muncha zrobiła na mnie dziwne wrażenie — mógłbym na ten temat napisać obszerne studjum psychologiczne — a w pierwszym rzędzie o sobie samym: człowiek o nieskończenie przeczulonych, przedelikaconych nerwach miał się stać

potwornym satanistą! He, he! Jakim świętym musiał być Huysmans, gdy się pławił w rozkoszy opisów najniesłychańszych zbrodni Gilles de Rais'a w „*Là bas*“, a gdyby kuzynka naszego wspaniałego króla Batorego — piekielna sadystka, Elżbieta Batory, która coś około 120 swoich służebnic zamordowała w najohydniejszy sposób, miała trochę talentu muzycznego, byłaby stworzyła jakąś przedziwną „Modlitwę Dziewicy“, pisałaby „*Le souvenir de ma chaumière*“ i wpędziłaby nieśmiertelną Bądarzewską w kozi róg.

„Teraz nam Przybyszewski zagra!“ — zawołał Knut Ham-sun — i zamorskie zwierzę, egzotyczny przybysz — on, któremu w duszy bezustannie płakało:

*Ferne komm' ich her,
Ueber Berge, über Schlünde —*

grał wtedy, jak opętaniec — długo, długo — bo wciąż słyszał: „Jeszcze! jeszcze!“

Nagle zerwało się egzotyczne, zamorskie zwierzę:

„Teraz wam zagram najniesłychańszą rzecz, jaką Kościół katolicki w świętym swoim majestacie stworzył — a stworzył ją w jednym kraju, który posiadał klucze do tajemnic katolickiej wiary — w Polsce — słuchajcie! Teraz zagram wam: „Święty Boże, Święty Mocny!“

Raz, drugi i trzeci!

„Jeszcze, jeszcze!“

I stało się coś zdumiewającego:

W głębokiej piwnicy grubego handlarza win rozległa się pieśń nad pieśniami:

„Święty Boże, Święty Mocny!“

Wszyscy śpiewali — oczywiście bez słów, którychby nawet wymówić nie mogli, ale z taką czcią i tak głębokiem nabo-żeństwem, żeśmy rady dać sobie nie mogli i z ciężkim trudem powstrzymywałem ciężki ryk płaczu — konwulsyjnego płaczu nostalgii za „tą jedną, jedyną“ — niech Bóg broni — „Ukrainą“ — ale za Łojewem i tym cudownym kościołkiem w Górze, gdzie mi wielkiej, a świętej pamięci ksiądz Kompf dawał pierwszą Komunię.

A — prawda! Obecny był również słynny norweski rzeźbiarz Stefan Sinding, który rok później miał mnie serdecznie gościć w swoim atelier w Kopenhadze.

Opowiadałem mu, że podczas tej pieśni ciężko grzeszni ludzie kładą się krzyżem na posadzce kościoła.

„Jak, jak?” — pytał z gorączkowym zaciekawieniem.

— Ot tak! — i wyciągnąłem się na krzyż w piwnicy handlarza win w Oslö, i ryknąłem ciężkim płaczem — ha, ha, ha! — z tęsknoty za Łojewem...

Całkiem jasny był dzień, gdy się obudziłem — jasny? przecież tam w Norwegii wciąż było jasno — pamiętam, że o jasnym dniu zaprowadził mnie Jappe do swego mieszkania, bo do mego hotelu było za daleko.

A obudziłem się, bo ktoś na mnie krzyczał: „Sposób się do śmierci!”.

Siadłem na posłaniu, z trudem się zorjentowałem, gdzie jestem — przetarłem oczy — ujrzałem kochanego Jappe, stojącego na swoim łóżku z wyciągniętym rewolwerem.

„Gotuj się na śmierć!” wołał Jappe.

Nie miałbym nawet czasu odpowiednio się na śmierć przygotować, bo w tej chwili świsnęła jedna i druga kulka rewolwerowa na około mych uszu — a jakim cudem zdołałem opanować deliranta — tego już nie wiem.

I pocóż przytaczam ten głupi fackik?

Jedynie dlatego, że nigdy przedtem, ani potem nie odczułem tak intensywnie pobliża śmierci, jak tego rana.

Dwa razy się w Gople topiłem i z trudem powrócono mnie do życia; zażyła była mi rozkosz śmierci już od najrychlejszego dzieciństwa: jakimś dziwnym przecuciem czegoś strasznego gnana matka moja wpadła do pokoju, kiedy obłąkana ciotka moja schwyciła mnie — roczne dziecko — za nogi i huśtała w powietrzu, by mi o ścianę główkę rozstrzaskać — i to opowiadanie przeżywałem z cichym uśmiechem — ale nigdy mi śmierć nie zajrzała tak głęboko, tak poufale w moje oczy, jak wtedy, gdy się obezwładniałem obłąkanego deliranta.

W tej strasnej chwili rozwarła mi się naoścież tajemnica śmierci, naokoło której już teraz ustawicznie krążyć jałem. Oścież się w tej chwili zamknęła, ale wiedziałem już, kędy tajemnice śmierci spoczywają.

Na drugi dzień — punkt o dwunastej w południe — zetknąłem się po raz wtóry z Ibsenem — poznał mnie — skłoniłem mu się do nóg.

„A, a! powiedział, już znam pana, słyszałem dużo dobrego o Panu i dużo złego, ale to dobrze, bardzo dobrze, jeżeli o młodym artyście mówi się dużo złego — znowu głęboko się pokłoniłem — a, gdy Pan przyjedzie do Berlina, niech Pan pozdrowi mojego przyjaciela Blumenthala!“

Ucisnął mi rękę i hierofantycznym krokiem — taki krok pewno tylko nieboszczyk Kant odmierzał, kiedy był swego czasu najpewniej idącym zegarem dla Królewca — poszedł do *Cafe Grand*, gdzie już go oczekiwały wszystkie pisma niemieckie, które od deski do deski studjował, i flaszka whisky. A stała ona na jego stoliku nawet w sobotę, kiedy żaden śmiertelnik nie mógł w Krystjanji kropki alkoholu otrzymać, bo mądry Ibsen zakupywał tę flaszkę już w piątek, była zatem jego własnością...

I w tej chwili staje mi na pamięci jeden fakt z mego dzieciństwa, dziś już zamroczony w niejasnej mgłę poszarpanego trochę wspomnienia, ale dosyć jasny, by zdradzić źródło tego — dla moich współczesnych może całkiem niezrozumiałego i chimerycznego — nietylko to — ale już wprost namiętnego zajmowania się przez blisko 30 lat kwestją czarów, czarownic — i wszystkiego tego, co jest z pojęciem tak zwanego „satanizmu“ związane.

Fakt ten blisko łączy się z moją zażyłością z śmiercią tylko już nie nagłą, a niespodziewaną, o którą będąc dzieckiem — naprzekór wszystkim — Boga prosiłem, ale z tą powolną, na jaką ludzie w renesansie konali, kiedy ich powoli truto piekielnym preparatem: *aqua toffana*

W domu naszym służyła starsza już dziewczyna — skryta, ponura, cierpiąca na ciężką epilepsję — matka z litością ją tylko trzymała — a poza tem złośliwa i okrutna dla zwierząt. Dziecko, jak wiadomo, jest najwspanialszym detektywem w świecie: często ją podpatrywałem, jak się ohydnie nad zwierzętami pastwiła, ale jakiś dziwny wstyd i tajemniczy lęk, nie pozwolił mi jednym słowem o tem rodzicom moim wspomnąć.

Jedno takie piekielne wspomnienie do dziś dnia zimnem dreszczem mnie przeszywa:

Jak wiadomo istnieje na wsi tasak, w formie dużego S, który służy do „krychania“ kartofli, to znaczy rozdrabniania ich na drobne cząstki, by przysposobić „żarcie“ dla świń — polewa się to — Bóg wie, jakimi pomyjami — a tak przyrządzoną potrawę świnię chętnie pożerają.

Otóż pamiętam: raz uzbierała ta dziewczyna-zwierzę — Ulicha było jej na imię — cały duży kosz ropuch — a na nadgopłańskich błotach, bagnach i zabagnionych stawach panowało przeobfite bogactwo wszelkiego rodzaju żab, ropuch i wszelkiego rodzaju padalców — wzięła tasak do ręki i posiekała ten cały kosz żyjących ohydnych ropuch na drobne kawałki, oblała tę piekielną gnojówkę żywego jeszcze mięsa ropuch jakimś wrzątkiem, a potem wlała to świniom do koryta.

Matka była zrozpaczona, kiedy po paru dniach dwie najpiękniejsze świnię — majątek cały — nagle zdechły — ja wiedziałem dla czego — a zdumiewające: milczałem! Zdawało mi się, że gdy tajemnicę tę zdradzę, coś niesłychanego się stanie — kto wie, czy ojciec mój nie byłby Ulicy ubił!

To tylko małeńki przykład zbrodniczego okrucieństwa tej chłopskiej Alrauny — Alrauna Heinza Ewersa to prosta, salonowa lala, lichuteńka karykatura tej wścieklej srogiej czarownicy — Ulicy, a w całej wsi uchodziła za notoryczną czarownicę: omijano ją z daleka, a wszystkie matki, zakrywały na jej widok niemowlęta swoje czerwonymi chustkami.

Raz widziałem, jak krowie naszej, która ją przy złośliwym i widocznie bardzo bolesnym dojeniu ubodła, podrzuciła koniczynę, doszczętnie podczas ciężkiej burzy przemokłą, a krowa po paru godzinach się wzdęła i zdechła; chłopakowi, który ją przeżywał czarownicą, dała do picia cukrem osłodzony wywar z ziarn „pindyryndy“ (*Datura stramonium*) tak, że chłopak potem spał pięćdziesiąt godzin, a obudził się idjotą; jakimś uczniowi wiejskiego szewca, który o niej opowiadał, że chciała sobie „chłopa“ kupić za pieniądze, podrzuciła jakiś „placuszek“ — chłopak był głodny — zjadł, chorował potem parę tygodni, a gdy się wygoił z jakichś tajemniczych ran, cały był poskręcany i już potem tylko o kulach mógł chodzić.

Raz ojciec mój wyciął jej ciężki policzek za непослушество — w głowę zachodził na drugi dzień, co się stać mogło: miał

trzy duże grzedy przepięknych maków, które namiętnie hodował i z których był bardzo dumny; widziałem jak Ulicha późnym wieczorem skradała się między grzędami. Co tam robiła, nie wiem — dość, że rano cały ten przepych maków jakby szronem był zwarzony; zwiądlł całkiem w ciągu dnia i zsechl.

A ja na wszystko milczałem, mimo, że najstraszliwsze męczarnie przechodziłem.

W szkole ojca mojego wisiał duży, pozłacany krzyż — raz w niedzielę, gdy rodzice byli w kościele, zaprowadziła mnie do szkoły, zaczęła tańczyć po ławkach, jak opętana, a nagle przystanęła przed krzyżem i poczęła na niego pluć. Dostałem tak strasznego wstrząsu, że na ziemię upadł — ale milczałem.

Nieraz była moja matka ciężko przerażona, gdym wybuchował nagłym konwulsyjnym płaczem — ale cóż — chciałem coś powiedzieć, a nie mogłem: mój język był związany.

Coraz głośniejsz już nie przebakiwano, ale otwarcie mówiono, że Ulicha jest czarownicą, ale matka moja była zbyt starannie wychowana, by w takie brednie wierzyć, a ojciec mój był właśnie na to powołany, by jak najostrzej tępić wśród ludu gusła i zabobony.

Ulicha była przybłądą — nikt nie wiedział, skąd się przypłatała do naszego domu — sama nie wiedziała, jak się nazywa — coraz to inne nazwisko podawała — a im więcej ją na wsi prześladowano, tem goręcej broniła jej matka moja w swej bezbrzeżnej miłości do wszystkiego, co cierpi i jest udręczone.

Ale nadeszła chwila, kiedy matka wpadła w ciężkie przeżenie.

Ojciec nienawidził Ulicę — i znowu ją raz ciężko ukarał.

Ulicha wiedziała, jak mnie ojciec kocha — postanowiła pomścić się na mnie. Ojca się bała.

Nagle — ni stąd ni zowąd poczęłem ciężko chorować na jakiś potworny ból głowy, na który nawet tak doświadczony lekarz, jakim był stary Rakowski w Inowrocławiu, rady nie miał.

Ja wiedziałem, co się stało — ale milczałem.

Ulicha chwyciła mnie, wcisnęła między kolana, rozcięła mi skórę na czole — dotychczas mam bliznę — wtarła w ranę sok niedojrzałych śliwek, który przedtem opluła, mnie zaś kazała powiedzieć, że mój czoło sobie rozciął o kant stołu, bo inaczej

żywcem do piekła się dostanę — i wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że już po paru godzinach wilem się z bólu głowy i trzęsa mną zimna febra czyli, jak to na Kujawach nazywają: zimna „ogroszka“.

Ale czuwała nade mną Łucha Ławecka; gdym przyszedł na świat, była matka moja za słabą, by mnie karmić, więc otrzymałem ją jako matkę mleczną — mój mleczny brat, Jaśko, miał mi potem służyć za model do „Adama Drzazgi“. Łucha obejrzała mnie dokładnie, potem poszła do pieca, z którego Ulicha właśnie świeżo upieczony chleb łopatą wyciągała — słyszę przerażony krzyk matki: „Jezus Marja! Co się stało? co bochenek, to zakalec!“ — Ale Łuchę nic biadanie mej matki nie obchodziło. Wyciągnęła z gorącego pieca kilkanaście drobnych kawałków węgla drzewnego, nagotowała miskę wody — wrzuciła do niej węgielki: wszystkie opadły na dno:

„Stasio jest uroczony! zawyrokowała — ta czarownicza, małpa Ulicha, urok na niego rzuciła!“

Widziałem, z jakim przerażonym lękiem patrzyła Ulicha na praktyki Ławeckiej.

Gdy już noc zapadła, nagrzebała Łucha w swoim ogródku korzeni żywokostu, zgotowała je na miazgę, o północy wyjechała na Gopło, nazrywała liści „bączywia“ (białych lilij wodnych), skrapiała je wywarem korzeni żywokostu, ostudzonego w święconej wodzie — zaczerpniętej w źródelku Gietrzwałdzkim, przy którym kilka miesięcy temu Matka Boska paru dziewczynkom się objawiła — całą noc przykładła mi te liście na głowę i na piersi — wciąż coś mamrotała — wiem tylko, że nie były to słowa modlitwy. Na drugi dzień stał się cud: wstałem zdrów i rześki, jak nigdy — natomiast znaleziono Ulicę w stogu słomy — trzęsącą się z zimna mimo upalne lato, kłapiącą i szczekającą zębami wskutek srogiej zimnicy.

Ulicę trzeba było zawieźć do szpitala w Inowrocławiu, gdzie niezadługo potem umarła.

To klasyczny przykład „*Choc en retour*“, jakimby nawet się ani Vintras, ani słynny dr. Johannes Huysmansa poszczycić nie mógł — bajeczny przykład „transferty“, któryby naszego dr. Babińskiego lub wielkiej pamięci Ochorowicza mógł w zachwyt wprowadzić!

Teraz może zrozumiałe, dlaczego tyle lat życia poświęciłem zbadaniu tego zdumiewającego problemu, jakim jest dla mnie „czarownica“ — dwutomowe dzieło o czarownicy, które — Bóg da — nieza długo się ukaże, będzie świadczyło o ciężkim trudzie, z jakim się w tą niesłychaną tajemnicę wdzierałem.

To tylko drobniuteńki „fakcik“, jaki powyżej przytoczyłem. Byłem, jako chłopak, świadkiem tak potwornych czarodziejskich praktyk, że już lepiej o nich nie mówić, ani nie wspominać — czasami mam wrażenie, że i mnie zobowiązuje jakieś tajemnicze „*maleficium taciturnitatis*“.

Zdawałoby się, że to wspomnienie, kiedy mowa o moim pobycie w Skandynawji, ni przypiął — ni przyłatał — oj nie! — gwałtownie mi się narzuciło: czem głupie rewolwerowe wystrzały obłąkanego deliranta wobec szatańskich ataków niewidzialnego astrala czarownicy?!

XIX.

I tak byłby mój słynny pobyt w tej mojej „duchowej ojczyźnie“ spełznął na niezmiernie dotkliwej nostalgji — sama Norwegja nic mi nie dała — natomiast niesłychanie wiele ta ciężka tęsknota za krajem i bolesne uświadomienie sobie mojej obcości, odrębności i doszczętnej „inności“. A zapewniam, że nie jest słodką rzeczą czuć się wśród obcych „innym“ — nie odczuwać nic z nimi razem „wspólnego“. Inna rzecz wśród swoich: być „innym“, może nawet dumą przepelniać, podnosić na duchu — he, he — świadome, lub nieświadome wyodrębnienie się w rodzimem środowisku może być źródłem bardzo przyjemnego „snobizmu“, dawać nawet dziecinne poczucie wyższości nad swoim otoczeniem — ale inna rzecz, gdy się jest wyodrębnionym, gdy się jest istotnie obcym, zamorskim przybyszem wśród całkiem obcego społeczeństwa.

Ja dziecko płaszczyn, równin, „dziadowskich mórz“, całych pustyni piasków, nie lubiłem gór — właściwie nie były to góry, w okolicy, którą zamieszkałem, ale płaskozwyzą, warstwy płaskozwyz, pnące się jedne nad drugimi coraz wyżej, coraz wyżej: wszystko to obrosłe nieprzebytymi lasami, a gdzien tylko okiem wystrzelił — natychmiast następowało coś w rodzaju „*repercussii*“ — pocisk oczu wracał zpowrotem i ranił mnie.

Zamykałem wtedy oczy: przenosiłem się myślą nad Gopło, nad Durowskie jeziora, gdzieś w okolice Łojewa lub Wągrowca; majaczyły się mi ustawicznie toruńskie Majdany, cały mózg zaroił się wspomnieniami z Kujaw, pijanymi chłopami, co po drodze trumny gubili, obłąkanymi torfiarzami, którzy duchy masonów po nadgoplańskich bagnach poświęconemi „trojakami“ wystrzeliwali, Rusztyki, co na pohybel Panu Bogu w święto

Bożego ciała ziemię orali, ciemne klasztorne mury nad Welną z opodal leżącym „cholerycznym“ upiornym cmentarzyskiem. Jedyną moją rozrywką było wystawanie godzinami łałami na moście nad bardzo bystro rwącą rzeką Glomen, tej szerokości, co Wisła pod Warszawą, i wpatrywać się w nieprzeliczone kłody drzew, które gdzieś tam w górach ścinano i wprost do rzeki rzucano. Dniem i nocą wściekała się ta straszliwa drzewna lawa, tworzyła zatory, piętrzyła się w górę, tak, że całe pagórki kłód powstawały, rozluźniała się znowu, gdzieś się znowu o jakieś głazy zaparła — świeżo napływające szeregi spiętrzały się na przeszkodach, łamały się, walczyły zacięcie ze sobą, rozbijały się na drzazgi, spychały się wzajemnie z zajadłą zaciekłością, by dostać się w szalejące wiry rozszalałego prądu dzikiej rzeki i tworzyć nowe zapory i coraz wyżej wzrastające szanice.

Wspanialszego, żywszego obrazu najzacieklejszej ludzkiej bitwy nie byłbym mógł otrzymać nad ten, który w dzień, noc w noc — a noc tam była bielsza i głębsza od dnia — przed oczy moje wyczarowywała ta straszliwa walka „żyjących“ drzew.

Poza tem plawiłem się bezustannie w tej łaźni statańskiej, jak ojcowie Kościoła nazywają melancholję i tęsknotę, a praca, którą raz po raz usiłowałem się ratować, nie była tak dalece wydajną.

Przez cały nieomal trzyletni pobyt mój w Norwegji powstała trylogja: „*Homo sapiens*“, „Dzieci Szatana“, dramat „Dla szczęścia“, krwawa tragedia dzieci zdegenerowanego, przekleństwem obarczonego polskiego rodu szlacheckiego: „*De profundis*“ i jedyna rzecz, która na pierwszy rzut oka zdawałaby się istnienie swoje Norwegji zawdzięczać: „Na drogach duszy“ — rzecz o potężnym rzeźbiarzu, Gustawie Vigelandzie — bliżnej gwieździe mojej, tylko o nierównie potężniejszym blasku i mocy.

Vigeland — Norweg?!

Och, nie! Nie! On im stokroć razy więcej jeszcze obcy, aniżeli ja!

Uosobieniem norweskiej rasy to skryty, przebiegły, chciwy i skąpy Ibsen, genialny chłop norweski z domieszką trochę zepsutej szlacheckiej rasy duńskiej i z głęboko — nie „sięgającym“ — ale umiającym „obliczać“ — świetnie „obliczać“ — nawet genialnie „obliczać“ — instynktem niemieckiego kupca hanzeatyckiego z Bergen.

Twardy, zaciekły, nieustąpliwy, fanatyczny, wół obłąkany — w Norwegji jest między chłopstwem „cichy obłąd“ prawie endemiczną chorobą — zażarty chłop w Ibsenie, to „Brand“ z całą swoją piekielnie ciasną a piekielnie mocną ideologją; chytry, przebiegły, kłamliwy, dziwowskimi i uroczyskami lasów, jezior, tajemnicami gór, bezustanną walką z złośliwymi *beugami* kłamstwa nauczony chłop, nie umiejący już całkiem odróżnić jawy od snu — to „Peer Gynt“. Zdegenerowana szlachecko-duńska krew odezwała się w Ibsenie w „Upiorach“ i „Rosmersholmie“, ale ponad wszystkim panuje w jego duszy zimny obrachunek niemieckiego hanzeaty: ścisła, kapitalna, a równocześnie nieskończenie pedantyczna konstrukcja, niesłychana znajomość najwyrafinowańszej algebry myśli, jaką zastosował w konstrukcji budowy swoich dramatów — i ta ostatnia zdolność przeszkodziła Ibsenowi, by mógł się stać „idealnym“ typem Norwega: zbyt złożony i skomplikowany.

Ale w każdym razie — Ibsen jest Norwegiem.

I Norwegiem jest w większej jeszcze mierze Björn Björnson: „niedźwiedź, syn niedźwiedzia!“ Jego to przodkowie zwalili z tronu już na początku 16-go stulecia ostatnią możnowładczą rodzinę szlachecką w Norwegji, mimo, że naościęz otworzyli wrota dla łupieskiej Danji, która Norwęgję ujarzmić miała, zepsuć i znieprawić duńską krewią, — Norwęgja była przez kilka stuleci „Kaledonją“ dla wszystkich zbrodniarzy: wszystkiego, co w Danji się „psuło“ lub doszczętnie było „zepsute“ — czytajcie Hamleta — ale Björnsonowie nie ustawali w zacieklej, nadludzkiej walce przeciw zdegenerowanemu, złemu, doszczętnie zgniłemu wrogowi duńskiemu: Björnsonowie łączą się z Szwedami — wyrzucają Duńczyków, zawierają — zbyt słabi jeszcze — narazie przyjazną unję z Szwedami — niszczą zaciekle każdy ślad dawniejszego panowania duńskiego — o ile szlachcic duński nie wyrzekł się swego szlacheckiego przydomku i wyprzysiągł się wszystkich szlacheckich przywilejów, był z pod praw wyjęty (swoją drogą na nic się to nie zdało, bo nigdzie tak kastowość nie kwitnie, jak w Norwegji) — równocześnie wprowadzają „Björnsonowie“ w imię sprawiedliwości i ludzkości Żydów do Norwegji — do 1813 roku stopa Żydów nie powstała w Norwegji, a wpuścili ich na rzewną i niesłychanie sentymentalną prośbę, — a raczej

dosyć ckliwy poemat Vergelanda o tym biednym Żydzie, którego nawet morze lękało się wyrzucić na brzeg norweski (przypominacie sobie moją rozmowę z Munchem: najtwardsze, najdziksze narody są najwięcej sentymentalne!) — spóźnione ideały wielkiej rewolucji francuskiej jęły święcić triumfy w Norwegji i narazie zdawało się, że zapanowała miłość i braterstwo pomiędzy pobratymczymi narodami: Szwecją a Norwegją.

Ale niezadługo spostrzegli Björnsonowie, że był tylko jedyny uczciwy Szwed, a ten ukradł „tylko“ krowę! I rozpoczęła się z początku nieśmiała, potem już coraz jawniejsza walka pomiędzy Norwegją, dążącą do zerwania unji, a Szwedami, którzy tak byli splątani przenajróżnorodniejszymi interesami z Norwegją, że zerwanie unji groziło bankructwem Szwecji. Cała Norwegja podzieliła się na fanatyczną prawicę, wierną królowi szwedzkiemu, i nierównie fanatyczniejszą „lewicę“, dążącą do zerwania tej unji, a na czele tej lewicy stanął „graf-bonde“ — hrabia-chłop, a właściwie udzielnny książę-chłop: wielki poeta norweski, ten mi współczesny Björn—Björnson! Jedyny polityk, nawet demagog, ochłokratyczny trybun, krzykacz, jeżeli chcecie, zaciekły wichrzyciel, zapamiętały wyznawca norweskiego „*liberum veto*“, który był równocześnie istotnie wielkim twórcą!

Nieskończenie szczęśliwszy od Mickiewicza, wydawcy „Trybuny Ludów“, natchnionego proroka, który zastępcę Chrystusa zawstydział, wielkiego, a świętego ideologa, który legjony żydowskie w Konstantynopolu tworzył, mógł Björnson odegrać w życiu swego narodu tę olbrzymią rolę, jaką szczęśliwie do końca doprowadził: niepodległość Norwegji to głównie jego dziełem!

Ten twórca cudownego hymnu narodowego norweskiego: „*Ja, vi elsker denne landet, ja, vi elsker det!*“ w równie pięknym muzycznym hermelinie norweskiego kompozytora Noordraacka — ten genialny chłop-prorok, który stworzył obok Tolstoja „Potęga ciemności“ najwspanialszy dramat ubiegłego stulecia „*Over aevne*“ („Ponad siły“), był najszlachetniejszym typem, na jaki się chłopska, a taka tylko istnieje — nawskroś chłopska Norwegja zdobyła.

A jaki on był dumny ten Björn-Björnson, że żadnego innego języka nie znał, prócz własnego. „Zato nikt tak nim nie włada, jak ja nim władam!“ powiedział mi to z wielką dumą — na

szczęście, że znałem już norweski język, bo bym się z nim nie mógł porozumieć — równocześnie zwrócił mi uwagę na swoją wspaniałą kamizelkę — niczem słynne kamizelki Wagnera: „Trzeba bacznie zważać, powiedział, na architekturę swego ciała. Pan nie wie, jaką ta architektura zewnętrzna odgrywa ważną rolę w życiu artysty i polityka!“

Björn-Björnson był najczystszy typem Norwega — był nim i poniekąd Arne Garborg.

Ale nie ten Arne Garborg, który z fanatyczną wiarą słuchał światoburczych ewangelij doszczętnie zgnięłego proroka potwornie wypaczonego i do ostatniego absurdu doprowadzonego nihilizmu życiowego, Hansa Jaegera, nie ten Arne Garborg, który pisał powieści na tle seksualnej nędzy chłopskich studentów, większej jeszcze nędzy „Zmęczonych ludzi“, tej samej nędzy, jaka się w sercu młodej, namiętnej dziewczyny rozgrywa, która nie może się wydobyć z pod opiekuńczych skrzydeł „Mamusi“, ale ten Garborg, który zerwał doszczętnie wszystkie więzy, jakimi go Hans Jaeger starał z „zgnięłym“ Zachodem związać: splunął na całą Europę i jął tworzyć wspaniałe chłopskie epepeje; a ponieważ wypieszczony, a nawet rozmamlany język duński, jakim dotychczas wszyscy norwescy pisarze się posługiwali, doszczętnie mu się obmierzył, począł pisać w chłopskim, starem narzeczu norweskiem, zwanem *maal*, swoją drogą narzeczu, które nawet dla przeciętnego inteligenta norweskiego jest mało zrozumiałe.

Minimalnie mało z Norwegii jest w Knucie Hamsunie, a zdawałoby się, że ten Per Pedersen (Knut Hamsun jest jego pseudonimem) powinien był najwięcej w swoim tworze ujawnić cały olbrzymi zasób swoich chłopskich sił — nic z tego! Na twór jego złożyły się przeważnie wpływy literatury rosyjskiej — w pierwszym rzędzie Dostojewski i Garszin, a głównie amerykańskiej — Brete-Harte i Marc Twain — nie znaczy to, bym chciał istotną wielkość tego wielkiego artysty obniżać, podkreślam tylko fakt, że i ten pisarz nic specyficznie norweskiego nie dał. Ciekawy, w wysokim stopniu charakterystyczny i znamieny fakt dla umysłowości norweskiej inteligencji, że żaden pisarz europejski nie jest tak ceniony, powiedziałbym nawet więcej jeszcze: uwielbiany i ubóstwiany, jak Dostojewskij, a nie widziałem żadnego pisarza norweskiego, któryby się z naj-

głębszą czią nie korzył przed „Anną Kareniną“ Tolstoja i jego „Kreutzerowską sonatą“.

A już ta „młoda“ Norwegja, którą poznałem — a trafiłem właśnie na czas zupełnego wyjałowienia — tkwiła wszystkimi korzeniami w Francji, a dziwna rzecz: utknęła na Maupassancie! Ale wracam do mego założenia:

Vigeland — Norweg?! pytałem. I powiedziałem jeszcze, że on Norwegom więcej może jeszcze obcy, jak ja. Nie zapomnę nigdy, gdy po raz pierwszy wystawił cały szereg swoich utworów. W niewielkiej sali w Krystjanji (dziś — aby wyodrębnić naród norweski, jako taki, który nic niema wspólnego ani z Danją, ani z Szwecją — ochrzczono Krystjanję mianem Oslö —) zebrała się cała inteligencja ówczesnej Krystjanji — cały zastęp najwięcej znanych artystów — malarzy, rzeźbiarzy, ba! nawet muzyków — patrzono na cały ten niesłychany twór Vigelanda, jako na całkiem coś obcego, a największy (?), najwięcej ceniony krytyk, Krystjan Krogh, którego obrazy wiszą na honorowym miejscu w „Narodowem Muzeum“ stwierdził, że takie groźne potworności, jakie Vigeland przedstawia, to nudna i tania robota.

Ohe, ohe!

A jednym z najpotężniejszych twórców, jakich Norwegja wydała, bo twórców, którzy całej ludzkości przynależą, których, według orzeczenia Słowackiego, gdy mu wypominano niezrozumiałość, „Króla Ducha“, i dziecko i mędrzec jest w stanie zrozumieć i „najlepszy“ Europejczyk, porówni z jakimś najwięcej europejskiej kulturze obcym Hindusem, to właśnie Vigeland.

Nie widzę potrzeby powtarzać tu tego, co o tym niezrównanym twórcy pisałem swego czasu w mojej książce: „Na drogach duszy“ — jednego słowa nie zmieniłbym teraz z tego wszystkiego, co o nim przed trzydziestu laty pisałem, z gorętszem może jeszcze uwielbieniem mówiłbym dziś o tym zdumiewającym twórcy, który jedyny dał mi to — oczywiście w innym znaczeniu — co Michał Anioł w swej florenckiej „*Sacristia nuova*“.

Fachowym krytykom wyda się to moje orzeczenie błuźnictwem — niechaj nim będzie — ale mój instynkt ku rzeczom wielkim jakoś mnie nie myli.

Muncha uważano za obłąkanego jakiegoś pacykarza — dziś Munch wszechświatową sławą; nikomu się nie śniło o Theoto-

kopulos Graeco, kiedym jał jego wielkość z zażartą namiętnością głosić w Krakowie; kto wiedział po on czas coś o Goyi, kiedym nie znał dość słów uwielbienia dla tego jasnowidza — eh! śmieszne, bym się miał tem chlępić, czego fachowy krytyk sztuki nie posiada — to jedno jest pewne: maluczko, a Vigeland zostanie opatentowany — teraz już oficjalnie — jako potężny rewelator, o całą głowę przerastający zbyt przecenianego Rodina.

I w jednym okazała Norwegja swoją wyższość kulturalną nad umysłową nędzą w Polsce.

Państwo norweskie zakupiło „Piekło“ Vigelanda do muzeum w Trondhjem, którego jest najwspanialszym klejnotem, a mnie skonfiskowano cały nakład „Życia“ w Krakowie za reprodukcję małego fragmentu tego „Piekła“; państwo norweskie poruciło Vigelandowi odnowę cudownej gotyckiej katedry w Trondhjemie w zakresie rzeźbiarskim, a równocześnie dobijał mi „Życie“ książkę Puzyna wraz z panem Banachem bezustannemi konfiskatami.

Ile ja nocy spędziłem z Vigelandem na rozmowach o rzeźbie gotyckiej! Żadnej innej rzeźby nie uznawał — odrazu stała się dla niego niesłychanem objawieniem — to, co tylko przeczuwałem, objaśniał mi, uwidaczniał paru kreskami, wtajemniczał mnie w te niesłychane cuda, stworzone przez nieznaną, a potężną mistrzów, porzucił całą swoją pracę, bo twierdził, że teraz dopiero uczyć się poczyna, wnikał w te niesłychane tajemnice gotyku, dostępne tylko jasnowidzom, odciął się od całego świata, aż wreszcie całkiem już w dzwonnicy katedry zamieszkał.

Czasami znajdował tylko pokaleczone szczątki jakiejś rzeźby, tułów bez głowy, lub też naodwrot, czasami jakąś płaskorzeźbę, ale tak zatartą, jak talar w dwuwiekowym obiegu — wszystko to do nowego życia powołał, a najbystrzejsze oko nie byłoby poznało gdzie skończyła się praca twórcy, a gdzie rozpoczęła się praca odnowiciela — rewelatora.

Vigeland był i jest dotychczas mojem najintensywniejszem przeżyciem — dla mnie jako artysty — narówni z Szopenem, Szumannem, twórcami katedr gotyckich — *Notre Dame* w Paryżu katedry w Bourges i Chartres, katedry w Toledo, narówni z Munchem, Ropsem, Goyą, Theotokopulos Graeco, narówni z Edgarem Poe, Barbey d'Aurevillem, Dostojewskim, Kasprowi-

czem, ale dosyć: całą litanję nazwisk musiałbym spisać, gdybym choć w części chciał spłacić dług wdzięczności tym artystom, którym najpiękniejsze chwile mego życia zawdzięczam i tym twórcom, między którymi szczęśliwy los pozwolił mi żyć.

XX.

Ciężką, bolesną nostalgię, jaka mnie każdorazowo podczas mego pobytu w Norwegji trawiła, starałem się neutralizować usilną pracą.

W przeciągu jednego roku powstały trzy części mej powieści p. tyt. „*Homo sapiens*“: „Na rozdrożu“, „Po drodze“ i „Malström“.

Cały ten cykl właściwie powieścią nazwać nie można.

To, co dotychczas było najważniejszym czynnikiem powieściowym, zepchnąłem na ostatni plan. Czytelnik, który szukał w mych powieściach *w y d a r z e ń*, konfliktów, zewnętrznych wypadków, ich wikłania i rozwiązywania — czytelnik, który pragnął od powieści jedynie tylko potwierdzenia swego własnego, bezmyślnego życia zewnętrznego — odbicia tej *r z e c z y w i s t o ś c i*, jaką żyje, a z nudą odrzuca każdy utwór, który mu wykazuje, że ta rzeczywistość jest doszczętnie fałszywą, majakiem, urojeniem, że poza nią kryje się całkiem *i n n a r z e c z y w i s t o ś ć*, dostępna, a raczej przeczuwalna dla wytężonej do ostatnich granic, w wielkim wysiłku skupionej myśli ludzkiej — taki czytelnik musiał doznać przy czytaniu moich powieści srogiego zawodu.

O co mi chodziło, kiedym zwrócił się po paru poematach do formy powieściowej?

Zdradziłem się z tem, gdym na marginesie tworu Hansa Heinza Ewersa pisał — *mea culpa, mea maxima culpa* — jedynie tylko o *w ł a s n y m* tworze, — mnie się o Ewersie nie śniło, gdym pisał wstępy do jego dzieł — te wstępy miały stanowić cząsteczki własnego mego tworu: „Do źródeł Duszy“ — własnej duszy mojej. Wyobrażam sobie zdumienie Ewersa,

gdy te wstępy mu tłumaczono: siebie w nich doprawdy nie odnalazł, ani odnaleźć nie mógł.

To moje, wyłącznie moje wyznanie wiary, mych pragnień, zamiarów, usiłowań, gdym wołał o twór, w którymby się ukazał człowiek w całej pełni swego życia, gdym pragnął ujrzeć go takim, jakim jest, niekrępowanym żadnymi prawami, żadną normą, ujrzeć człowieka bez figowych liści obłudnego świętoszkostwa, nie smaganego bezustannie biczem surowego i zażartego „*domp-teura*“, jakim jest „prawo“, gwarantujące „porządnym obywatelom“ tu na ziemi — zupełne bezpieczeństwo, a wygodną i przytulną ubikację — tam w górze — ujrzeć go w całej pełni wolności instynktów, w całej nieokiełznanej mocy, obecnie silnymi rzmieniami praw spętanych popędów i pragnień.

Pragnąłem rozkiełznać człowieka, ujrzeć go nagim!

Człowiek, dostępny naszej rozpoznawalności, ma, jak wszystko w naturze, dwa bieguny, na jakie go schematyzujący mózg ludzki rozdzielił: południowy i północny, świetlisty i ciemny, dobry lub zły, użyteczny lub szkodliwy: tysiące nazw istnieje na określenie tych wrzekomo przeciwnych sobie biegunów, ale nie wolno ich „odkrywać“, bo dla badań twórcy, przynajmniej za moich czasów z przed ćwierćwiecza, był dla twórcy dozwolony w człowieku tylko mały obręb tej południowej sfery, tej dobrej, szlachetnej, pożytecznej, współblźniego uszczęśliwiającej, a badania w tej sferze przynosiły twórcom i jeszcze przynoszą zaszczyty, honory i groby „zasłużonych“ po śmierci.

W tej sferze odbywa się właściwie wszystko prostym przetargiem, ale od tego są właśnie najwięcej przez społeczeństwo „uznani“ twórcy, którzy ten brudny i częstokroć ordynarny przetarg tak umieją uszlachetniać, w takiej słoneczności ogólnie obowiązującej etyki skąpać i taką balsamiczną wonią wszelakich cnót okadzić, że najwięcej cuchnący smród — pachnie.

Biada jednakoż artyście, który wtargnie, lub wtargnąc zapragnie w tą drugą hemisferę człowieka, tę ciemną i ponurą z swoim biegunem północnym, sferę, „*ab umbilico et inferius*“, jakby zaciekły Katar powiedział, bo tę hemisferę północną, ciemną, groźną, niebezpieczną i dla wszelakiego „porządku“ wrogą zamieszkuje to wszystko, co się z wszystkich praw i wszelakiej normy wyłamało, co nie kroczy bitym gościńcem, ale „błądzi“

krętymi ścieżkami, co chyłkiem przekrada się w grubych cieniach nocy i lęka się światła dziennego: bunt, wywrót i wściekle, nieokiełznane „*liberum veto*“.

Tu niema „przetargu“, tu jest strasza, ponura, nieustępliwa walka, tu jest gniew i rozterka, wieczny ból i męka, tu lęgnie się zbrodnia i przestępstwo, dokonuje się łamanie starych i nowych tablic praw i norm, tu bezustannie żarzy się żagiew buntu i zgrzytającej zębami nienawiści.

W tej hemisferze przebywać artyście jest surowo wzbrowionem pod groźbą klątwy, a jeżeli który odważy się zapuścić swoje zagony w tą interdyktem objętą ziemię, wtedy całe społeczeństwo rzuca się na niego z oburzeniem, czyni go banitą i stawia poza nawias swoich „ulgowych“ praw.

I otóż po dziś dzień nie znamy człowieka w całej pełni, bo tak nieskończenie mało twórców miało odwagę przełamać kanon społeczny, tak mało, którzy według słów prof. Brücknera odważyli się tworzyć to, co w „czystą szlachetną anielskość“ rodzimej literatury wnosi „nieczysty ton“, jakim jest prawda o człowieku, przez co już samo zostali objęci ostracyzmem społeczeństwa i uznani za współwinnych i współświadomych potworności duszy ludzkiej, jaką kusili się w swym tworze odsłonić.

Miałem odwagę zstąpić w czeluście duszy ludzkiej, obłuc fikcyjnego bałwana, w jakim literaci kazali mi widzieć człowieka, z grubej warstwy bibuły i „*papier maché*“ i pokazać go, jak istotnie wygląda, choćby nawet w odległym przybliżeniu, choćby nawet w karykaturalnej grotesce, i odrazu dostałem się — po napisaniu „*Homo sapiens*“ — na czarną listę tych, których Verlaine „*Poètes maudits*“, a Huysmans „*Certains*“ nazywa.

A przecież ja nic innego nie zrobiłem, jak tylko to, że pokusiłem się o odtworzenie człowieka, jakich setki spotykałem i w ciągu mego życia bezustannie spotykać miałem.

Mniejsza o to! Jeszcze o co innego mi chodziło.

Wyrzuciłem z mych powieści wszystko, co dotychczas jedyną jej wartość stanowiło.

Wszystko, co się dawniej powieścią nazywało, stało się w mych powieściach jedynie celem, by ukazać ukryte w głębi duszy mocy i przejawy, ujawnić źródła ich pochodzenia. Wszyst-

ko, co było w pochłanianych dotąd powieściach jedynym celem, stało się u mnie rzeczą podrzędną, śmiesznym akcydensem. Fabuła najprostsza w świecie bez żadnych zawikłań, któreby mogły uwagę czytelnika w naprężeniu utrzymać: niewiadomo, co, gdzie i kiedy się coś dzieje — wyrzuciłem z mych powieści wszelkie opisy, wszelkie przejawy zewnętrzne, któreby nie były, albo być nie mogły psychicznymi projekcjami danego stanu, w którym się dany osobnik znajduje — boć przecież jasne, że zrozpaczony człowiek nie będzie się zachwycać jakimś krajobrazem, albo choćby i najfantastyczniejszym zachodem słońca — milczałem, gdy mój bohater wygadywał rzeczy, jakichbym ja sam nie był w stanie wypowiedzieć, bolałem niewymownie, gdy popełniał czyny, które mnie grozą przejmowały — przywarłem do duszy ludzkiej z tą samą ciekawością, z jaką się anatom-fizjolog do interesującej sekcji zabiera.

Pragnąłem dać człowiekowi w całej jego „pełni“ — w jego wniebo- i wpiekłowzięciach, dać duszę człowieka gubiącą się w otchłaniach bólu, w tych ciemnościach, w których groza, przerażenie, rozpacz i najstraszliwsza udręka istnienia wszechwładnie panuje, nierozwiązalne, piekielnym strachem duszę ludzką skręcające zagadki w ciężkich snach się wiją, rozpasana „chuć“ szatana parzy się z bolesną tęsknotą duszy wygnanej z raju, a potworne okrucieństwo pławi się w mistycznych zmrokach najgorętszych wzniesień ku Bogu.

Cale nieporozumienie — fatalne nieporozumienie, że chciano czytać moją powieść tak, jak się czyta Kraszewskiego lub Sienkiewicza.

Opuszcza się rzeczy, które stanowią istotną kanwę powieści — w mojem znaczeniu — to znaczy cały świat myśli i zagadnień, które twórca w danej formie pragnie uwięzić, a szuka się tylko treści. I w tą ubożuchną treść wkłada każdy czytelnik lub krytyk według swego psychicznego założenia to właśnie i to jedynie, co go najwięcej zajmuje i myśl jego pochłania.

Szuka przedewszystkiem zmysłowej podniety.

A wszechwładnie opanowuje umysł przeciętnego czytelnika pornokracja.

Czytelnik, lub krytyk, zamieszkujący niezmierne obszary pornokracji, a co jest równoznacznym z obłudą, wstydzi się

sam siebie, a maską jej nazewnątrż to ten piekielny „cant“ (wytwór angielskiej umysłowości, a Anglja jak wiadomo jest najrozpuśtniejszym społeczeństwem w Europie), ta ohydna, potworna obluda, która w każdym utworze szuka przedewszystkiem pornografji, a doszuka jej się niechybnie w najskromniejszym akcie miłosnego złączenia, choćby ono w twórczej duszy z najczystszej źródła wypływało — najczystsze naczynie zapelni po brzegi niechlujną treścią własnej fantazji, a, gdy tego dokoną, rzuca się z sadystyczną wściekłością na cały utwór.

Och! ten ohydny, potworny, niechlujny „cant“ krakowskiego cenzora za czasów, gdy wydawał „Życie“ w Krakowie!

Tolerował najsprośniejsze utwory istotnych pornografów w „Bocianie“ — podczas długiego pobytu w Europie nie znalazłem równie niechlujnego pisma — a konfiskował Szatana Vigelanda i zniszczył mi ostatecznie „Życie“ konfiskatą mego „*De profundis*“!

Jestem bardzo spokojny człowiek, ale, ile razy to sobie przypomnę, że ośmielano się przyczepić do mego utworu epitet pornografji, to pięście mi się z wściekłości zaciskają.

Ohydnej, niechlujnej zbrodni, jaką krytyka, a wślad za nią całe społeczeństwo — na mojem tworze przez cały szereg lat popełniało, nie wynagrodziłaby nawet „wielka wstęga“ za zasługi literackie!

Aż nazbyt świadom jestem mej niemocy wobec zamierzonego celu:

Wolno widzieć w moim tworze niedołęstwo artystyczne, wynikające stąd, że myśl u mnie góruje nad wszelką treścią, że tęsknota moja o całe niebo potężniejsza od tego, com stworzyć zdołał; wolno upatrywać się niezdarnych przejawskrawień w usiłowaniu, by myśl moją uczynić czytelnikowi zrozumiałą; wolno ręce załamywać, gdy się staczam z czysto artystycznej linii w zaciekle pragnieniu, by czytelnikowi łopatą moje zamierzenia do jego łba wszuflować, ale niechlujstwem jest dopatrywać się w moim tworze pornografji.

Tej szukajcie gdzie indziej!

Szukajcie jej w państwie przewielmożnej *madame Delmonse* z słynnej powieści markiza de Sade „*Justine*“, która wyklada teorię najpotworniejszego z wszystkich „cantów“—„cant“ pćiowy:

„Nikt nie żąda od nas cnoty, tylko maski cnoty.

Jestem nierządnicą, jak Messalina, a wszyscy wierzą, lub zdają się wierzyć, że jestem czysta, jak Lukrecja. Jestem gorszą ateistką od Vaniniego, a wszyscy wierzą, z porozumiewawczym uśmiechem wierzą, że jestem pobożniejszą od św. Teresy. Jestem fałszywą, jak Tyberjusz, a zezując na otoczenie, tłumiąc w sobie ryk śmiechu, twierdzą, że jestem szczerą, jak Sokrates. I pewną rzeczą jest, że jestem trzeźwa i wstrzemięźliwa, mimo, że Apicjusz nie dorównałby mi w najwyrafinowańszej sztuce rozpusty. Oddałam się najniechłujniejszemu występкови, zdradzie, podłemu oszustwu, plugawej ohydzie, ale spytaj się wszystkich moich bliźnich, a wszyscy *unisono* powiedzą:

Madame Delmonse jest aniołem!“

Tylko, jedynie tylko podwładni i wielbicieli wszechmocnej *madame Delmonse* wietrzą w każdym dziele sztuki — pornografię.

Krytycy, agenci śledczy „*cantu*“ i pani Delmonse, wypatrujący i węszący wszędzie pornografię, winni się wstydzić swej haniebnej misji.

Pornografią staje się utwór artysty jedynie tylko wtedy, gdy się przyodzieje w ohydne domino „moralnego“ oburzenia — nagość może być świętą, ale przyodziana w przejrzyste tiule, przezroczyste jedwabie staje się sprośną i lubieżną.

I cudownie uzmysłowił tę myśl genialny malarz i głęboki myśliciel Goya w swych dwóch obrazach: „*Maja desnuda*“ i „*Maja vestida*“.

Tyle prostackich ogólników — tak! tak! dziś dzięki mej odwadze staje się ten mój spóźniony protest lichym ogólnikiem — w kierunku tej prasy, która się z taką wściekłością pienia na każdy mój twór i prokuratorji go denuncjowała i zalewała mnie całą siklawą pomyj „moralnego oburzenia“ — a przecież dziś jeszcze starają się ludzie „dobrej woli“ twór mój uwięzić w „*Enfers*“ „*Giftkammer*“ bibliotek — a czem najwściekłejsze erotyczne stronnice w moim tworze wobec tych erotycznych, rewelacyj współczesnych mi — i to niezmiernie poważnych autorów polskich!

A może — a może: gdyby nie Przybyszewski wszystko byłoby jeszcze w literaturze polskiej sielskie i anielskie i mielibyś-

my dotychczas małpie, cnotliwe nadczłowieczeństwo papierowego manekina, jaki jeszcze w tworze Sienkiewicza paraduje?!

A co? Czym nie zasłużył na grób zasłużonych?

He, he!

To co najmniej mi się należy za ten „nieczysty ton“, który według prof. Brücknera wniosłem do świątynicy piśmiennictwa polskiego!

XXI.

I tu w tej zapadłej mieścinie granicznej między Szwecją a Norwegją — w tym malutkiem Kongsvinger — podjąłem, teraz już z powagą niemieckiego uczonego i jego sumiennością, a równocześnie z fantastyczną paradoksalnością Słowianina, wobec której utwór Shawa staje się pedantyczną wypociną, a najwspanialsze kpiny Heinego profesorską udręką, by swych uczniów jakimś dowcipem zabawić — wciąż dotąd przerywane studia nad czarami, czarodziejami, czarownicami, studia nad najciekawszą i najmniej zrozumiałą zagadką, która ludzkość przez tyle wieków trapiła i dotychczas trapi!

Jeśli cośkolwiek w mojem duchowem życiu wymaga jakiegoś bliższego oświecenia, to właśnie ten problemat czarów i czarownicy i wogóle tego wszystkiego, co się czarnoksięstwem zowie — a zgórą ćwierć wieku spędziłem na tych studjach.

Po tysiackroć rozczarowany razy i zrozpaczony, porzucałem te studia i wciąż na nowo i z stokroć razy zwiększoną gorliwością do nich wracałem — najpiękniejsze lata mej twórczości pochłaniało to gorączkowe pragnienie, by tę zagadkę, w której dopatrywałem się źródła najgłębiej utajonych, najwięcej tajemniczych sił ludzkich, rozwiązać.

Oczywiście, że jej nie rozwiązałem i wątpię, czy ją kiedykolwiek jakiś „śmiertelny“ człowiek rozwiąże, ale wpadłem — tak mi się przynajmniej zdaje — na tropy możliwości rozwiązania tego najzawilszego problemu w historii całej ludzkości.

Nie piszę pamiętników — piszę jedynie dzieje mej twórczej duszy — a w tych dziejach te właśnie badania zajęły tak poróżne miejsce, tyle sił na nich strawiłem, tyle na nich duchowej

udręki przeżyłem, tyle mnie one niehumanicznych wysiłków kosztowały, że dłużej nad tym problemem przystanąć muszę.

Otóż w najskromniejszym zarysie — nawet nie to: to tylko obrys jakiegoś olbrzymiego kształtu, widzianego z perspektywy ptaka, który unosi się nad ziemią na wysokości jakiegoś Gaurizankaru, a bywało, że ten ptak na te same kształty patrzył z księżycą — teraz już zwolna się opuszcza — jaśniej już i wyraźniej widzi to, co przed ćwierć wiekiem było grubą mgłą spowite —

Kto chce słuchać, niech słucha:

Doniedawna jeszcze narażał się człowiek, któryby się ośmielił mówić na serio o czarach lub czarownicach na kpiny i szyderstwo, albo też co najmniej na obrażony zarzut, że pragnie sobie z ludzi zakpić.

Wprawdzie nie przeciono temu, że cała historia ludzkości przez cztery czy pięć wieków wykazuje na prawie każdej swej stronnicy zacieklą walkę nie tylko Kościoła, ale i władz cywilnych przeciwko czarownicy, ale to była nieszczęsna ofiara ciemnoty, przesądów, łatwowierności ludzi średniowiecza, najwyższej litości godna ofiara, nad którą powołani i niepowołani w nieprzeliczonych pismach przez całe ubiegłe stulecie gorzkie łzy ronili.

Z jedną z najgłębszych, najzawilszych i najwięcej tajemniczych, zagadkowych zjawisk w życiu ludzkości uporano się w niesłychanie płytki, niepojętanie płytki sposób, zaprzeczając nawet możliwości istnienia osobników, którzy rozporządzali całkiem innymi siłami, jakimi przeciętny człowiek w t. zw. kulturalnym wieku rozporządza, i oczywiście byli w stanie wywoływać zjawiska, które, o ile ludzi uszczęśliwiały i dobrodziejstwa im świadczyły, ludzkość „cudami“ zwała, o ile zaś szkody i krzywdy przynosiły, „czarami“ — osobników zaś, którzy „cuda“ czynili, szaszczycano nazwą świętych, tych zaś, których „cuda“ ludzkość trapiły — czarownikami, względnie czarownicami.

Cud i czar to tylko pozytywny i negatywny biegun niesłychanie wytężonej woli ludzkiej, do ogromu najintensywniejszej twórczości spotęgowanego pragnienia w tak dobrym jak złym kierunku.

Przeczyć czarom, znaczy tem samem przeczyć istnieniu cudów; jeżeli czarownica nie istniała, natenczas i cała hagio-grafia katolicka jest taką samą fikcją, jak demonologia.

Temi samemi siłami, któremi rozporządzał święty, gdy przyłożeniem ręki na czoło i silnym rozkazem: „Wstań!” stawiał sparaliżowanego na nogi, rozporządzała i czarownica, gdy swoim złym wyrokiem — *mal occhio* — spojrzała na najzdrowszego człowieka i paraliżowała mu członki, i taka sama siła, której bezliczne przykłady przytaczają „Żywoty Świętych”, była w spotęgowanej jeszcze mierze czynna w przeklętym żywocie „Dzieci Szatana”.

A siłę tą, o której mowa, zwolna rozpoznawać poczynamy; przed stu laty była jeszcze „ukrytą”, „*okkult*” — nauka o tych siłach była znana dla wtajemniczonych pod nazwą okultyzmu — dziś ta siła od jakiegoś pół wieku zatracą już swój tajemniczy urok, staje się jawną, a współczesna nauka gorąco się nią zajmuje; dziś znamy przynajmniej parę jej objawów, przejawiających się w hypnotyzmie, sugestji i — somnambulizmie.

Tak święty, lub święta, jak i czarodziej lub czarownica, to na tym samym pnium wyrosłe osobniki o niesłychanej potędze oddziaływania na ludzi zapomocą do ostatecznych granic spotęgowanej woli, a przytem o wyjątkowem założeniu, które im pozwalało z sił, ukrytych w każdym człowieku, ale nie dających się wyzwolić, w całej pełni korzystać.

Dziś już nawet urzędowa nauka zwolna się godzi na odwieczną okultystyczną naukę, że poza tym widzialnym organizmem tkwi jeszcze inny, tajemniczy organizm, który jest niejako duszą fizycznego, a uposażony w takie siły, że jest zdolny opanować swoją wolę i te nerwy, które naszej woli na zwykłej jawie nie podlegają, a więc nerwy znane nam pod nazwą nerwów sympatycznych w tak zwanym splocie słonecznym — „*plexus solaris*”. Osobnik, który znalazł możność opanowania tego ukrytego organizmu, opanował tem samem cały system krwionośny; może wywoływać według swej woli stygmaty; może pozwolić ranom krwawić, jeżeli zechce, i naodwrot zastanowić obieg krwi; jest w stanie do tego stopnia zwolnić i opóźnić wymianę materji, że na miesiące całe może się dać żywcem pogrzebać; może zneutralizować siłę przyciągającą i wznieść się w powietrze. Ja sam

byłem świadkiem, jak fakir indyjski przerznął sobie skórę brzucha, obficie krwią broczącą, i ranę w minutę potem już zagoił.

Ten ukryty organizm znany, nauce okultyzmu już na 20 wieków przed Chrystusem jako ciało astralne — w nowoczesnym okultyzmie przyjęto ogólnie nazwę *astrosoma* — jest źródłem tych wszystkich objawów, szkalowanych przez płytki ach! jak nieśkończenie, płytki wiek oświecenia jako głupi zabobon.

Olbrzymia, ukryta wiedza Hindusów знаła dokładnie ten organizm: w księdze *Hatha Yoga* szczegółowo opisany jest jej ustrój nerwowy — z tą tylko różnicą, że dla skalpela anatoma jest niedostępny, bo niewidzialny, i z tą różnicą, że mózg tego nerwowego ustroju nie znajduje się w czaszce, ale w okolicy pępka, i z tego mózgu pępkowego rozchodzą się miljarde fluidalnych torów — czyli „*nadi*“, tworzących około siedemnastu większych ganglij, czyli „*chakram*“. Opanowanie tych *nadi* i tych *chakramów* wymaga nieludzkich i przez całe życie trwających ćwiczeń w najsurowszej, dla nas Europejczyków wprost niepojętej askezie: każdy z nas przecież czytał najwiarogodniejsze opowiadania podróżników o fakirach, leżących lata całe na łóżach, najeżonych kolcami, innych zaś wysiadujących całymi latami w całkiem nieprawdopodobnych skrętach, innych zasię wystających w kataleptycznym stanie na jednej nodze, a każdy z nich jest w stanie w większej lub mniejszej mierze wydzielać swoje „*astrosoma*“ z fizycznego organizmu, wysyłać je na olbrzymie przestrzenie — stąd te zdumiewające przykłady jasnowidzenia —, a nawet — podczas, gdy fizyczne ciało spoczywa w ciężkim letargu — przybrać to swoje „*astrosoma*“ w nowe ciało — i, o ile opowiadania teozofów i to najpoważniejszych, takich, których ust żadne kłamstwo nie skalalo — nie polegają na jakiejś całkiem nieprawdopodobnej halucynacji — ukazać się nagle w całkiem cielesnej formie, zwanej w sanskrycie „*nikara manya*“ — tym wybranym, którzy jakiejś duchowej pomocy potrzebują.

Tą *nikaramanyą* posługują się wielcy „*mahatmi*“, o których p. Bławatska dużo majaczyła — jej bym nie wierzył, ale uwierzyć muszę okultystcie tej miary, jakim był nieskazitelny Franciszek Hartmann. niezwykle trzeźwy, jasny, a zarazem w naukę *Hatha Yoga* wtajemniczony badacz.

Materja — jeżeli o takiej mówić można — z jakiej się „astrosoma“ składa, jest to niejako transcendentálna materja, znana od wieków całych pod mnóstwem rozmaitych nazw: *akasa*, w hinduskim języku, *kā* u starych Egipcjan, *aur* Kabbali z pozytywnym biegunem, zwanym *od* i negatywnym *ob*, stąd też prawdopodobnie wzięło się u alchemików średniowiecza „*aurum*“, jako „*prima materia*“. Okultyści współcześni posługują się prawie wyłącznie nazwą *aur* i jego pozytywną siłą: *od*.

Przez tyle wieków ludzkość nic nie wiedziała o elektryczności — dziś elektryczność wprawiłaby jakiegoś naszego przodka w XVIII stuleciu w to samo niesłychane zdumienie, w jaki może stokroć razy potężniejszy substrat wszelakiego światła naszego, elektryczności, magnetyzm, a więc „*od*“, którego grubem zmaterjalizowaniem są powyżej wymienione zjawiska, wprawiać będzie może już w tym stuleciu naszych potomków.

Narazie znamy „*od*“ jedynie tylko z promieniowania astrosomy nazewnątrż — „*od*“ tak dobrze znany tym jasnowidzom, którzy wokół głów świętych widzieli dokładnie kręgi światła o takiej mocy, że światło to ślepiło, i znany naszym współczesnym tak zwanym „sensytywom“ o tak niesłychanej wrażliwości i pojemności zmysłu wzrokowego, że w najgłębszej ciemności rozpoznawają przedmioty po ich silniejszym, lub słabszym promieniowaniu — a trzeba wiedzieć, że promieniaują i rośliny i minerały, również jak człowiek obdarzony astrosomą, czyli duszą.

Promieniowanie to, stanowiące u każdego człowieka pozaskórną świetlistą warstwę, znaną pod nazwą aury — a, jak wiadomo aurę tą nawet fotografować można, jest równocześnie pośrednikiem między człowiekiem, a jego światem zewnętrznym: jednym słowem siedliskiem tego, co czuciem nazywamy. Każdy człowiek ma swoją specyficzną aurę, bezustannie wytryskują z niego te promienie, które widocznie mają znowu specyficzne właściwości, które pozwalają psu ścigać swego pana na milowe odległości, a jeżeli się da psu do powąchania jakiś przedmiot, należący do zbrodniarza, a oczywiście przesyciony jego *odem*, pies niezawodnie pozna właściwości *odu*, który zbrodniarz podczas swej wędrówki w zetknięciu się z ziemią pozostawił, i pójdzie niechybnie jego tropem.

Nie przez nerwowe ciała dotyku dostaje się wrażenie czucia do mózgu, ale zapomocą tego promieniowania, które się nerwowymi ciałkami dotyku posługuje li tylko jako aparatem telegraficznym — te promienie są funkcją astrosomy, czyli duszy. Promienie, tryskające obficie z nosa psa, splatają się z emanacjami człowieka i w ten sposób prowadzą go na niezawodny ślad.

I w niczem innem nie polegają te nagle sympatje lub antypatje, które każdy niemal człowiek odczuwa, gdy się z swoim bliźniem zetknie, i tak tylko zrozumieć można, dlaczego człowiek w jednym mieszkaniu dobrze się czuje, w drugim źle, otoczenie, które jest bardzo przyjemne, może być nagle zepsute przez obecność jakiejś osoby, której się może nawet nie widzi. A tą obecnością niepożądaną jest jego zepsuta aura.

Że aura, a raczej *od*, jest siedliskiem wszelkiego czucia, udowodnił to niezbiecie słynny badacz Rochas, który z początku bardzo odpornie do nauk okultystycznych się odnosił. Wprawiał szczególnie senzytywne osobniki w stan somnambulizmu — w jakim siedlisko czucia całkiem nazewnątrż się wyłoniło — ciało pozostało bez czucia, można je było na wolnym ogniu smażyć: nic nie czuło — jeżeli zaś ukuło się powietrze, w którym czucie — a więc *od* w koncentrycznych warstwach wokół danego osobnika się ułożyło, wywoływało to silną reakcję, czyli tak zwaną reperkusję, równie silną i wtedy, gdy się, dajmy nato, oddało na działanie tego eksterjoryzowanego *odu* jego fotografię — kłuło się tą fotografię, przesyconą danym *odem* w drugim lub trzecim pokoju, odczuwał zahypnotyzowany osobnik dotkliwy ból w tym miejscu, z którego *od* był wzięty, a nietrudnoby było, gdyby manipulacja stała się odpowiednio brutalną, przyprowadzić osobnika do poważnej choroby.

To, co dziś taki Rochas lub Durville eksperymentalnie dokonuje, było aż zbyt dobrze znanem wszystkim czarnym magom, a nikt sprawniej nie eksperymentował, jak służebnice i posługaczki magów — czarownice.

Wiadomem przecież, że prosty cieśla zręczniejszą pracę wykona, aniżeli nawet uczony architekt.

Jeżeli czarownica chciała jakiegoś człowieka dotkliwie na zdrowiu uszkodzić, a nawet zabić, starała się przede wszystkim

dostać się w posiadanie włosów, zębów, paznokci swojej ofiary, lub też kawałka koszuli, a ponieważ koszula była w całym średniowieczu niezmiernie rzadką rzeczą, starczyły szczątki odzienia, kawałek zdartej podeszwy choćby, boć to wszystko było *odem* człowieka przesiąknięte, a od jest niezniszczalne, a gdziekolwiek się go przeniesie, nie traci *raportu* z macierzystym *odem*.

To też, gdy czarownica ulepiła woskową figurkę, wgniotła w nią przedmioty, należące do swej ofiary, i miejsca te kłuła szpilką, lub nożem, ofiara odczuwała nieznośny ból: często tworzyły się rany, nie wiadomo dlaczego i czemu, a jeżeli „wola i imaginacja“ czarownicy — niezbędne warunki pomyślnego przebiegu zbrodni — były niezwykle silne, następowała powolna śmierć.

Eksperymenty Rochasa, a szczególnie Durville'a wykazały, że przy usilnem i długiem hypnotyzowaniu dany osobnik pogrąża się w coraz głębszy stan somnambulizmu. Wyeksterjoryzowane warstwy formują się z lewej i prawej strony w dwa słupy, które się zwolna do siebie zbliżają, a wkońcu zlewają się w jeden fantom o całkiem ludzkiej formie, w jak najdokładniejszy pierwowzór tej bezdusznej masy, jaką stanowi fizyczne ciało człowieka.

To znaczy: dusza — astrosoma — wyłoniła się całkiem z fizycznego ciała, a z nią razem wszystkie zdolności umysłowe, a więc nie słyszy, ani nie widzi, ani nie czuje to, co człowiekiem nazywamy, a co jest tylko oskorupieniem duszy i służy tylko za bezwolne narzędzie dla duszy, dopóki się w ciele znajduje — lecz jedynie tylko wyzwolona z swego więzienia „dusza“ — astrosoma.

Otóż czarownice znały cały szereg narkotyzujących „maści“, powodujących stan somnambuliczny.

By wyłonić duszę z ciała, nato potrzeba — przynajmniej w znanych nam eksperymentach — silnego hypnotyzera, ale mamy również mnóstwo przykładów, że są osobnicy, którzy sami umieją się wprawić w stan tego somnambulizmu — i ten autosomnambulizm można było osiągnąć — o ile możność jego nie była już danemu osobnikowi wrodzoną i w każdej chwili mógł się w ten stan wprawić — zapomocą przeróżnych narko-

tyków, tak zwanych maści czarownic, złożonych z tak potwornych ingrediencji, jak sadło nowonarodzonego dziecka, krwi nietoperza, ropuchy i węża, poza tem trujących roślin, sproszkowanej wątroby wisielca — mnóstwo przepisów pozostało po dziś dzień: nie dochowała się tylko tajemnica, w jakim ilościowym składzie maść ta się sporządzała. Wytrawne i doświadczone czarownice nie potrzebowały się nawet posługiwać żadnymi środkami: wystarczała im jedna chwila snu, by już dusza mogła ciało opuścić i kierowana wywiczoną wolą tam się udać, gdzie czarownica zechciała.

Stąd jej zdumiewające jasnowidzenie, które jej pozwalało widzieć i poznać wszystko, co się w okręgu kilkunastu mil około działo, ale — co dla niej było najważniejszym: zapoznać się z tak zwaną w okultyzmie: „*signatura rerum*“.

Każde stworzenie, każda roślina, każdy metal ma osobną swoją sygnację, które dla widzącego zdradza wszystkie jego właściwości i przeznaczenie — a niema nic w całym świecie, coby duszy nie posiadało — ta sygnatura, niewidzialna dla zwykłego oka, uwidacznia się oku wyzwolonej z ciała duszy — astrosomy. Dusza roślin, czyli „*Leffas*“, jak ją wielki Paracels nazywa, zdradza wszystkie swoje tajemnice astrosomie człowieka, którą Paracels nazwą „*Evestrum*“ ochrzcił. „*Leffas*“ roślin w zetknięciu się z „*Evestrum*“ czarownicy nie mogłby nawet ukryć swych tajemnic, bo zdradzał się różnorodną skalą barw, a i dusza ludzka jest barwna, zależnie od jej doskonałości, zbrodniczości, lub wogóle namiętności, jakimi jest szamotana. W jasnowidztwie widziała czarownica obieg soków w roślinach, знаła wpływ światła na nie; już to kiedy tworzyły jadowite fermenty, a kiedy do leków się nadawały, a dzisiejszy hodowca maków, z których opjum wytwarza, czarownicy zawdzięcza ściśle określony czas, w którym właśnie mak tak dojrzewa, by wywar jego soków mógł się na tę szatańską truciznę przemienić.

Co chemja zawdzięcza alchemikom, chirurgja katom, tyleż botanika — czarownicy. Ona właściwie jest twórczynią tej, że tak powiem, astrologji botaniki, dziś dawno zapomnianej, ale tu i owdzie pojawiają się znaki, że dzisiejsza botanika coraz usilniej bada wpływ światła na rośliny, zwłaszcza gdy zrobiła spostrzeżenie u pierwotnych ludów, z jaką starannością wybierają czas i porę dnia, w jakich tną drzewa, lub zbierają zioła.

Może i uczonego profesora wpędziłaby czarownica w kozi róg swojemi niesłychanemi toksykologicznemi wiadomościami truciznozawczemi.

Ona właściwie jest twórczynią toksykologii — zapalczywa trucicielka umiała nawet z ziół leczniczych wydobyć jad trujący, a tym samym wywarem, którym goiła chore płuca, wywoływała — tylko w innych dawkach — owrzodzenie, a może nawet i ten słynny „święty ogień“, w którym ciało płatami całemi, jakby spalone, od kości odpadało.

A zresztą, czem było dla jej astrosomy, która przenikała najgrubsze mury, przyssać się do ciała swej ofiary i wpromieniować w niego cały zaciekły jad swej zemstą i złością przepojonej duszy?!

Dzisiejsza nauka operuje mikrobami, lasecznikami, a kto wie, czy ta nasza cała bakterjologia nie jest właśnie przesadą, a głęboką, utajoną wiedzą, była znajomość magji słowa?!

Cóż my wiemy o słowie? Powtarzamy bezmyślnie, że na początku było słowo, codziennie przypominamy sobie, że słowo stało się ciałem, ale któż zdaje sobie z tego sprawę, co to znaczy?

Widział kto słowo? Pewno, że byli ludzie, którzy je widzieli, niezadługo pokaże nam fotografia, jak ono wygląda, ale naogół jest słowo słowem i niczem więcej. A tymczasem słowo jest rzeczą, istniejącą, działającą, raniącą, kojącą — to przecież nie słowo, które dziecko pieści, ale kochający fluid tego słowa, nie słowo rani, ale ukryta w niem jadowita dusza słowa. Słowo jest skorupą, którą można hieroglifem uwidocznic — najlepszy dowód, że słowo jest poniekąd rzeczą, jeżeli w ten sposób się objawia — ale ten hieroglif, nierozwiązalnie spętany z mówionem słowem, zdradza duszę słowa.

Weźcie alfabet hebrajski, a z zdumieniem dowiedziecie się, że *alef* — to piersi, a *bet* — to dom, a *gimel* — to pełnia i t. d. Dowiedziecie się dalej, że *alef* to równocześnie powietrze — *mem* — woda, a *schin* — ogień — a dwudziestudwom głoskom nadał Bóg formę i różnorodną tajemniczą postać, a gdy zaś głoski te jął kombinować w najrozmaitszych permutacjach, stworzył Bóg duszę wszystkiego, co ma być stworzone i co już jest stworzone. Tak poucza *Sepher Iesira*, pierwsza księga Kabali — *Maassa Bereschith*.

Kto znał znaczenia głosek, kto umiał kombinować je w słowa, tak, żeby się stały twórczymi fluidami, ten mógł się słowem posługiwać jako prośbą, która niebiosa przebija i przed tron Boga się dostaje, lub niszczącą klątwą, która stokroć razy gorsze choroby wywołuje, aniżeli mirjady mikrobów.

A jasnowidząca czarownica знаła duszę słowa, tej biednej skorupy, którą język, podniebienie lub zęby kształtują, i umiała się nią posługiwać — zresztą posiadała w tym względzie ogromną tradycję.

Już pierwsi demonolodzy, którzy specjalne dzieła o czarownicy i czarach pisali, mówią o stowarzyszeniu czarownic i czarodziejów — tych jest względnie mało, bo na jednego mężczyznę przypada co najmniej sto kobiet — jako o ściśle zorganizowanej sekcji — *illa nefandissima secta* — a lata, w których z gwałtowną szybkością sekta ta po całej Europie rozszerzać się rozpoczęła, przypadają według ich spostrzeżeń na początek XIV wieku.

Do tego czasu niema rzeczywście śladu czarownic; wprawdzie było mnóstwo procesów o czary — znano już wtedy czarowanie zapomocą woskowych figurek — papież Jan XXII wydał aż trzy bulle, przeklinające czarnych magów, którzy na jego życie czyhali: znano również mnóstwo uroków, zapomocą których czarodzieje i nekromanci operowali, ale właściwa czarownica pojawia się dopiero między 1300 — a 1350 rokiem, i po raz pierwszy wynurza się w tym czasie słowo *sabat* — szatańska synagoga czarownic; w tym to czasie znachodzą się pakta czarownicy z szatanem i w tych latach ustala się cała liturgia szatańska na sabacie.

Usilne, nowoczesne badania stwierdziły, że na ślad czarownic, jako już poniekąd zorganizowanego stowarzyszenia „wrogów ludzkości“, trafiano po raz pierwszy w południowej Francji i to w czasie, kiedy po krwawych walkach z potwornem okrucieństwem, zażartą nieludzką krwiożerczością niszczone resztki sekti katarów, sekti albingensów, która przez dwa stulecia była tak groźną dla Kościoła Katolickiego, jak nie była nią nawet Gnoza w pierwszych trzech stuleciach po Chrystusie. Zniszczona jeszcze w okresie pogańskiego wszechwładztwa, odżyła na nowo w potężnej nauce boskiego Mani, dostała się przez Konstantynopol do Bułgarii, gdzie otrzymała nazwę bogumilców, a stąd

rozprzestrzeniła się przez Hiszpanję, północne Włochy, a główną, najważniejszą i najgroźniejszą twierdzą i ostoją stała się dla niej południowa Francja z wszystkimi jej bogatymi i kwitnącymi miastami, z wszystkimi warownymi zamkami i twierdzami — a otoczona czułą i troskliwą opieką książąt Raymondów swobodnie rozwijać się mogła.

Sekta ta przyjmowała dwóch równie potężnych i równie odwiecznych bogów, jednego, który w niewzruszonym majestacie panuje nad światem niebieskim, który nigdy nie zniechulił się jakimś tam tworzeniem tak nędznego tworu, jakim jest ziemia, drugim zaś bogiem — to ten, który owaładnął ziemią i wszechwładnie nad nią panuje — Czarny Bóg, czyli Szatan. Zwolennicy tej sekty byli zaciekłymi wrogami Kościoła Po-wszechnego, nie uznawali żadnych sakramentów, prócz Chrztu a przede wszystkim wykpiwali niemiłosiernie sakrament Pokuty, Ciała i Krwi Pańskiej, nie uznawali zupełnie boskości Chrystusa; a Matkę Boską spotwarzali niechlujną nienawiścią. Jehovah Starego Testamentu, którego z wzdargą odrzucali, był dla nich podłym oszustem, najwyższej pogardy godnym kłamcą i krwawym oprawcą. Jedną księgą w Starym Testamencie tylko znalazła w ich oczach łaskę — to księga Job, a z Nowego Testamentu najwyższej cenili listy apostoła Pawła i na niego zawsze się powoływali, właśnie na tego apostoła, który, jak to z jego listów wynika, o historycznym Chrystusie, zdaje się, nic nie wiedział, jak również nic o ewangeljach, bo jednego słowa z nich nie cytuje.

Sekta ta, która powstała na gruzach dawno już zmarłej gnozy, była niewątpliwie w posiadaniu ezoterycznych tajemnic, przeznaczonych li tylko dla wybranych i żyjących jedynie w ustnej tradycji. A ktokolwiek zajmował się choć trochę starożytnymi misterjami, które najwyższy może rozkwit znalazły w gnostycznych kultach i kulcie Mitry, wie, jak olbrzymią rolę odgrywała w tych misterjach wszelkiego rodzaju magia, a że ona „białą“ nie pozostała i z natury rzeczy musiała się prze-rodzić w najczarniejszą z czarnych, o to postarał się Kościół swojemi niehumanitarnymi prześladowaniami, w rozpasanej zwierzęcości prześcigające o całe niebo prześladowania chrześcijan za czasów najwięcej krwiożerczych Cezarów. Włosy na głowie

stawają z przerażenia, z jaką potworną, rozjuszoną furją szalał Kościół przeciwko wyznawcom Mani, a całkiem zrozumiale, jak zaciekle, nieubłaganą nienawiść, jakie rozbestwione pragnienie zemsty wywołało to prześladowanie w tych rozbitych resztkach, kryjących się w niedostępnych pieczarach górskich, jaskiniach, do których dostęp nawet dla oczu tak przebiegłych psów gończych, jakimi byli zbiry Świętej Inkwizycji, nie był dostrzegalny.

Pisma katarów zostały doszczętnie zniszczone, ale żadna siła nie zdołała zniszczyć ustnej tradycji, ani ezoterycznych tajemnic, których już przed ciekawością wyznawców ustrzec nie zdołano, ani nie chciano, bo tajemnicami temi osłonięte były magiczne środki, przechowywane od najdalszego zarania ludzkości, a które teraz stały się straszną bronią odwetu i pomsty.

Z rozbitek potężnej ongi sekty potworzyły się małe gminy, ukrywające się w czeluściach niedostępnych gór, przytulające do swego łona rozbitek i innych, najczęściej prześladowanych sekt, z których najsilniejszą była sekta Vaudois; przytułek w tych gminach znajdowali wyrzuceni z łona Kościoła renegaci kapłani i klerycy — z rodu wagantów najrozpuśtniejsi i najwięcej do wszelkiego rodzaju zbrodni pochopni — nie dziw więc, że pierwotnie czysta nauka jęła się paczyć, wykoszlawiać, a wkońcu nie pozostało nic, prócz wykarykaturzonej czarnej magji, rozporządzającej mniej lub więcej skutecznymi środkami — nic prócz zębami zgrzytającej, niestety bezsilnej chuci zemsty, która mogła tylko znaleźć upust w potwornych parodjach obrządków kościelnych, kradzieży hostyj i plugawienia ich, zniszczenia i opluwania krzyżów przydrożnych, palenia kościołów, wszelkiego rodzaju świętokradztw i bluźnierstw, torturowania w nie-ludzki sposób sług kościelnych — dominikanów — psów Pana Boga, o ile ich, zabłąkanych w świętym zelotyzmie, uchwycić zdołano.

I w tych ciemnych jaskiniach, w których wieczny mrok panował, jakiego nawet skąpe kaganki oświecić nie zdołały, bo lękano się, by światło nie naprowadziło zbirów do tych kryjówek, odbywały się te piekielne msze rozpachy, najstraszliwszej udręki, msze w rozbestwionej żądzy pomsty i najzażartszej nienawiści.

Zwalono i podeptano krzyż, a na ołtarzu ukazał się kozioł, odwieczny znak zodiakalny, kozioł Mandes Egipcjan, czarny kozioł pokuty Hebrejów, kozioł wszechwładca, w którego znaku dusze ludzkie wstępowały do niebios i zstępowały na ziemię, zarazem kozioł, symbol rozrodczej chuci, a potem rozpusty, jaką ludzkość się upijała, by o nędzy swej zapomnąć; kozioł — mściciel, który coraz straszniejsze i potworniejsze formy przybierał, im miał być większym postrachem dla znienawidzonego Kościoła.

I kozioł-Szatan, ulepiony z Bóg wie jakich form i elementów, rozbitych szczątków tych form, w jakich ta czarna potęga w najrozmaitszych religjach się plastycznie objawiała, stał się teraz naprawdę jedynym bogiem, a zarazem i arcykapłanem, i, aby oddać cześć temu, nad czem zapanował, to znaczy materji, całowano go w najmaterjalniejszą i najwięcej smrodliwą część ciała. I tak zwolna utworzył się teraz już całkiem skonsolidowany rytuał, polegający na doszczętnem wywróceniu naopak rytuału katolickiego Kościoła.

Święconą wodę zastępowała przy chrzcie uryna szatana, kadzidło — asa foetida lub dym jadowitych, smrodliwych roślin, kropidło — ogon koński, chleb — sperma męska, a krew Pańską krew menstruujących niewiast.

Liturgia sataniczna sama, to cały szereg magicznych zaklęć, które na ludzkość najstraszniejsze nieszczęścia zwalić miały, szereg najdzikszych przekleństw i złorzeczeń, a ktokolwiek zada sobie trud, by wniknąć głębiej w te najpoczwarniej poprzekręcane wykrzyki, zaklęcia, wywoływania, ujrzy z zdumieniem, że to tylko jedno wielkie zlewisko magicznych zaklęć w najrozmaitszych językach — począwszy od *Aie*, niewątpliwie wykoszławione *Evohe* Greków, poprzez liturgję Mitry, w której Boga chwalono nietylko szeregiem poszczególnych głosek, wygwizdywanych, ryczonych, wykichanych, wychrząkiwanych, a nawet wiatrami puszcanych, aż het do już jasno rozeznawalnych zaklęć praktycznej Kabbali żydowskiej, której tajemnic uczeni żydowscy pilnie strzegą i do tego stopnia, że tylko cośniedostawało się do rozmaitych grimorij i enchirydyj Zachodu.

Słowo, które w ustach maga było twórczą, niszczącą potęgą, a potem stało się tylko martwym, fonetycznym dźwiękiem,

nabierało pierwotnej siły i mocy w ustach jasnowidzącego, z pęt ciała wyzwolonego ciała astralnego czarownicy: bezsens stał się nagle przeraźliwym sensem, potężną bronią, a przeważnie narzędziem śmierci, skuteczniejszym, aniżeli najgroźniejsze *anathema* papieskie, najwięcej srogie i krwiożercze wyklęcia kościelne.

Papieże średniowiecza znaleźli w czarownicy bez porównania groźniejszą współzawodniczkę: jej pioruny istotnie zabijały — z gromów papieskich nic sobie już wtedy nie robiono.

Że podczas tej mszy, a może po jej ukończeniu, odbywały się niesłychane orgje, o tem nikt, który jako tako jest obeznany z ówczesną etyką seksualną — a nigdy nie była tak rozbestwioną, jak po on czas, kiedy każdy klasztor żeński według świadectw św. Brygidy był ohydny lupanarem — wątpić nie może. Zresztą orgjastyczne te obrządkie były uświęcone tradycją gnostycznych sekt, jak eutychanów, barborianów a przede wszystkim harpokratów. Opis tych orgij, który dał ojciec Kościoła, Hipolit drugi, wydawał się tylko chęcią spotwarzania gnozy, tymczasem prawowierna księga gnostyków, najważniejszy dokument gnostyczny, a raczej ewangelja gnostyków, *Pistis Sophia* ubolewa rozpacznie nad wynaturzeniem się gnozy w tem do najpotworniejszych konsekwencyj doprowadzonym uświęceniu materji, a zarazem pragnieniu wyzwolenia się z niej przez jej systematyczne niszczenie w najwyużdańszej rozpuście.

W tych niedostępnych, ostatnich kryjówkach na śmierć szczonego zwierza, jakim była ta biedna gromadka wszelakiego rodzaju heretyków, w nienawiści ku obcej, zniekształcająca własną wiarę, powstał niewątpliwie rytuał, jak również i liturgia obrzędów szatańskich, jakie odbywały się w Wogezach i Alpach francuskich, hiszpańskich Sierrach, w niemieckim Harzu na Brocken, a równocześnie na naszej Łysej Górze — obrzędów, znanych pod nazwą Sabatu!

I w tych kryjówkach, w atmosferze rozpaczliwej nienawiści, wśród bezustannych wieści, dochodzących z siól i miast, o coraz to nowych, potwornych zbrodniach sprawiedliwości boskiej, popełnianych na wyznawcach Czarnego Boga, a które o pomstę do ojca wszystkich nędzarzy i wydziedziczonych wołały, tworzyły się kadry wojska szatańskiego, istotne bojówki,

przeważnie z kobiet złożone. Przeciwno wojsku Boga Kościoła, stanęło wpogotowiu do ciężkiej, ukrytej, podstępnej walki wojsko Szatana Synagogi, gorliwie wspomagane przez zębami zgrzytających, gorzej od plugawego robactwa tępionych pariasów w tłuszczy cnoty i bogobojności porosłej ludzkości: a więc przez Żydów, Cyganów i trędowatych.

Kobieta, u której mózg maciczny z jego furją, rozpętanymi namiętnościami, zdolnością do uczuć takich nienawiści, takiej złości i chuci zemsty, jakich mężczyzna z swoim refleksyjnym mózgiem głowy odczuć nie jest wstanie, była główną sprężyną tych zgromadzeń, ich duszą i w rozszały bieg smaganą krwią inna rzecz, że mężczyzna był ich organizatorem i instruktorem.

Niewątpliwie istniały pod nadzorem jakiegoś istotnego czarnego maga, którego oczywiście tylko w najrzadszych wypadkach władza świecka, czy też kościelna ująć była w stanie, prawdziwe szkoły najpierwotniejszej czarnej magji, tak, jak istniały w XVII i XVIII wieku w Wogezach i Alpach Sabaudzkich szkoły, w których wychowywano małych dzieci zapomocą surowej askezy, somnambulizmu i innych, nieznanych dziś praktyk na jasnowidzów, proroków i natchnionych kaznodziei, a którzy w zdumienie współczesną ludzkość wprowadzali i poważne wyłomy w Kościele Katolickim czynili.

I w tych szatańskich konwiktach uczyła się czarownica zaklęć, których znaczenia nie rozumiała, ale nadawała im moc jasnowidztwa, uczyła się, jak astrozomę z ciała wyłaniać, odbierała recepty na sporządzenie tych jadowitych wywarów, które tak skutecznie ludzkość dziesiątkowały nie zapomocą pojedynczych zbrodni, ale wskutek wywoływania całych epidemij, a jeżeli dzisiejszy lekarz dumny jest, że umie wytworzyć sztuczną kulturę mikrobów, to czarownica umiała wywołać choroby, których li tylko towarzyszącem zjawiskiem są wszelkiego rodzaju laseczniki.

Tak twierdzi przynajmniej „*monarcha omnium arcanorum*“, monarcha wszelkich tajemnic, jak go współcześni nazywali, ojciec całej nowoczesnej medycyny, którego niesłychane znaczenie teraz dopiero naszym współczesnym świta, Theophrastus Paracelsus Bombastus, w swej książce: „*De peste*“: ten sam Paracelsus, który zerwał doszczętnie z całą ówczesną medycyną

i stworzył podwaliny do tej, która dopiero w naszych czasach poczyną się z ciemnych, gęstych mroków nieuctwa i głupoty dźwigać, ten sam boski Paracels, który twierdził, że jeżeli się gdziekolwiek czegoś nauczył, to u czarownic, katów, znachorów — owczarzy.

Paracelsus w istocie był wtajemniczony w praktyki czarno-księskie i czarownicze, dał całe mnóstwo ich recept, ale w takich obsłonkach i w tak tajemniczych symbolach, że jego rewelacje są raczej zaciemnieniem, i nie dziw: tak potężnie zwarta organizacja, jaką była sekta czarownic i czarodziejów, śmiercią każdą zdradę karała, i ta kara nie ominęła istotnie tego szczytowego monarchę: jedną noc został w tajemniczy sposób w Salzburgu zamordowany.

Dla okultysty sprawa ta jest całkiem zrozumiałą.

Czarownica żyła niejako na dwóch platformach — w naszym świecie widzialnym i w tym, który stanowi jego duszę, w świecie astralnym; opanowała do pewnego stopnia one astralne prądy tej tajemniczej siły, której grubem zmaterjalizowaniem: to nasze światło i elektryczność; mogła nimi poniekąd kierować, jak dziś nasz technik kieruje elektrycznością, posługiwać się nimi, by wywoływać wiry i burze, które się odbijały zaburzeniami na ziemi, jadem swej astrosomy je zatruwać, sprowadzać na ziemię epidemie.

Przecież i my mówimy o zatrutem powietrzu, tylko to nie powietrze zatrute, ale astralne fluidalne prądy, które zespuciu i zatruciu ulegają przez wojny, mordy, rozpustę, a usilnie przestrzega Paracels, przed powietrzem bydłobójni, lupanarów, kryjówek zbrodniarzy — aby uniknąć astralnego zakażenia.

A astralnym zakażeniem był niepojęty wpływ, jaki czarownica, gdziekolwiek się pokazała, na swe otoczenie wywierała. Ni stąd, ni zowąd zjawiała się nagle w jakiejś wsi, lub miasteczku, a nie upłynęło parę miesięcy, a już, jak twierdzi uczony demonolog Prierias, sekretarz papieski, przyprowadzała na sabacie dziesiątki niewiast, spragnionych chrztu szatańskiego, gorliwych wyznawczyń tej nowej wiary, z którą żadna porównać się nie da, bo z żadną nie było związanych tyle niehumanitarnych rozkoszy, żadna nie mogła tak nasycić swoim obrządkiem rozpetanych zmysłów — bo żadna nie posiadała święta nad wszelkie święta: święta

najwyuzdańszej rozpusty i ostatecznego nasycenia zgłodniałych demonów żądz — nie posiadała sabatu.

Sabat stawiał się tak piekielnym narkotykiem, wobec którego opjum wydaje się być niewinną zabawką, jakimś marnym surogatem, a czarownice baskijskie, badane przez wielkiego demonologa De Lancre'a jednogłośnie stwierdzają, że rozkosze, przeżywane na sabacie są tak niesłychane, iż czas między jednym a drugim wydaje im się całą wiecznością i nic nie da się porównać z tęsknotą, z jaką wyczekują znaku wyjazdu na tą mszę szatańską.

„Wszystko *ad maiorem Dei gloriam!*“ jęczał wyznawca Kościoła w krwawym, przeraźliwie ciężkim jarzmie duchowieństwa ówczesnego; „Wszystko ku większej chwale Szatana, na pohybel Trójcy Świętej, czerwonej *meretrix* Marji i jej bękarta Filipa!“ (tak Chrystusa nazywały) rżały w opętanym, niszczącym szale wyznawczynie jedyne go swego Boga Szatana — rozwścieczone czarownice.

I była czarownica nie tylko doskonałą i zapamiętałą truci-cielką, nie tylko umiała w zмовie z Szatanem, wężem, który się w ogon gryzie, a więc z zatrutym fluidem astralnym, wzniecać choroby i epidemie, sama wywoływać konanie na wolnym ogniu znienawidzonego osobnika z pomocą stapiania woskowego homunculusa; nie tylko była ukrytą sprężyną w hypnozie lub somnambulizmie nakazanych morderstw, usługną pomocniczą przy usuwaniu znienawidzonych małżonków, niewygodnych spadkobierców, zręczną akuszerką przy spędzaniu płodu; nie tylko umiała tak kierować astralnemi prądami, że wysuszała łąki i urodzajne łany żyt, wyniszczała trzodę chlewną, a bydło samem spojrzeniem zabijała, ale głównie była znienawidzona i lękana jako dzieciobójczyni — właśnie dlatego, że Chrystus tak dzieci ukochał, a ponieważ je kazał przyprowadzać do siebie, więc z dzikiem szyderstwem wysyłała mu je pomordowane, a żywe prowadziła na sabat i już w najrychlejszym wieku zaprawiała je w miłości i czci dla Szatana.

A swoją drogą potrzebowała gwałtownie dzieci, jak najwięcej dzieci: przecież najważniejszą ingrediencją jej maści i wywarów, to tłuszcz dziecka, mózdzek, wątroba, lub żółć, przystem ofiara dziecka, z którego buchającą żywą krew chwytiała

w fiole, flaszki i koneweczki, któremi polewała wywary jadowitych roślin, lub macerujących się kości wisielców i z cmentarzysk wygrzebanych trupów, była najmilszą jej panu i władcy.

A to zapotrzebowanie dzieci wzrosło jeszcze, gdy sabat przeniósł się do kościołów i klasztorów, a nawet, przeważnie do kaplic prywatnych książąt, zarówno duchownych i świeckich, kiedy to „czarna msza“ weszła w powszechne użycie.

Za czasów Ludwika XIV, jak świadczą akty „*Chambre ardente*“, specjalnego wydziału sądownictwa dla praktyk szatańskich, uprawiano po zaułkach Paryża jak najformalniejszy handel dziećmi — jedno dziecko kosztowało talara. Ktoby nie uwierzył, niech sobie przeczyta protokoły tego tajnego sądu.

Jedna sama La Voisin, czarownica i powiernica madame de Montespan, kochanki Ludwika XIV, wymordowała przy mszach czarnych przeszło 700 dzieci, a własna jej córka musiała się przed połogiem bardzo starannie ukrywać, by kochana babunia i jej dziecka nie zamordowała.

Co do liczby tych dziecięcych ofiar, a może i wyrafinowanego okrucieństwa, z jakim je mordowano, przewyższał La Voisin chyba tylko jeden Gilles de Rais, tak zwany *Barbe Bleue*, który temi zbrodniami chciał Szatanowi wyłudzić sztukę robienia złota.

Żaden spowiednik nie nasłuchiwałby się chociaż i przez najdłuższe życie choć w tysiącnej części tak potwornych zbrodni, jakie wysłuchiwał na każdym sabacie ten straszny, groźny „*Principe del regno doloroso*“, jak Dante Szatana nazywa: snąc go to już nudziło, bo jak jedna czarownica zeznaje, miał on minę wielkiego, ale znudzonego pana, minę obojętną i melancholijną, a ta wielkopańska mina stawiała się wtedy tylko groźną i straszną, tak, że czarownice drżały i trzęsły się z lęku, jeżeli któraś z nich nie zdążyła w międzyczasie nic więcej zdziałać nad wywołanie pomoru bydła, lub uroczenia jakiegoś dziecka, które matka nie zdążyła ochronić czerwoną chustką przed wzrokiem czarownicy.

Wtedy wpadał w straszny gniew, a pięście jego były jak młoty z żelaza, to też nie dziw, że niejedna czarownica, jak to często z ich zeznań wynika, musiała przez parę dni ten nieszczęśny sabat odleżeć.

Przeciwko tej piekielnej, przeklętej — „*nefandissima*“ — sekcje przybrał Kościół niesłychanie groźną postawę. Przez

trzy, czy cztery wieki, bo od końca XIV stulecia aż pod koniec XVIII, tępił z straszliwym, zaciekleńskiem okrucieństwem to szatańskie plemię, ale tępił naoslep, z tą dziką furją, jaka opanowała krzyżowców podczas wojen krzyżowych przeciw katarom. Gdy zdobyto twierdzę Maurilac, krzyczał jakiś mnich w świętem uniesieniu: „Wymordujcie wszystkich, Bóg już się rozezna, kto mu przynależy! *Caedite omnes, Deus cognoverit, qui sunt eius!*”

I wymordowano 40.000 mieszkańców, jedna żywa dusza nie pozostała, a wśród tych mieszkańców zaledwie połowa była katarami.

I wymordowano według tej samej sentencji około osiem milionów niewiast, wśród których drobny tylko ułamek stanowiły istotne czarownice, a między niemi jedna wspaniała i dumna baskijska czarownica, młoda i piękna Dejortzabel, która istotnie Szatana ukochała.

Gdy jej pacholek przyrzekł, że, jeżeli mu się odda, wypuści ją na wolność, splunęła mu w twarz z wyniosłą pogardą: „Ja, która byłam kochanką Szatana, miałabym się tobie oddać, marny służalcze sprawiedliwości ludzkiej?!”

I między niemi straszliwa Necato, jedna z najsłynniejszych czarownic z wzrokiem o tak piekielnej mocy, że siły jego nikt wytrzymać nie mógł, brodata, na całym ciele kłakiem czarnem obrosła, o głosie grubym, męskim, nieartykułowanym głosie charczących basów, a poza tem bez wyraźnej płci, bo była hermafrodytą. A tyle zbrodni popełniła i z takim szatańskim cynizmem się do nich przyznawała, że niedługo było potrzeba ją przesłuchiwać: starczyło tylko parę zeznań, by zgotować jej taką śmierć, aby istotnie czuła, że umiera.

To wszystko wydaje się tak niesłychanie niewiarogodnem i tak zdumiewajacem właśnie w tych czasach, w których niezwykle „cuda” się dzieją i za takie byłyby uznane jeszcze jeden wiek temu — dziś te cuda nazywamy „wynałazkami” — a nikomu nie przyjdzie na myśl, że większym cudem jest dzisiejsze szybowanie w powietrzu aeroplanem, aniżeli po on czas wskrzeszenie zmarłych lub, co się „czarem” nazywało: odwrotną stroną „cudu” — zabijanie ludzi na dystans.

Udało nam się po tysiącach wieków ujarzmić elektryczność, siłę znaną doskonale hierofantom egipskim i Mojże-

szowi, uda się niezawodnie może już za jakąś setkę lat ujarzmić tę siłę, którą okultyzm od kilku tysięcy lat zna pod nazwą „Od“, a wtedy będzie to wszystko, co dziś gusłami, czarami, przesądem nazywamy, czemś tak zrozumiałem i tak powszedniem, jak jest dziś siła elektryczna. A wtedy z całkiem innym zainteresowaniem będziemy się wczytywać w dzieła wielkich demonologów, którzy czarodziejskim praktykom, czarownic i czarodziejów grube tomy poświęcili. Wyobrażam sobie, z jaką zachłanną ciekawością będą studjowane dzieła Prieriasa, *De demonomania* Bodinusa, *Disquisitiones magicae* — Del Rio, dzieła Grillanda, Sinistrari d'Ameno o sukubach i inkubach; a przede wszystkim Glanvilla: *Sadducismus triumphatus*, i de Lancre'a: *De l'inconstance des demons*!

To wszystko, co dziś jeszcze jest ciemną, zawikłaną zagadką, spowitą w nieprawdopodobne tajemnice, wtedy się niewątpliwie rozjaśni, a z ciężkim wstydem przyjdzie nam żałować, że tak przedwcześnie nasz głupi i śmieszny sąd o czarownicach wydaliśmy.

W tym pobieżnym szkicu o czarownicach mogłem oczywiście zaledwie rąbek tajemnicy odsłonić, ale sądzę, że wskazałem ścieżkę, na której, usilnie i wytrwale krocząc, już teraz znaleźć można możliwość, narazie przypuszczalną tylko, by dotrzeć do jądra tej zdumiewającej zagadki.

Ludzkość dziś się już w znacznej mierze wyleczyła z tej wścieklej neofobji, która kazała jej się wyśmiewać z każdego nowego odkrycia: przecież chyba wiadomo, na jakie prześladowania byli narażeni wielcy rewelatorzy, z jaką nienawiścią prześladowano wszystko, co zdawało się wywracać na ręby ustalone przekonania. Od czasów, gdy człowiek siecią telegraficzną odrutował ziemię, gdy elektrycznymi prądami powietrza potwierdził okultystyczną naukę o telepatji i o telekinezji, gdy zdołano powietrze do tego stopnia opanować, że żegluga powietrzna pewniejsza, niż wodna — ludzkość spokorniała.

A tę ludzkość czeka jedno olbrzymie odkrycie: tej tajemnicze siły astralnej, niewidzialnej, zaledwie przeczuwalnej w promieniach radioaktywnych i röntgenowskich, a wtedy cały okultyzm przestanie być okultyzmem i problem czarownicy tak samo rozwiązany zostanie, jak transmutacja metalów — a sabat nie będzie stanowił większej zagadki od stworzenia kamienia filozoficznego.

XXII.

Owocem tych moich po on czas bardzo jeszcze pobieżnych demonologicznych studjów była obszerna broszura: „Synagoga Szatana“ — i od tego czasu przylgnął do mnie przydomek „satanisty!“

Ten „satanizm“ rozślawił moje nazwisko, a raczej osławił niesłychanemi anegdotami. Raz zrobiono ze mnie przecież hierofantę jakiejś sekty satanicznej, czy też paladystycznej, utrzymywałem ponoć bliskie stosunki z miss Diana Vaughan i Leonem Taxilem i byłem oczywiście uczestnikiem „czarnych mszy“ i powiernikiem samego Baphometa i znalazł się nawet w Niemczech swoją drogą bardzo poczytny pisarz Landau, który w swej powieści uwiecznił mnie jako prowodyrę sekty lucyferjanów.

Jakie to wszystko niepojęte w swej potwornej głupocie! a może tylko system oglupiania z strony krytyków ich czytelników, brudne *Te Deum* obłudy, fałszu i kłamstwa tych, którzy tak gwałtownie ubić mnie pragnęli.

Bo czem był w istocie samej ten mój „satanizm“, który może najsilniej ujawnił się w mej młodocianej powieści „Dzieci Szatana“, pisanej w tym samym czasie, w którym pisałem „*De profundis*“, „Na drogach duszy“, „Synagogę Szatana“ i ostatni tom „*Homo Sapiens*“ — „W Malstromie“?

W czem polega ten mój „satanizm“?

Ducha buntu, Prometeuszowego ducha, który jest patronem i godłem wszystkich duchów wolnych, nie dających się wepchnąć w jarzmo tego wszystkiego, co dla społeczeństwa jest pożytecznem i jedyną prawodawczą normą, nie dającego się pętać kajdanami ciasnego, rachitycznego dogmatyzmu, a spragnio-

nego coraz wyższego doskonalenia się — oczywiście kosztem urzędowej etyki — wprowadzenia ducha ludzkości na słoneczny dzień Wolności — nazywają urzędowe kościoły „Szatanem“, „Lucyferem“, „Baphometem (czytaj odwrotnie a otrzymasz: tem. o. h. p. a., to znaczy *templum omnium hominum pacis abbas*: *Templum* — zakon templarjusz) otóż temi symbolami posługują się twórcy, którzy wywracają dogmaty, a przynajmniej zapuszczają się w dzierżawy, przeobszerne dzierżawy duszy ludzkiej, wyklęte najsroźszymi anathematami i interdictami dogmatyzmu.

Ten mój „satanizm“ to nietylko to huysmansowskie „*A rebours*“, ale nawskroś rodzime, polskie *Liberum veto*, tylko nie to *veto* spodłonego warcholstwa, ale to szczytne, geizyrem ukropu buchające Mickiewicza:

„Ja wydam Tobie krwawszą bitwę, aniżeli Szatan,
On walczył na rozumy, ja wyzwę na serca.“

„Cóż Ty większego mogłeś zrobić Boże?

Przyszedłem zbrojny całą myśli władzą,
Tej myśli, co niebiosom Twe gromy wydarła,
Śledziła chód Twych planet, głęb morza rozdarła,
Mam więcej, tę moc, której ludzie nie nadadzą,
Mam to uczucie, co się samo w sobie chowa
Jak wulkan tylko dymi niekiedy przez słowa.“

Ten mój „satanizm“, to wiara Słowackiego, że nie Bóg, tylko duch ludzki może czynić cuda. „Bóg, kiedy z Noem uczynił przymierze, rozwieszając tęczę nad wodami, zaklął się, że więcej cudów czynić nie będzie, że praw, przez Ducha nadanych Materji, nigdy nie naruszy, ale Duchowi da za podstawę Wolności, a złamanie tych praw sile własnej Ducha światowego pozostawi“.

I ten mój „satanizm“ przedstawia się w mickiewiczowskiej parafrazie nauki Boehmego w ten sposób:

„Jedna z iskier, wychodząca z mrocznego ośrodka Bóstwa, wyniosła się do stanu płomienia, a płomień ten tworzył indywidualność silną, anielską, lub archanielską i t. d. Jedna z tych indywidualności, stanowiąca część integralną Bóstwa, mająca zatem wolną wolę, uczyniła, gdy przyszła do apogeum swej siły, akt przeciwny Wszechogółowi Stworzenia (wszechogół Mickiewicza, to „pełnia ojcowskiego łona“ Słowackiego — świat

idei według Platona, Pleroma gnostyków), chciała się sama miast Boga stać ośrodkiem stworzenia. Ten to Duch, mający jak Prometeusz przeświadczenie swojej siły, nie chciał jej podać Wszechogółowi i stał się w ten sposób jego wrogiem — Szatanem. Szatan jest twórcą widzialnego świata, a świat ten jest wynikiem działania „Buntu”. Źródłem powstania tego świata, jest w o l n a wola duchów, zrywających jedność z Bogiem przez pychę: wolna wola, którą te duchy posiadają, jako części integralne, emanacje ducha Bożego. Idee, które zapragnęły stać się Absolutem, popełniły grzech pierworodny. Byt materialny jest zatem wynikiem grzechu pierworodnego — a życie grzech ten winno zmazać.“

Bunt dał początek Materji.

A sprawcą tego Buntu był Szatan!

Dlatego gnostycy uważali Boga Starego Testamentu za niższego Eona, Demiurga, lub wprost Szatana.

I do tego Szatana, twórcy świata materialnego, Prometeusza Helady, którego Byron pierwszy wywłócił z ciasnoty dogmatycznej w Kainie, modli się i Beaudelaire, i Verlaine, a tryumfalnym krzykiem do tego dobroczyńcy ludzkości i opiekuna wszelakiego wyzwolenia bucha wspaniały hymn Carducciego:

*„Salute, oh Satana!
O rebelione,
O forza vindica
De la ragione!
Sacri a te salgono
Gl'incenzi e i votti!
Hai vinto il Geova
Dei sacerdoti.*

(Część Ci, Szatanie, Buncie z przedwieczy, Potęgo zemsty, W myśli człowieka]. Hymny do Cię płyną i dymy godowe, Boś kapłańskiego Zgnębił Jehowę.)

Satanizm mój to ciężki, krwawy przebolesny ból Bytu, który przeczuwa Nieśmiertelność i Nieśmiertelność tworzy i urąga Bogu „Wszechogółu“, który tam:

*„— — mądrze i wesoło
Zawsze rządzisz,*

*Zawsze sądzisz,
I mówią, że Ty nie błądzisz!"*

Satanizm mój, to ciężkie zwątpienie, że

*„Bólem jest wiedza. Ten, kto wie najwięcej,
Najgłębiej czuje tę prawdę okropną,
Że drzewo wiedzy nie jest życia drzewem...”*

I satanizm, jeżeli chcecie, to ten „wieczny rewolucjonista, pod męką ciał leżący Duch,” który mniema, że „prawa natury nie są wieczne, ale mogą być siłą ducha przełamane, a duchy nieśmiertelne:

*— — w co tylko wierzą,
Nawet, że globy w słońca zapalą,
Nawet, że ruszą ciała z mogiły,
Wszystko mieć będą, w co uwierzyły.”*

I ten satanizm, to drwiące słowa „Tłumacza Słowa“ do Heliona:

„Ludzie nieużyteczni nikomo, którzy kilka dusz jałmużną splamili, kilka ranków w kościele przekłęczeli, zamknęli się w własnym cieple, niby ślimacy, — odjęli światu siłę, jaką mieli, światło, z jakim je Bóg m o ż e przysłał na ziemię... I po kilku milionach milionów lat spodziewasz się znaleźć gdzieś zachowane na wieczność te karykatury ludzkości, odpowiadające aniołowi sądu, który je zapyta o wiarę, że nie wiedzą, jaka jest, ale ją sądzą taką być, jaka była w uczonej teologicznej głowie księdza spowiednika.

„Cóż? Czy nie rozśmiejesz się serdecznie na dobroduszość tych mieszkańców wiecznych wieczności?”

Tym biednym, mało — i dobrodusznym duszyczkom rzuciłem w twarz moje zapamiętałe: „Mydlarze!”

Ale „satanizm“ w tym pojęciu wydaje się być nauką hermetyczną, zamkniętą na siedem pieczęci — oczywiście w pierwszym rzędzie dla dziennikarskich krytyków i historyków literatury.

Ich „satanizm“ — innego nie pojmują — to niesłuchanie głupia i beczelna blaga Leona Taxile’a i jego iluzorycznej, prawdopodobnie wcale nie istniejącej pomocniczki, miss Diana Vaughan: potworna blaga, której na lep pozwolił się wziąć

nawet Watykan. W istnienie djabła i najrozmaitszych sekt, które go obecnie — w naszych czasach — wyznawają — uwierzyło na podstawie dzieła Taxile'a: „*Le diable au XIX-ème siècle*“ całe gremjum kardynałów i ono to musiało ponieść ciężki i bolesny srom, gdy je w parę lat później Taxile w niemiłosierny sposób wykpił, a dzieło swoje uniewinnił pozorem „najgenialniejszej mistyfikacji“ Kościoła, na jaką się dotychczas mózg ludzki zdobył.

Ciekawe, że na tym polu „genjalnej mistyfikacji“ właśnie w tej wierzeniowej dziedzinie znalazł Taxile godną siebie rywalkę: madame Blavatsky — ta tylko różnica, że Taxile zdołał zahypnotyzować li tylko Kurję Apostolską, natomiast stare medjum Blavatsky całą setkę tysięcy teozofów. Ale już wolę djabła Taxile'a, bo ma za sobą wspaniałą, tysiącnowieczną tradycję, a te mahatmy Bławackiej to bardzo kiepscy „*nouveau-riche's*.“

Och! jak mi przykro rozwiać jedną z najwięcej interesujących legend, które się naokoło mnie owijały. Ten cały mój satanizm, pozbawiony uczestnictwa w czarnych mszach, doszczętnie wyzbyty potwornych, orgjastycznych seansów, odarty z całego uroku tajemniczych obrzędów, zbrodniczo-sadystycznych zakusów, ten mój satanizm bez kradzieży i plugawienia świętych hostyj, bez krwi chociażby przed czasem na świat przyszłych embrjonów — co to za biedny, suchy, prozaiczny satanizm!

A szkoda, szkoda, że nie mogę się pochełpić ani przynależnością do jakiejskolwiek sekty, która na tronie Boga osadziła najwspanialszego z jego aniołów — potężnego Samjază: on pierwszy podniósł bunt przeciw Bogu i na ziemię strącony został! Mało znam dekarchów jego orszaku, takiego np. Aza-zela, który nauczył ludzi sporządzać miecze i noże, tarcze i pancerze, a równocześnie otworzył im oczy na bogactwo i wartość drogich kamieni, kobietom dał do rąk szminkę, pokazał im, jak mają sobie czernić brwi, a karminem wargi smarować — wskutek czego powstała według księgi Henocha (rozdział 7, 2—8) ogólne bezbożne błąkanie się po najzdradliwszych drogach, rozpusta i wzajemne mordowanie się. Bliższy jest mi już Baragiel, który bieg gwiazd tłumaczył i wpływ ich na ród ludzki; cośnecoś dowiedziałem się od Kokabiela o niesłychanem zna-

czeniu Zodzjaka; Asdariel zdradził mi tajemnicę powstania alfabetu hebrajskiego na podstawie zmiennych faz księżyca; u Tamielea liznałem coś z nauki astrologji; Amiziras wtajemniczał mnie w upiorne cuda, jakie o północy w *aequinocetium* w wszelakich roślinach się odbywają, ale przeraziłem się, gdym wraz z Henochem ujrzał, jaki piekielny anarchizm wytworzyli na ziemi ci strąceni aniołowie.

Patrząc obecnie na orgje bolszewizmu, przypomina mi się wszystko, com wtedy ujrzał.

Każdy z tych dziesięciu najwspanialszych aniołów po-
pełniał zbrodnie bez liku i miary.

Piękność ziemskich kobiet spowodowała ich do buntu przeciw Bogu, bo zapragnęli je posiąść i dzieci z niemi spłodzić.

I napłodzili dzieci bez liku, straszliwych gigantów, a każdy z nich był trzy tysiące łokci długi, którzy wszystko pożarli, co trud ludzki stworzył, a gdy już nic nie pozostało, zaczęli sami siebie wymordowywać, tak, że cała ziemia stękała i jęczała wskutek tych straszliwych zbrodni, a stęk i jęk był tak straszny, że dotarł do tronu Bożego.

I Bóg powołał do siebie Michała, Uriela, Rafała i Gabrijela, a zwracając się do Rafała, rozkazał mu, by największego zbrodniarza Azazela — rozpustnego uwodziciela kobiet, który ich wszystkich sprośności wyuczył, który rozbudził w nich próżność i pustotę, kłamstwo i fałsz, — związał i spętał na rękach i nogach, wrzucił go do ciemnicy, otworzył naoścież pustynię w Dudael, zwałił na niego ostre skały złomy, odwrócił go twarzą na ziemię, aby nigdy już światła nie ujrzał.

On to, najniebezpieczniejszy i najsprośniejszy z aniołów, stał się przyczyną zepsucia i zgnilizny co dopiero stworzonego świata. On był ojcem miłosnego obłędu, który krwią mózg zalewa i z mędrca robi głupiego błazna, z bohatera nędznego tchórze, łagodnego baranka przemienia na krwiożerczego tygrysa, świętego na chutnego byka — z łagodnej niewiasty czyni wściekłą hienę, czystość wywraca na ręby, tak, że się staje plugawą gnojówką, a niewinne, anielskie oczy rozplómienia żarem najgorętszej rozpusty.

Ale na nic się nie zdała kara, jaką Bóg zesłał na Azazela, boga ziemskiej miłości, pragnień, pożądań, rozpusty, krwio-

żerczych namiętności, boga najwyszukańszych sideł, jakiemi samica samca i naodwrot samiec samicę pęta, boga zdrady, przewrotności, niechlujstwa i kłamstwa i fałszu: zbyt głęboko zapuścił swoje korzenie Azazel, a mimo, że Bóg przez Asarjaljora, syna Lamecha, zwiastował ziemi potop i zagładę i groźbę swoją wykonał, nic się od tego czasu nie zmieniło.

Ten sam wkoło opętany taniec Miłości i Śmierci, Zbrodni i Rozpusty! Azazel wydobył się z pustyni w Dudael, a nigdy nie był potężniejszym, jak w naszych czasach!

Jednemu tylko podlega: temu, na którego Bóg nie odważył się targnąć, na tego, którego b u n t dał początek Materji, a któremu na imię:

Samjaza — Szatan — Lucyfer.

Nie spisał się archanioł Michał, któremu Bóg poruczył zniszczenie Samjazy — pewnoć to on, Samjaza, który zawarł śluby z gnostyczną Achamoth — Tęsknotą!

Rzadko która apokalipsa — a jest ich wiele (między innemi cały twór Dostojewskiego) — zrobiła na mnie tak potężne wrażenie, jak ta księga Henocha, nawiasem mówiąc boskie źródło, z którego czerpał całemi garściami Dante, gdy tworzył swoją „Boską Komedję!”

A i dla mnie księga ta — źródłem mojego biednego „satanizmu” — he, he — w Henochu odnajdziecie mój satanizm.

XXIII.

O Dostojewskim wspomniałem.

Tu tylko jeden nakaz czuję w całym sobie: Na kolana!

W Krystjanji, dzisiejszem Oslö, zapoznałem się z sekretarzem poselstwa rosyjskiego — nazwisko jego wypadło mi niestety z pamięci — i on mi dostarczył całego Dostojewskiego w tłumaczeniach francuskich Halpern-Kamińskiego, jeżeli się nie mylę, i w świetnem tłumaczeniu na język duński.

Znałem dotychczas tylko „Winę i karę“, teraz poznałem „Biesy“, „Bracia Karamazów“, „Idjotę“, jego nowele, a między innemi przedziwnie piękną „Krotkaja“; czytałem to wszystko bezustannie, miesiącami całemi, czytałem od początku do końca, i naodwrot zacząłem i jednym tchem dążyłem do początku, i wtedy to przeżywałem najcięższą tragedję w mojem życiu twórczem.

Wyjść poza Dostojewskiego, to znaczyłoby zrównać się z przepotęzną Dwój-Jednią, jaką on stanowi wraz z Szekspirem — dla mnie stanowią obydwa równe potęgi — „*lasziate ogni speranza*“ — jak się ma tylko zwykły talent, a i o tym talencie bezustannie powątpiewałem — wkroczyć choćby w ostatni rejon genjuszu Dostojewskiego: na to trzeba było całkiem innego zasobu sił twórczych, jakeimi ja rozporządzałem. Ręce mi opadły, szarpnąłem się, by stworzyć psychologję młodocianego, niedowarzonego anarchisty-nihilisty w „Dzieciach Szatana“, a potem dałem sobie na długi czas spokój — już potem przez kilka lat żadnej powieści nie pisałem, dopóki nie zdołałem otrząść się z przemożnego wpływu, jaki Dostojewski na mnie wywierał — wywierać nie potrzebował, bo aż nadto z jego duszy tkwiło we mnie samym.

Tem się może tłumaczy zdumiewający fakt, że tysiąc razy jestem popularniejszy w Rosji, aniżeli w własnej Ojczyźnie. Zaczem Polska coś o mnie wiedziała, już Rosjanie tłumaczyli mój twór na język rosyjski, a ubiegli ich w tem — Czesi!

Przez Pragę Czeską dostałem się do Polski.

Można sobie wyobrazić moje radosne zdumienie, gdym otrzymał pewnego dnia — tam wysoko na północy w Kongsvinger — pięknie wydane tłumaczenia czeskie i „*Requiem aeternam*“ (*Totenmesse*) i „Wigilij“, a równocześnie gorące zaproszenie do jednego pisma, poświęconego w Czechach „nowej“ sztuce: *Moderni Revue*. Do głębi byłem wstrząśnięty serdecznym i uwielbienia pełnym listem redaktora tego pisma — Arnosta Prohaski — nie byłem w stanie pojąć, że parę moich utworów mogło tak głęboki wpływ wyrzucić na kształtowanie się „nowej“ sztuki w obcym kraju.

I odtąd pozostawałem w najbliższej styczności z Czechami; nie było jednego numeru miesięcznika, swoją drogą świetnie redagowanego przez wyżej wspomnianego Arnosta Prohaskę, któryby nie zawierał jakiegoś mojego utworu.

Wszystko, com już odtąd napisał, pojawiało się w czeskim języku, a z najznamienniejszymi twórcami Młodych Czech łączyły mnie serdeczne i bliskie stosunki, z Arnostem Prohaską, Jerzym Karaskiem z Lwowie, Stanisławem Neumanem, a przede wszystkim z rychło zmarłym, wielkiej, a świętej pamięci Hlavackim.

Poznałem wtedy olbrzymi twór Otokara Brzeziny, jednego, który w całej Słowiańszczyźnie może stanąć obok Kasprowicza; poznałem Antoniego Sovę i Machara, a za pośrednictwem Przesmyckiego poznałem całą potężną twórczość Zeyera.

Jeżeli Czesi, jak bezustannie mnie zapewniają, mają mi dużo do zawdzięczenia, to i naodwrot poczuwam się wobec nich do głębokiej wdzięczności. Jaką to olbrzymią satysfakcję sprawiało mi wtedy to przeświadczenie, że mój ubożuchny twór mógł oddziaływać na twórców, którzy wtedy — według mego mniemania — przerastali mnie o całe niebo!

Mikromanja! A może i nie! Z najgłębszym uwielbieniem korzę się przed Otokarem Brzeziną, z głębokim szacunkiem odnoszę się do Zeyera — drogim, ukochanym druhem jest mi

Jerzy Karasek, z którym przed paru laty dużo długich godzin razem spędziłem w takim serdecznym porozumieniu, jak rzadko z którym artystą — nieskończenie drogi mi jest Arnost Prohaska, z którym prawie przez ćwierć wieku w stałym, dla nas obojga niezmiernie płodnym kontakcie pozostawałem — klęczę z głęboką miłością nad mogiłą twórcy „*Prostibolo Duse*“ Hlavačka, składam cześć Stanisławowi Neumanowi, który miał odwagę drukować „Synagogę Szatana“ — austriacka cenzura pozwoliła mu zaledwie jedną dziesiątą część wydrukować — a, pominiawszy wszystko, co mnie osobiście z bogatą, hardą, dumną i wpoprzek istniejącym kanonom młodą sztuką Czech wiąże, mam Czechom do zawdzięczenia, że przez nich dowiedziała się Polska, iż istnieje jakiś Polak, wprowadzie piszący narazie po niemiecku, ale podkreślający z jak największym naciskiem w listach do swoich współpobratymców, że jest tylko Polakiem, a posługuje się niemieckim językiem, by móc wyżyć, bo w Polsce samej nie było dla niego miejsca.

A miejsca tego nie znalazło się dla mnie nawet w pięć lat później, gdy do Polski zjechał.

I tak się zdarzyło, że przebywał po on czas w Pradze młody literat polski, Maciej Szukiewicz. Jakaż ciężką przykrość mi sprawił, gdy pierwszy list, który do mnie wystosował, napisał w niemieckim języku, boć pewno myślał, że należę do tych licznych renegatów, od których wtedy Wielkopolska się roiła.

Byłem szczęśliwy, że mogłem mu po polsku odpowiedzieć, iż jestem rdzennym Polakiem, a piszę po niemiecku jedynie dlatego, by w jakiś sposób koniec z końcem związać.

I odtąd nawiązała się między nim, a mną serdeczna korespondencja. W kilkunastu listach namawiał mnie, bym do Polski powrócił, ale nie mógł podać możliwości zarobku dla artysty, którego przyszłość w Polsce zbyt czarne nadzieje rokowała.

Paderewski ogłosił po on czas konkurs na najlepszy dramat współczesny — pocziwy Szukiewicz przetłumaczył „Dla szczęścia“ — i, aczkolwiek jestem mu bardzo zobowiązany za jego trud — przetłumaczyłem go ponownie sam — ale to na nic: „Dla szczęścia“ nie uzyskało nawet „*mention honorable*“ — ponoć nawet nie było czytane. „Zaczarowane koło“ Rydla wyparło poza nawias mój biedny dramacik.

I już teraz, kiedy Szukiewicz w kawiarni Turlińskiego mógł wszem wobec dać bliższe wieści o Przybyszewskim, jako, że jest Polakiem, a tylko z musu posługuje się językiem niemieckim, kiedy jał tajemniczo opowiadać o grozie „*De Profundis*” i o „Dzieciach Szatana” i „Synagodze Szatana”, rozpoczęły do mnie napływać listy z Krakowa, a między innymi rozkoszne swoim rozmachem, bolszewickim rozpędem nieokielznane, nieskładne, na ciężki ból zębów chorujące listy Neuwert-Nowaczyńskiego.

Pisane na świstkach papieru, pełne wykrzykników, a takie drogie i takie w całej swej rozhukanej naiwności dobre i serdeczne!

Co za olbrzymia szkoda, że tych listów nie posiadam! Może w żadnym jego tworze nie ujawniła się tak kochana dusza Adolfa, jak w tych młodzieńczych „wściekłym” entuzjazmem płonących listach 20-to letniego chłopaka.

Z jaką miłością ja te jego listy czytałem — próbował nawet przetłumaczyć moje „Wniebowstąpienie”, ale to tłumaczenie było pod psem — natomiast analiza „Dzieci Szatana” całkiem doskonała: w zachwyt wprowadził go tytuł jednego rozdziału „Król Nowego Syonu”.

I pisywał listy — bardzo, bardzo piękne, ale niezmiernie trudno było ich sens zrozumieć — zaczęł ktoś kolwiek mógł jeszcze śnić o futuryzmie — każdy list jego był nadfuturystycznym: jeden piękny frazes — wykrzyknik — jedno wściekle bluzgnięcie na Kraków — wykrzyknik — jedno słowo uwielbienia — wykrzyknik — żygnął w stronę literatów polskich czy to w *Głosie Narodu*, czy też w *Życiu Szczepańskiego* — wykrzyknik — i jak ja tego człowieka nie miałem pokochać?!

Kochałem go nawet wtedy, gdy mnie wstawił w piekielnie przykre położenie, bo po zamordowaniu cesarzowej Elżbiety wykrzykiwał: „*Vive l'anarchie!*” Mało co brakowało, a Austrija byłaby mnie z Krakowa wyrzuciła, jako że ten okrzyk rozdarł ciężkie powietrze jakiejś nocnej kawiarni w mojej obecności; ten sam okrzyk, który i Jerzy Żuławski posłyszał, a wobec czego stryj jego, słynny psychiatra, wyparł się wszelkiej łączności z swoim siostrzeńcem.

I właśnie, że tak Cię kocham, mój słodki robaczku, przykro mi rozwiać legendę, jakobyś Ty mnie do Polski sprowadził — poco Ci to było pisać?

Och, och, och! Całkiem inną drogą do Polski się dostałem:

Jak żywo stoi mi przed oczyma mej duszy jakiś dwudziestoparoletni młodzieniec, już po on czas z długą czarną, jedwabistą brodą, już po on czas — co mnie bardzo zdumiewało — z porządną łysiną i jakimś dziwnym wyrazem twarzy. Jakby to określić? — Była w niej wielka dobroć, i dziecięcia naiwność, chwilami nawet coś z kapłańskiego namaszczenia, mesjanistyczne natchnienie, a znowu raz po raz przebliski czegoś dziwnie zafartego, obłądnego, całkiem niepojętego dla mózgu, przyzwyczajonego operować tabliczką mnożenia według Adama Riese.

W całym mojem życiu, tak zdumiewająco nieprzystosowaniem do logiki życia nawet „niezwykłych“ ludzi, nie znalazłem tak wspaniałego rywala, jak w nim jednym:

Tadeuszu Micińskim!

A poznałem go w ciekawy sposób.

Pracowałem wtedy nad demonologją, satanizmem — he — he — i pokrewnymi naukami w bibliotece berlińskiej. Dotychczas otrzymywałem wszystkie dzieła w tym zakresie bez najmniejszej zwłoki, bo po on czas nikt przecież się tem nie zajmował, prócz może jakiegoś wielkiego Kiesewettera, który tej bibjoteki nie potrzebował, bo odziedziczył tak bogatą bibjotekę okultystyczną po swym pradziadzie, generale rozenkreutzerów, jaką się nawet *British Museum* poszczycić nie może.

Wtem ktoś mi pod nosem wypożyczał najwięcej upragnione przezemnie dzieła.

To mnie już jęło boleśnie intrygować, bo przychodziło mi na jedną książkę, na jaką z upragnieniem czyhałem, — miesiące całe czekać.

A nagle jednego dnia przy stoliku, przy którym zamówione książki się odbierało — donośny głos bibliotekarza:

„Thadeus Miciński — hier: „Geschichte des Teufels“ von Roskoff.“

A równocześnie zwrot mojej kartki z zamówieniem:

„Herr Przybyszewski — „Geschichte des Teufels“ von Roskoff soeben ausgeliehen“.

A o tego Roskoffa tak mi strasznie chodziło — tak mi ten Roskoff był potrzebny.

Spojrzałem w stronę Mińskiego, który się z miejsca nie ruszył, tylko z dobrotliwym, ciekawym uśmiechem mi się przyglądał.

„Tak Panu zależy na tej książce?” zapytał po polsku.

Byłem zdumiony, że ktoś w Bibliotece Państwowej w Berlinie przemawia w języku polskim.

„Pan Polak?” (moje radosne zdziwienie!)

„Tak! i to taki, który zna Przybyszewskiego.”

Hej, hej, drogi Tadeuszu!

Dałeś mi, dałeś Roskoffa — nietylko to — ale w długich godzinach wspólnych spacerów poprzez berliński „*Tiergarten*” otwierałeś mi naociecz bramki, ciasne, bardzo ciasne przesmyki do zaułków Twej duszy, w których się nieraz gubiłem, odmykałeś zgrzytające, zardzewiałe rygle od zamków do stęchłych, spleśniałych krążganków, w których Ty sam się gubiłeś, opowiadałeś mi treść Twoich dziwacznych dramatów. Strasznie to było naiwne, a równocześnie tak przykuwające moją uwagę niesłychaną hipertrofią pomysłów, że raz całą noc przepielgrzymowałem przez ogromny obszar „*Tiergartenu*” bez najmniejszego znużenia, wsłuchany w ten dziwaczny, niesłychany, niepojęty rozgwardjasz dzikiej, tropikalnej, egzotycznej dżungli Twego mózgu.

I możeś przed nikim, drogi Tadeuszu, nie zdradził docna tajemnic Twej duszy, jak przede mną. Śpij spokojnie — ja ich nie zdradzę.

A dusza jego była, jak morze — łagodne, dobrotliwe, słodko rozesłane, to znowu nieokiełznane, wzburzone, pniące się oszalałymi bałwanami, dyszącymi chorą pianą wściekliczny: morze biczone, smagane, nieświadome zaco cierpi, dlaczego niszczyć i burzyć musi! Ileż go razy widziałem nad brzegiem Atlantyku — tam na krańcu zatoki Biskajskiej, kiedy zrywał z siebie koszulę i wpół nagi wyciągał ręce i krzyczał w gorącym uniesieniu ku Oceanowi, który na sto metrów podrzucał olbrzymie fale w górę na „*Silho blanco*”!

Pisał pociemku — nie znosił światła podczas pisania — nigdy nie byłem w stanie pojąć, jak mógł te groteskowe gzygzaki,

jakie podczas pisania w zupełnej ciemności na papier rzucał, potem odczytać — a pewno, że na jawie je inaczej odczytywał: na jawie czekała go ciężka męka — a najcięższa: zrozumieć to, co w transie napisał.

Tyle się słyszy głupich bredni o piszących medjach — Orinoko głupoty: czytałem tysiące „wypocin“ mózgów tych medjów — jedna idjotyczniejsza od drugiej — głupie, bezsensowe, płaskie — tego wszystkiego w rachubę się nie bierze.

Jedynem istotnie na wielką miarę skrojonem „piszącym“ medjum, czasami sięgającym krańców genialności, o rozpiętości duszy tak olbrzymich rozmiarów, że się bezustannie rwała, kurczyła, w bolesnych konwulsjach zwijała, był — Tadeusz Miciński.

Niczem wizjoner Swedenborg, w którego Miciński tak żarliwie się wczytywał — wobec tych niepojętych, chwilami, całkiem niezrozumiałych, chwilami może nawet śmiesznych i obłąkanych wizyj, jakie miewał Miciński i je swojemi gzygzakami na papierze — wszystko jedno jakim — czasami nawet na tym, w jaki mu funt cukru owinięto — bezświadomie pętał.

Co się wtedy przez tę biedną męczeńską duszę wielkiego, ale piekielnie nie zrównoważonego artysty nie przelewało! i losy biednej, nieszczęsnej jakiejs nauczycielki, i tajemnice pałacu magnackiego, w którego podziemiach odbywały się potworne msze szatańskie, a na górze najczystsze misterja dusz z ciał wyzwolonych: poryki, gwizdy, rozpustą rozwydrzone śmiechy zlewały się w dziki hymn wraz z kajającymi się, na kolanach czołgającymi się modlitewnymi antyfonami najpokorniejszych świętych: noc dzień pożerała, a ledwo świt wstał, już schłonał w ogniste swe piekło błogosławieństwo dnia — a z jak otwartego pieca, w którym kruszec się topi, lała się lawa ognia na jedną i drugą stronę, rozbryzgiwała się w potokach i strumykach, a żadnego wspólnego łożyska znaleźć nie mogła.

To było straszną i krwawą tragedją twórczej duszy Micińskiego!

Rzadko która dusza twórcza tak mnie zaciękawiała, tak mi była bliska, a równocześnie daleka, tak mnie ku sobie pociągała i odpychała swoim niesamowitem dziwactwem, którego krętymi drogami wciąż jeszcze stąpać usiłowałem, jak dusza tego niezwykłego twórcy.

Właśnie wtedy powołał mnie wydawca — nazwisko jego trzeba upamiętnić: Wrede — otóż ów Wrede ściągnął mnie z Norwegji, bym objął kierownictwo okultystycznego pisma, które po likwidacji „Sfinksa“ wielkiej i świętej pamięci Hübbschleideny ochrzczone zostało na „*Metaphysische Rundschau*“.

Z radością zgodziłem się na propozycję p. Wredego, zjechałem do Berlina i objąłem redakcję.

Porozpisywałem na wszystkie strony listy, proszące, błagające, zachęcające, ale na wszystkie otrzymywałem rozpaczne odpowiedzi: p. Wrede jest znany z tego, że nikomu żadnego honorarjum nie płaci.

Można sobie wyobrazić mój ciężki wstyd, gdy mi tak poważny okultysta, Karol du Prel, na moje zaproszenie, by wziął udział w współpracownictwie tej „*Metaphysische Rundschau*“, odpowiedział długim i serdecznym listem, ubolewającym nad tem, że się w tak niewłaściwym towarzystwie znalazł i radził mi, bym przyjechał do Monachjum, miejsca jego pobytu, gdzie właśnie powstało towarzystwo o bardzo krótkim, przez kler bawarski zniszczonym bycie: „*Psychische Gesellschaft*“.

Byłem redaktorem na papierze — przygotowałem wprawdzie trzy zeszyty miesięczne, — ale p. Wrede nie miał pieniędzy, nawet na to, by mi zagwarantowane 200 marek miesięcznie wypłacić. I w tym znojnym czasie był mi Miciński — szczególna rzecz: w towarzystwie Ludwika Scharfa i Wedekinda — niezmiernie miłym towarzyszem — miłym, jak miłym, — o tem możnaby dużo mówić, w każdym razie towarzyszem-artystą, który w równej mierze mnie, jak i niemieckich kolegów, zacieka-
wiał.

Bo nagle przestał być Miciński miły.

Stał się opryskliwy, zaciął się, wyzywał ustawicznie na ostre języki, widać było, że się szamotał na wszystkie strony, coś go podrywało, gnało.

Lutosławski Wincenty go wzywał — do swojej siedziby w Playa de la Mera, małej miejscowości nad zatoką Biskajską naprzeciw miasta La Coruna.

Nagle Miciński znikł — dłuższy czas się nie pokazywał — zaniepokojony poszedłem do jego mieszkania: wyjechał, ale dokąd, nikt nie wiedział.

W międzyczasie poczęły wiać rewolucyjne prądy w Polsce. Z Wiednia przyjechał Ludwik Szczepański, wychowaniec Hermana Bahra, wielbiciel Altenberga i całego „*Jung-Wien*“, i jął budować podwaliny pod „Młodą Polskę“ w tygodniku „*Życie*“.

Widocznie już wtedy poczęło moje nazwisko być w Krakowie znanem — głównie może dzięki niezmiernie sympatycznej serji artykułów p. Zofji Daszyńskiej, z którą często w Berlinie się widywałem, kiedy w Akademji Humboldta wygłaszała zarys nauk społecznych, widocznie i Ludwik Szczepański dowiedział się, że niczego tak nie pragnę, jak tylko tego by mi jakieś pismo w Polsce otwarło gościnne łamy — dość, że otrzymałem od niego gorące zaproszenie, bym wziął współudział nietylko jako pracownik w jego piśmie, ale i jako doradca.

Och, jak gorąco mnie to zaproszenie uradowało!

Teraz zapadło we mnie niezłomne, radosne, a równocześnie trwożne i nieśmiałe postanowienie: „Odtąd będę pisać wyłącznie po polsku!“

A było to śmiałe postanowienie: wprawdzie znałem doskonale literaturę polską — w niewielkiej, ale zasobnej bibliotece mego ojca znalazłem już od małego dziecka aż nadto obfity karm, który chciwie pochłaniałem — i naszą klasyczną Tróję i Kraszewskiego oczywiście, Czajkowskiego, Korzeniowskiego — ba! nawet Libelta i Cieszkowskiego; moje wakacje gimnazjalne wypełniała bezustanna lektura tych bezcennych skarbów, ale od całego długiego szeregu lat nie miałem języka polskiego w użyciu, ani w Berlinie, gdzie się głównie w kołach niemieckich obracał — polskich nie było poza wegetującym Stowarzyszeniem Studentów Polaków Wielkopolski, w której jak wiadomo kaleczono po on czas boleśnie język polski — a w Skandynawji miałem sposobność tylko parę razy mówić z Polakami. Brak książek polskich i polskich czasopism dawał mi się bardzo przykro odczuwać; raz po raz widziałem z zdumieniem, jak język polski niesłychanie się rozrasta, pięknieje, w niepojęty sposób się wykształca i bogaci, bom znalazł gdzieś tomik poezyj Tetmajera, a Miriam nadesłał mi podówczas „Na wzgórzu śmierci“ i „Krzak dzikiej róży“ Kasprowicza oraz swój własny przepiękny tomik poezyj: „Z czary młodości“ i zląkłem się, ażali ja potrafię takim językiem pisać.

Spróbowałem — z początku nieśmiało: szło to trochę opornie, a nagle, jakgdybym się z jakiegoś długiego snu przebudził, zrozumiałem jedną rzecz:

Ja, mimo, że język niemiecki do tego stopnia opanowałem, jak żaden z Polaków przede mną — to śmiało mogę twierdzić — zrozumiałem nagle z wielkim zdumieniem, że nigdy nie doszedłem do tego, by po niemiecku myśleć: wszystko, co w niemieckim języku pisałem, było tylko niesłuchanie szybkim tłumaczeniem polskiego tekstu — tego wszystkiego, com w polskim języku myślał — polska myśl przyoblekła się z zawrotną szybkością w obcą szatę. A ponieważ te przyobłoczyny odbywały się z tą niepojętą szybkością, miałem nawet sam wrażenie, że piszę po niemiecku, kiedy ja tylko na język niemiecki tłumaczyłem.

Tłumaczenie Szukiewicza mego dramatu „Dla szczęścia“, który to dramat radził mi poczciwy p. Maciej posłać na konkurs dramatyczny imienia Paderewskiego, wydało mi się bardzo nieudolne.

Sam je przetłumaczyłem: to tłumaczenie to mój pierwszy utwór polski. Jak głęboko musiała tkwić polskość w krwi mojej, jeżeli ś. p. Chmielowski tę pierwszą próbę moją pisania po polsku ocenił słowy: „Władcą jest Przybyszewski języka polskiego, ale zarazem i jego tyranem“.

A tym tyranem miałem już w dalszym ciągu pozostać, myli się tylko p. Stefan Żeromski, że lepiej pisałem po niemiecku, aniżeli po polsku, jak również błędne jego mniemanie, że Sieroszewskiemu łatwiej się wyrazić po rosyjsku, aniżeli po polsku.

Nie! panie Stefanie, jeżeli znajdują się w moich po polsku pisanych rzeczach „błędy i usterki“, to całkiem rozmyślne. Nie ja językowi podlegam, ale język mnie podlegać musi.

Jeżeli mi jakiś zaimek nie potrzebny, to go wyrzucam, a jeżeli go niema w języku, a mnie jest potrzebny, to go wstawiam. Potrzebny mi jakiś okres, choćby „jak tasiemiec“ ciągnął się przez dwie strony, to go się nie ulękne, a chociażby mnie Bóg, wie, jak kusił, to go wyrzucam i jednym słowem zastąpię!

Teraz już z całą odwagą zabrałem się do „tłumaczenia“ na polski język „Wigilij“ — tylko to nie było tłumaczeniem, bo po

niemiecku pisane Wigilje byłyby nieprzetłumaczalne, ale na starym niemieckim palimpseście napisałem pierwotny tekst polski.

Takie były pierwsze kroki, jakie poczyniłem na już nieodwołalnie postanowionej wędrówce, ku mojej Ziemi Obiecanej — a nie wiedziałem jeszcze wtedy, czy ją kiedykolwiek ujrzę.

Teraz już co tydzień otrzymywałem „Życie“ Szczepańskiego. Spodziewałem się „Młodej Polski“, jako czegoś w rodzaju czeskiej „*Moderni Revue*“, lub chociażby niemieckiej „*Gesellschaft*“, ale poza kilkoma utworami Tetmajera i przepięknym, wspaniałym, w królewską purpurę przyobleczonem: „Byłeś mi kiedyś bożyszczem, o tłumie“ Kasprowicza sromotny zawód: wszechwładnie rozpanoszyła się w Szczepańskiego „Życiu“ Maskoff-Zapolska, śmieszne utarczki w obronie „Tamtego“ z p. Ehrenbergiem wypełniały całe łamy pisma, płaskie „*Jung-Wien*“ świeciło swoje orgje epitalamiczne — jedna tylko fizjognomja duchowa wśród wszystkich współpracowników zarysowała się wyraźnie — piękna, przeczulona wprawdzie, niemniej do głębi artystycznego sumienia uczciwa dusza — Artura Górskiego.

I w tem „Życiu“ zastanawiał mnie jeszcze jeden artysta — ząbkujący, początkujący Adolf Nowaczyński.

Tu już stawiał pierwsze kroki ten późniejszą tak chlubną przyszłość rokujący linoskok na linie, którą rozpiął między wieżą Marjacką w Krakowie, posągiem Zygmunta na placu Zamkowym w Warszawie i przeciągnął ją poprzez szczyty ratusza poznańskiego, a obwiał ją wokół kaplicy Bonarów we Lwowie.

Bądź, jak bądź: Szczepański zrobił swoje — cały jego majątek „Życie“ pożarło, a ledwie przekroczył próg Polski, a Polską była wtedy Galicja, spadło na mnie ciężkie, bolesne brzemie fatalnej upadłości.

Ale o tem, potem.

Nagle, kiedyś już późną jesienią, otrzymałem list od Mińskiego — wprost z Hiszpanji, z Playa de la Mera — naprzeciw Corunji — z siedziby Wincentego Lutosławskiego — parę słów tylko, na kartce papieru, wetkniętej w obszerny list samego p. Wincentego.

W liście tym, nad wszelki wyraz serdecznym i kochanym, liście, świadczącym o tak niesłychanej dobroci serca, że czytając go łyzy mi się ciurkiem puściły — mnie, któremu łyzy zwykle pod powieką marzną — list tak piękny, że mimowoli szepnął do siebie: „A są jeszcze piękni ludzie na świecie“, w którym mnie jak najgoręcej zaprasza do Hiszpanji; świadectwo, jakie mnie Miciński mu wystawił, wystarcza mu doszczętnie, by przygotować się po moim przybyciu do istotnej „biesiady“ duchowej.

Ta „biesiada“ trochę mnie zastanawiała — byłem już wtedy trochę obeznany z towianizmem i przypomniła mi się „Biesiada“, jaką Towiański głupiego błazna-generała Skrzyneckiego kusił.

Skrzynecki okazał się w tym jednym wypadku mądrym — nie poszedł na lep „Biesiady“ — natomiast ja się skusiłem — pojechałem do Lutosławskiego z najgorętszą miłością, ale rychło spotkało nas ciężkie i bolesne rozczarowanie, o którym długo i szeroko rozpisuje się Lutosławski w swoim paszkwilu: „Bańki mydlane“.

A może właśnie dlatego ten paszkwil napisał, że może mnie kochał — upatrywał we mnie jakiegoś przez Boga wysłanego mu adepta, narzędzie — wysłannika, któryby Słowo jego głosił na całą Polskę, spodziewał się wykształcić mnie na swego Jana z Patmos, a bolesnem i ciężkiem przeżyciem musiało być dla niego, gdy natrafił na całkiem mu obcą, na diametralnie przeciwnym biegunie rozłożoną duszę, a mimo gwałtownych uderzeń laską w opokę tej duszy nawet jednej iskry — tej mu potrzebnej iskry, by całą watrę rozpalic — wykrzesać nie zdołał.

Stąd może całe jego bolesne rozgoryczenie, które znalazło tak nikczemnie mały upust w „Bańkach mydlanych“.

Ale ta osobista przykrość zupełnie mi oczu nie mąci na istotną wielkość tej niesłychanemi zdolnościami uposażonej duszy, o takiej pojemności, jaką rzadko która dusza polska poszczycić się może; cała jego tragedia, że przyszedł za późno — może być, że w czasach towiańszczyzny byłby odegrał olbrzymią rolę i pchnął świętą „Sprawę“ na całkiem inne tory, niż te, na jakie je Mickiewicz zepchnął i ostatecznie zabagnił — może być, że ongiś mógłby się stać jakimś olbrzymim prorokiem, wychowawcą całego narodu i przeprowadzić go poprzez morze

Czerwone — ale ten czas go ominął. W naszym czasie jest anomalją, *posthumus*, *caeson*, ale haniebnem było usiłowanie, by go w Krakowie zasadzić do domu obłąkanych — a może przyszedł za rychło? i to przypuścić można, że ten człowiek — ten Wincenty Lutosławski — przyszedł istotnie za rychło — że to wszystko, co głosił, w co całe swe życie i mienie włożył — później bogaty plon wniesie w gospodarza — narodu dom — *Chi lo sa?*

I osobiste moje zatargi z tym bądź co bądź niezwykłym człowiekiem, którego jedyną może wadą było, że nie znał granicy, kędy się kończy szczerłość, a rozpoczyna swe niechlujne panowanie wulgarna i ordynarna nachalność, wdzieranie się w tajniki obcej duszy — te osobiste moje pretensje są niczem wobec głębokiej wdzięczności, jaką dla niego odczuwam, jako do człowieka, nie mówiąc już o niezmiernym szacunku, jaki dla niego żywię, jako twórcy „Stylometrii“ i może najgłębszego w Europie znawcy Platona.

I w tem uczuciu wdzięczności i szacunku całkiem mi nie przeszkadza ta olbrzymia obcość, która cyklopicznym murem między nim a mną wyrosła.

Lutosławskiemu zawdzięczam Hiszpanję!

A to już niezmiernie dużo — och! jak to na mojem umysłowym i twórczem życiu zaważyło!

Czem wobec tego małe, wprawdzie bardzo przykre niesnaski — a takie zwykle są najprzykrzejsze — jakie często gęsto zachodziły między p. Wincentym a mną; czem moja głęboka przykreść, gdym widział, jak p. Wincenty się na mnie zawiódł — wszak — ci ja miałem pisać powieść na tle prusko-wielkopolskich stosunkach, a pisałem „Nad Morzem“; czem tak nawskroś męska zazdrość o duszę Micińskiego, który w daleko większym stopniu podlegał mojej, aniżeli jego; czem wszystko to „*Menschliches — Allzumenschliches*“, co mi duszę i serce podczas całego pobytu w Playa dela Mera raniło, mimo całej niezwyklej gościnności tak z strony p. Wincentego, jak i małżonki jego, Zofji z domu Casanova — wobec tych niesłychanych rewelacyj artystycznych, jakich doznałem w Hiszpanji: Goya, Theotokopulos Graeco — Van Aaken, którego jedynie w madryckiem „Prado“ oglądać można, Giorgione — ten

boski, ten niepojęty Giorgione w Prado! — jedno z najpotężniejszych objawień twórczej duszy ludzkiej — i znowu Goya i Graeco — he, he: dziś to wszystko zwulgaryzowane — Goya i Graeco na wszystkich ustach — ale wtedy — trzydzieści lat temu, kto coś o nich wiedział? — to były wielkie, niesłychane objawienia, wobec których dusza ślepla od nadmiaru światła.

Ten istotny, ten przepotężny Goya mieścił się po on czas w Madrycie — w muzeum, zwanem wtedy: „*Calcographia*“ — nie wiem, jak jest dziś — i tam spędzałem — bez przesady — przez kilka tygodni po trzy i cztery godziny dziennie — nasycić się nie mogłem — tak bratniej duszy nie znalazłem, ani w Ropsie, ani w Munchu, ani w Vigelandzie, jak właśnie w Goyi: „bratniej“ — powiedziałem przed chwilą — śmieszny napad „megalomanji“: znalazłem moje bóstwo, przed którym się głęboko korzyłem, tak, jak w Toledo z pokorną czią kajałem się przed obrazami Theotokopulusa, w małym, ale niesłychanie bogatym toleańskim muzeum.

A jechałem do Hiszpanji z radością, że zobaczę Velasqueza, Murilla — dziwna rzecz, że tych właśnie całkiem nie widziałem, a jest ich setkami w Prado.

Majaczy mi się jeszcze w głowie Zurbaran — ta sroga, nieustąpiła, paniczny lęk budząca askeza jakiegoś twórcy, powołanego do niesłychanych potęg twórczości, a szczepła w suchym potwornym bólu na mokrem sklepiisku nędznej celi.

Ale co duszę moją w najwyższą ekstazę wprowadzało, to architektura katedry gotyckiej w Toledo i Burgos. To inny gotyk, jak ten niepokalany, nieskończenie czysty, surowy, z wszelkich ozdób świadomie obdarty, jak w północnej Francji, jak u nas, hen — na Wschodzie, w Toruniu, lub Gdańsku; gotyk hiszpański to rozwydrzone, przeolbrzymie bogactwo jakiegoś Samjasy, księcia upadłych aniołów, który je ściele u stóp Tego, od którego odpadł, a którego teraz przebłagać pragnie; gotyk hiszpański jest tem, czem jest najwyszukańszemi, najkosztowniejszemi zachodami wychowana orchidea — nie wiem, dlaczego ten chory, najwytworniejszą chorobą chory kwiat skojarzył się w moim mózgu z hiszpańskim gotykiem — orchideą i cudem wszystkiego, co jest skazane na wymarcie: takie przebogate, tak olśniewające swym przepychem i wytworną, miliony lat starą kulturą, taką,

co niewidzialnym strumieniem płynie tysiące kilometrów w ukrytych jaskiniach pod szczytami gór, by na chwilę zwalić się olbrzymim wodospadem w podszczytową dolinę, i tam znowu w jakiejś górskiej jaskini zaniknąć!

Zbytnio nie nęciło mnie niesłuchanie misterne, ponad wszelką miarę podziwu godne majsterstwo i najwyrafinowańsza sztuka arabska, jaką oglądałem w Toledo w „*Casa de los Moros*“ i w mau-rytańskiej kaplicy w samej toledańskiej katedrze — ponadto możesz ją podziwiać w każdym niemal domku Toledo — trzeba tylko zajrzeć w jakieś podwórze, a w jakimś dawnym precudo-wnym pałacu maurytańskim znajdziesz teraz stajnię, chlew, albo remizę dla wozów i najprzeróżniejszych gratów... Nie! nie! Nie nęciła mnie Granada, ani nawet nęcić nie mogła, bom miał za mało pieniędzy — ale miałem na tyle opamiętania twórcy-artysty, że wyjazd poza Toledo — choćby nawet do niedalekiej Cordowy, byłby zniszczeniem tego niesłuchanego wrażenia, jakie w Toledo odniosłem: jak biedne, jak nieksończenie skromne moje usiłowanie, by dać choć odrobinę tego, com w Toledo przeżył, w opisie Toledo w mojej smutnej powiastce: „Androgyne!“

Tak — tak! Stałem na szczycie toledańskiego Alkazaru — z trudem się tam dostałem, bo była to wtedy wojna hiszpańsko-amerykańska — a każdy cudzoziemiec uchodził za „*Inglese*“, a co najmniej za szpiega amerykańskiego — ale spojrzeli na moją niesamowitą słowiańską gębę i puścili mnie na wieżę.

I z tej wieży toledańskiego Alkazaru, z którego mogłem objąć całą olbrzymią potęgę katedry, tak piekielnie wtłoczonej w setki najciaśniejszych uliczek, że jej z żadnej strony ujrzyć nie można, — z tej wieży Alkazaru, z której widziałem żółty, brudny, spieniony, bezustannymi wodospadami walący się Tajo popod temi mostami, których cud żadne słowo opisać nie może, tam, drogi panie Wincenty Lutosławski — tam Ci korną podziękę składałem, a oczy wlepiłem w przedziwny achi-tektoniczny cud: „*San Juan de los Rayes*“ — przed paru godzi-nami tam byłem i na kolana padłem przed dziwami i cudami wnętrza tej drugiej katedry toledańskiej, na której Izabella Katolicka rozwiesiła łańcuchy kajdanów wyzwolonych jeńców chrześcijańskich.

Pięć dni i pięć nocy błądziłem po poplątanych arabeskach, w jakie ulice Toleda są wycięte — trzy godziny błąkałem się po mieście, zaczęm zdołałem trafić do mojej „fondy” — już trzykrotnie dostałem się przez ciasną uliczkę do wnętrza katedry, by tam znowu godziny spędzać na oglądaniu witraży, wyolbrzymionych do boskości najwyższego Piękną zachodzącym słońcem — dostawałem się na jakiś placyk, nie większy, jak mieszkanie, które obecnie zajmuję, i znowu zaułki — cieme kanały, przez które i muł, obładowany z trudnością się przedostawał, a gdy wreszcie dotarł do mojej „fondy”, rwało mnie na drugi brzeg Tajo, do jakiegoś samotnego klasztoru, z którego wszystkie cuda Toleda w świetle księżyca przybierały jakiegoś już nadboskiego uroku.

Ale nawet to wszystko, co Ci, panie Wincenty, zawdzięczam — to Toledo, to niesłychane madryckie Prado, ta przedziwna świętość Avili i to boskie bogactwo Burgos — niczem wobec tego, żeś stał się pomostem, przez który do Polski się dostałem.

Otrzymałem po on czas list od Macieja Szukiewicza, a wiecie co mu odpowiedziałem?

„Czem są te raje i cuda, które tu teraz w Hiszpanji przeżywam, gdzie niesłychane bogactwo sztuki człowieka tak oszołamia, że oczy sobie z zdumienia przeciera, ażali to jawa; czem ta niesłychana najwytworniejsza, a może i najpotworniejsza potęga twórczości ludzkiej, która p o d k o n i e c najcudowniej-szem kwieciami cały świat potopem zalewa, że nie jak za czasów Nerona tylko uczestnicy uczty Trimalchjona się dusili, ale cała, czująca, rozumiejąca ludzkość w rozkosznych spazmach skonałaby mogła; czem to ostatecznie wszystko wobec rajów i cudów mego Gopła i rodzinnej wsi Łojewa i tej słomianej strzechy szkoły mego ojca, pod którą się urodziłem — a jeszcze wtedy nie wiedziałem — co mi jeden jasnowidz później potem przepowiadał, a czego wtedy nie rozumiałem: „Pod słomą się urodziłeś, a pod „Blachą“ umrzesz“.

Jakim ja cudem dostałem się „Pod Blachę?!“

I miał nadejść kres mej krwawej nostalgji, która mnie całe lata w niepowiedziany sposób trapiła.

Nie wiem — przynajmniej mimo mnóstwa wywiadów — nie zdołałem dociec, by ktośkolwiek choć w mikroskopijnej cząstce swego uczucia, tak się tą nostalgią dławiał, jak ja.

Co ja byłbym wiedział, jakie zdumiewające spostrzeżenia byłbym mógł zrobić, jakie niezwykle rzeczy przeżyć, gdyby nie ta chora tęsknota! A już od małego dziecka mnie trapiła — uciekałem z gimnazjum do domu, żadna siła nie byłaby w stanie mnie powstrzymać, bym na święto Bożego Narodzenia nie miał przyjechać do domu rodzicielskiego. —

Hej! hej! „Graj skrzypku — będziesz w niebie,
A basista obok ciebie!“

Już dość tych bredni!

Jadąc do Hiszpanji, zatrzymałem się przez tydzień w Paryżu. I tam osobiście poznałem Zenona Przesmyckiego — Miriama.

Najgłębszy, najserdeczniejszy pokłon, drogi mój Zenonie, na którego: „Z czary młodości“ kształtowałem mój język polski: za Twoją nieskończenie dobrą gościnę, jakiej u Ciebie doznałem!

Jedno z najpiękniejszych wspomnień moich — najcudowniejsza kropla, która przelała się poza brzeg Twojej kosztownej „Czary“!

A teraz — teraz, kiedy już się stałem tym małym, maleńkim Schopenhauerem, którego można czytać od początku do końca i naodwrot: od końca do początku — bom nie wiedział jeszcze wtedy, że mam jeszcze coś do powiedzenia i to bardzo, bardzo dużo — a jeżeli dotychczas nie wypowiedziałem, toć przecież rozwarte przede mną naoścież mnóstwo żyć — stał się dziwny cud:

Wróciłem z Hiszpanji, goły jak turecki święty — narazie zwrócił się do mnie z doraźną pomocą Zenon Przesmycki, ale i on sam ostatnim groszem gonił.

I takż się stało, że przez Przesmyckiego poznał dwóch nieskończenie mi drogich braci Siedleckich, Franciszka (znanego artystę malarza) i Michała (profesora uniwersytetu w Krakowie), parę zdumiewająco pięknych braci.

Zaprowadzili mnie do niezmiernie gościnnego domu pp. Dąnyszów — gdzieś tam w Auteuil. Pamiętam piękny ogród, na-

wskroś polski dworek, niezmiernie uprzejmą panią domu, Danysza samego, który przypominał mi uczonych niemieckich, ale w jak najlepszym stylu, — kto wie — czy nie tkwiło w nim, albo nie tkwi coś z tego Curie, który w kieszonce od kamizelki chował odrobinę radu, nie wiedząc o tem, że to radjum może mu wątrobę i nerki przepalić? — i w domu pp. Danyszów dokonał się najważniejszy etap mego życia.

Bogatą była kolacja, którą państwo Danyszowie na cześć znanego już Polaka, rozślawiającego imię polskie poza granicą — cośnecóż już znane w Francji — wystawili — bogatą i kochaną i niezmiernie dobrą była ta cała ich gościna, ale najgłębiej utkwiała w mej pamięci — gdybym powiedział „osoba“, to byłoby istotną obrazą — nie utkwiała, ale utkwiał aż do samego dna duszy — człowiek? — zjawa? — przeznaczenie? — zesłaniec Boga moich losów? —

Bo ja wiem?!

Kazimierz Dłuski!

Panie Kazimierzu — byłeś Ty wtedy — o to było na początku maja 1898 roku — byłeś Ty świadom, kiedyś siedział przy mnie przy fortepianie, na którym ja łokciami, knykциями, wygrywałem *fis moll* Sonatę Schumana i *fis moll* Polonez Szopena, byłeś Ty w tej chwili świadom, gdyś mi jał mówić o Paderewskim, że on jedyny mógłby się na mojej barbarzyńskiej muzyce poznać i ją pokochać — och! Chryste Panie! byłeś Ty świadom tego, żeś w tej chwili — nie! w tych godzinach mego obłąkanego grania, którego Ci dosyć nie było — pokierował całym moim dalszym losem?!

Wyobrażam sobie, co to musiał być za list, pisany przez Dłuskiego do Paderewskiego, jeżeli już za tydzień otrzymałem parę tysięcy franków, które mnie wyzwoliły z bolesnej prusko-berlińskiej, tak nieskończenie bolesnej niewoli — możebym dotychczas gnął w tej niewoli, — boć jak było się z niej wyzwolić?

Jak będę miał kiedyś pieniądze, to kupię taki gruby, taki ciężki łańcuch, jaki widziałem opasujący całą katedrę San Juan de los Reyes i poślę go tam z szczerozłotym napisem:

„Paderewski wyzwolił Przybyszewskiego“.

Ja, dziś blisko sześćdziesięcioletni człowiek, nie będę się u stóp Twoich słał — zbyt wielkim panem jesteś, by moja

wdzięczność Cię nie zabolą: jedno tylko wiedz — gdybyś miliony lat żył, nie sprawiłbyś żadnemu człowiekowi, ani sobie samemu tego przeolbrzymiego szczęścia, jak mnie w tej jednej świętej chwili, gdym granice Prus przekroczył i do Krakowa zajechał!

XXIII.

Kiedym podczas mego 30 letniego „jubileuszu“ (!) — he, he! powiedział na estradzie teatru lwowskiego, że gdyby cały mój twór, taki, jakibym go chciał mieć, wynosił 50 stronnice, toby było aż nadto szczęścia dla mnie, powiedziano, że to poza nieszczerej skromności — o nie! to najgłębsza prawda, na jaką wogóle zdobyć się mogłem!

Całkiem inaczej miał ten gmach wyglądać, pod którego fundamenty wydzwigiwałem zewszachstron olbrzymie kamienie — gmach, który na tym fundamencie wybudowałem, całkiem inaczej miał wyglądać — i całkiem inną potęgą pyszni się przed oczyma mej duszy — a, im częściej go obchodzę, tem boleśniej mnie razi — a tem się tylko pocieszam, że, gdy po wiekach całych wrócę, ten gmach będzie już dawno zburzony, ale fundamenty pozostaną — o — o! — te pozostaną! i na nich może być mi dozwolonem — mnie, biednemu bygmestrowi Solnessowi, który już tyle razy budował i burzył — wyciągnąć pod niebo ten gmach — katedrę, o której od małego dziecka marzyłem!

Wszystko, com stworzył, niczem — niczem wobec tego, com przemyślał, gdym całe mile naokoło mojego biednego stołu dzień w dzień robił — gdy znowu powrócę, spełnię nakaz przenajświętszego zakonu.

Tą wiarą rehabilituję moje życie!

Fundamenty, na których niedołączny twór mój budowałem, te jedynie pozostaną — te jedynie są niezniszczalne.

Zdawałoby się, że niepotrzebnie rozpisałem się tak szeroko o tym wypadku w mem życiu, kiedym się bliżej zapoznał z całym tem okultystycznym kołem naokoło Hübbe-Schleideny, naokoło spirytystów, okultystów i różokrzyżowców.

Tymczasem ogromnie dużo im zawdzięczam.

Dziś, kiedyś dwadzieścia lat strawił nad zgłębianiem ich nauki — ale zdumiewające: to, co wtedy było tylko niejasnym przecuciem, intuicją, mgławicową anamnezą, dziś już jasno — dzięki tym długim latom, strawionym nad studjum okultystycznych nauk — mogę syntetycznie przedstawić, co mi się wtedy tylko majaczyło:

Dziś wiem, do czego moja dusza kierowała i dziś wiem, do wykonania czego była powołaną, i dziś jestem w stanie na podstawie głębokiego uświadomienia, jakie z nauk okultystycznych zaczerpnąłem, wypowiadać się wam: wam wszystkim, którzy dotychczas darzyliście: mnie jeżeli nie miłością, to przynajmniej odrobiną sympatji — wypowiadać się Wam z najcięższej tragedji mego życia — jedynej i istotnej, jaką przeżyłem — bo czemuż mogła być jakaśkolwiek tragedia wobec tej, że z mego tworu pozostaną tylko głązy fundamentu, a cały gmach na nim wybudowany niezadługo się w gruzy rozsypie?!

Bygmester Solness nie dorósł swojemi siłami, by móc wynieść choćby tylko pod dach ten gmach — a raczej tę katedrę, którą w krwawych wysiłkach i szarpaninach budować zamierzał.

Obłędna myśl zwichrzyła w zarodku moje twórcze poczynanie:

Chciałem wykraść tajemnicę

Ognia!

Czy wiecie, czym jest ogień?

Otóż nauka różo krzyżowców o ogniu:

To, co ogniem nazywamy, to tylko ordynarnem, materjalnem oskorupieniem ognia — to, co dla nas ogniem — jest z natury rzeczy, — jako zjawą — ciemnością. Bo „istota“, jako taka, jest przeciwieństwem zjawy. N a s z ogień jest poza granicą naszych zmysłów w świecie nadnaturalnym — głuchą ciemnością.

Wiedzą o tem wszyscy, którym było dane w świętych ekstazach oglądać Światło wiekuiste.

Bo wszelka materja jest ciemnością i dusza jedna tylko światłem. Światło nasze jest materjalne, a jako materjalne musi być ciemne. Bóg naszego światła, to książę ciemności — „*princeps tenebrarum*“ — istotny Bóg nie jest materjalnym, więc nie

może być dla nas, jako niematerialny, światłem — musi być ciemnością, to znaczy jedynem i istotnem światłem.

A więc wszystko naodwrot.

Ciemnością dla jedynego światła, jakim jest Bóg, i jego cząsteczka — duch ludzki — jest i nawet ten najczystszy, materialny ogień, który świeci tak nieskończenie delikatnem światłem, że tylko rzadcy, najwięcej senzytywni ludzie je widzą, c i e m n o ś c i ą jest nawet ta świetlana promieniejąca materja Crooksa, a nawet ten „OD“, który dusza nasza poprzez cielesną skorupę bezustannie promieniuje, n a w e t ten choćby i dziecięciorako wysubtelniony agregat *odu*, substrat ducha ludzkiego, jest jeszcze ciemnością wobec tego ognia, tego światła i blasku, w jakim Bóg w człowieku się przejawia.

A nigdy Bóg się inaczej nie objawiał, jak w świetle i ogniu. Wszelakie światło w Kościele Katolickim symbolizuje to jedyne żyjące światło — najczystszy, ostatni, z wszelkiej skazy oczyszczony objaw płynącej, płonącej, w b l a s k u rozkwitłej materji, która przestała być materją i teraz pnie się w górę, wzwyż poza wszystko, co jeszcze się „sobą“ nazywało, ku nieznanemu, wiekuistemu, jedynemu w i e k u i s t e m u światłu, wobec którego wszystkie ogień tu na ziemi — głuchą ciemnością.

Ogień jest „*schechinah*“ Boga — Bóg zjawił się w ogniu, i zamieszkał w ogniu — ogień skradziony, nasz zmaterjalizowany ogień ziemski, choćby się nawet w ultrafioletowych promieniach przejawiał, to władztwo Boga ciemności — Lucyfera. Och, jak piekielnie biedny ten skradziony ogień!

Trzeba tylko patrzeć na ogień innemi oczyma, jak temi bezdusznymi, obojętnymi, jakimi przywykliśmy patrzeć na wszelką rzecz.

Cóż my o ogniu wiemy? — Jedyni, którzy o nim coś wiedzą, — okultyści, alchemicy — milczą — i z ciężkim trudem wykrada się im drobinki ich tajemnicy.

Ogień spoczywa choćby i w najświeźszej naszej materji — wszystko, co jest materją jest grobem żywcem pogrzebanego ognia — i pod tym względem nie różni się człowiek w niczem od najtwardszego kamienia, jakim jest krzemień i diament. I w jedynym i w drugim spoczywa głęboko ukryte serce ognia i trzeba wielkich wysiłków i wielkiej mocy, by to serce poruszyć i zmusić

je, by buchnęło płomieniem i rozlało poprzez epokę skalistą lejący się strumień istotnego Ognia-wody, jaki Mojżesz ze skały swą łaską wykrzesał.

Wszelaka materia — czy ją nazwiemy kamieniem, czy też cielesną naszą powłoką, dusi, dławi, więzi, kielzna najdzikszą torturą ogień — musi go więzić, bo inaczej pożarłby całe światy. Tem samem więzieniem dla ognia, jakim jest krzemień, lub diament, całkiem tem samem, tylko stokroć razy gorszem, są zmysły w skorupce duszy — w cielesnej naszej powłoce — a dla ognia-duszy sromotniejszą katownią ciało człowiecze, aniżeli kamień.

Bo i z kamienia łatwiej wykrzesać płomień, to, co jest koroną, równocześnie najcudowniejszem kwieciami, owocem i chwałą gorącości, aniżeli z człowieka. Krzemień jest grobem niewidzialnego ognia — ale silne uderzenie starczy, aby to wybuchające kwiecie gwałtownego rozrostu gorącości nazewnątrz wytrysło — a na nic się nie zda walić choćby i najwścieklejszym taranem o serce ognia w człowieku: z jednego na tysiąc, a z dwóch na dziesięć tysięcy buchnie na chwałę płomień i w tej chwili zanika; grube ciężkie płyty materji, jak płyty grobowców nad nim się zamykają. A jeżeli gdzieś tam ogień się naszym zdumionym oczom ukaże, to jest to, jakgdybyśmy złodziejskiem okiem rzucili wzrok przez wąziutką szparę w całkiem inny, nieznany nam świat. Otóż ten ukryty, istotny ogień, więziony przez naszą cielesną skorupę, dławiony, duszony, torturowany przez nasze zmysły, miałem na myśli, gdym począł — 30 lat temu — o „nagiej duszy“ majaczyć — o tem świetle, które raz po raz w naszej jawie, naszym materjalnem świetle, — to znaczy w grubej głuchej ciemności — zakwitnie i znowu znika, a naodwrot dla naszego światła zmysłów jest spowite w najgrubsze opony ciemności.

„Naga dusza?“

Może nie było w całej współczesnej literaturze hasła, któreby było wywołało tyle nieporozumień, zaciekłych szyderstw, kpín, drwin, tanich i najtańszych, a przeważnie ordynarnych dowcipów. Nie było dość jadowitej śliny, którąby nie opluwano tej nieszczęsnej nagiej duszy, bo był to właśnie czas, w którym najordynarniejszy pozytywizm święcił swe przedśmiertne triumfy.

A jeżeli teraz z głębokim wstydem i uczuciem ciężkiego upokorzenia staram się mój poroniony twór rehabilitować,

to tem jedynie się ratuję i pocieszam, że w owym czasie miałem odwagę głosić to hasło i tą odwagą rehabilituję siebie wobec siebie samego.

Zakpił sobie Pan Bóg ze mnie, gdy zasadził ziarno jakiejś tropikalnej palmy w za małym kuble.

Goniłem całe życie i chciałem je utrwalić te rzadkie chwile w życiu pojedynczego człowieka — wspominałem już o tem — w których świadomość innego, pozazmysłowego Bytu urasta do tej potęgi, że pozwala człowiekowi patrzeć Bóstwu oczy w oczy.

Może parę razy udało mi się te chwile pochwycić — ale jakie one biedniuteńkie w rzeczywistości!

W długich wędrówkach naokoło stołu — może przez tyle lat już parę razy ziemię okrążyłem — wyczułem, jaką nadludzką potęgą może być ta chwila:

Ogień nagiej duszy wyrывa wtedy z zawias drzwi domostwa, wszczyna pożar, każe ciemnym metalom rozlewać się niejako w wodnych strumieniach światła, wygania czarne szatany zjawy i to, co było ciemne, brudne zakopcone, ba, nawet niewidzialne — okazuje się nam nagle w niebiańskiej, anielskiej czystości.

W tej chwili można całe światy wrzucić do tego anathaforu-tygłu, w którym się wszystko na istotność przemienia, a nawet w najostateczniejszej fazie ewolucji dymu, ani czadu się nie ujrzy.

Pismo Święte twierdzi, że z chwilą, kiedy człowiek pierwotny grzech popełnił — liściem figowym wstyd swój pokrył. Tym liściem figowym, którym człowiek zmuszony jest pokrywać potęgę nagiej swej duszy — to zmysły — to najwięcej kłamliwe świadectwo urojonej rzeczywistości. — Cóż my wiemy o rzeczywistości?

Niema, ani nie może być dowodu na to, że istnieje cośkolwiek poza nami, jeżeli wyeliminuje się człowieka, dla którego cały świat istnieje. Bo przecież dla żadnej innej inteligencji prócz ludzkiej, realny świat istnieć nie może. I cóż znaczy realność? Zważ tylko mur, który odgranicza to moje wrzekomo „realne“ życie od możliwości życia w sąsiadującym świecie — a przecież ten świat istnieć musi, a już nie mówić o możliwych wielorakich innych światach, albo bezsprzecznej możliwości ich istnienia,

które, Bóg wie, jak, gdzie, dokąd i jak daleko się rozprzestrzeniają.

A tych możliwości, lub metafizycznie dających się ogarnąć światów, jakiegokolwiek rodzaju one być mogą, jest bez liku, ale tego już rozumem ogarnąć nie można. Nie pojmujemy, czym one są, ani, jak je sobie wyobrażać mamy, ani też poco i naco istnieją.

A straszne, jeżeli do samej głębi tej prawdy sięgniemy. Nie wiemy, dlaczego sami istniejemy, lub czym właściwie jesteśmy. I niepojętem jest „stworzenie“ — jedno tylko słowo: „w jakiś sposób“ określa naszą całą wiedzę.

Cała podstawa naszej wiedzy, ugruntowanej na świadectwie zmysłów, jest jak najzupełniej prostą konjekturą. O naturze samej — tej poza nami, a tej która nie jest nami — cóż możemy, wiedzieć? Człowiek przecież sam jest też tylko zjawiskiem fenomenem, a on przecież sam tworzy naturę, która bez niego nie istnieje.

Módlmy się w ciężkiej pokorze! — *Oremus!*

I co jest prawdą?

Niema, ani nie może być żadnej prawdy, bo natura, która koniecznie musi być podstawą wszechrzeczy, nie może być prawdą — naturę, jako taką, trzebaby uzasadnić — a dopóki jest zawarunkowaną pytaniem, jak szeroko i jak daleko, a więc czasem i przestrzenią, z których ani jedno, ani drugie poza nami nie istnieje, nie może być istotną, pozytywną, abstrakcyjną rzeczywistością, jedynie tylko wrzekomą — przez nasze zmysły stworzoną.

Starano się Byt uzasadnić głupią formułką: „*Cogito, ergo sum*“. Myślę, więc jestem!

Ha, ha! Jestem, bo jestem — istniejący tylko na peryferji świadomości — nic więcej!

Na peryferji — to obszar mej istotnej świadomości, to znaczy mego Nieświadomego, które to moje maluczkie głupiutkie „*Cogito*“ — Myślę! jak marny pyłek pianki na brzeg bezmiernego Oceanu wyrzuca — a obszar jest nieograniczony.

Módlmy się w ciężkiej pokorze! *Oremus!*

Więc co pozostaje dla człowieka, prócz bezwzględnego podania się i pokory nieświadomego dziecka?

Wiecie przecież, co Bóg powiedział: „A zaiste, mówię wam, że jeżeli nie staniecie się, jak któreś z nich, nie wejdzicie do Królestwa niebieskiego!”

Bo przecież nie jesteśmy w stanie rozpoznawać a b s o l u t n i e i nigdy dowieść nie możemy, że istotnie istniejemy, i nikt mi nie dowiedzie, czy życie moje jest tylko jakimś potwornym snem, który może być, lub też nie?

Hume dowiódł, że w rzeczywistości niema żadnego związku między przyczyną a skutkiem — bo między przyczyną, a skutkiem tkwi złudzenie — coś więc stoi na przeszkodzie uważać życie za sen i naodwrot?

Módlmy się w ciężkiej pokorze — bo nic nie wiemy, ani wiedzieć nie możemy.

Myślenie jest naszą wiedzą — wiedza może być tylko wiedzą o materji — przecież nawet Spinoza, boskością pijany filozof, dowodził, że Bóg sam musi być w jakiś sposób materjalny, ulatnia się, wyczerpuje i t. d. — materja zaś jest czemś bezwzględnie nie istniejącem poza nami — materja jest negacją — a negacją jest Szatan.

Cała nasza przez najgęstsze sito przesiana metafizyka staje się peremptoryczną, jeżeli wychylimy się poza granicę „drugich” przyczyn. Wszystko wtedy staje się zawrotnem przypuszczeniem, wszystko jest ciemnym obłokiem, w którym się wszelka ścieżyna myślenia kończy, wszystko jedno, jakąkolwiek drogę wybierzemy. Cokolwiek człowiek podniesie i w ramionach utrzymać zdoła, to już przyczyny, wynikające z mirjadów przyczyn.

Módlmy się w ciężkiej pokorze, bo nic wiedzieć nie możemy, ani nigdy nie poznamy granic między snem a jawą.

Kto zna świętą prawdę o śnie?

Sen, który jest myślą człowieka, a raczej sny są tem, co w człowieka spaniu istnieje, to kamień zawady, o które wszystkie teorie ludzkie się wywracają i absurdem się zdają — boć któż mi dowiedzie, żem nie został stworzony w śnie podczas mego spania i w tym śnie tylko istnieje?

Teraz pewno zrozumieć można, czem jest Bythos gnostyków, a Maja Hindusów?

Ale już nie będę się zapuszczał w odmęty mistycznej, jedynej objawionej wiedzy — wtedy nie pozostaje nam nic innego, jak tylko pokorne bicie się w piersi „Oremus“! — bo nic nie wiemy, ani wiedzieć nie możemy, dopóki mózg i zmysły mają nam prawdę świadczyć.

A przecież nato tylko mózg i zmysły — złośliwe, kłamliwe, przytem bardzo liche narządy, okłamujące i okpiwające nas narządy, bo inaczej i s t o t n a prawda musiałaby nas rozsadzić.

I nato tylko istnieją zmysły i mózg, aby człowieka ustosunkować do jego „zewnątrz“, i, aby go „prawda“ rozsadzić nie zdołała, dusza — „naga dusza“ — pozwala człowiekowi li tylko na wyjątkowe momenty, w których mu istotę i prawdę ujawnia — chwilę, momenty, które człowiek nazywa n a t c h n i e n i e m — a źródłem tego natchnienia, to właśnie to, co nagą duszą nazwałem, duszą, która nie potrzebuje ani zmysłów, ani mózgu, by móc się przejawiać.

Ukończyłem wędrówkę po obcym świecie, a i nic więcej nie mam do powiedzenia o drodze, którą dusza moja kroczyła.

A kończąc tą część drogi, którą odbyłem, zacznę do Polski przywędrowałem, cóż mi więcej na to powiedzieć, com już powiedział w wstępie do mego „Krzyku“?

Posłuchajcie:

Jestem tylko meteorom, który na chwilę zabłyśnie, na chwilę ludzkość straszy i przeraża, a potem nagle niknie — a szczęśliwy jestem, że tem przeświadczeniem żyję.

Droga meteorom wyznaczona, jest miliard razy dłuższą, aniżeli zwykłym gwiazdom. Te ostatnie jawią się w ściśle obliczonych czasach — nie chciałbym być gwiazdą! Być meteorom, to istotna moja tęsknota: zniszczyć na swej drodze kilka światów, roztopić je w sobie, wzbogacić się niemi i po miliardach lat znowu powrócić, stokroć razy gorętszym blaskiem rozplonąć, wieścić nowe przemiany i wywody i znowu zniknąć — to to, co w moich najkosztowniejszych snach przeżywam...

Niech zgasnę — czempredzej zgasnę, bym mógł tylko w wzmożonej potędze powrócić...

A wróć — wróć!

Od strony 173 począwszy do strony 288 wydrukowano mylnie numerację rozdziałów XIII—XXI zamiast XV—XXV.

nr inw.: BG - 513111



BG W 513111/I

